

**DARIA DONCOWA**

# **ŚPIJ, KOCHANIE**

(Przełożyła: Ewa Niepokólczycka)

**Świat Książki**

**2005**

## Rozdział 1

Marzec w tym roku był ciepły. Już około dziesiątego zniknął śnieg, a po piętnastym z ziemi wysunęły nosy pierwsze źdźbła trawy, oszołomione mocnym słońcem. Moskwianie skwapliwie zrzucili futra, kozuchy i ciężkie buty na grubych podeszwach. Mieli ich serdecznie dość po całej zimie. W mieście zaroilo się od dziewcząt w lekkich kurteczkach i chłopców w rozpiętych płaszczach. Nie mogli się doczekać upragnionej wiosny. Ale ja z rodziną mieszkam za miastem, w Łożkinie, i choć od obwodnicy Kolcowej dzieli nas jedynie pięć kilometrów, wkoło mamy las. W naszej okolicy zasy ledwo zaczynały tajać.

W piątek wieczorem, około piątej, szłam jak zwykle wzdłuż nasypu. To, że dom wybudowaliśmy w tym miejscu, nie jest bynajmniej przypadkowe. Chcieliśmy mieszkać jednocześnie i w mieście, i na wsi, toteż wybór padł na Łożkino. Stąd do Twerskiej jest piętnaście minut samochodem, pierwszorzędna szosa pozwala uniknąć korków, nawet jeśli jedzie się do stolicy w niedzielę wieczorem. Nasz jednopiętrowy dom otaczają świerki, warzywnika nie mamy, bo w całej rodzinie brak amatorów grzebania się w ziemi. Najbliżsi sąsiedzi nie pchają się na siłę z przyjaźnią. Przez kilkanaście lat zaprzyjaźniliśmy się jedynie z bankierem Sołomatinem i jego rodziną. A to też tylko dlatego, że ich kot, wielki czarny przystojniak, regularnie odwiedza nasze kotki - trójbarwną Kleopatrze i białą Fifinę. Kocięta, które w efekcie tych odwiedzin pojawiły się na świecie, Masza nazywa „domino”. Bo też istotnie przypominają kostki domina - czarne z białymi łatkami.

Przez pierwszy tydzień po przeprowadzce do Łożkina żyliśmy w stanie bliskim euforii, ale dość szybko zorientowaliśmy się, że miejsce to ma jednak dość poważny mankament. W odległości około dwóch kilometrów biegnie linia kolejowa i hałas ustawicznie kursujących pociągów początkowo doprowadzał nas do szału. Mój syn Arkady oświadczył nawet w pewnej chwili:

- Dość tego, sprzedajemy dom i budujemy gdzie indziej.

Jego żona Olga, którą zresztą w domu wolimy nazywać Kicią, powiedziała pojednawczo:

- Poczekajmy jeszcze trochę, zobaczycie, że przywykniemy.

- Jasne, a tymczasem Ańka i Wańka podrosną i pójda się bawić na torach. -  
Małżonek nie zamierzał ustąpić.

Ale bliźnięta, moje wnuki, ledwo skończyły roczek. Na krok nie odstępowała ich niania Serafima Iwanowna, dlatego wizja dzieci bawiących się na torach wydawała się tak niewiarygodna, że Kicia nadal łagodnie upierała się przy swoim:

- Jeszcze jedna budowa? Nigdy w życiu!

Mnie też ogarniało przerażenie na myśl o ponownym użeraniu się z budowlańcami. Ale Arkady i Masza nie zamierzali ustąpić - pociągi przeszkadzają im spać, jeść, czytać, po prostu żyć. Przez dwa tygodnie kłóciliśmy się zażarcie, a potem na dworcu otwarto nowy wielki supermarket z działem zabawek i dyskietek komputerowych. Mania spuściła z tonu. Osamotniony Kiesza z rezygnacją machnął ręką. Po miesiącu zorientowaliśmy się, że w ogóle nie słyszemy żadnego hałasu, a nawet odkryliśmy wiele korzyści z sąsiedztwa stacji. Kieszka kupuje tam gazety, kasety wideo i niekiedy papierosy. Mania sieje spustoszenie w supermarkecie. Kicia uwielbia buszować wśród motków wełny w butik „Twój relaks”. A ja znalazłam przyjemność w pieszych spacerach. Na co dzień wiodę obrzydliwie siedzący tryb życia, nawet do piekarni jeżdżę samochodem. Dwa kilometry w jedną stronę i dwa z powrotem rześkim krokiem pozwalają mi zachować figurę i prężne mięśnie.

Bezchmurne niebo cieszyło oczy, pachniało już wiosną i czymś podniecająco znajomym. Nogi poruszały się szybciej, plecy się prostowały - miałam takie uczucie, jakbym unosiła się w powietrzu.

Z przodu rozległ się gwizd lokomotywy. Niby nic szczególnego, bo pociągi pospieszne, zbliżając się do stacji, na ogół wydają z siebie krótkie buczenie, żeby ostrzec ewentualnych kierowców i gapiowatych pieszych. Ale ten wydawał z siebie jakieś pełne lęku zawroźnienie. Spojrzałam na tory. Odwrócona plecami do nadjeżdżającego pociągu stała tam kobieta. Skład pędził wprost na nią. Maszynista, który nie miał szans, by zatrzymać pędzący pociąg towarowy, nie przestawał gwizdać. Ale kobieta nawet nie drgnęła.

Co sił w nogach rzuciłam się w dół nasypu. Boże, ona jest pewnie głucha albo nienormalna. Ale to nie powód, by umierać straszną, męczeńską śmiercią pod kołami pociągu. Śnieg sypał mi się za kołnierz kurtki, wpadał do krótkich botków i natychmiast zamieniał się w wodę. Czapkę gdzieś zgubiłam, zresztą szalik i rękawiczki też. W głowie tłukła mi się tylko jedna myśl: zdążyć za wszelką cenę. Lokomotywa stała się nagle przerażająco wielka, kątem oka dostrzegłam, że maszynista krzyczy, twarz ma wykrzywioną przerażeniem. Brudny żelazny potwór z ogłuszającym rykiem przemknął obok nas, bo w ostatniej dosłownie sekundzie z

nieładzką wręcz siłą zdołałam pociągnąć kobietę za bezwolnie zwisającą rękę. Upadliśmy na bok z dziwnym odgłosem, niczym worki napełnione zgniłymi kartoflami. Wagony towarowe przemknęły obok nas z hukiem, łomotem i syczeniem. Od strony stacji, ślizgając się na resztkach brudnego śniegu, biegli ludzie. Z przodu, machając chorągiewką, pędziła dróżniczka Lusia. Znam ją dobrze, zawsze oddaje dla jej córki rzeczy, z których wyrosła Masza.

- Dano Iwanowno! - krzyczała. - Chryste, żyje pani!

W otępieniu kiwałam głową. Niebo nadal było błękitne, miły wiaterek owiewał twarz, w oddali szczebiotały wesołe ptaszki. Przyroda w najmniejszym stopniu nie zareagowała na to, że właśnie ktoś mógł umrzeć. Wyobraziwszy sobie kałużę krwi i zmasakrowane zwłoki na szynach, wzdrygnęłam się i popatrzyłam na tę, którą uratowałam.

Leżała twarzą do ziemi, z rozrzuconymi na boki rękami. Spódniczka się podwinęła, odsłaniając długie zgrabne nogi obute w drogie buty z prawdziwej skóry. O tym, że kobieta nie jest biedna, świadczyła również ładna kurtka z norek i elegancki skórzany kapelusik, leżący nieopodal. A pachniała nie byle czym, tylko Dolce vita Diora.

- Co za szczęście - jęczała Lusia, troskliwie poprawiając odzież na nieszczęsnej - o, już i doktorzy lecą.

Zaraz za domem towarowym znajduje się filia pogotowia. Załoga karetki nawet nie próbowała uruchomić samochodu. Lekarz i dwóch sanitariuszy usłyszawszy, co się stało, chwycili nosze i ruszyli pędem w naszą stronę. Ich też znałam, mieszkają niedaleko nas, w długim ceglany budynku zbudowanym dla pracowników miejscowych zakładów drobiarskich. Jurij Anatoljewicz jest terapeutą, zawsze chętny dorobić sobie co nieco, więc miejscowi wzywają go, gdy potrzebna jest drobna pomoc w rodzaju opatrzenia podrapanych dziecięcych kolan. Do innych przypadków mieszkańcy okolicznych willi mają własnych, drogich lekarzy, ale poczciwy Jurij rad i takiemu zarobkowi.

Ostrożnie odwrócono kobietę na plecy. Wokół tłoczyli się gapie: dwóch pracowników kolejowych, baba, okrągły rok sprzedająca przy szlabanie ziarna słonecznika, dwóch wszędobylskich wyrostków.

Na nasypie, gdzie biegła ścieżka w stronę stacji, stłoczyli się ci, którzy zdążyli do pociągu podmiejskiego. Śmierć zawsze przyciąga gapiów, ale tym razem doznali rozczarowania, bo lekarz zdecydowanie oświadczył:

- Żyje, nie jest nawet ranna, tylko w szoku. Połóżcie ją na noszach i wieziemy do szpitala.

Raczej niesiemy, bo szpital jest tuż za przejazdem.

- Dario Iwanowno - Jurij dotknął mojego ramienia - ma pani krew na twarzy, proszę z nami.

Potarłam dłonią policzki. Rzeczywiście. Ruszyłam za medykami. Nogi miałam dziwnie ociążałe, a moje ciało ważyło chyba ze sto kilogramów.

W izbie przyjęć dostałam dreszczy. Młodziutka pielęgniarka ze współczuciem podała mi kieliszek brązowego płynu o mocnym zapachu.

- Proszę wypić, to panią uspokoi.

- Po prostu przemarzłam - mruknęłam, ściągając całkiem mokre buty. - Czy mogę stąd zadzwonić do domu?

Pozwolili mi skorzystać z telefonu.

- Będę za piętnaście minut! - zawołała Olga. - Tylko wysuszę włosy; przepraszam, ale jestem w łazience.

Pojawił się chirurg, zbadał mnie i uspokoił. Nic wielkiego, lekko skaleczona warga.

- Przypuszczam, że nadziała się pani na ramię tej kobitki, gdy ją pani wyciągała spod kół. Głupstwo, usta zawsze bardzo krwawią.

- Co z nią?

Ostrożnie badałam językiem zęby. No właśnie, kiel, już od dawna nie mój, metal i porcelana na sztyfcie, niepokojąco się ruszał. Na myśl, że czeka mnie wizyta u stomatologa, aż jęknęłam. Jeżeli już się czegoś boję, to jest to maszyna do borowania.

- Leży na sali. - Lekarz podszedł do umywalki.

Doprawdy ci lekarze mają dziwną manierę mycia rąk nie przed, lecz po zbadaniu chorego, zupełnie jakby się brzydzili.

- Zna ją pani?

Pokręciłam głową.

- Jest przytomna?

- Tak - odpowiedział - ale milczy i nie odpowiada na pytania. Jest w szoku.

Wezwałem neurologa.

W tym momencie otworzyły się drzwi i zajrzała przez nie trójkątna buzia, ozdobiona dużymi okrągłymi okularami.

- To pani uratowała tę kobietę? - zapytała niska, podobna do wiewiórki

lekarka. - Proszę ze mną. Ona nie chce powiedzieć, jak się nazywa. Mam nadzieję, że gdy panią zobaczy, stanie się bardziej rozmowna. Proszę ją zapytać o nazwisko, adres... Najlepiej wszystkie dane z dowodu.

- Może źle się czuje - powiedziałam nieśmiało.

- Skądże - prychnęła młodziutka neurołożka. - Pewnie się boi, że wezwiemy milicję i ją ukarzą. Kto to słyszał, żeby się tak zagapić na torach...

- A jak u niej ze słuchem? - ciągnęłam, gdy szłyśmy na trzecie piętro. - Nie mówi, pociągu nie słyszała, może jest głuchoniema?

- Też coś - parsknęła panienka, najwyraźniej świeżo po studiach. - Widzieliśmy takich, po prostu wstydu nie ma, dobrze chociaż, że nie pijana.

Gwałtownie otworzyła drzwi i wepchnęła mnie do środka. W małej salce stały trzy łóżka, ale była tylko jedna chora, właśnie uratowana przez mnie kobieta. Dopiero teraz dostrzegłam, że ma piękną, jak to się mówi, rasową twarz. Kształtny, arystokratyczny nos, zgrabny podbródek, ładnie wykrojone usta i wyraźnie zarysowane łuki brwi. Włosy też były piękne, gęste, czarne, albo pofalowane naturalnie, albo dama zostawiła u fryzjera majątek, by uzyskać taki efekt.

- Jak samopoczucie? - zapytałam cicho.

Kobieta nie poruszyła się, choć po ledwo dostrzegalnym drgnięciu powiek zrozumiałam, że świetnie mnie słyszy, ale widać nie chce żadnych rozmów.

- Ja nie jestem z milicji. Po prostu przechodziłam i zobaczyłam panią na torach.

Kobieta uparcie milczała. Trochę to dziwne. Wypadałoby przynajmniej podziękować, ale niedoszła ofiara najwyraźniej nie zamierzała okazywać wdzięczności.

- Jak się pani nazywa? - nie dawałam za wygraną.

Cisza.

- Rodzina się chyba niepokoi - zaczęłam z innej beczki.

Zero emocji. Z pewnością potrzebna jest jej pomoc lekarza, lecz nie tej podfruwajki-neurologa, tylko solidnego psychiatry. Zrozumiawszy, że nic nie wskóram, westchnęłam i skierowałam się do drzwi.

- Stój - usłyszałam za plecami.

Odwrociłam się odruchowo na ten niezbyt uprzejmy okrzyk. Zobaczyłam wlepione w siebie wielkie oczy, czarne niczym kałuże lśniącej smoły. Płonęła w nich wręcz fanatyczna nienawiść. Zapewne z takim właśnie uczuciem ludzie rzucają się

pod czołgi wroga albo zasłaniają sobą lufę karabinu maszynowego.

- Po co mnie uratowałaś? - wycedziła nieznajoma. - Kto cię prosił?!

Nie potrafiłam na to odpowiedzieć.

- Wynoś się! - Jej głos przeszedł w krzyk, a oczy stały się jeszcze większe i wręcz płonęły.

Ruszyłam do drzwi.

- Wnocha! Przeklinam cię! Wepchnęła się ze swoim współczuciem, żebyś zdechła!

Wypadłam na korytarz - nikogo. Muszę to powiedzieć doktorowi, żeby mieli ją na oku. Ale lekarz badał płaczące dziecko z uniesioną, wyraźnie złamaną ręką.

- Dobrze, dobrze - zbył mnie. - Później zajrzę do tej psychopatki, a pani niech jedzie do domu, ktoś po panią przyszedł.

Wyszłam na dziedziniec i zobaczyłam czerwonego volkswagena. Olga wyrzała przez okno.

- Na chwilę nie można spuścić cię z oka - rzekła gniewnie - bo od razu pakujesz się w jakąś kabałę. Wsiadaj!

Bez słowa podeszłam do samochodu. W głowie mi huczało. Kto mnie prosił, żebym się wtrącała? Zachciało mi się ratować wariatkę! A teraz boli mnie skaleczona warga, rusza się niedawno wstawiony ząb i czuję się kompletnie zdołowana. Ta baba to zupełna wariatka, która zupełnie nie rozumie, co się dzieje.

- Patrz, patrz - zawołała nagle Kicia, wyskakując z samochodu.

Pokazywała w górę. Uniosłam głowę. W oknie na trzecim piętrze stała uratowana przeze mnie psychopatka. Wiosenny wiatr rozwiewał długie czarne włosy, szpitalna koszula wzdęła się jak dzwon. Kobieta spojrzała w dół i przeżegnała się szybko.

- Stój, na pomoc, łapcie ją! - wrzasnęłam jak opętana.

Samobójczyni roześmiała się i zrobiła krok do przodu. Patrzyłam skamieniała, jak ciało, cudacznie zgięte, leci w dół.

Miałam wrażenie, że opada całą wieczność, niczym piórko, choć wszystko pewnie trwało ledwie parę sekund. Włosy falowały jak czarne języki ognia, poraził nas straszliwy, nieludzki krzyk. A potem rozległo się głucho plaśnięcie - tak spada czasem ze stołu kawałek surowego mięsa. Pasma włosów zasłoniły twarz, spod głowy pociekły błyszczące strużki. Rozrzucone ręce drgnęły jeszcze raz i drugi. W ciszę, jaka zapadła, wdarły się inne odgłosy. Najpierw, lekko westchnąwszy, zemdląca Olga,

potem ja dostałam straszliwych torsji, tuż obok ciała denatki. Nogi się pode mną ugięły. „Byle tylko nie upaść na trupa” - zdążyłam pomyśleć i straciłam przytomność.



## Rozdział 2

Ocknęłam się, bo ktoś podsunął mi pod nos jakiś cuchnący wacik.

- Zabierzcie to - jęknęłam, usiłując nie oddychać. - Mam uczulenie na amoniak.

Ręce się cofnęły. Poruszyłam głową. Z prawej strony na kozetce siedziała Kicia, z twarzą koloru kafelków pokrywających ścianę. Zresztą, ani lekarz, ani pielęgniarka, ani neurołożka wcale nie wyglądali lepiej. Uniosłam się na twardej leżance i oświadczyłam z mocą:

- To wasza wina. Zostawiliście ją samą, chociaż wiedzieliście, że to wariatka.

Lekarz milczeli. Na twarzy dziewczyny-neurologa pojawiły się czerwone plamy. „Bardzo dobrze - pomyślałam ze złością - może to choć trochę zachwieje jej zadziwiająca w tym wieku obojętnością. Mam nadzieję, że krewni zmarłej podadzą ich do sądu”.

Na dziedzińcu coś klapnęło i zaszurało. No tak, obok jest kostnica, teraz sanitariusze przenoszą zmarłą na wózek. Zaszumiała woda - to stróż zmywał krew. Zapewniwszy przybyłych milicjantów, że nazajutrz złożymy wyczerpujące zeznania, wsiadłyśmy z Kicią do radiowozu. Łóżkino to nie Moskwa, zaledwie mała osada obok przetwórni drobiu, nie więcej jak pięćdziesiąt domów. Nasze osiedle willowe jest trochę oddalone od dzielnicy niskich czteropiętrowych bloków. Mieszkańców komfortowych domów z żaroodpornej czerwonej cegły wszyscy tu znają. To zaledwie dziesięć rodzin. Dlatego milicjant doskonale wiedział, że nigdzie im nie umkniemy. Zawieźli nas do domu, a młody sierżantik przyprowadził volkswagena Kici.

Weszłyśmy do salonu i padłyśmy na kanapy. Po chwili jednocześnie sięgnęłyśmy po koniak.

- Potworne - mruknęła Kicia, przelitykając jednym haustem sto pięćdziesiąt gramów szlachetnego martella. - Ona się tak paskudnie śmiała, a potem krzyczała. Dlaczego to zrobiła, dlaczego?

Spojrzałam niepewnie na napelniony po brzegi pękaty kieliszek. Zazwyczaj wystarczy łyżeczka od herbaty, żeby zwalić mnie z nóg, a tu jest chyba cała szklanka. Pal licha, przechyliłam kieliszek i opróżniłam go jednym haustem. Co odpowiedzieć na takie pytanie? Czy wariatów można zrozumieć?

Następnego dnia o dwunastej siedziałam w gabinecie śledczego i skrupulatnie

odpowiadałam na pytania. Nie, kobiety nie znam. Rzuciłam się na ratunek impulsywnie, kierował mną odruch. Wyglądała na chorą umysłowo. Sama wyskoczyła z okna.

Wreszcie kapitan zapytał:

- Nie powiedziała, jak się nazywa?

Zmęczyło mnie powtarzanie „nie”, więc tylko pokręciłam głową.

- W porządku. - Westchnął i podsunął mi kartki. - Proszę podpisać każdą stronę, tu, gdzie jest „za zgodność”.

Zrobiłam, co mi polecił, i zapytałam:

- Co teraz będzie?

- Co ma być? - burknął niechętnie. - Uznamy ją za NN.

- A jak będzie dalej?

- Nijak - warknął wyraźnie rozzłoszczony. - Umieścimy zdjęcie w komputerze. Jeśli ktoś zgłosi zaginięcie, to mu je pokażemy.

- I jak długo zwłoki poleżą w kostnicy? - Aż się wzdrygnęłam.

- Zgodnie z przepisami, miesiąc - odpowiedział spokojnie kapitan - a potem grzebie się je na koszt państwa.

- A jeśli pochodzi z innego miasta, jej krewni są już starzy albo wręcz przeciwnie, ma małe dziecko? - nie dawałam za wygraną.

Milicjant zerknął w papiery.

- Tak, anatomopatolog pisze, że kobieta rodziła i ma około trzydziestu lat.

- Widzi pan - gorączkowałam się - małe dziecko czeka na mamę. Bo jeśli nawet urodziła je jako szesnastolatka, to biedactwo ma dopiero czternaście lat.

- Czy mogę wiedzieć, czego pani ode mnie oczekuje?

- Niech pan zacznie śledztwo, spróbuje ustalić jej tożsamość...

- Łaskawa pani - nie wytrzymał - czy pani wie, ile ja mam spraw? Niby mała miejscowość, a ludzie jakby szału dostali. Rzną się nożami, biją patelniami.

Przedwczoraj przed apteką wysadzili w powietrze samochód... Nie wiadomo, za co się łapać. A tu wszystko jest jasne: psychopatka, najpierw usiłowała rzucić się pod pociąg, potem wyskoczyła przez okno. Sama, nikt jej nie zmuszał!

- Przynajmniej ustalcie, jak się nazywa.

- Jest pani wolna - wycedził kamiennym głosem i dodał trochę łagodniej: - Niech pani wstąpi do szpitala, znaleziono tam pani komórkę.

Do szpitala było zaledwie parę kroków, więc już po chwili wchodziłam na

znajomy dziedziniec. Nic tu nie przypominało o tragedii. Pielęgniarka w izbie przyjęć podała mi komórkę. Postukałam w klawisze - cisza. Albo wysiadła bateria, albo się zepsuła, przeleżawszy całą noc w śniegu.

Nie miałam ochoty wracać do domu. Chcąc się trochę rozerwać, ruszyłam w stronę supermarketu: pogadam ze sprzedawczyniami, kupię trochę niepotrzebnych rzeczy.

- Dario Iwanowno - usłyszałam wołanie dróżniczki Lusi - proszę poczekać, oddam pani torebkę.

- Jaką torebkę? - zdziwiłam się.

Nie cierpię torebek, potrzebne rzeczy noszę najczęściej w kieszeni, ale Lusia już podawała mi małą kopertę na długim pasku.

- Kolejarze robili obchód i znaleźli ją dokładnie w miejscu zdarzenia, od razu pomyślałam, że to pani ją zgubiła, biegnąc do tej psychopatki. To drogie cacko, nie żadna tam masówka.

W milczeniu wzięłam od niej prostokącik. Nie, nigdy czegoś takiego nie miałam, to cudencko należało na pewno do zmarłej. Odniosę na milicję. Może są w niej dokumenty.

- To straszne - trajkotała Lusia. - Co za potworność. Zeszłego lata zginął tu mężczyzna, był pijany. Wysiadł z pociągu, położył się tam, przy słupku i zasnął. Widocznie we śnie stoczył się z nasypu, akurat prosto pod koła pospiesznego. A trzy lata temu Kat'ka wpadła pod drezynę, ale przeżyła... choć, mówiąc szczerze, lepiej by było, gdyby zginęła. Ucięło jej nogi. Ani żyć, ani umrzeć.

Pociągnęła nosem. Słuchałam uprzejmie, czekając, aż wyschnie ten potok wspomnień. Na dobrą sprawę, powinnam od razu odejść, ale wtedy Lusia by się obraziła, a wcale tego nie chciałam. To dzielna, nieszczęśliwa kobieta, dźwigająca na swoich barkach męża alkoholika i dwoje dzieci w wieku szkolnym.

- A ja ją widziałam. - Lusia zmieniła temat.

- Kogo?

- No, tę wariatkę, co się zabiła.

- Gdzie?

- A tutaj, u nas, na dworcu. To było na początku marca, weszła do sklepu.

Myślę, że była z sanatorium.

Popatrzyłam na prawo. Na wzgórzu, jakiś kilometr od stacji znajdował się Dom Pracy Twórczej dla pisarzy, który miejscowa ludność zwykła nazywać

sanatorium. Byłam tam ze dwa razy u znajomych. Mieszka się wygodnie, duże pokoje, komfortowe łazienki, telewizor, telefon, lodówka... Ale jedzenie okropne, dlatego literaci są częstymi gośćmi miejscowych sklepików. Łatwo ich rozpoznać - panie niezależnie od wieku wbite w białe spodnie i obwieszone biżuterią: bursztyny, kolczyki z wielkimi jak młyńskie koła uralskimi kamieniami, srebrne bransolety i łańcuszki, a mężczyźni obowiązkowo w dżinsach i kamizelkach. Z daleka wyglądają na podstarzałych wyrostków. Jeśli zmarła naprawdę tam przebywała, to w biurze muszą mieć jej dane. Nie mówiąc już o tym, że na pewno jest tam pełno bab, które wiedzą o biedaczce wszystko.

Uradowana, zawróciłam z powrotem do śledczego. Ale przy jego biurku siedziała zapłakana baba.

- Proszę poczekać - powiedział do mnie bez entuzjazmu.

Usiadłam posłusznie na korytarzu i otworzyłam torebkę. Nie było w niej niczego: ani dowodu, ani kosmetyków, ani portmonetki, nawet chusteczki do nosa czy grzebienia. Jedyne mała, starannie złożona kartka papieru. Rozwinęłam ją odruchowo.

*Kola, już dłużej nie mogę. Wiedz, że już więcej nie będę się kajać. Zrzuciłam okowy. Wiem, że to głupio błagać o współczucie, ale nie próbuj szukać Wieroczki. Tak, masz rację, moja córka żyje, ale ty nigdy, słyszysz, nigdy jej nie dostaniesz. Lepiej niech umrze śmiercią głodową, co zapewne nastąpi, kiedy mnie zabraknie, bo nie będzie komu jej karmić, jest zamknięta sama jedna. Ulituj się więc, zostaw ją, niech po prostu umrze, nim zrobisz z niej potwora, tak jak ze mnie. Ale jeśli mnie nie posłuchasz i zaczniesz poszukiwania, pamiętaj, wrócę z tamtego świata, żeby się na tobie zemścić. Nie mam nic do stracenia, i tak ręce aż po łokcie unurzałam we krwi niewinnych ofiar.*

*Żegnaj! Lonia, Kostia, Zora, wybaczenie mi, nie chciałam was zabić.*

Ani podpisu, ani daty. Patrzyłam osłupiała na kartkę, zapisaną starannym, prawie dziecinnym pismem. Tak piszą prymuski, duma szkoły, mamina pociecha. Jedyne treść listu budziła dreszcz.

Drzwi do gabinetu uchyliły się, szlochająca babina, szurając rozczłapanymi botkami, skierowała się do wyjścia.

- No, co tam jeszcze? - warknął kapitan.

W milczeniu położyłam przed nim torebkę. Przeczytał list, następnie westchnął i zapytał:

- I co?
- Lusia, dróżniczka, znalazła ją i oddała.
- Brednie wariatki - burknął i wyjął marlboro.

Drogie papierosy jak na zwykłego gliniarza.

- Lusia wspomniała też, że widziała zmarłą wielokrotnie na dworcu - nie ustępowałam.

- Jedna baba drugiej babie - skomentował lekceważąco. - Też mi zeznania!

- Proszę posłuchać - tym razem podniosłam głos - jak panu nie wstyd!

Przecież przeczytał pan ten okropny przedśmiertny list, który każe przypuszczać, że za samobójstwem kryje się coś strasznego, jakiegoś zabójstwa, zbrodnie... I pozostała dziewczynka, Wiera...

Kapitan wyciągnął lewą rękę i włączył elektryczny czajnik.

- Po pierwsze, bez wrzasków, po drugie, kto powiedział, że list napisała samobójczyni, nie ma ani podpisu, ani daty... Niedaleko jest dom pisarzy, któryś zgubił pewnie rękopis...

Patrzyłam w osłupieniu na tego potwora, rzekomo stróża prawa, który spokojnie ciągnął:

- Torebka mogła się tam od dawna poniewierać.

Dźgnęłam palcem w drogą, prawie nową skórę.

- Ale torebka jest w doskonałym stanie, chyba nietrudno sobie wyobrazić, jak by wyglądała, gdyby poniewierała się gdzieś przez tydzień?

Kapitan rąbnął ręką w stół. Plik kartonowych teczek podskoczył i opadł na miejsce, wzbijając kurz.

- Proszę - wysyczał wściekły. - Widzi pani, ile mam spraw. I informuję, że wszczęto śledztwo na okoliczność wyskoczenia z okna, a nie rzucenia się pod pociąg - takiej sprawy nie ma. A w powyższej wszystko jest jasne, to było samobójstwo. Dlatego zamknąłem dochodzenie. Jak rodzina się zaniepokoi, zacznij jej szukać. I po co te jęki i pretensje...

Jak zamurowana słuchałam tej jego koślawej, nieporadnej przemowy. W pierwszej chwili nawet nie zrozumiałam, co ten Cycero usiłuje powiedzieć. Jedno było jasne - za wszelką cenę chciał się pozbyć kłopotu. Żadnego śledztwa nie będzie, po miesiącu uznają zmarłą za NN, wydadzą zgodę na pochowanie i koniec...*finita la*

*commedia.*

Kapitan obojętnie palił papierosa. Wzięłam ze stołu torebkę i ruszyłam do drzwi.

- Ej, ej, proszę zostawić dowód rzeczowy!

- Po co on panu? - zapytałam wyzywająco.

- Należy przestrzegać przepisów - oświadczył nieoczekiwanie.

Myslałby kto, jaki praworządny! Pewnie wymyślił, że sprezentuje torebkę żonie! O, niedoczekanie!

- To moja własność - powiedziałam bezczelnie. - Zgubiłam ją, gdy ściągałam biedaczkę z torów. Jeśli spróbuje mi ją pan odebrać, za chwilę przyprowadzę tu świadków!

- Wynocha stąd! - wrzasnął.

Wyszłam i z całej siły trzasnęłam drzwiami, aż zadźwięczały szyby. To naprawdę okropne, że w milicji pracują podobne indywidua.

Na ulicy świeciło słońce. Panował radosny gwar, wszyscy cieszyli się z nadchodzącej wiosny. Dwa małe kundelki z cichym powarkiwaniem odbywały pod płótem akt przedłużenia gatunku. Nikogo nie obchodzi tragicznie zmarła kobieta. Nie, nie była chora umysłowo. Taki list mógł napisać jedynie człowiek w skrajnej desperacji. Kim jest Kola? Gdzie szukać Wiery? Dlaczego przedśmiertny list znalazł się w torebce? Wzięła ją ze sobą? Ale jak zamierzała przekazać adresatowi? Brak numeru telefonu nieznanego Koli, brak nazwiska. A może to naprawdę stronica z jakiegoś kryminału...

W Łóżkinie mieszkamy już kilka lat. Od czasu, gdy nieoczekiwanie dla nas samych przeobraziliśmy się w „nowych Rosjan”. Nie znaczy to bynajmniej, że należymy do jakiejś grupy przestępczej albo wzbogaciliśmy się na nielegalnym handlu zasobami energetycznymi. Sprawa jest znacznie prostsza i o wiele bardziej interesująca.

Przez całe lata ja i moja przyjaciółka Natasza mieszkałyśmy w małym dwupokojowym mieszkanku w bloku, obie byłyśmy lektorkami francuskiego na pewnej zapyziałej uczelni, obie biegałyśmy po mieście, dając korepetycje, wspólnymi siłami próbując zapewnić utrzymanie dwojgu dzieciom - Arkademu i Maszy. Pieniądzy zawsze było za mało, w lodówce często straszyły puste półki. Żadna z nas nie miała krewnych, czyli znikąd pomocy. W dodatku były mąż Nataszy sobie tylko znanymi sposobami wymeldował ją z mieszkania i Natalia znalazła się dosłownie na

ulicy. W tym czasie ja miałam już za sobą cztery małżeństwa, a w domu dzieci i gromadkę zwierząt. Naturalnie Natalia wprowadziła się do nas. Od dawna uważaliśmy się za siostry.

Pojęcia nie mam, jak byśmy przetrwali pierestrojkę i dzikie rosyjskie reformy, gdyby nieoczekiwanie Natalia nie wzięła ślubu z Francuzem i nie wyjechała do Paryża. Od tej pory wydarzenia potoczyły się z błyskawiczną szybkością. Nie zdążyliśmy odwiedzić ich w Paryżu, gdy jej mąż, baron Jean McMayer, został zamordowany. Natasza była jedyną spadkobierczynią. A było co dziedziczyć: dwupiętrowy dom w prestiżowej dzielnicy Paryża, kolekcja unikatowych obrazów, które zaczął zbierać jeszcze pradziad McMayera, świetnie prosperujący interes i takie konto w banku, że myliliśmy się, usiłując przeliczyć zera.

Francuzi dość podejrzliwie traktują obcokrajowców, ale Natasza już od dawna miała obywatelstwo francuskie. Za niewielką wziętkę wydano mi w jednym z moskiewskich urzędów stanu cywilnego metrykę, potwierdzającą nasze pokrewieństwo. Falszerstwo było tym łatwiejsze, że obie po ojcu byłyśmy Iwanowne i miałyśmy takie samo nazwisko panińskie - Wasiljewa. Z sióstr z wyboru przemieniłyśmy się w siostry krwi. Musiałam tylko zmienić imię mojego dziadka i dane matki. Co też się stało dzięki pomocy pracownicy archiwum, chciwie zerkającej na pudełeczko, w którym rzucały ognie piękne brylantowe kolczyki.

Teraz każdy w naszej rodzinie ma dwa paszporty: niebieski - francuski i czerwony - rosyjski. Kapitał został ulokowany za granicą. Interes prowadzą profesjonaliści. Nieoczekiwanie znaleźliśmy się na szczytach dobrobytu. Nasze życie składa się obecnie z przejazdów, a ściślej przelotów na trasie: Moskwa - Paryż, Paryż - Moskwa. Masza przebiegle postanowiła uczęszczać jednocześnie do dwóch college'ów. Jeden mieści się w zaułku Diegtiarnym, drugi na avenue Foch. I tu, i tam patrzą przez palce na nieobecną przez pół roku uczennicę, ale gdy tylko się pojawi, zaczynają ją zadrećcać. Maniunia nie ma lekko, program w obu szkołach jest różny i biedne dziecko bez końca zdaje jakieś zaliczenia, egzaminy, pisze prace kontrolne i referaty. Dziewczyna twardo postanowiła zostać doktorem Ojboli, więc wieczorami biega do Instytutu Weterynarii i przygotowuje się do egzaminów wstępnych. W dodatku pedagodzy wykorzystują nietypową uczennicę jako kuriera: Maniunia wiecznie taszczy w tę i z powrotem ciężkie torby, wypchane pismami i książkami. W sierpniu wiozła nawet do paryskiego Instytutu Weterynarii szkielet jakiegoś prehistorycznego zwierzaka - ni to królika szablozębego, ni to rogatego kota...

Samolot wpadł w dziurę powietrzną, pudełko się wywaliło i biedaczka przez resztę lotu pełzała pod fotelami współpasażerów, zbierając ponumerowane kości... Ale Mania nigdy nie narzeka. Ma cudowny charakter, jest wesoła, otwarta i niezwykle pracowita.

Arkady jest adwokatem. Kicia ma dyplom Instytutu Języków Obcych i pisze teraz pracę doktorską.

Ja z miejsca rzuciłam pracę. Po dziurki w nosie miałam wciskania całymi latami podstaw gramatyki francuskiej w leniwe głowy studentów uczelni technicznej. Zmęczyło mnie codzienne wstawanie o siódmej, gdy trzęsąc się z niewyspania, grzałam dłonie o filiżankę kawy. Na początku po prostu omdlewałam ze szczęścia, schodząc do jadalni około południa. Dni mijały na słodkim nieróbstwie. Wysypiałam się, jadłam, czytałam, wręcz połykałam ukochane kryminały i po pół roku... zbrzydło mi to serdecznie. Okazało się, że nieróbstwo jest też męczące. Rozejrzawszy się wokół siebie, zorientowałam się, że nie ma dla mnie żadnego zajęcia. Dzieci już wyrosły, potrzebują mnie od przypadku do przypadku. Bliźniaczki mają dyplomowaną opiekunkę, która rodzonej babci wydziela dziesięć minut dziennie na zabawę z ukochanymi wnukami. Podejrzewam nawet, że po moim wyjściu z pokoju dziecinnego Serafima Iwanowna myje Ańkę i Wańkę w trzech wodach, żeby pozbyć się przyniesionych przeze mnie zarazków. Jediną pociechą jest to, że rodziców w ogóle do dzieci nie dopuszcza, oświadczając na przykład groźnie:

- Wracacie z miasta, a tam epidemia świnki, mówili w telewizji.

W Moskwie w jej mniemaniu aż kłębi się od wszelkich infekcji i odpowiedzialna niania gotowa jest powstrzymać je własną piersią.

Kobiety niepracujące zazwyczaj wyżywają się w gospodarstwie domowym. Ale i w tej dziedzinie nie dane mi było się wykazać. Służąca Irka, gdy kiedyś próbowałam wyczyścić dywan w salonie, złapała ze złością piorący odkurzacz i chyba z godzinę szorowała jasny puszysty włos, burcząc gniewnie:

- Co za pomysł, żeby zmywać dywan mokrą szczotką! Tylko brud się rozmazał! Całkiem bez pojęcia!

Następnie zerknęła na mnie spod oka i powiedziała:

- Dario Iwanowno, niech pani zabroni tym swoim mądralom niszczyć pokrycia. Skoro nie wiedzą, jak mają sprzątać, to niech się nie biorą.

Musiałam więc unikać ścierki i miotły niczym dzumy. A do kuchni nawet nie próbowałam wchodzić. Tam królowała Katierina, kobieta surowa i cięta w języku. Po



pierwsze, i tak na pewno mnie przegoni, a po drugie, szkoda domowników. Tak się ucieszyli, gdy zjawiała się Katia i przestałam preparować jajecznice i omlety. Bóg nie obdarzył mnie talentem kulinarnym, w kuchni zupełnie tracę głowę. Szczerze mówiąc, w ogóle nie mogę się pochwalić jakimiś konkretnymi zdolnościami - nie maluję obrazów, nie piszę powieści, a śpiewam tak, że nasze liczne zwierzaki wieją gdzie pieprz rośnie. Chociaż chwileczkę, mam pewien talent - rzadką, przedziwną umiejętność pakowania się w najróżniejsze hece. Jeśli, na przykład, z parapetu spada garnek z zupą, wyląduje on na mojej głowie, to pewnie jak dwa razy dwa cztery. Ileż to razy ktoś wplątywał mnie w okropne perypetie! Najwyraźniej i tym razem w coś wdepnęłam, bo oto nogi same niosą mnie w stronę Domu Pracy Twórczej.

Żelazna brama była otwarta, ani śladu jakiegokolwiek ochrony. Pisarze nie bali się napadu. Albo nie mieli niczego, na co warto by się połakomić, albo uważali, że sława wystarczy, by ochronić ich przed złodziejami.

Długa alejka, obramowana topniejącymi zaspami, zaprowadziła mnie wprost do jednopiętrowego budynku z białymi kolumnami. Dom przypominał klasyczny dwór szlachecki z dziewiętnastego wieku - część główna i dwa jednakowe skrzydła. Ale na frontonie widniała gipsowa, otwarta książka i data: 1955. Drzwi wejściowe oszałamiały wspaniałością, masywne, dębowe, z ciężkimi, prawie metrowymi klamkami z brązu.

Z trudem je uchyliłam i wślizgnęłam się do ogromnego holu. Cisza. Z prawej strony szatnia, z lewej wielki kredens wypełniony naczyniami i stanowisko portiera. Z przodu stało kilka kanap, wyściełanych foteli i zegar stojący. Podłogi wyłożone były z lekka przetartymi czerwonymi chodnikami. Aż się prosi, by postawić wśród tych śliczności trybunę z karafką. Trochę dalej były białe marmurowe schody z szerokimi poręczami.

W grobowej ciszy rozległy się dziwne, skrzypiące dźwięki, a potem jakby brzęczenie patelni i kaszel. Wzdrygnąwszy się mimo woli, odwróciłam się i odetchnęłam z ulgą - stary zegar, idealnie naśladując skurcz oskrzeli, usiłował wybić godzinę obiadu.

Za moimi plecami rozległo się uprzejme prychnięcie; obejrzałam się. Z korytarza niespiesznie wynurzył się masywny kosmaty pies. Duża głowa ze zwisającymi uszami i gęsta czarna sierść wskazywały na pokrewieństwo z czarnymi terierami. Długie cienkie nogi mogły świadczyć o domieszce krwi dobermana. Na wszelki wypadek odezwałam się przymilnie:

- Dobry piesek, mądry piesek...

- On nie umie gryźć - usłyszałam gdzieś z sufitu i znów aż podskoczyłam.

Dźwięki rodziły się w tym sanatorium jakby z niebytu.

Po marmurowych schodach schodziła kobieta. Piękny uniform, schludna fryzura jak prosto od fryzjera, dyskretny makijaż, zapach staromodnych, ale zawsze przyjemnych perfum Climat.

- Spóźniła się już pani na śniadanie! - skarciła mnie z uprzejmym uśmiechem.

- Chce pani pokój na pierwszym piętrze?

- Nie, nie - pospieszyłam wyprowadzić ją z błędu. - Nie mam skierowania...

- Wobec tego proszę wybaczyć - powiedziała dama surowo - ale na naszym terenie wolno przebywać tylko członkom związku literatów, ich bliskim i przyjaciółom.

- Przepraszam, mieszkam po sąsiedzku w osiedlu willowym...

Usłyszawszy o Łóżkinie, dama znów rozkwitła i stała się nawet bardziej miła niż na początku.

- Bar jest czynny od piątej.

- Och, nie o to chodzi. Proszę sobie wyobrazić, że byłam w sklepie, położyłam rękawiczki i torebkę na stoliku, a gdy po chwili je wzięłam, okazało się, że to nie moje. Sprzedawczyni powiedziała, że jakaś inna klientka pomyliła się i zabrała moją. Podobno jest waszym gościem. Taka czarnowłosa, czarnooka, około trzydziestki...

- To pewnie Nina Waganowna Sundukian - oświadczyła dyżurna. - Zajmuje pokój na dacy.

- Gdzie? - zdziwiłam się.

- Proszę skrócić za budynkiem i ścieżką pójść w stronę płotu, stoi tam domek, drewniany. Pewnie, że to dziwne...

- Co?

- Zimą nikt tam zazwyczaj nie mieszka. Nawet latem niechętnie dają się tam zakwaterować, jedynie wtedy, gdy w głównym budynku nie ma wolnych miejsc. Na dacy nie ma wygod, toaleta na korytarzu. Gdy pani Sundukian przyjechała, zaproponowałam jej, by zamieszkała tu, na pierwszym piętrze. Pokój piękny, z balkonem, z alkową... A ona: „Nie, chcę tam, gdzie jest jak najmniej osób”. Mówię jej - przecież to zima, nie sezon, w budynku jest najwyżej dziesięć osób. Nie, uparła się, zależy mi na spokoju. Twoja sprawa, pomyślałam, chcesz, to lataj po mrozie, żeby wziąć prysznic. Inni pisarze wrzask podnoszą, kiedy proponuje im się tę

chałupkę, a tymczasem ta sama się naprasza.

- Często przyjeżdża?

- To był pierwszy raz i mam nadzieję, że ostatni.

- Dlaczego pani tak mówi?

Znudzona administratorka wyciągnęła papierosy. Wyraźnie cieszyła ją okazja do poplotkowania z osobą postronną.

- Do nas przyjeżdżają ludzie dobrze wychowani, na ogół starsi. Młodym się nudzi - ani basenu, ani dyskoteki, żadnych koncertów. A i wyżywienie jest, tak między nami, nie najlepsze. Ale członkowie związku pisarzy i ich rodziny płacą tu pół ceny, mają zniżki. Dlatego przysyłają nam babcie i dziadków. A co oni mają niby robić? Jedyne nazwa brzmi dumnie - Dom Pracy Twórczej! Od dawna nikt tu niczego nie tworzy. Spacerują, rozmawiają. Główne atrakcje to śniadanie, obiad i kolacja. Wtedy wszyscy są razem, kobiety wymalowane, w naszyjnikach. Godzinami siedzą przy stole, snują wspomnienia. Nic dziwnego, inaczej umarliby z nudów. A Nina Waganowna zawsze przychodziła ostatnia. Na śniadaniu i obiedzie w ogóle się nie pokazywała, kolację łykała w pośpiechu i do swojej dziupli. Całymi dniami siedziała zamknięta na głucho. Raz zagadnęłam ją uprzejmie: „Nie nudno tak samej? Mogę dać pani pokój w głównym budynku”. A ta jak nie wrzaśnie: „Czego się pani wtrąca? Zapłaciłam za pobyt i chcę odpocząć w spokoju, proszę mnie zostawić!”.

Wyjątkowo niemiła osoba. Dlatego niech się pani nie zdziwi, jeśli rzuci pani te rękawiczki w twarz.

Dacza rzeczywiście stała na uboczu. Niski drewniany domek, obłożony z farby. W środku czerwone chodniki i kilkoro drzwi, wychodzących na korytarz. Wszystkie, oprócz ostatnich, zamknięte.

Pokój był zadziwiająco zgrzebny. Stare łóżko z porysowanymi drewnianymi szczytami, fotel, którego obicie pamiętało lepsze czasy, nocna szafka i wąski, prawie łysy dywanik. Przy oknie przycupnęło skromniutkie biurko. Błat, niegdyś na wysoki połysk, upstrzony był białymi plamami. Najwyraźniej mieszkający tu lokatorzy stawiali na nim filiżanki z gorącą herbatą. Parkiet wymagał natychmiastowego cyklinowania, a zasłony do złudzenia przypominały zmięte szmaty. Obrazu dopełniała mała lodówka Morozko i przedpotopowy czarno-biały telewizor Rubin. A ja zawsze uważałam, że literaci mieszkają w przytulnych i komfortowych pokojach...

Podeszłam do wąskich drzwi ściennej szafy i zajrzałam do środka - były w niej tylko wieszaki. Na równiutko zaścielonym łóżku nie leżała nocna koszula, na

szafce nie było książek ani lekarstw, w ogóle niczego. Jedyne na parapecie poniewierał się plastikowy grzebień. Między jego zębami tkwiło kilka długich czarnych włosów. Wygląda na to, że zmarła kobieta to istotnie Sundukian. Ale gdzie podziały się jej rzeczy?

### Rozdział 3

Administratorka, zapewne dostrzegłszy mnie przez okno, uchyliła drzwi i zawołała:

- Och, przepraszam, wprowadziłam panią w błąd.

Podeszłam do niej.

- To jest Sofia Jemieljanowna, wczoraj miała dyżur - terkotała, wpuszczając mnie do holu. - Mówi, że pani Sundukian wyjechała po śniadaniu.

- Właśnie - potwierdziła stojąca obok niej pulchna kobieta, okutana w kraciatą chustkę. - Ni z tego, ni z owego powiedziała: „Tu są klucze, wyjeżdżam”. Zapisałam to w książce gości.

- To bardzo dziwne. - Administratorka aż klasnęła. - Zapłaciła za cały miesiąc...

- Z tymi pisarzami to nie dojdzie się do ładu - prychnęła Sofia Jemieljanowna. - Nigdy nie wiadomo, co im do głowy strzeli, wsiadła do samochodu i tyle ją widzieli!

- Jak to do samochodu? - zdziwiłam się.

- A co w tym dziwnego? - obruszyła się Sofia Jemieljanowna. - Rano przyjechał po nią jakiś mężczyzna. Pewnie mąż. Torbę podróżną schował do bagażnika. Nic, tylko się rozchorowała.

- Dlaczego tak pani sądzi?

- Błada była jak śmierć, na pewno chora. Mąż tak troskliwie, podtrzymując za łokieć, usadzał ją w samochodzie, a ta rękę wyrwała: „Nie dotykaj mnie, Nikołaju!”. I z jaką złością to powiedziała! Mąż taki uprzejmy, uśmiechnięty, aż z tego wszystkiego torbę cudacką upuścił.

- Cudacką torbę?

- A jakże - roześmiała się. - Dorosła kobieta, a miała ze sobą jasnoczerwoną torbę. Pełno na niej było napisów „Disneyland” i mordek tych wszystkich kaczorów, psiaków i krasnoludków. Kto kupuje coś takiego? Ale co chceć - pisarka!

- Czy mogę dostać jej adres i telefon?

- Nie mamy - odpowiedziała administratorka. - Niech się pani zwróci do Funduszu Literackiego przy ulicy Usijewicza, tam się pani dowie.

Wcisnęłam do kieszeni kartkę z adresem Funduszu Literackiego i ruszyłam do

domu.

Już otwierając bramę, spostrzegłam, że dzieje się coś dziwnego. Na podwórzu, obok drzwi wejściowych, stała ciężarówka. Kilku mężczyzn wyciągało z niej meble. Zdrętwiałam i na miękkich nogach przecisnęłam się do holu. Pozostawała nikła nadzieja, że to Oldze nagle odbiło i postanowiła kupić jeszcze ze dwie kanapy, fotele i krzesła. Ale w przedpokoju nadzieja rozwiała się jak dym, ponieważ poznałam zabytkowy mahoniowy kredens i przypomniałam sobie, do kogo należał.

Każdy medal ma dwie strony. Jeśli nagle staniecie się bogaci, możecie być absolutnie pewni, że wasi krewni nagle przypomną sobie o więzach rodzinnych. Najdalsi znajomi zaczną was odwiedzać, a często też przysyłać swoje dzieci, babcie, były żony z dość nachalną prośbą o pieniądze... Różni ludzie mieszkają u nas miesiącami, a domownicy są szczęśliwi, jeśli nie jest to rodzina, bo w przeciwnym razie goście bez opamiętania włożą nam na głowę i uważają, że należy im się od nas szczerze uczucie i czas, wszelkie żądania tłumacząc w jeden sposób: przecież jesteście rodziną lub prawie rodziną.

Zapewne wszyscy dobrze znają sytuację, gdy na progu staje ciotunia z Kiemierowa z dwójką dzieciaków albo dziadzio Sybirak, który zapragnął nacieszyć się moskiewskimi krewnymi przez miesiąc lub dwa... Z walizek wyciągają zazwyczaj podobne prezenty: pudełko niejadalnych czekoladopodobnych pralinek albo butelkę z tajemniczą nazwą - „Ałtajska gorzka” lub „Balsam permski”.

Ale dzisiaj nie nawiedzili mnie, niestety, poczciwi prowincjusze, lecz szósta żona mojego trzeciego męża, Maksa Polańskiego, Alisa. Tylko po jakie licho przytaszczyła ze sobą meble? Spokojnie, zaraz się wszystkiego dowiem, bo oto Aliska z rozłożonymi ramionami pędzi mi na spotkanie.

- Daszka - zaszczebiotała, trzepocząc sztywnymi od tuszu rzęsami - Daszka, sto lat się nie widziałyśmy!

Aliska jest niespełnioną baletnicą. Jeśli choć raz widzieliście *Jezioro łabędzie*, to zapewne pamiętacie scenę, gdy wokół dużego koła, obciążonego folią, co ma imitować sadzawkę, tańczy stado łabędzi. „Ptaszki” ustawione są w rzędy, a jest ich siedem. Tych, które tańczą w ostatnim, siódmym, w ogóle nie widać. Taką właśnie partię tańczyła Alisa. Na dodatek nie w teatrze Bolszoi, ale w zespole „Nowy rosyjski klasyczny”. Moim skromnym zdaniem, trudno o bardziej kretyńską nazwę.

- Przyjmiesz mnie na trochę? - zapytała przymilnie Alisa, potrząsając jaskraworudymi włosami.

I w tej samej chwili głos jej się zmienił i ryknęła:

- No i gdzie leziesz, cholero! Nie widzisz, barani łbie, że rysujesz fornir!

Tragarze, porażeni takim słownictwem w ustach damy o arystokratycznym wyglądzie, omal nie upuścili komódki.

- No już, wnosić - dyrygowała Aliska, machając drobnymi żyłastymi dłońmi. - Coście tak gęby rozdziawili! Prawdziwe cymbały!

Westchnęłam ciężko, patrząc, jak jej drobna, zgrabna figurka, obleczona w czarne legginsy, miota się między zwalistymi niczym szafy mężczyznami.

Mój trzeci mąż, Maks Polański, to pies na kobiety. Jest absolutnym, niereformowalnym babiarszem, co też stało się powodem naszego rozvodu. Szczególnie gustuje w chudych damach o rudawych włosach, a ściślej mówiąc - o włosach we wszelkich odcieniach rudego, od jasnomarchewkowego po ogniście pomarańczowy. Ja znalazłam się wśród nich przypadkowo. Kiedyś, przyglądając się w lustrze swoim jasnobłond kosmykom, uznałam, że są bez wyrazu. Wtedy nie można było jeszcze kupić markowych farb do włosów, dlatego bez zbędnego zastanawiania się kupiłam chnę i obficie napaćkałam sobie na głowę.

Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Gdy po godzinie zmyłam lepką zieloną breję, moim oczom ukazało się coś, co do złudzenia przypominało lisie futro jesienią - niezwykle czerwone i lśniące. I trzeba trafu, że tego właśnie dnia los zetknął mnie z Maksem! Pochlebiam sobie jednak, że wyróżniam się spośród żon Maksa nie tylko kolorem włosów (rudy był jedynie epizodem), ale też charakterem. Miły, uśmiechnięty, kulturalny Maksik jakby umyślnie dobierał sobie żony na jedno kopyto - same cholery. Mam cichą nadzieję, że ja jestem jednak inna. A to dlatego, że właśnie do mnie zwrócił się o pomoc były mężulek, gdy fałszywie oskarżony znalazł się w więzieniu.

Polański najzwyczajniej w świecie nie jest zdolny przeżyć z kobietą więcej niż dwa lata, a jego wszystkie rozstania przebiegają według tego samego scenariusza: byłej pani załatwia mieszkanie, daje sporą sumkę na otarcie łez i nie chce o niej więcej słyszeć. Ja wypadam i z tego schematu. Odeszłam sama, na własne śmieci, z jedną walizeczką. No, zgoda, Kieszka okazał się złodziejaszkiem, bo zabrał z mieszkania Maksa wielkiego, ważącego prawie szesnaście kilogramów kota Sebastiana, ale nie mogliśmy przecież zostawić naszego ulubieńca. W okresie mojego małżeństwa stał mi się bliższy niż mąż.

Aliska natomiast jest uosobieniem wyobrażeń Maksa o żonie idealnej:

ognistoruda, drobna, kapryśna i nieprawdopodobnie chciwa. Ale mądra, wierna w przyjaźni, bardzo energiczna. Jeśli się zdarzy, że jej bliska znajoma znajdzie się w szpitalu, Aliska, obładowana siatami pełnymi zakupów, jedzie do jej mieszkania, przygotowuje obiad, robi pranie, wyprowadza psa na spacer, pociesza dziecko... W trudnych sytuacjach z pewnością można na nią liczyć. Nie należy się jedynie dziwić, jeśli po swoim powrocie ze szpitala nakryje się ukochanego męża z Aliska w łóżku.

Ale ja miałam z nią zawsze świetne układy, nie musiałyśmy się niczym dzielić.

- Co się stało? - zapytałam.

Warknąwszy jeszcze raz na tragarzy, odwróciła się do mnie gwałtownie. Ruchy, jak wszystkie baletnice, miała bardzo szybkie.

- Nic nie wiesz?

- Nie.

- Maks jest draniem i łobuzem!

Wszystko jasne. Ile razem przeżyli? Prawie rok. Czyli Polański znowu przeprowadza „zmianę warty”.

- Wyobrażasz sobie - piekliła się Alisa - ten wypierdek niewydarzony chce się mnie pozbyć! Mnie!!! Przyszedł przedwczoraj i oświadczył: „Wybacz mi, Lisońko, byłem z tobą szczęśliwy, a teraz rozstańmy się po przyjacielsku”.

- A co ty na to? - zapytałam, z góry wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

- Proszę uprzejmie - wzruszyła kościstymi ramionami. - Ja też mam go po dziurki w nosie, ale jestem wściekła, że to on pierwszy wspomniał o rozwodzie.

- A co to za różnica!

- Kolosalna - zaperzyła się Alisa. - Bo to on byłby porzuconym mężem, a nie ja opuszczoną żoną. Paskudna rola! Ale najgorsze, że to taki drań!

- Ale co się stało?

- Kupił mi już mieszkanie! W Krasnogorsku! Dwupokojowe! Nawet mnie nie uprzedził.

- I co w tym złego?

- Nigdy w życiu! - Alisa aż się zachłysnęła. - Nie wyjadę na prowincję, w dodatku do dwupokojowej klity!

- Krasnogorsk to przecież peryferie Moskwy.

- Właśnie - wysyczała - peryferie... Podałam mu własne warunki: bądź łaskaw załatwić mi mieszkanie w Kryłackim, co najmniej trzypokojowe!



- Po co ci takie duże dla jednej osoby?

- A skąd ci przyszło do głowy, że dla jednej? Jest pewien człowiek... On potrafi mi zapewnić odpowiedni poziom życia...

- To po co naciągasz Maksa na mieszkanie?

Alisa z oburzeniem potrząsnęła zabytkowymi kolczykami, lekko licząc, w każdym jej uchu wisiał niezły samochód.

- A co, uważasz, że mam odejść goła i bosa? Tyle czasu się męczyłam - i na próżno? W życiu! I mieszkanie kupi, i pieniędzmi sypnie! Bo jak nie, to pójdę do kontroli skarbowej i powiem o ukrytych dochodach. A nie jest tego mało.

Biedny Maks! Za każdym razem, gdy udaje się do urzędu stanu cywilnego, wierzy, że to po raz ostatni, i zdradza swojej kolejnej małżonce tajemnice biznesowe.

- Dlatego - ciągnęła Alisa - pomieszka trochę u ciebie, a meble zabrałam, żeby nowej damulce nie było zbyt przytulnie. Masz przecież dwa pokoje gościnne, prawda? W jednym ja się urządzę na jakiś czas, a w drugim będą meble.

No nie!

- Może lepiej przenieść je do szopy... obok garażu?

- Do szopy? - warknęła Alisa. - Z choinki się urwałaś? Do szopy meble z osiemnastego wieku! W takim razie niech wyniosą te twoje graty, a moje bezcenne okazy ulokują jak należy.

Po krótkiej przepychance znalazłyśmy wreszcie kompromis. Do pokoju gościnnego, który zajmie Alisa, wstawimy jej meble. Rzeczy, które się nie zmieszczą, i poprzednie meble wyniesie się do szopy.

- Ruszajcie się, chłopaki - zarządziła zdecydowanym tonem balerina. - Chodźcie, jakby wam tyłki przyrosły do ziemi.

- Alisońko - poprosiłam nieśmiało - mogłabyś im nie wymyślać?

Wlepiała we mnie wielkie zielone oczy rusałki.

- Ja? Wymyślać? Zwariowałaś. Przecież ja nigdy nie przeklinam! No tak, jak tylko człowiek zaczyna być na łasce innych, od razu musi się liczyć z uwagami i przykrościami!

Ciężko westchnąwszy, ujęła w chwytny palce, oblepione brylantowymi pierścionkami, dużą klatkę, nakrytą chustą, i ruszyła w głąb korytarza.

- Co tam masz? - zapytałam z rezygnacją.

- To Freddy, małpka. Maks podarował mi ją na Nowy Rok.

Omam nie zemdlałam. Tylko małpy nam tu brakowało.



## Rozdział 4

Do Międzynarodowego Funduszu Literackiego pojechałam około południa. Oczywiście bardzo prawdopodobne, że kobieta o nazwisku Sundukian nie ma nic wspólnego ze zmarłą, ale nie miałam żadnych innych pomysłów, musiałam sprawdzić ten.

Kobieta, która zajmowała się skierowaniami, niezwykle troskliwie zajęła się moją sprawą. Najwyraźniej poruszyła ją bardzo historia, którą opowiedziałam. Lecialiśmy razem z Sundukian z Paryża i niechęć zamieniliśmy się torbami podróżnymi... Duże, nadzwyczaj apetyczne pudło czekoladek spoczęło na biurku. Urzędniczka przez chwilę grzebała w kartotece, następnie, uśmiechając się uprzejmie, oświadczyła:

- Ulica Czerniachowskiego 4. To dwa kroki stąd, w naszych związkowych blokach.

Podziękowałam i ruszyłam pod wskazany adres. Drzwi wejściowe do budynku jeżyły się domofonami. Ale choć usilnie naciskałam guzik do mieszkania Niny Waganowny, nikt się nie odzywał. Oparta o samochód, zapaliłam papierosa. Nagle na ulicę wyszła chuda staruszka, trzymająca na ręku szczeniaka mopsa.

- Proszę nie zamykać - poprosiłam.
- Pani do kogo? - zapytała czujnie, stawiając pieska na chodniku.
- Czy tutaj mieszka pani Sundukian?
- Nineczka? Już dawno się wyprowadziła, biedaczka.
- Dlaczego biedaczka? - zaciekawiałam się.
- A pani kim jest dla niej? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Zastanawiałam się gorączkowo, co mam mówić, by skłonić ją do szczerości. Nagle wpadł mi do głowy znakomity pomysł. Wyciągnęłam z torebki francuski paszport i uśmiechnęłam się miło.

- Pracuję w paryskim wydawnictwie „Pinguin”. Chcemy wydać serię książek rosyjskich autorów, może zaczniemy właśnie od pani Sundukian. Przyjechałam tu na rekonesans.

Staruszka złapała szczeniaka, który nie zdążył się jeszcze załatwić, i powiedziała:

- Zapraszam panią na górę, wypijemy filiżankę kawy. Interesują was tylko

wiersze czy też proza?

- Interesuje nas wszystko - zapewniłam starszkę, ruszając za nią do mrocznej bramy.

Przedpotopowa winda z metalowymi zasuwanymi drzwiami powiozła nas na czwarte piętro. Zaskoczony mops przytulał się do swojej pani, która zabręczała kluczami i wskazała palcem sąsiednie drzwi.

- Tu mieszka Ninoczka. Przyjaźnimy się.

- Czyli może mi pani o niej opowiedzieć?

- A dlaczego? - zainteresowała się i przedstawiła się ceremonialnie: -

Poznajmy się, Tatiana Kosołapowa, prozaik.

- Widzi pani, Tanieczko, nasze wydawnictwo jest prywatne, ma jednego właściciela, pana Ravel. To człowiek surowych zasad. Zanim wyda książkę, chce wiedzieć coś więcej o autorze. Pan Ravel szczególnie nieufnie odnosi się do ludzi o nietradycyjnej orientacji seksualnej, byłych kryminalistów, wielokrotnie żonaty... Utworów takich pisarzy nie przyjmuje, choćby były najlepsze.

- To dość śmieszne - zauważyła Tania, stawiając czajnik na płycie. - Zawsze uważałam, że podstawowym kryterium jest to, czy książka się sprzedaje, a więc sukces komercyjny.

Zrozumiawszy, że niezbyt szczęśliwie zaprezentowałam wydawcę, zaczęłam się wycofywać.

- Pan Ravel jest niewyobrażalnie bogaty. Zyski nie są dla niego priorytetem. Wydawanie książek traktuje jako hobby, dlatego może mieć kaprysy. Ale honoraria płaci uczciwie, nie skąpi. A co pani pisze? Kryminały?

Kosołapowa odpowiedziała z godnością:

- Nigdy nawet nie dotknęłam książki tego nikczemnego gatunku. Zajmuję się prawdziwą literaturą, piszę filozoficzne opowiadania o sensie życia, o wiecznych wartościach. Niekiedy po dwa tygodnie szukam metafory...

Popatrzyłam na stare, obdrapane meble w kuchni i skromny poczęstunek na stole: słoiczek najtańszej indyjskiej kawy rozpuszczalnej, miętowe pierniczki i karmelki. Pieniędźmi nie pachniało. Raczej wręcz przeciwnie.

- Gdzie tu jest dozorca?

- W bramie, a o co chodzi?

- Pan Ravel dobrze płaci za informacje o autorach.

- Ależ nie musi pani nigdzie chodzić! - zawołała Kosołapowa. - Opowiem

wszystko, co wiem.

Okazało się, że Tanieczka była córką pisarza i mieszkała w domu przy Czerniachowskiego przez całe życie. Nina wprowadziła się tu pięć lat temu.

- Mieszkanie zostawiła jej babcia - mówiła Tania - Susanna Aszotowna, znana tłumaczka, a bogata! Ninka dziedziczyła wszystko - trzy pokoje, umeblowanie, przypuszczalnie też pieniądze, bo od razu kupiła samochód. Z pewnością nie za swoje honoraria, sama pani wie, jakie marne pisze wierszyki - nędzne. To nie Achmatowa, ani Marina Cwietajewa, bynajmniej! Poetka! Zdaje się, że chyba trzy lata temu ostatni raz wydrukowano jej wierszyk w „Literaturze”. Biegała wtedy po podwórzu i wszystkim tę gazetę pod nos podtykała. Ale żyła wygodnie, nie liczyła każdego grosza. Widocznie przejadała babcine zasoby.

Ale wszystko ma swój koniec, skarbonka wyschła. Nina na początku spuściła trochę z tonu, lecz szybko się pozbierała, znalazła sobie kochanka, młodego i najwyraźniej bogatego, jeździł nowiutkim mercedesem. Targał do niej ogromne torby, z których wystawały szyjki drogich likierów i opakowania jesiotrów. W windzie zostawiał po sobie zapach dostatku - francuskiej wody po goleniu i amerykańskich papierosów. Nina paradowała to w nowym futrze, to we wspaniałym płaszczu.

Po roku chłopak zniknął, a Sundukian posmutniała. Kilka razy pożyczła nawet od Tanieczki pieniądze, a rok temu pozbyła się swojego pałacu za niezłą sumkę i wróciła na stare mieszkanie przy bulwarze Sirieniewym.

- Powiedziała mi - dodała Tanieczka - że lepiej oczywiście mieszkać w eleganckim apartamencie, ale teraz potrzebuje pieniędzy. Poprzednio wynajmowała komuś mieszkanie na Sirieniewym, a teraz postanowiła sama się tam wprowadzić. To kiepskie mieszkanie, ledwo dwa pokoje, płacili za nie najwyżej sto dolarów, a za to dostaje tysiąc. Jest różnica, prawda?

Cmoknęłam językiem i poprosiłam o adres. Kosołapowa skwapliwie otworzyła notesik. No, teraz mogłabym iść. Ale nie ma lekko, jeszcze dwie godziny udawać musiałam zainteresowanie, słuchać czytanych przez nią rozprawek filozoficznych. Po pewnym czasie mięśnie twarzy mi zdrętwiały, a oczy zaczęły się kleić. Kiwałam głową niczym chiński bożek, walcząc z sennością, lecz Tanieczka niczego nie widziała. Wyrzucała z siebie zdania, które na mnie działały jak środek na senny.

No właśnie, na tego typu literaturze można się nieźle obłowić, pod

warunkiem, że książek nie sprzedaje się w księgarniach, ale w aptekach jako środek nasenny. Sukces murowany.

Wyrwałam się stamtąd dopiero koło czwartej. Czułam się tak, jak gdybym harowała przy wyrębie lasu: nogi mi drżały, ramiona były zeszywniałe, a w głowie miałam absolutną pustkę.

Bulwar Sirieniewy jest na drugim końcu Moskwy. Pora do przemieszczania się po Moskwie nie była najszcześniejsza - godziny szczytu. Wystawszy się w korkach, dopiero koło szóstej zaparkowałam przed domem, którego szukałam. W takich chwilach budzi się we mnie przekonanie, że znacznie szybciej i bezpieczniej człowiek przemieszczałby się metrem, a i na benzynę by nie wydał...

Gdy Tanieczka Kosołapowa mówiła o różnicy w poziomie życia, miała absolutną rację. Ten budynek w niczym nie przypominał spółdzielczych domów pisarzy. Paskudne pięciopiętrowe pudełko, upstrzone oknami tak gęsto, że na ściany zabrakło już miejsca. Brama pyszniła się wyrwanymi drzwiami, koślawymi schodami i zadziwiającym „naskalnym” malarstwem. Nawet śladu windy, na szczęście interesujące mnie mieszkanie było na parterze.

Spod zwyczajnych drewnianych drzwi, obitych skórą, niemiłosiernie wiało. Pochyliłam się. Szczelina była tak szeroka, że prawie mieściła się w niej dłoń. Zimą mieszkańcy z pewnością urzędują tu w walonkach.

W mieszkaniu najwyraźniej nikogo nie było. Na dzwonek nikt nie odpowiadał, a na pukanie z drzwi po prawej stronie wychyliła się sąsiadka i burknęła gniewnie:

- Drzwi pani chce rozwalić? Ninka wyjechała.
- Dokąd?
- Cholera ją wie. - Sąsiadka wzruszyła tłustymi ramionami.

Twarz damy pokrywała równa warstwa kremu, na głowie miała jakieś jaskrawe lokówki, przez uchylone drzwi sączył się smród. Najwyraźniej na kolację gotowała zdechłego kota.

- Zdaje się, że gdzieś pod Moskwę, powiedziała, że chce odpocząć. Tylko niby po czym? Ani męża, ani dzieci, ani pracy...

- Przecież Nina Waganowna ma córkę - zdumiałam się. - Wieroczkę.
- A pani to niby kto dla niej? - Baba stała się czujna.

Westchnęłam i wyciągnęłam francuski paszport.

- Przyjechałam z Paryża, mam dla niej przesyłkę.

- Coś takiego! - Sąsiadka klasnęła w dłonie. - Z samego Paryża. A tak dobrze mówi po rosyjsku! Czy czasem nie emigrantka?

Kiwnęłam głową.

- A gdzie przesyłka?

- W samochodzie.

- Kiedy pani wyjeżdża?

- Jutro.

- Nazywam się Zoja. - Babsko nieoczekiwanie złagodniało. - Niech pani idzie po tę przesyłkę, oddam ją Ninie.

- Nie - odpowiedziałam stanowczo. - Mam polecenie, że tylko do rąk własnych.

- Nie ufa mi pani? - Zoja poczuła się urażona. - Niepotrzebnie, proszę spojrzeć.

Zdjęła z wieszaczki mały breloczek.

- Ninusia zawsze zostawia u nas klucze, na wszelki wypadek.

- To może otworzymy i położymy przesyłkę na stole - zaproponowałam.

- Coś takiego! - obruszyło się babsko. - Ty boisz się zostawić mi przesyłkę, choć znam się z Niną pół życia, a ja ciebie mam wpuścić do środka!

- Zrobimy tak - zaproponowałam pojednawczo. - Otworzymy mieszkanie Niny, wejdziemy razem, a pani będzie patrzyła, jak kładę przesyłkę...

- Dobra - zgodziła się. - Niech pani idzie do samochodu.

W bagażniku miałam dwa pudełka. Podniosłam jakiś kamień, owinęłam w brudne szmaty, zapakowałam go do pudełka po sandałach i włożyłam do reklamówki.

Zoja nadal stała w drzwiach mieszkania.

- Co jest w środku? - spytała, grzebiąc kluczem w zamku.

- Książki.

- Co za pomysł, żeby z Francji taszczyć książki - orzekła, otwierając nieszczelne drzwi. - Ona i swoich nie ma gdzie trzymać.

Weszłam do małego, przesyconego stęchlizną przedpokoju i aż zagwizdałam. Istotnie, jeśli lokatorce tego mieszkania czegoś brakowało, to z pewnością nie było to słowo drukowane. Wszystkie ściany ciasnego korytarza zapełniały półki. Zresztą w pokoju było tak samo. Gdziekolwiek się spojrzało, wszędzie tomy, tomiki, tomiszczą. Było tu absolutnie wszystko! Utwory klasyków: Puszkina, Lermontowa, Tiutczewa, Goethe, a dalej mniej znani, ale również genialni: Briusow, Baratyński, Odojewski,

Wiaziemski...

Wyposażenie mieszkania porażało prostotą, by nie powiedzieć biedą. Stara wytarta kanapa, takie same krzesła, zdezelowane fotele. Dysonans stanowił jedynie komputer dobrej klasy z dużym monitorem.

Prowadzona czujnym spojrzeniem Zoi, położyłam pudełko z „prezenterem” na biurku i pokazując palcem w stronę korytarza, zawołałam z przestraszeniem:

- Tam jest mysz!
- Gdzie? - pisnęła sąsiadka i odwróciła się gwałtownie ku drzwiom.

Ta chwila wystarczyła mi, by schować do kieszeni mały notes, który leżał przy komputerze.

- Chryste! - Zoja załamała ręce. - Oto co znaczy parter. Szczury, myszy, karaluchy, co kto chce. Zimą zimno, latem komary, to nora, a nie mieszkanie.

Gdy dom Zoi zniknął mi z oczu, wyjęłam swoje trofeum i zaczęłam uważnie przeglądać stronę po stronie. Numerów telefonów niewiele, a te, które widniały w notesie, należały głównie do lekarzy. Znalazłam namiary na ginekologa, stomatologa, neurologa, kardiologa, gastroenterologa... Cała klinika!

Usadoviłam się wygodnie i zaczęłam dzwonić pod numery, przy których widniało jedynie nazwisko. Szybko się wyjaśniło, że Siergaczew to glazurnik, Kowalowa - malarz pokojowy, a Kozłowa - tynkarz.

Paliłam w zamyśleniu papierosa, obracając w ręku notes. Przed oczami zarysował mi się wizerunek potwornie schorowanej damy, ustawicznie zajętej remontem. Wyrzuciłam niedopałek i znów zaczęłam dzwonić. I nadal żadnych prywatnych znajomych. Chyba z dziesięć numerów różnych wydawnictw, fryzjer, spec od komputerów, pralnia chemiczna.

Całkowicie zrezygnowana wystukałam jeden z ostatnich numerów i usłyszałam ciche:

- Halo?
- Czy to pracownia?
- Nie, mieszkanie prywatne.
- Och, przepraszam za dziwne pytanie, ale kim jest dla pani Nina Waganowna Sundukian?
- Siostrą cioteczną, a co się stało?
- Zamilkłam na chwilę, co miałam powiedzieć?
- Popełniła samobójstwo? - rozległo się w słuchawce.



- Tak - potwierdziłam. - Gdzie pani mieszka?

Złamanym głosem odrzekła: zaułek Kołomajewski, na samym skraju, akurat przy szosie do Łożkina. Zapaliłam silnik i z oszałamiającą prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę ruszyłam do nieznanym kobiecie.

To, że są blisko spokrewnione, dostrzegą się na pierwszy rzut oka.

Dziewczyna, która otworzyła mi drzwi, miała takie same czarne kręcone włosy, piwne oczy i niezwykle regularne rysy twarzy.

- Pani jest z milicji?

Pokręciłam przecząco głową. Zaprowadziła mnie do pokoju i w milczeniu wysłuchała całej historii. Gdy skończyłam, rozplakała się żałośnie. Zakrzętnęłam się w popłochu, by jej pomóc, podałam wodę, środek uspokajający, chusteczkę do nosa.

- Nie trzeba - powiedziała na widok lekarstwa. - Lepiej się poznajmy: Liana.

Uścisnęłyśmy sobie ręce i Liana zapytała:

- Napije się pani czegoś?

W malutkiej kuchence poczęstowała mnie świetną kawą - mocną, słodką, z apetyczną pianką, o niepowtarzalnym aromacie. Patrząc, z jaką lubością piję, Liana westchnęła:

- Ninel jeszcze lepszą parzyła, znała sekret. Żartowała sobie: jak mnie zabraknie, już nie będziecie pić takiej kawy...

- Ninel?

- Tak, to jej prawdziwe imię. Ale nie lubiła go, dlatego przedstawiała się jako Nina.

- Czy była psychicznie chora?

- Po prostu dziwaczka. O takich jak ona często mówią: nienormalna, ale lekarze nie znaleźli żadnych odchyłeń od normy. Jeszcze gdy żyła babcia Susanna, zaprowadzono Ninel do psychiatry. Ten napisał cały elaborat, ale konkluzja była prosta - osobowość twórcza, niewiarygodnie rozwinięta wyobraźnia. Ona była taka trudna we współżyciu!

- Dlaczego?

Liana wyjęła paczkę vogue'ów. Nie znoszę mentolowych papierosów, mam takie wrażenie, jakbym paliła miętową gumę do żucia, ale dziewczyna zaciągnęła się z widoczną przyjemnością i zaczęła opowiadać o Ninie.

Ich ojcowie, synowie Susanny Aszotowny, byli braćmi. Ożenili się również z siostrami - Lurą i Mariette. Początkowo mieszkali razem, w dużym mieszkaniu babci,

potem zdobyli własne i rozjechali się. Ale byli w ścisłym kontakcie. Weekendy i święta zazwyczaj spędzali razem. Całą grupą wyjeżdżali na pikniki, na ryby. Dzieci urodziły im się też niemal równocześnie, najpierw Liana, a w trzy miesiące później Ninel.

Od wczesnego dzieciństwa Ninoczka była dziwna. W zgodnej rodzinie Sundukian wszyscy jej członkowie porozumiewali się wyłącznie krzykiem.

- Lianko - wrzeszczał ojciec - natychmiast odejdz od piecyka gazowego, bo oberwiesz!!!

- Ninelko - wtórował mu Wagan crescendo - włóż ciepłe buty, deszcz pada!!!

Z boku mogło wyglądać, że krewni zaraz się pozabijają... A jeśli czasami naprawdę zdarzały się konflikty, to przebiegały niczym w kinie. Żony mdlały i padały na podłogę, mężowie efektownie załamywali ręce i wzywali pogotowie... Później wszyscy razem, objawszy się, zgodnie zanosili się płaczem. Nawet ich psy stawały się psychiczne i szczekały bez żadnej przyczyny po całych dniach, działając sąsiadom na nerwy.

Tymczasem Ninoczka rosła cicha niczym myszka. Godzinami siedziała nad książkami. Czytać nauczyła się sama. Kiedyś Susanna weszła wieczorem do jej pokoju i powiedziała:

- Ty się teraz połóżysz do łóżeczka, a babunia ci poczyta.

- Nie trzeba - wyszeptała Ninoczka - ja sama.

Babcia osłupiała. Przecież nikt do tej pory nawet nie pokazywał jej literek.

Odtąd Ninoczka prawie nie wysuwała nosa ze swojego pokoju. Tak samo mimochodem nauczyła się pisać i podpierając chudą rączką policzek, w zapamiętaniu wodziła piórem po kartce papieru.

- Będzie naukowcem! - wrzeszczał Wagan. - Członkiem akademii, najlepszym!

- Geniusz, cudowne dziecko! - zachwycała się Susanna.

Ale gdy Ninoczka poszła do szkoły, ambitne marzenia rodziny rozwiały się jak mgła.

Okazało się, że dziewczynka nie jest wcale taka zdolna. Matematyka stała się dla niej przeszkodą nie do pokonania, geografia ją nudziła... Gdzieś w piątej klasie wszyscy zrozumieli, że Ninoczka nie umie pisać wypracowań i nie chce czytać lektur - Szołochowa, Fadiejewa i Fiedina. Podręczników do fizyki, chemii i geografii chyba nawet nie otwierała. Jednym słowem, w drugiej klasie liceum z hukiem wyleciała ze

szkoły. Na horyzoncie zamajaczyła zawodówka. Rodzice złapali się za głowy. Przez tydzień w domu latały krzesła i trzaskały rozbite naczynia. Ojciec, matka, stryj, ciotka i babcia uzgadniali los Niny. Natomiast sprawczyni tej całej zawieruchy spokojnie siedziały w swoim pokoju i układały wiersze.

To babka Susanna znalazła wyjście. Tłumaczka, członek Związku Literatów, miała prawo zatrudnić... sekretarza literackiego. To ktoś, kto pomaga pisarzowi w pracy. Odpowiada na listy czytelników, przepisuje maszynopisy, porządkuje archiwum nieśmiertelnych arcydzieł... Należy mu się pensja, którą wypłaca pisarz, książeczka pracy i urlop. Niektórzy może zatrudniali osoby obce, ale sprytni poeci i prozaicy na ogół obsadzali to stanowisko swoimi krewnymi - najczęściej były to żony lub dzieci, którym nie chciało się pracować, ale potrzebny był im staż pracy. Otóż Susanna zrobiła z Ninoczki swojego „sekretarza”.

Dziewczyna tworzyła całymi dniami, niepokojąc chwilami rodzinę nieprzytomnym spojrzeniem. Wreszcie nastąpiło wielkie święto. Pismo „Junost”<sup>“</sup> opublikowało wybór jej wierszy nazywając Sundukian „młodą utalentowaną poetką”. Rodzinka znów wpadła w zachwyty. Susanna wykupiła prawie cały nakład pisma i rozdała znajomym.

Na takim tle niezauważalnie rosła prymuska Liana.

- Od dziecka za nią nie przepadałam - kajała się ze smutkiem - wszyscy obchodzili się z nią jak kura z jajkiem. Ninelka to, Ninelka tamto. Trzeba jej kupić nową sukienkę, to przecież nasza chluba...

Po skończeniu szkoły Liana poszła na medycynę. Nina została przyjęta do Instytutu Literackiego. Ukończyła go jako autorka dwóch cienkich tomików poetyckich i członek związku pisarzy.

- Babcia się o to postarała - wyjaśniła Liana. - W związku bardzo ją szanowano. Biegała po różnych instancjach i załatwiała Ninelce członkostwo.

Wiersze pieniędzy nie dawały, ale też rodzice wcale nie oczekiwali od córki zarobków.

- Niech pisze - dudnił ojciec. - Rozsławia rodzinę!

I tak żyły - bujająca w obłokach Ninelka i twardo stojąca na ziemi Liana.

Szczęście rodzinne prysło w jednej chwili. W piękny majowy dzień bracia Sundukian z żonami wyjechali na grilla. Liana złapała gdzieś grype, więc została w domu, a Ninoczka nigdy nie uczestniczyła w tego typu rozrywkach.

O drugiej otrzymały informację z milicji, że wołga, którą prowadził Wagan,

na pełnym gazie wbiła się w betoniarkę. Wszyscy zginęli.

Pochowano ich razem, całą czwórkę w jednym grobie.

Po śmierci ukochanych synów i synowych Susanna gwałtownie się postarzała, zaczęła chorować i w końcu sześć lat temu cichutko umarła. Przed śmiercią wezwała Lianę i powiedziała:

- Wnusi, zostawiam mieszkanie Ninel, nie miej mi tego za złe. Ty masz fach w rękę, zawsze zarobisz na życie. A Ninuśka nic nie umie, zginie z głodu. Zresztą masz przecież mieszkanie.

Liana miała już na końcu języka, że Nina też ma mieszkanie, a obie są w tym samym wieku, ale milczała.

Po śmierci Susanny Ninel przeprowadziła się na ulicę Czerniachowskiego, swoje dotychczasowe mieszkanie wynajęła i żyła sobie beztrąsko. Liana brała dyżur za dyżurem w klinice i dzielnie radziła sobie z trudnościami, choć nie było łatwo. Od czasu do czasu siostry cioteczne dzwoniły do siebie, ale nie były ze sobą blisko. W głębi duszy Liana wciąż miała żal, a Ninelka wyraźnie gwizdała na wszystko.

Po kilku latach Liana wyrwała się z biedy. Na pieniądzech nie siedziała, ale stała się znana jako świetna dentystka i miała wielu pacjentów.

Tymczasem Nina pikowała w dół. Wierszy jej nie wydawano, opłaty za wynajęcie mieszkania były coraz niższe i więcej jak sto dolarów nikt nie chciał płacić za jednopokojową klitkę... Wtedy poetka przypomniała sobie o nieźle prosperującej ciotecznej siostrze.

- Jej bezczelność przyprawiała mnie o mdłości - Liana aż się wstrząsnęła. - W kółko słyszałam: „Podrzucić mi parę groszy”. Nie omieszkała też dodać: „Babcia kazała, żebyś mi pomagała”. Kiedyś wreszcie nie wytrzymałam i powiedziałam: „W mojej przychodni potrzebna jest sanitariuszka, chcesz, to cię polecę?”. Prychnęła na mnie obrażona: „Ja jestem człowiek twórczy, jak zacznę jeździć szmatą po podłodze, wszystkie myśli mi pouciekają. Praca fizyczna to dla debilów”.

Na taką gadkę Liana się wściekła i odmówiła jakichkolwiek pieniędzy. Wtedy Ninelka otworzyła okno, wskoczyła na parapet i oznajmiła:

- Żegnaj, siostrzyczko, policzymy się na tamtym świecie.

Przerażona Liana czym prędzej sięgnęła do portmonetki. Po tym incydencie Nina zaczęła szantażować siostrę. Najpierw żądała sporej sumy, a gdy spotykała się z odmową, groziła, że wyskoczy z okna albo rzuci się pod pociąg. Wreszcie kilka dni temu Liana nieoczekiwanie się postawiła.

- Miałam tego po dziurki w nosie - westchnęła - nie zainstalowałam sobie w domu automatu do drukowania pieniędzy, każda sturublówka to dla mnie efekt ciężkiej pracy, tymczasem dla Ninuśki tysiąc to grosze. Nic dziwnego, jak się tyle wydaje na lekarzy.

- Chorowała?

- Tylko na głowę. Wszystkim wmawiała, że nie może pracować z powodu słabego zdrowia. To źle widziała, to znów nie słyszała albo też męczyła ją bezsenność...

Jednym słowem, Liana odmówiła, a na kolejną groźbę siostry, że się zabije, odpowiedziała ostro, wskazując na okno:

- No to już, skacz, płakać nie będę. Taniej mi wyjdzie raz cię pochować niż utrzymywać przez całe życie.

Naturalnie, Ninoczka nawet nie spojrzała na okno, wysyczała tylko:

- Tak, kochana? No to pożałujesz!

Wypadła za drzwi i Liana od tamtej pory jej nie widziała.

- Była mężatką?

- Mężczyźni niezbyt długo wytrzymywali z Ninką - odrzekła zjadliwie Liana - bo komu taka potrzebna? Niczego nie umie, egoistka do szpiku kości, wiecznie skrzywiona...

- A dzieci?

- Kilka razy przeprowadzała aborcję.

Umówiłam się z Lianą, że spotkamy się następnego ranka na komisariacie, i pojechałam do domu.

## Rozdział 5

Na dworze panowały egipskie ciemności, była godzina jedenasta, ale w całym domu świeciły się światła. Dziwne. Normalnie w dzień powszedni o tej porze sączy się tylko słabe światło z okna salonu. Kicia ogląda *Ostry dyżur*. Masza i Kiesza już śpią. Ona rano idzie do szkoły, a on do pracy. Coś takiego, jak dzisiaj, bywa tylko na Nowy Rok.

W holu piętrzyły się palta i kurtki, z salonu dobiegały salwy śmiechu. Otworzyłam drzwi i zdębiałam: gromada nieznanymi, mocno podchmielonych ludzi. Tak na oko, z pięciu mężczyzn i tyle samo kobiet. Aliska, wystrojona w przeraźliwie pomarańczowe spodnie i równie jaskrawą bluzkę, głośno przekrzykuje się z zarumienioną Olgą. Kiesza, który zawsze kładzie się wcześniej spać, tańczy z jakąś pannicą obok kominka, a uszczęśliwiona Masza pogryza coś białego, co najwyraźniej jej smakuje.

- Musieczko - zapiszczała - nareszcie przyszedł. Mamy urodziny!

W popłochu oparłam się o framugę. Kompletnie nie mam pamięci, zwłaszcza do wszelkich rodzinnych uroczystości. Ileż to razy domownicy obrażali się na mnie, gdy po raz kolejny zapomniałam przygotować prezent. Dzieci uwielbiają wszystkie uroczystości, wobec tego świętujemy wszystkie „czerwone kartki w kalendarzu”, zarówno rosyjskie, jak i francuskie, naturalnie Wielkanoc, Boże Narodzenie i Nowy Rok. Wyjątek stanowi Dzień Kobiet, bo wtedy o prezenty stara się jedynie Arkaszka. Za to na Dzień Wojska to on obowiązkowo dostaje prezent, choć nie mam pojęcia czemu, bo z wojskiem nie ma absolutnie nic wspólnego. Ostatnio zaczęliśmy też obchodzić Dzień Zakochanych. Ale przecież jest koniec marca. W głowie zawirowały mi różne daty.

Zaraz, Mania urodziła się szóstego września, Kieszka dwudziestego dziewiątego, też we wrześniu. Kicia przyszła na świat trzynastego listopada. Rocznicę ślubu mają dwudziestego ósmego kwietnia. Bliźnięta zawiąły na świecie pierwszego grudnia. To kto tu co świętuje, u licha?

Musiałam mieć kompletnie ogłupiałą minę, bo Masza się roześmiała:

- Za nic się nie domyślisz! Popatrz na stół...

Obrzuciłam wzrokiem kieliszki, talerze i potrawy. Na końcu stołu, w wysokim dziecięcym foteliku, siedziała małpka i robiła głupie miny. Głowę zwierzątko zdobiła

niebieska papierowa czapeczka.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Właśnie! - Mania aż zapiszczała z radości. - Freddy ma imieniny. Aliska to wymyśliła..

- Nie wypada, żebyś mówiła Alisie Michajłownie po imieniu - obudził się we mnie belfer. - Jest od ciebie starsza.

- Ojej, musiu - prychnęła Maniunia - przecież Alisa sama poprosiła, żeby tak się do niej zwracać, mówi, że to ją odmładza! Ona jest całkiem w porządku. Że też ja nie pomyślałam, by naszym zwierzakom urządzać urodziny. - Mania wpadła w zapał. - Jutro przejrzę ich świadectwa i zobaczę, kiedy się urodziły. Zrobimy dokładnie tak samo: przyjęcie, prezenty, goście.

Jasne, wspaniały pomysł. W domu mamy pięć psów i dwa koty. Do tego jeszcze papuga, chomiki i dwie jaszczurki. Mam nadzieję, że przynajmniej tym ostatnim nie zechcą urządzać urodzin.

- Daszka - zawołała Alisa - przyszedł wreszcie! Gdzie się włóczyłaś przez cały dzień, latawico? Pewnie obkoczyłaś łóżka wszystkich swoich mężów! Tak nie można, bo ducha wyzioniesz. Czasem trzeba odpocząć i coś zjeść.

Poczułam, że czoło i policzki oblewa mi gorący rumieniec. Olga roześmiała się głośno, a Marusia wpadła w zachwyt:

- Ale ci dogryzła!

- Wiesz co? - parsknęłam ze złością. - Wynocha do łóżka, jutro szkoła.

- Oj, mamulu - jęknęła - nie bądź nudziarą.

- Zostaw dzieciaka w spokoju - wtrąciła się Alisa. - Czego się czepiasz?

Przecież nie ucieknie jej ta głupia szkoła, najwyżej opuści jeden dzień! Ja w jej wieku już się zadawałam z chłopakami, połowę lekcji opuszczałam!

- Widzisz! - Mania aż się zachłysnęła. - To ja jestem po prostu aniołem... - Zbyt zmęczona, by się spierać, obrzuciłam spojrzeniem zabałaganiony pokój, rozbawionych domowników i westchnąwszy, poszłam do kuchni. Nie cierpię wszelkich zbiegowisk, wieczorków i tańców.

Przy stole siedziały, wyraźnie bojowo nastrojone, Katierina i Irina.

- Pani koleżanka jest nienormalna - oświadczyła Katia. - Kazała mi w ciągu godziny przygotować kolację dla tuzina gości, bo jak nie, powiedziała, to mnie zwolni. Musiałam się uwijać jak w ukropie! Ledwo zdażyłam. Myśli pani, że podziękowała? Gdzie tam, nawymyślała mi, że kartofle rozgotowane...

Usłyszawszy to, otworzyłam usta ze zdumienia. Coś podobnego! Katierina to osoba zdecydowana, z językiem ostrym jak brzytwa. Szczerze mówiąc, trochę się jej wszyscy boimy. A tymczasem Aliska błyskawicznie ją ustawiła. I nie tylko ją, gosposię też, bo oto Irka dorzuciła obrażonym tonem:

- A mnie kazała trzy razy odkurzać salon, wciąż coś się jej nie podobało. Zajrzała pod kanapę i wydarła się, że niby nigdy tam nie sprzątała! I że z tyłu na telewizorze jest kurz, zwariować można!

Potok narzekañ przerwała Alisa, która wpadła do kuchni, ujęła się pod boki i zapytała gniewnie:

- Daria, czy ty płacisz tym dziwom?

- Naturalnie - odpowiedziałam niepewnie.

- Niepotrzebnie, to chamki i leniuchy. Kat'ka nawet kartofli nie potrafi ugotować i rozgotowała je tak, że wstyd na stół podać! Mięso było jak podeszwa, a sałatę to moja mała lepiej by pokroiła!

- Przecież miałam zaledwie godzinę na to wszystko! - wrzasnęła Katierina, nieprzywykła do takich wymagań.

- A niechby i piętnaście minut, najęłaś się, to pracuj. A ty tylko tyłek sobie wyhodowałaś jak pomnik!

- Jak to jak pomnik? - zdumiałam się szczerze.

Aliska prychnęła:

- A tak to, Kat'ka ma dupę jak cokół pomnika!

Ira cichutko parsknęła śmiechem.

- A ta - wycedziła Alisa, mierząc w nią pomalowanym na ciemnoniebiesko paznokciem - leniuch, nieuk i niedojda. Na parapecie brud, pod kanapą kurz, a dywany cuchną wymiocinami.

- To dlatego, że Snap dzisiaj zwymiotował - próbowała się tłumaczyć Ira.

- To sprzątaj po nim, a nie podoba się, wynocha. Wiesz, ile jest chętnych na twoje miejsce? A teraz posłuchajcie, panienki: wasza pani, Daria Iwanowna, to kobiecina dobra, tylko zbyt miękka. Toście się rozpuściły... Ale koniec z tym. Teraz ja się za was wezmę! Jak zobaczę, że zbijacie bąki - przepędzę. A ty, Kat'ka, podawaj herbatę. Tylko świeżo parzoną i gorącą, nie te pomyje, jakie przyniosłaś wcześniej. Irka, biegiem do mojej sypialni zmienić pościel.

- Przecież wczoraj zmieniałam - pisnęła, kuląc się, Ira.

- Pościel - pouczyła ją surowo Alisa - należy wszystkim zmieniać codziennie.



Masz za dużo wolnego czasu, możesz go wykorzystać na prasowanie, dotarło? A teraz do roboty, lenie, zrozumiano?

- Zrozumiano, Aliso Michałowno! - wrzasnęły i pomknęły wykonywać polecenia.

Patrzyłam na to wstrząśnięta. Już kilka lat piję ledwo ciepłą herbatę czy kawę, bo dziwnym zrzędzeniem losu wszelkie napoje, które powinny być gorące, w naszym domu mają zawsze temperaturę pokojową.

- No właśnie - westchnęła tancerka z zadowoleniem. - Nic się nie bój, zaprowadzę tu taki porządek, że będą chodziły jak w zegarku, cholery jedne!

- Nie przeklinaj - poprosiłam zrezygnowanym tonem.

- A czy ja przeklinam? - zdziwiła się. - Po prostu stwierdzam fakt. Aha... zostanie u mnie na noc Fila.

- Kto?

- Fila.

Przed oczami natychmiast stanął mi sympatyczny piesek z programu telewizyjnego „Dobranoc, maluchy”.

- Filipp, mój kochanek - wyjaśniła Alisa. - Trochę przesadził z piciem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Czy żaba protestuje, kiedy jedzie na nią czołg?

- Nie - wyrwało mi się wbrew woli.

- Wspaniale. - Alisa rozpląnęła się w uśmiechu i wyszła z kuchni.

Przekradłam się na pierwsze piętro. Z salonu dobiegały salwy śmiechu i ostry krzyk Freddy'ego. Znosi się na to, że przez najbliższe dni nasz dom stanie się filią szpitala psychiatrycznego.

Nazajutrz, punktualnie o dziewiątej, zjawiłam się na milicji. Liana już siedziała przy wejściu. W nocy zima najwyraźniej się rozeźliła, że w kalendarzu już marzec, i rzuciła na Moskwę prawdziwą zawieruchę. Niebo pociemniało od chmur, spadł ni to deszcz, ni to śnieg, na ulicach paliły się latarnie, choć była już dziesiąta rano. Drobną, skurczoną sylwetką dziewczyny wyglądała tak żałośnie, że serce mi się ścisnęło.

Kapitan wbił w nas mętne spojrzenie niebieskich oczu.

- O co chodzi?

Usadowiłam się ostentacyjnie na obszarpanym krześle i ledwie opanowując chęć, by położyć nogi na stole, oświadczyłam:

- Pańska samobójczyni nazywa się Nina Waganowna Sundukian, a to jest jej siostra. Proszę pokazać jej zdjęcie i poinformować nas, gdzie się znajduje ciało.

- Proszę iść do kostnicy - burknął kapitan.

- Przecież pan powiedział, że zrobicie zdjęcie i roześlecie je przez komputer do innych jednostek. Chyba nietrudno sobie wyobrazić, jaki to stres dla krewnych, gdy muszą obejrzeć zwłoki!

- Nie wszyscy są tacy szybcy jak pani - odszczeknął się. - zdjęcia robią w kostnicy, chcecie, to poczekajcie, aż nam je tu dostarczą.

- A kiedy? - spytałam.

- No... - podrapał się po głowie - jutro, pojutrze.

- Idziemy do kostnicy - zdecydowała Liana. - Jestem lekarzem, widziałam zmarłych, proszę się nie bać, nie urządzę sceny!

- No i dobrze - ucieszył się stróż prawa. - Proszę iść, zaraz tam zadzwonię.

Począpałyśmy przez zasypany śniegiem plac. W kostnicy chudy chłopina w dość nawet schludnym białym fartuchu zapytał:

- Za makijaż płacicie?

- Zaraz, bo może to nie ona - zauważyłam przytomnie.

- Jak sobie chcecie - wzruszył ramionami. - Sprawdzajcie.

Dziesięć minut później zaprowadzono nas do małego pokoju, przesyconego ostrym zapachem środków dezynfekcyjnych. Na wózku leżał jakiś kształt przykryty prześcieradłem.

- Miłego oglądania - burknął sanitariusz i odsłonił twarz.

Poczułam, jakbym dostała kuksańca w żołądek. Nieszczęsna kobieta miała dziwnie zmrużone oczy, opuchnięte policzki, pokryte siniakami, a może podskórnymi wylewami, nos złamany, usta wykrzywione w odrażającym grymasie. Jedyne włosy były takie same - gęste, czarne, choć bez blasku i potargane. Opanowałam dreszcz i wyjąkałam:

- Czy pan się nie pomylił? Widziałam tę kobietę dosłownie chwilę przed śmiercią, była piękna, a teraz...

Sanitariusz obojętnie zerknął na wystającą spod prześcieradła nogę.

- NN, nr 243. Wszyscy inni zostali zidentyfikowani.

- To ona - wyszeptała Liana, zamykając oczy. - Ona, Ninoczka...

Wzięłam ją pod rękę i wyprowadziłam na korytarz. Szła, chwiejąc się lekko. Też mi lekarz! Co innego patrzeć na zmarłego pacjenta, a zupełnie co innego na

kogoś z rodziny.

W moim volvo Liana zaczęła płakać.

- Do końca życia sobie tego nie wybaczę. Dlaczego nie dałam jej tych pieniędzy? Jeszcze ją zwymyślałam. Przecież wiedziałam, że Ninelka była niezrównowazona! Chryste, jak mam z tym żyć?

- Nie oskarżaj się - spróbowałam pocieszyć biedaczkę. - Nie masz z tym nic wspólnego. Zobacz, jaki list zostawiła. Powiedz mi, kto to jest Wiera i Kola? A Leonid... Kostia... Żora?

Liana uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nikt, ona ich wszystkich wymyśliła.

- Po co? - zdziwiłam się. - Kłamać w przedśmiertnym liście!

- To nie jest żaden list - oświadczyła Liana z przekonaniem. - Nina to mitomanka i fantastka. Zawsze miała przy sobie papier. Zapisywała wszystko, co jej przyszło do głowy, a potem preparowała z tego wiersze...

Zerknęłam na nią podejrzliwie. Wygląda na to, że wylewna Liana zdradziła mi bynajmniej nie wszystkie rodzinne sekrety. Tyle, że to już nie moje zmartwienie. Nieszczęsna samobójczyni zostanie pochowana, nie będzie dłużej bezimiennym trupem w metalowej szufladzie.

Podwoziłam Lianę do domu, dałam jej swój telefon i ruszyłam do Łożkina.

W jadalni zastałam Aliskę w czarnym koronkowym peniuarze. Na talerzu przed nią leżał smętnie kawałek chrupkiego pieczywa. Co jak co, ale wolę miała żelazną, stosowała surową dietę, bardzo rzadko pozwalała sobie na coś mącznego, słodkiego i tłustego.

- Jesteś? - zawołała z entuzjazmem. - Gdzie się pętasz po nocy? Czyżby barabara?

Tym razem się nie zaczerwieniłam, najwyraźniej już się oswoiłam z jej frywolnością.

- Nocowałam w domu - mruknęłam i dotknęłam dzbanka z kawą. To najprawdziwszy cud! W naszym domu podano prawie wrzącą kawę.

- Pewnie w samochodzie, co? - prychnęła Aliska. - Słyszałam przecież, jak przyjechałaś.

- Przyjechałam, bo jeździłam załatwić pewne sprawy - zaczął się tłumaczyć mój język.

- Coś takiego! Przecież to środek nocy!

Spojrzałam na zegarek, który wskazywał wpół do drugiej, ale milczałam.

- A przy okazji - zaczęła - poznajcie się, to Fila.

Siedzący po jej lewej ręce mężczyzna uśmiechnął się szeroko, ukazując idealnie białe, równe zęby.

- Bardzo mi miło. Dasza - wybąkałam, machinalnie dotykając językiem rozchwianej protezy. Że też są szczęśliwcy, którzy nie weszli w bliższy kontakt z bor maszyną.

- Ogromnie się cieszę - wdziękzył się Fila.

- No, dość tego wersalu - ucięła zdecydowanie Aliska.

Nalałam sobie kawy i zaczęłam pić gorący napój małymi łykami, bo łatwo się oparzyć, gdy człowiek nieprzyzwyczajony. Fila zręcznie smarował grzanki dżemem. Szanowny kochanek wyglądał jak zjawisko. Tacy mężczyźni zazwyczaj bywają modelami i zdobią okładki pism - jasne, doskonale obcięte włosy, śmiejące się niebieskie oczy, czerwone usta i cudowna karnacja człowieka świetnie się odżywiającego i śpiącego co najmniej osiem godzin. Pewnie aktor albo piosenkarz. Aliska nieustannie otaczała się ludźmi sztuki, choć za mąż wolała wychodzić za biznesmenów.

- Bardzo przepraszam - rzekł z uśmiechem Fila - ale muszę wrócić do sypialni, nadszedł czas, by poobcować z duchem Yumo.

Lekkim sprężystym krokiem ruszył do drzwi i otworzył je. W tej samej chwili z głośnym sapaniem wpadły do pokoju nasze psy. W domu jest ich pięć - rottweiler Snap, pitbull Bundy, pudel Cherry, angielski mops Hootch i terierka Julie.

Początkowo chcieliśmy mieć tylko dwa psy - Snapa i Bundy'ego, ale wkrótce stadko zaczęło się powiększać. Pudła zostawił u nas na kilka dni znajomy, który wyjechał służbowo. Minęły trzy lata, a on nawet nie zapytał o Cherry. Hootch należy do mojego przyjaciela, Aleksandra Michajłowicza. Ale ten pracuje w strukturach MSW i całymi dniami, a niekiedy i nocami przesiaduje w pracy. Mały mopsik najpierw tylko tęsknił, a potem zaczął chorować. Cóż, wzięliśmy go do siebie. A Julie jest własnością niani bliźniaków.

- Ach, moje pieseczki - zaszczębiotała Alisa, biorąc z talerza ser. - Chodźcie tu, mamusia coś wam da.

Naszym psom nie trzeba powtarzać dwa razy. Na widok jakiegokolwiek jedzenia stają się zadziwiająco przymilne i posłuszne.

Patrzyłam, jak Aliska kroi wielkie kawały masdamera, i wybąkałam

nieśmiało:

- Kiesza nie lubi, gdy karmi się zwierzęta przy stole.
  - Też coś! - prychnęła. - To i jego mam słuchać? Niech spróbuje mi zabronić.
- Westchnęłam. Jasne, co z tego, że spróbuje. Łatwiej zatrzymać pędzącą

lokomotywę.

- Psy wytwarzają w domu korzystne biopole, a koty przejmują na siebie choroby swoich państwa - oświadczył Fila, nadal stojący przy drzwiach. - Dlatego powinny być jak najbliższej ludzi. Wielu chorych na zawsze uwolniłoby się od swoich dolegliwości, gdyby wzięli do domu małego kotka.

- Właśnie - przytaknęła Alisa. - Słuchaj, co mówi fachowiec.
- Kim on jest? - zapytałam, gdy Fila wyszedł.
- Czaruje - odpowiedziała.
- Co robi?
- Fila jest czarownikiem - rzekła, nie mrugnawszy okiem.
- Kaszpirowski czy coś w tym rodzaju?
- Nie, czarownik, członek stowarzyszenia „Biała czapla”, mistrz wielkiej tury

i Wanga.

Potrząsnęłam głową.

- WANGA? Przecież ona była Bułgarką i już nie żyje.
- To skrót. Wielki Anioł Nowy Genialny Artemid - WANGA.
- A kim jest Artemid?
- Odczep się - roześmiała się. - To jakieś ich magiczne imiona i pseudonimy.

Nie mam pojęcia. Wiesz, ile on zarabia?

- Ile?
- Minimum tysiąc dolarów dziennie.
- Za co mu płacą tyle szmalu?
- Robi amulety, blokuje złe siły w domu, wróży z kart, zmienia los, czyli

karmę. Przesuwa też w czasie datę śmierci.

- Niby jak?
- Na przykład, przychodzisz do niego i prosisz, by zajrzał w twoją przyszłość.

On zagląda i okazuje się, że umrzesz za miesiąc. Fila dokładnie widzi datę śmierci i zmienia kod losu, tak, że nic złego się nie dzieje.

Parsknęłam śmiechem. Dobrze sobie! Sam widzi datę i sam ją zmienia. Bujda na resorach! I pomyśleć, że są głupcy, którzy dają się na to nabrać.

- Nie ma się z czego śmiać - obraziła się Alisa. - Jako jedyny w Moskwie posługuje się techniką wudu i potrafi obcować ze złowieszczym bóstwem Yumo. A tak na marginesie, Fila ostrzega, że czeka nas wkrótce zmiana rządu i znaczące wahania kursów.

Znów się roześmiałam. Też mi jasnowidz. Tyle to i ja potrafię przewidzieć. Niechby przepowiedział coś nie do przewidzenia, wtedy bym się zdziwiła.

- W porządku. - Aliska była wyraźnie wściekła. - Powiem mu, żeby ci powrózył, sama się przekonasz.

## Rozdział 6

Dwa dni później zadzwoniła Liana.

- Przepraszam - powiedziała nieśmiało - jutro jest pogrzeb Niny, pomyślałam, że może zechce się pani z nią pożegnać...

We wtorek, ściskając bukiet ciemnoczerwonych goździków, podeszłam do drzwi krematorium Nikoło-Archangielskiego. Od niewielkiej grupki ludzi oderwała się drobna sylwetka i pomachała do mnie ręką. Liana, cała w czerni, wyglądała na starszą.

- Dziękuję, że pani przyszła - przywitała mnie ze smutkiem. - Właśnie nadeszła nasza kolej.

Czterech mężczyzn wniosło trumnę do środka. Wszyscy ruszyli za nami. Zapanowała męcząca cisza, rozległo się szlochanie, ktoś westchnął.

- Jak to śmierć zmienia człowieka - usłyszałam za plecami.

Obejrzałam się odruchowo. Masywna, długonosa kobieta kręciła głową.

- Ninoczka wcale nie jest do siebie podobna, zupełnie jakby to był kto inny. Tylko włosy są te same. Czy można się tak zmienić? I nos inny, i czoło, i usta.

- Daj spokój, Nadieżda - burknął stojący obok niej mężczyzna. - Nieboszczyk zawsze wydaje się inny.

- Nic podobnego - upierała się Nadia. - Spójrz na jej ręce! Ninelka miała palce krótkie i grube, a te są niczym gałązki, i ta jest dużo chudsza od Ninelki.

- Zamknij się wreszcie - syknął mężczyzna. - Miej trochę wstydu, chociaż przy trumnie powściągnij język.

Nadieżda sapnęła gniewnie. Tak sapie nasz mops Hootch, gdy Arkaszka przegania go z fotela.

Nie cierpię stypy, a już szczególnie, gdy muszę ją przetrwać w towarzystwie kompletnie nieznanym mi osób. Ale Liana trzymała kurczowo moją rękę:

- Proszę cię, błagam...

Musiałam się przemóc. Stypę urządzono na Sirieniewym. Zapuszczone mieszkanie działało przygnębiająco. Widać było, że mieszkał tu ktoś, kto miał w nosie, jak mieszka. W łazience i toalecie gdzieś odpadały kafelki, sedes był pęknięty, wąż od prysznicza oklejony plastrem. Mała kuchnia była koszmarne zabałaganiona. Na parapecie tłoczyły się słoiki, butelki i patelnie. Na płycie kuchenki

stał, nie wiadomo czemu, czajnik elektryczny. Coś paskudnie cuchnęło. Albo pod umywalką naprawdę zagnieździły się myszy, albo zmarła nigdy nie myła wiadra na śmieci.

Stół nakryto w dużym pokoju, odsunawszy w tym celu spod okna stolik z telewizorem. Tutaj też był niemiły zapach, ale inny niż w kuchni - kurzu, starych książek i zleżalej pościeli.

Przypadło mi miejsce obok Nadzieży, która pewną ręką nappełniła mi kieliszek, mieszczący co najmniej setkę. Z lękiem popatrzyłam na kryształową „lampkę”. Nie wykręcę się od wypicia. Zazwyczaj, gdy jestem w obcym towarzystwie, z miejsca się mnie czepiają: „Proszę wypić, ale do dna, nie można obrażać gospodarzy”. Potem zazwyczaj zaczynają się przycinki: „Widzicie ją, jaka harda, nie w smak jej nasze towarzystwo”. A ja naprawdę nie mogę pić.

Teraz, kiedy wszyscy wokół odkryli u siebie korzenie szlacheckie, nie mam się czym przechwalać. Mój pradziadek był szewcem, chyba jego ojciec również. Prababka chodziła myć podłogi do miejscowego popa. Dobry ojczulek trzymał ją wyłącznie kierowany chrześcijańskim miłosierdziem, ponieważ kobiecie, gdy przychodziła, wyraźnie plątały się nogi i często zalegała w kuchni i wypełniała cały dom duchownego donośnym pijackim chrapaniem. Mąż w niczym jej nie ustępował. Zresztą, jest nawet takie powiedzonko - „pić jak szewc”, i zwrot „szewski poniedziałek” (po przepiciu) również dotyczy tej szacownej profesji. Pradziadek w pełni uzasadniał ich prawdziwość. Nigdy nie widziano go trzeźwego.

I trzeba trafu, że w takiej rodzinie urodził się cichy, posłuszny i utalentowany syn. Pewnego razu pop ze zdziwieniem spostrzegł, że chłopiec w wieku pięciu lat biegle czyta i potrafi wykonać proste działania arytmetyczne. Ojczulek przygarnął chłopca, a kiedy rodzice umarli z przepicia, usynowił go, wykształcił i nawet wystarał się o stypendium na uniwersytecie.

Przed śmiercią kazał mu przysiąc na Biblię, że nigdy w życiu nie weźmie do ust żadnego trunku.

Dziadek, wtedy jeszcze student, ani razu nie sprzeniewierzył się przysiędze. Znacznie później okazało się, że ojczulek niepotrzebnie się martwił, bo dziadek miał alergię na alkohol. Nie tylko nie próbował pić, ale nawet wachać czegokolwiek, co zawierało choć kroplę spirytusu. Wszelkie krople nasercowe i inne leki z zawartością alkoholu natychmiast wywoływały u niego reakcję uczuleniową. Moja matka podobno nie mogła wypić nawet szklanki piwa. A ja natychmiast padam po łyżeczce



koniaku, choć mogę wypić odrobinę wina lub likieru.

Pewien genetyk wyjaśnił nam, że ludzie, których przodkowie byli alkoholikami, mają przed sobą dwie drogi: albo też zaczynają pić, albo w najmniejszym nawet stopniu nie tolerują alkoholu. Mówił coś jeszcze o enzymach, o specyfice przewodu pokarmowego, ale go nie zrozumiałam. Dotarło do mnie tylko to, że należę do osób, które nie mogą pić.

W młodości ta szczególna cecha przysparzała mi sporo problemów. Udając przykłądną córeczkę mamusi, jak dzumy unikałam wesołych studenckich prywatek, gdzie wiadrami piło się wątpliwej jakości trunki o nazwie „Dar słońca” albo „Górski dębniak”. W pracy już nie było tak łatwo.

Na naszej uczelni po każdym zebraniu katedry urządzało się przyjęcie. Kiedy przyszedłam pierwszego dnia do pracy, po sali przeleciał radosny szmer. Kupiłam kilka butelek „Moskiewskiej” i kilogram kiełbasy. Wszyscy usiedli, naleli, wychylili... Po czym czołowy pijanica, profesor Radko, zapytał groźnie, wskazując paluchem na mój pełny kieliszek:

- Dlaczego nie wypiliśmy?
- Bo nie piję - odpowiedziałam stanowczo.

Zapadło głucho milczenie. Zbliżał się rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty i wszyscy pomyśleli o tym samym: nasłali kapusia. Teraz poczeka, aż wszyscy sobie popiją, stracą czujność, rozgadają się, a potem poleci gdzie trzeba i doniesie, co kto mówił...

Patrząc na zmienione twarze kolegów, powiedziałam zrezygnowana:

- Dobrze, ten kieliszek wypiję, ale odwieźcie mnie potem do domu.

Do Miedwiedkowa przywiózł mnie swoim samochodem osobiście profesor Radko. Wezwał też pogotowie i nawet zapłacił za „reanimację”. Od tego czasu nigdy już nie zmuszali mnie do picia. Szanowni koledzy stawiali na stole butelkę lemoniady i dogadywali:

- Daszka, to dla ciebie. A potem umyj naczynia, ty nasza abstynentko. Znajomi nie namawiają mnie do picia, ale z nieznanymi jest już gorzej.

I tym razem grubas, a jakże, zahuczał basem:

- Gardzi pani naszym towarzystwem, nie wypła pani za zmarłą. Ale teraz potrafię już się wykręcić.
- Mam wrzód żołądka.

Zazwyczaj to wystarczy i dają mi spokój, ale nie tym razem.

- Przecież niektóre wrzody właśnie wódką się leczy - nie dawał za wygraną. -  
Proszę wypić, bo się obrazimy...

- Uspokój się, Loszka - ofuknęła go Nadieżda.

- Nie, niech wypije za Ninelkę, żeby jej ziemia lekka była - upierał się.

- Dostyc - wtrąciła się jakaś kobieta. - Czegoś się przyczepił?

- Nie, dopóki nie wypije, nie puszcze jej od stołu.

- To idiota! - zawołała gniewnie Liana. - Nie zwracaj na niego uwagi. Chodź do kuchni, wyjmemy pieróg z piecyka.

Wdzięczna za odsiecz, ruszyłam za nią do kuchni. Wręczyła mi dużą tacę z kulebiakiem. Aby nie upuścić apetycznie pachnącego kulinarnego arcydzieła, wycofałam się tyłem do przedpokoju i właśnie się okręcałam, gdy usłyszałam trzaśnięcie drzwi wejściowych.

- Co tu się dzieje? - rozległ się gniewny, młody damski głos.

Dziwne pytanie w przypadku kogoś, kto przychodzi na stypę. Spojrzałam w stronę przybyłej, ale w małym przedpokoju panowały niemal egipskie ciemności.

- Proszę wejść do pokoju - poleciłam, ledwo trzymając ciężką tacę - tam są wszyscy.

- Jasne - burknęła nieprzyjaźnie przybyła.

Znowu weszłam do kuchni, a tajemnicza nieznajoma zniknęła w pokoju, w którym trwała stypa w najlepsze.

- Przyniosłaś z powrotem? - zdziwiła się Liana.

- Przyszła jakaś pani.

- Kto?

- Nie wiem.

W tym momencie z pokoju dobiegł krzyk. Tak wrzeszczą kibice na stadionie, gdy widzą szczególnie pięknego gola, na jednej nucie, wszyscy razem: a-a-a!

Obie z Lianą jednocześnie wyskoczyłyśmy do przedpokoju. Nie utrzymałam kulebiaka, który zsunął się z tacy i wylądował na czyichś butach. Klnąc, Liana wpadła do pokoju i wydała z siebie przeraźliwy pisk. Odsunęłam ją i popatrzyłam na sprawczynię zamieszania.

Przy stole stała dość korpulentna kobieta. Piękne czarne włosy ciężką falą opadały na plecy. Wielkie, przepastne, piwne oczy obrzucały gości gniewnym spojrzeniem. Delikatny nos drgał, łuki brwi ściągnęły się groźnie.

- Co tu się dzieje? - zapytała podniesionym głosem.

Liana bez słowa usiadła na podłodze. Grubas, który zmuszał mnie do picia, blady jak śmierć, wyciągnąwszy przed siebie rękę, powtarzał jak w transie:

- Nie, nie, nie...

- A nie mówiłam? - rozdarła się Nadieżda. - To nie ona leżała w trumnie.

Tamta w ogóle Ninelki nie przypominała, a wy nic, tylko śmierć zmienia, śmierć zmienia! Macie ją tu, zdrową i całą!

- Pani jest Ninel Sundukian? - zapytałam z przerażeniem. - Nina Waganowna, poetka?

- We własnej osobie - potwierdziła, niecierpliwie odrzucając z czoła splątane kosmyki. - Jestem Nina Sundukian. I dodam jeszcze, że tu mieszkam i absolutnie nie rozumiem, kto i z jakiej racji baluje w moim mieszkaniu.

- J-j-jak to baluje, do cholery - ożywił się tłuszcioch. - Też mi balowanie, na stypę przyszliśmy, po pogrzebie.

- Ktoś umarł? - wystraszyła się Nina. - Ale... dlaczego w moim mieszkaniu?

- Przecież ciebie dzisiaj skremowano - wyjaśniła jej radośnie Nadieżda. - I żałuj, że tego nie widziałas. Wszystko się świetnie udało. Sukienkę miałaś aksamitną, ciemnoniebieską, koronkową chusteczkę, i kwiatów było pełno, mowa pożegnalna, a teraz, sama zobacz, poczęstunek, poszedł na to spory grosz...

- A kto powiedział, że umarłam? - spytała Nina w osłupieniu.

- Lianka - odpowiedziała Nadia.

Liana wolno pokręciła głową.

- Na własne oczy widziałam twoje zwłoki.

- Najwyraźniej nie moje - rzekła Nina spokojnym głosem i parsknęła śmiechem: - Ale macie miny!

Istotnie, wszyscy wyglądali jak ogłuszeni.

- To niemożliwe - wybełkotała Liana. - Przecież widziałam twoje ciało!

- Zapewniam cię, że nie moje - uśmiechnęła się Nina. - Za wcześnie się ucieszyłaś.

- To czyje? - krzyknęła Liana. - Kogo dziś skremowaliśmy?

Właśnie, dobre pytanie!

Minęło sporo czasu, nim wszyscy ochłonęli. Potem znowu usiedli przy stole i tym razem z entuzjazmem jęli wznosić toasty za zdrowie pani domu. Po godzinie wszyscy spili się jak beły. Tylko ja i Nina pozostałyśmy trzeźwe.

- Całkiem jak u Kafki - westchnęła Nina, zapalając papierosa. - Nigdy bym nie

uwierzyła, gdyby ktoś opowiedział mi taką historię! Ech, Lianka, co ci odbiło, żeby mnie tak urządzić! W jaki sposób odzyskam teraz dowód osobisty... mam udowadniać, że żyję?! Tak ci się spieszyło, żeby mnie pochować...

Jej dość pulchne ręce drżały nerwowo.

- Niech pani nie dokucza siostrze - powiedziałam cicho. - Bardzo sobie wyrzucała, że popchnęła panią do samobójstwa.

- Też coś! - prychnęła Nina gniewnie. - Co jej strzeliło do głowy!

Bez słowa wyciągnęłam z torebki list i podałam Ninie.

- To pani napisała?

- Skądże. To nie mój charakter pisma.

- A była pani w Domu Pracy Twórczej?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Dlaczego pani pyta?

- Poszukiwano śladów samobójczyni i trafiono do domu pisarzy...

Skrzywiła usta w uśmiechu:

- Otóż to, nie chcesz mieć kłopotów, nie pomagaj ludziom! Żal mi było Ludmiłki i mam za swoje.

- Kogo?

- Ludmiły, dentystki.

Popatrzyłam na nią zupełnie zdezorientowana, a ona zaczęła opowiadać.

Nina miała od dzieciństwa słabe zęby, całe życie z nimi walczy. Długo szukała dobrego stomatologa, wreszcie trafiła na Ludmiłę Szabanową. Ta miała złote ręce. Nineczka została jej stałą pacjentką. Najpierw po prostu leczyła sobie zęby, z czasem jednak kobiety się zaprzyjaźniły, zaczęły wspólnie chodzić do teatru i na koncerty. Ludmiła nie miała rodziny, Nina też była wolna jak ptak. Stawały się sobie coraz bliższe.

Niedawno Miła zwierzyła się Ninie, że jest bardzo zmęczona. Ludzie drażnią ją tak, że gdy wsiada do metra, czuje obrzydzenie.

- Wypocznij - poradziła jej Nina. - Jedź nad morze, do Egiptu albo do Emiratów.

- Nie chcę - skrzywiła się przyjaciółka. - W kurortach są tłumy, a ja bym się zaszyła gdzieś, gdzie nie ma żywej duszy i cisza wkoło... Tylko gdzie znaleźć takie miejsce?

I wtedy Ninie wpadła do głowy genialna myśl.

- Chcesz, to załatwię ci skierowanie do Łożkina, będzie cię kosztowało grosze. Podobno zimą nie ma tam nikogo.

- A niby jak to zrobimy? - zdziwiła się Miła. - Przecież nie jestem literatką.

- Jesteśmy do siebie podobne - zapaliła się Nina. - Obie czarne, smagłe, oczy piwne. Wprawdzie ty jesteś zgrabniejsza, ale w dowodzie jest tylko twarz. Załatwię skierowanie dla siebie, a pojedziesz ty, nikt nic nie zauważy. Ja nigdy nie byłam w tym domu, nikt mnie tam nie zna. Będziesz udawała Sundukian, co za problem. A jako członek związku literatów zapłacisz tyle co nic.

Nina wyjęła dowód i Miła przyznała, że po zdjęciu trudno poznać, do kogo należy. Zdjęcie było stare, Ninel miała wtedy inną fryzurę, a na dodatek nosiła okulary. Rok temu zrobiła sobie operację i pozbyła się krótkowzroczności.

Pełna najlepszej woli, by pomóc koleżance, udała się do związku literatów. Tydzień później Miła wyjechała na urlop.

- A pani gdzie się ukryła?

Nina wzruszyła ramionami.

- Nigdzie, spędziłam dwa tygodnie w Kostromie, odbywało się tam święto poezji i festiwal.

Milczałam wstrząśnięta. To znaczy, że pochowaliśmy Ludmiłę Szabanową?

- Czy Miła miała dzieci albo męża?

Nina spokojnie wydmuchiwała papierosowy dym przez lufcik, obserwując w milczeniu, jak smugi rozplývają się w powietrzu.

- Popatrz na szary dym nad dachem. Chłodny bardziej niż chłód, ku któremu dąży, tak oto i ty podążysz za nim...

- Co? - spytałam zdumiona.

- Coś takiego napisał Bertolt Brecht - wyjaśniła, gasząc niedopałek w pustej puszcze po konserwach, która w tym domu służyła jako popielniczka. - Genialny Brecht, u nas zupełnie mylnie rozumiany. Pani o coś pytała?

- Czy Miła ma rodzinę?

Nina w zamyśleniu obracała puszkę.

- Zdaje się, że nie, przynajmniej teraz.

- A wcześniej? Może miała dzieci...

Nina pokręciła głową.

- Uświadomiłam sobie właśnie, że nic a nic nie wiem o jej przeszłości.

Poznałyśmy się przed dwoma laty, nigdy nie wspominała o żadnych swoich bliskich.

Raz tylko jej się wyrwało, że wychowywała się w domu dziecka. Jechaliśmy autobusem ulicą Chołmską i wskazując nieduży dom, powiedziała: „Tutaj spędziłam dzieciństwo, nikomu nie życzę takiego”.

Na pytanie dlaczego, odpowiedziała:

- Tu jest przytułek, słyszałaś przecież, że przystanek nazywa się „Dom Dziecka”. Spędziłam w nim kilka lat, wszystkiego doznałam: chłodu, głodu i bicia. Wdzięczna jestem tylko Jelenie Wadimownie, wychowawczym, bo to ona namówiła mnie na stomatologię.

I zamilkła, jakby się czegoś wystraszyła. Ninel usiłowała wrócić do tej rozmowy, ale Miła zręcznie zmieniła temat i już nigdy więcej o tym nie wspomniała. Nina nie miała zielonego pojęcia, jak Miła żyła, nim się poznały. Nigdy nie opowiadała o byłym mężu ani o innych krewnych, nie wspomniała też słowem o dzieciach. Poza tym była przyjazna, kontaktowa, chętnie przychodziła z wizytami, do siebie też chętnie zapraszała, tyle tylko, że nie lubiła mówić o przeszłości. Niny zresztą też o nic nie wypytywała, zadowolala się tym, co przyjaciółka sama powiedziała.

Pobiegłam do samochodu i przyniosłam torebkę.

- Poznaje pani?

- Tak - potwierdziła Ninel bez wahania. - To torebka Miłoczki. Dałam jej w prezencie na Nowy Rok.

- Nie pamięta pani, w co była ubrana, gdy wyjeżdżała?

Nina pokręciła głową.

- Nie odprowadzałam jej. Rozmawialiśmy tylko przez telefon. Ale przecież było zimno, więc przypuszczam, że włożyła kurtkę z norek i skórkowy czarny kapelusik z futrem.

- Zna pani jej charakter pisma?

Zastanawiała się chwilę.

- Nie sędzę. Nie pisywałyśmy do siebie, rozmawialiśmy, głównie o sztuce - teatrze, literaturze, malarstwie... Myśli pani, że Miłoczka umarła?

Popatrzyłam niepewnie na torebkę. Niby wszystko świadczy o tym, że z okna wyskoczyła Ludmiła Szabanowa, ale przecież zaledwie kilka godzin wcześniej byłam równie pewna, że nie żyje Ninel Sundukian. A tymczasem ona siedzi przede mną. Nie wolno mi popełnić takiego błędu po raz drugi.

## Rozdział 7

Następnego dnia rano znowu zjawiłam się w gabinecie kapitana. Ten aż poczerwieniał ze złości i warknął:

- Co znowu?

Zaczęłam wyjaśniać, co mnie sprowadza.

- Bardzo przepraszam, zaszła pomyłka. Samobójczyni w istocie nazywała się Ludmiła Szabanowa, Nina Sundukian żyje.

- Jak to żyje? Widziała pani ciało? Zidentyfikowałyście ją?

- Siostra się pomyliła - powiedziałam pokornie. - Zmarła była bardzo podobna do Sundukian. Smagła, takie same czarne włosy, oczy piwne, a przy tym stres, sam pan rozumie... Liana była bardzo zdenerwowana i nie przyjrzała się należycie.

- Brednie - warknął kapitan. - Jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkałem. To jakiś absurd i brak odpowiedzialności. Na jakiej podstawie utrzymywała pani, że zmarła nazywa się Sundukian? Kto to wymyślił?

Dość chaotycznie usiłowałam przedstawić mu fakty. Kapitan machnął ręką.

- Czy szanowna pani może z willowego osiedla Łożkino?

- Tak.

- No jasne. Pewnie pani nie pracuje i nie ma się czym zająć przez cały dzień. Niech pani kupi sobie psa, najlepiej pudła. A nam nie przeszkadza w pracy. Teraz trzeba od nowa zająć się tą sprawą, ekshumować zwłoki...

- Ale ich nie ma.

- A gdzie się podziały?

- Wczoraj zostały skremowane.

- Jako Sundukian?

Kiwnęłam głową zrezygnowana. Kapitan otworzył usta, ale powstrzymał się od mocnych słów, wyszczał jedynie:

- Chcę mieć wszystkie dane: adresy, telefony.

- Czyje? Moje?

- Pani też - warknął ze złością. - Nieźle pani namotała!

- Czy zostanę ukarana?

Westchnął ciężko i wyjął papierosy. Nagle przestał mnie drażnić.

Uświadomiłam sobie, że to nie jest zły człowiek, po prostu obciążony natłokiem

spraw, bardzo zmęczony i najwyraźniej niespełniony. Lata swoje już ma, a wciąż tkwi w zwykłej komendzie z byle gwiazdkami na pagonach.

Nie wiedzieć czemu, ja też chyba zaczęłam mu się podobać, bo uśmiechnął się nieoczekiwanie:

- Numer z pani, nie powiem. Kiedy się pani dowiedziała, że Sundukian żyje?

- Na stypie.

Uśmiechnął się znowu.

- Urządziła pani prawdziwy cyrk. Teraz krewni podadzą panią do sądu, zażądamy pieniędzy za pogrzeb, do tego dojdzie odszkodowanie za straty moralne, zbierze się okrągła sumka.

- Czy możemy sprawdzić Szabanową?

- Szanowna... - zaczął gniewnie.

- Mam na imię Dasza.

Kapitan zapalił następnego papierosa.

- A po ojcu?

- Iwanowna.

- Otóż, Dario Iwanowno...

- A jak mam się zwracać do pana?

- Mikołaj Wasiljewicz. Otóż, szanowna Dario Iwanowno, proszę iść spokojnie do domu, kompetentne organy zajmą się, czym trzeba.

Wysłałam na Plac Dworcowy z chaosem w głowie. Jasna sprawa, że nikt niczym nie będzie się zajmował, dzięki moim staraniom nie mają teraz nawet zwłok. Szczerze mówiąc, mogłabym zmusić tego kapitana do zajęcia się sprawą. Pułkownik Diegtiariew, wysoko postawiony w milicyjnej hierarchii, jest moim starym znajomym. Wiele razy pomagał nam w rozmaitych perypetiach! I tak się utarło, że w razie jakichś kłopotów natychmiast dzwoniłam do niego. Ale akurat teraz, jak na złość, wyjechał na urlop. Wysłaliśmy go do Nataszki do Paryża i teraz z pewnością chodzi po Luwrze (albo po Saint Denis), podziwiając obrazy i rzeźby. Tymczasem ja stoję pośrodku brudnego placu i usiłuję rozszyfrować skomplikowane zagadki: jeśli samobójczyni jest istotnie Ludmiłą Szabanową, to gdzie podziała się jej córka? Kim jest Nikołaj? I dlaczego zabiła jakiegoś Leonida?

Słońce nieśmiało przebiło się przez chmury i oświetliło rząd sklepików sprzedających niezbyt wyszukany towar, głównie wódkę i piwo. Między sklepikami, wprost na brudnym śniegu, spał snem sprawiedliwego miejscowy kloszard Kostia.



Dobrze znałam tego oberwańca. Nie sposób odgadnąć, ile miał lat. Na oko około sześćdziesiątki, ale równie dobrze mógł mieć trzydzieści. Zawsze podbite oko i sina, opuchnięta, brudna twarz nie pomagały w określeniu wieku. Kostia wciąż pęta się wokół sklepików, licząc na jakiś datek. W przeciwieństwie do gromady innych obdartusów, nigdy nie kradnie i stara się pracować. Zamiata plac, odgarnia śnieg, przeciera szyby, mnie czasami nosi ciężką torbę z butelkami wody mineralnej. Kłopot w tym, że gdy tylko podłapie parę groszy, natychmiast kupuje „wodę ognistą” i się upija. Dzisiaj też już najwyraźniej zdążył coś zarobić, ponieważ spał jak niemowlę, podłożywszy pod głowę kolorową torbę podróżną.

Podeszłam do niego. Skołtuniona, dość cuchnąca plereza menela spoczywała na kolorowych obrazkach - były to wesołe mordki Myszki Miki, Guffiego i Minni. Zwariowana torba z Disneylandu! To właśnie z nią wyjeżdżała z Domu Pracy Twórczej pseudo-Sundukian.

Pochyliłam się i zaczęłam szarpać Kostię za ramię.

- Ej, obudź się!

Uchylił powieki i usiłował skupić wzrok, ale mu się to nie udawało.

Westchnęłam, kupiłam w sklepiku butelkę piwa i wsunęłam mu do ręki.

- Trzymaj.

Piwo miało cudowne działanie. Pijaczek usiadł, ręce natychmiast przestały mu się trząść i dość przytomnym głosem zapytał:

- Co trzeba zrobić?

- Skąd masz tę torbę? - zapytałam, usiłując nie wdychać ciągnącego od niego odoru niemytego ciała, moczu i alkoholu.

Kostia wlepił spojrzenie w kolorową „poduszkę” i podrapał się w głowę.

- Tę? Znalazłem.

- Tak po prostu znalazłeś?

- Aha, idę sobie, a tu ona leży na drodze.

- Gdzie?

Gapił się chwilę przed siebie, potem zaczął mówić, machając ręką.

- A tam, pod lasem, dokładnie przy wyjeździe na szosę, w rowie. Myślałem, że się na coś fajnego załapię, a tam tylko jakieś szmaty, puder i szminka.

- Pokaż te rzeczy.

- A po cholere mi one. Oddałem Lence.

Lenkę, babę chudą jak szczapa z przepicia, znalazłam koło budki dróżnika.

- Rzeczy? - burknęła. - Nic takiego nie widziałam, Kostia kłamie. A czego się czepiasz, twoje, czy co?

Wyjęłam z portmonetki sto rubli i machnęłam jej przed nosem.

- Chcesz?

Lenka wlepiła spojrzenie w ogromny w jej pojęciu majątek, głośno przełknęła ślinę i zapytała:

- Co niby mam zrobić?

- Pokaż mi rzeczy, które dał ci Kostia. Nie bój się, nie zabiorę, tylko obejrzę i oddam.

Lenka pociągnęła nosem, wyraźnie zmartwiona.

- Sprzedałam, tam były takie ubrania... mnie na nic nieprzydatne.

- Komu?

Pijaczka popatrzyła w stronę piętrzących się bloków.

- Cholera wie! Stałam na stacji, baby wysiadły z kolejki i momentalnie wszystko rozchwytały. Tylko taką małą torebeczkę ze szminką podarowałam Lubie, sprzedawczynie z monopolowego, ona zawsze jest dla mnie miła.

Musiałam wrócić do pawilonu z napisem „Bogatyń”. Wódkę na stacji można kupić wszędzie, ale miejscowe pijaczki najchętniej wybierają „Bogatyń”. Jego właściciel mocno zwiększył obroty, gdy zaczął sprzedawać wódkę na porcje. W dodatku sprzedawcy bezwstydnie rozcieńczali „drinki”, wychodząc ze słusznego założenia, że ich klientela nie ma rozeznania co do jakości trunku. Luba miała miękkie serce i niekiedy nalewała porcyjkę za darmo, za co właśnie dostała kosmetyczkę.

Gdy zapytałam ją o prezent, zaczerwieniła się:

- To pani kosmetyczka, tak?

- Bardzo przepraszam - udawałam zakłopotanie. - Czy byłaby pani tak uprzejma mi ją pokazać?

Luba wyjęła spod lady ładną zamszową kosmetyczkę i powiedziała:

- Lenka brała wódkę na kredyt, ale pieniędzy nie przynosiła. No to wzięłam od niej, jakby w zastaw...

Spojrzenie obwiedzionych czarną kreską oczu sprzedawczynie umykało w bok. Wyglądało na to, że często odbierała od pijaczków kradzione rzeczy, ale jej morale akurat nic a nic umie nie obchodziło. Moje ręce same wyciągnęły się po zamszowy woreczek, a usta wymówiły:

- No proszę, znalazła się! Zgubiłam, gdy kupowałam papierosy, a pewnie Lenka znalazła.

- Czego się po nich spodziewać, to straceni ludzie - podsumowała Luba, z zalem patrząc na wymykającą się z jej rąk kosmetyczkę.

Dałam jej sto rubli i podskakując z podniecenia, pomknęłam do samochodu.

Szabanowa nie żałowała na siebie forsy. W kosmetyczce były wyłącznie markowe kosmetyki, sama takich używam. Szminka, podkład, tusz do rzęs, róż, wszystko w wyzywających odcieniach, niemal na granicy wulgarności. Choć brunetce musiało być w tym dobrze. Ale co najważniejsze, w małej kieszonce odkryłam cenne znalezisko - pęczek kluczy ze skórzanym breloczkiem.

Wyjęłam komórkę i zadzwoniłam do Niny Sundukian.

- Proszę mi podać adres Szabanowej.

- Przejazd Bieriezowski 18 mieszkania 70. A po co to pani?

Ale ja już się rozłączyłam i uruchomiłam silnik. Doskonale znałam tę ulicę, mieszkała tam jedna z moich byłych teściowych.

Na kółeczku kołysały się cztery klucze i plastikowy patyczek. Domyśliwszy się, że tym ostatnim otwiera się domofon, wetknęłam go w otwór i weszłam do bramy. Czysto, jasno, skądś dobiegały dźwięki radia.

Drzwi do mieszkania, najwyraźniej metalowe, obite jasnopiaskową skórą, wyglądały elegancko. Klucze obróciły się lekko w zamkach i oto weszłam do niedużego, ale doskonale urządzonego przedpokoju. Wbudowane szafy jaśniały lustrzanymi drzwiami, na podłodze wykładzina dywanowa. Dwa nieduże pokoje aż lśniły. Nawoskowane meble, lakierowane podłogi, nieskazitelnie czyste firanki. W kuchni wszystkie drobiazgi w czerwonym kolorze, co robiło odświeżające wrażenie.

Zaczęłam przeglądać wnętrza szaf. Na półkach stopy drogich, pięknych ubrań. Samych swetrów około tuzina. No cóż, świetnie zarabiała, dlaczego miała sobie żałować. Ale absolutnie nic nie wskazywało, by była wariatką. Umeblowanie mieszkania najlepiej świadczyło o pani domu: pedantka, trochę nudna. Proszę, jak równiutko stoją filiżanki w kredensie, wszystkie uszkami w jedną stronę. W łazience to samo - dwa ręczniki powieszono równiutko, buteleczki z szamponem ustawione według wielkości. U nas w domu wszystkie butelki wiecznie są poodkręcane.

W sypialni, na małym stoliku obok wygodnego szerokiego łóżka, stała w kosztownych ramach fotografia. Schwyciłam ją czym prędzej. Tak, to ona. Tyle że na zdjęciu czarne oczy patrzą serdecznie, piękne usta uśmiechają się, twarz jest

łagodna, bezbronna, a nie zła i zacięta. Pięknym nagim ramieniem Ludmiła obejmuje chudziutką ciemnowłosą dziewczynkę w kolorowym ubranku. Na oko dziewczynka, również uśmiechnięta, mogła mieć ze dwa lata, nie więcej. Odwróciłam błyszczący kartonik - na odwrocie była jedynie data: 1999 rok. Czyli ma jednak córkę, ale gdzie?

W mieszkaniu nic nie wskazuje na obecność dziecka - nie ma zabawek, książeczek, ubranek. Ani łóżeczka, ani wózka, ani rowerka...

Czyli w przedśmiertnym liście jest szczerza prawda. Gdzieś tam przebywa wspomniana Wieroczka i w razie śmierci Ludmiły dziecko umrze z głodu.

Zapaliłam gauloise'a. Szabanowa wyjechała z Domu Pracy Twórczej wcześniej, niż zamierzała. A to znaczy, że jej krewni myślą, iż Miła wciąż odpoczywa w Łożkinie, dlatego się nie denerwują. Zaczną się martwić, gdy nie wróci do Moskwy we właściwym czasie.

Otworzyłam skrytkę w ścianie i znalazłam tam pudełko z dokumentami. Książki rachunkowe za światło, gaz, czynsz, kilka zapłaconych rachunków telefonicznych, jakieś dwa paragony. Był tam również paszport, dyplom ukończenia Trzeciego Instytutu Medycznego, dowód osobisty. Otworzyłam granatową książeczkę.

Ludmiła Gieorgijewna Szabanowa, zawód stomatolog i tajemnicze litery SZOOFUG. I to wszystko, żadnych dokumentów dziecka: ani metryki, ani książeczki zdrowia. Widocznie dziewczynka mieszka gdzie indziej, tylko gdzie?

Zrobiło mi się nagle zimno, przez uchylony lufcik ciągnął lodowaty wiatr. Wyrzuciłam na ulicę niedopałek, ruszyłam ku drzwiom, ale jeszcze zawróciłam, wzięłam ze stolika zdjęcie, a ze schowka jeden z rachunków za rozmowy międzymiastowe.

Kapitan Nikołaj Wasiljewicz na mój widok tylko westchnął z rezygnacją. Położyłam na stole klucze, zdjęcie i rachunek. Wysłuchał mnie i jeszcze raz spróbował przemówić mi do rozsądku:

- Po co to pani? Sprawa jest zamknięta. Samobójczyni została zidentyfikowana jako Nina Waganowna Sundukian, ciało skremowano, koniec, kropka.

- Nic podobnego - oburzyłam się. - Przecież powiedziałam panu rano o Szabanowej. Proszę spojrzeć, to dziecko zostało bez matki.

- Sprawa zamknięta - powtórzył twardo.

- To niech ją pan otworzy.

- Na jakiej podstawie?

Zastanowiłam się sekundę i wypaliłam:

- Z powodu pomylenia ciała i pochowania innej tożsamości. No nie, pomieszczenie milicji ma wpływ na psychikę. Sama zaczęłam używać jakiegoś nieludzkiego języka.

Nikołaj Wasiljewicz zsiniał na twarzy i wycedził:

- Jeśli dostanę wniosek, wtedy wznowię sprawę.

- To ja go od razu napiszę - ucieszyłam się.

- Jeszcze czego. Papierek przyjmę albo od Sundukian, albo od krewnych Szabanowej. A panią proszę, by już tu nie przychodziła.

- Dobrze - powiedziałam zgodnie. - Ale niech pan zrobi na koniec jeden dobry uczynek.

- Jaki?

- Niech się pan dowie, do kogo należy numer, na który dzwoniła Ludmiła, i co za instytucja SZOOFUG.

Kapitan nieoczekiwanie wyraził zgodę.

- Umowa stoi, ale przysługa za przysługę.

- Jaka?

- Dowiem się tego, o co pani prosi, ale pani noga nigdy tu więcej nie postanie, zgoda?

„Ostatecznie, jeśli będzie taka potrzeba, to pójdę do komendanta” - pomyślałam i zgodziłam się skwapliwie. Jadąc do domu, zadzwoniłam do Niny.

- Gdy będzie się pani wybierać na milicję, by zgłosić, że pani żyje, proszę zadzwonić, odwiozę panią.

- Nie zamierzam nigdzie jechać - oświadczyła, ziewając.

Tak mnie zaskoczyła, że omal nie wpadłam do rowu. Zjechawszy na pobocze, spytałam:

- Jak to?

- Normalnie - wyjaśniła. - Wyobraża sobie pani to urwanie głowy z wskrzeszaniem ze zmarłych? Trzeba będzie zebrać walizkę zaświadczeń. Zaniósłam dzisiaj podanie do wydziału dowodów osobistych, napisałam, że ukradziono mi torebkę, a w niej dokumenty. Za dwa tygodnie dostanę nowy dowód i po kłopotcie.

Na chwilę odjęło mi głos.

- Ale przecież Szabanową skremowano pod pani nazwiskiem.

- To co z tego? - odpowiedziała spokojnie. - Jej teraz wszystko jedno.  
- Czyli na niszy będzie tabliczka „Nina Waganowna Sundukian”?  
- Na tablicy nagrobkowej można napisać jakiegokolwiek nazwisko. A jak nikt nie odbierze urny z krematorium, to ją tam rok potrzymają, a potem pochowają na koszt państwa.

Poczułam ucisk w skroniach, widocznie od takiego gadania krew uderzyła mi do głowy.

- Ale przecież sama pani mówiła, że Ludmiła to pani koleżanka - spróbowałam obudzić w niej ludzkie uczucia. - Zostawiła córeczkę. Kiedy zaczną szukać Niny, nikt nie wpadnie na to, że została już skremowana pod obcym nazwiskiem. Tak nie można, trzeba to wyjaśnić.

Nina powiedziała z uśmiechem w głosie:

- Koleżanka to za dużo powiedziane. Po prostu dobra znajoma. O żadnej córce nigdy w życiu nie słyszałam, krewnych nie ma, nikt nie będzie jej szukał. Jej już wszystko jedno, i tak została spalona, a dla mnie to straszna mitręga i ból głowy.

Wściekła, dźgnęłam palcem czerwony guzik i komórka, piknąwszy żałościwie, wyłączyła się. No nie, ale z tej Niny numer! Bardzo ciekawe, jak ona to sobie wyobraża: dostanie dowód, choć uznano ją za zmarłą? Liczy, że nasze odnośne służby są niezbyt rozgarnięte? Ma nadzieję, że informacja o jej „śmierci” nie dotarła jeszcze do wydziału dowodów? No cóż, w zasadzie jest to możliwe. Dostanie nowy dokument i będzie sobie spokojnie żyła. I nikogo nie obchodzi los małej dziewczynki, która straciła matkę. Wyjęłam zdjęcie i jeszcze raz popatrzyłam na radosne, szczęśliwe twarze. Następnie włączyłam silnik i ruszyłam do domu. Znajdę cię, Wieroczko, obiecuję!

## Rozdział 8

W domu znowu był rozgardiasz. W przedpokoju piętrzyły się czyjeś palta i kurtki, z salonu dobiegały salwy śmiechu. Weszłam cicho do pokoju.

- Oj, musieczko! - Marusia skoczyła w moją stronę. - Fila wróżył wszystkim, a teraz odprawiamy obrzęd wygnania złych duchów.

W salonie tłoczyło się z dziesięć osób, kompletnie mi nieznanym. Każda z nich trzymała w ręku świecę i jakieś dzwoneczki.

- Daszka! - zawołała Aliska. - Jesteś wreszcie! Fila, daj jej szybko trambolo.

- Co? - zdziwiłam się.

- Tak nazywa się dzwoneczek, którym odgania się złe duchy - wyjaśniła zarumieniona Olga. - Ustawimy się teraz według szczególnego, magicznego klucza i okążemy dom.

Popatrzyłam z przerażeniem na synową.

- A gdzie Kiesza?

- Ubiera psy - odpowiedziała Kicia.

Ledwo to powiedziała, do pokoju wszedł Arkaszka. Na jego widok omal nie zemdlałam. Głowę syna zdobiła cudaczna czapka z różkami, ozdobiona dzwoneczkami, bardzo przypominająca czapkę błazna. Bundy i Snap też miały na szyjach dzwoneczki, Hootchusia wbito w jakiś srebrzysty kombinezon, a Julie i Cherry przystrojono wronimi piórami.

- No, ustawiać się, żywo! - zarządził Fila.

Wszyscy zaczęli się beładnie kręcić, ale czarownik zdecydowanie zaprowadził porządek.

- Pierwszy idzie Arkady, pan domu, z rottweilerem. Za nim Daria z Bundym.

W lewą rękę wciśnięto mi smycz, a w prawą ciężki dzwonek z brązu.

- Doskonale - komenderował mag. - Za nimi mężczyźni według wieku z pozostałymi psami, następnie panie. Masza na końcu.

- Nie chcę być ostatnia - skrzywiła się dziewczynka.

- Nie kłóć się, bo cię zamienię w ropuchę - postraszył Fila.

Wziął do ręki patyk ozdobiony piórami, Irka omiata takim obrazem z kurzu. Do holu wdarł się lodowaty marcowy wiatr. Ukochany Aliski uniósł ręce i ruszył do wyjścia, głośno zawodząc:

- O-o-o-ja-jej!

Doszedłszy do drzwi, z irytacją stuknął upierzonym patykiem w podłogę i odwrócił się do nas.

- To do niczego niepodobne, w taki sposób nie przegania się złych duchów. Śpiewać mają wszyscy, a kiedy stuknę o ziemię, należy zamknąć buzie i w milczeniu potrząsać dzwoneczkami. Zrozumiano?

- Tak - rozległ się zgodny chór.

- No to ruszamy!

Znowu ruszył w stronę wyjścia, machając idiotyczną miotełką.

- O-o-o, i-i...

- Jej, jej, i-i-i - zawyli domownicy i goście, idący za nim krok w krok.

Snap zaczął szczekać, a Bundy natychmiast się zsikał. Nasz dzielny pitbull robi tak zawsze, gdy tylko uzna, że zagraża mu jakieś niebezpieczeństwo.

- A-a-a! - jęczał Fila.

- U-u-u! - wtórowali pozostali.

Poirytowana do granic wytrzymałości, jednak zawodziłam razem ze wszystkimi. Procesja powoli okrążyła dom. Czarownik zatrzymał się gwałtownie i walnął skurczawką o ziemię. Całe towarzystwo momentalnie ucichło i zaczęło potrząsać dzwoneczkami.

- O-o-o - wyła, zagapiwszy się, Mania.

- Nie, to nie do pojęcia! - rozsierdził się Fila. - Czy tak trudno zapamiętać, że kiedy berło dotyka ziemi, wszyscy zamykają gęby.

- Przepraszam - wyjąkała Masza, czerwieniejąc gwałtownie - zapomniałam.

- Nie szkodzi - odpowiedział na to Fila nieoczekiwanie łagodnym głosem. - To nie twoja wina, dziecko. To, co się dzieje, da się bardzo prosto wytłumaczyć: jest między nami osoba, która nie wierzy w wypędzanie duchów i podświadomie nam przeszkadza. Ale nic z tego - połączymy wysiłki i zwyciężymy zło.

Poczułam, że się rumienię. No proszę, co za psycholog! Wprawdzie nie wymienia po imieniu, ale niedwuznacznie daje do zrozumienia.

Następną godzinę spędziliśmy w ogrodzie. Najpierw odbyliśmy procesję wokół domu, następnie skakaliśmy na lewej nodze, potrząsaliśmy głowami, kłanialiśmy się bóstwu Yumo i odganialiśmy złego Mumo. Wreszcie Fila pokropił wszystkich jakąś niebieską ciecżą o ostrym zapachu i oświadczył:

- Możemy wracać, dom jest oczyszczony.



Zmarznięci i wygłodniali, ruszyliśmy całą gromadą do ciepłego salonu, gdzie rozkosznie paliło się w kominku.

Na stole parował czajnik. Z wdzięcznością zerknęłam na rozbawioną Aliskę. Ostatnio u nas w domu zawsze jest wrzątek i gorąca kawa. Kartofelki wyglądają zachwycająco: równiutkie, pięknie obrane, posypane koperkiem, a ogromny puc mięsa apetycznie upieczony w piecyku.

W milczeniu zajadaliśmy pyszną kolację. Obserwowałam spod oka nieznanym mi ludzi. Trzy niezbyt urodziwe damy i pięciu przystojnych młodzieńców. Aliska nigdy nie tolerowała wokół siebie atrakcyjnych kobiet i mężczyzn powyżej dwudziestkiptki.

- Jesteś ciekawa, kto to jest - uśmiechnęła się. - Zaraz ci przedstawię. To jest...

Ale nie zdążyła dokończyć. Z ulicy dobiegło okropne wycie. Zaskoczona Kicia upuściła widelec, a któryś z gości głośno stęknął.

- Co to? - wyszeptała pobladła Masza.

- Pewnie jakieś bezdomne psisko zabłąkało się do ogrodu - wybąkał niezbyt pewnym głosem Kiesza.

- Nie ma się czego bać - oświadczył zdecydowanym tonem Fila - po prostu Mumo wrócił!

- Kto? - zawołali obecni niemal jednym głosem.

- Zaraz go przegnam - zapewnił Fila i zgasił światło.

W głębokich ciemnościach słyhać było jedynie przyspieszone sapanie naszych psów.

- O, Mumo! - zakwilił czarownik, otwierając okno. - Odejdź do swojego królestwa, zaklinam cię na ducha Yumo i zieloną gałąź świętego dębu, o Mumo!...

Ale w odpowiedzi na jego wołanie z ogrodu dobiegło to samo głuche wycie, chwilami przechodzące w pisk.

- Potworne - wyszeptała Kicia.

- Czy on do nas nie wejdzie? - zapytała bojaźliwie jedna z panius.

- Mumo, oj, Mumo - rzekł Fila, potrząsając czymś, co najbardziej przypominało mi koszyczek do robótek ręcznych - Mumo, odejdź.

Znudził mnie ten cyrk, więc wymknęłam się po cichu z salonu, otworzyłam drzwi wejściowe i wyjrzałam do ogrodu. Tuż przy schodkach, w cieniu wielkiego świerka siedział śmiertelnie przerażony Hootch i wydawał dźwięki, które tak wszystkich wystraszyły. Grubiutki, sympatyczny Hootchuś - wielki amator

smacznego jedzenia i miękkiej kanapy. Zimna nie cierpi i długie, ciemne miesiące zimowe spędza zakopany w miękkich pledach. Ożywia się jedynie na widok czegoś do jedzenia, węch ma niewiarygodny, a słuch niczym kozica górską. Jeśli w nocy nachodzi mnie ochota na czekoladę - przyznaję się do grzechu, lubię podjadać słodycze w łóżku - to Hootch pędzi do mojej sypialni z największą prędkością, na jaką pozwalają mu jego małe, krzywawe łapki. A odmówić mu nie sposób. Wielkie piwne oczy mopsa patrzą błagalnie, różowy języczek drga i ręka sama wsuwa mu do pyszczki słodkie kawałeczki. Przełknąwszy poczęstunek, Hootch pakuje się do łóżka, mości pod kołdrą i spokojnie zasypia. Spacerów nie lubi. Arkaszka niemal wypycha go za drzwi, a psina buntuje się z całych sił, zapierając się łapkami na progu, latem, owszem, wychodzi do ogrodu, ale zimą usiłuje załatwić się w kuwecie kotów, które, gniewnie fukając, przeganiali intruza ze swojej toalety. Kilka razy oberwało mu się od Fifiny i Kleopatry, ale mopsik jest niepoprawny. Jeśli na zewnątrz jest deszcz, śnieg, wiatr, zimno - niewzruszenie sadowi się w kocim żwirku.

Dzisiaj miał strasznego pecha. Najpierw wyciągnięto go z domu i zmuszono, by brodził delikatnymi łapkami po marcowych lodowatych kałużach, a potem, w ogólnym zamieszaniu, po prostu zapomniano wpuścić do domu; nic tylko wyć z przerażenia i wściekłości.

- Hootchuś, chodź tu! - zawołałam.

Ale mopsik nie ruszył się i nie przestał głośno lamentować.

Musiałam, rada nierada, podreptać do niego pod świerk. No tak, wszystko jasne. Kretyński srebrzysty kombinezon, w który nie wiedzieć czemu ustrojono biedaka, zsunął mu się z tylnych łapek, nogawki się zaplątały i piesek nie był w stanie zrobić ani kroku. Wytrząsnęłam go z przebrania i schwyciwszy całego drżącego na ręce, wniosłam do domu. Hootch jak opętany rzucił się do kocij toalety. Proszę, co za pryncypialność - umrę, a nie będę siusiał w takie zimno na dworze.

W salonie panowało uniesienie.

- Gdzie ty się wiecznie włóczysz? - naskoczyła na mnie Alisa, widocznie nadwerężywszy już znacznie butelkę koniaku - najciekawsze przegapiłaś. Mumo odszedł, zarzęził ostatni raz i uciekł, Fila go przegnał.

Czarownik znużonym gestem poprawił kosmyk włosów.

- Cóż, musiałem się trochę pomęczyć, zużyłem prawie cały potencjał energetyczny. Za to teraz nie wejdą tu już żadne nieszczęścia...

- Wstrząsające! - wyszeptała jedna z damulek, dzwoniąc kolczykami. -

Niebywałe!

- Zachwycające - odezwała się Kicia.

- Ekstra - podsumowała Masza.

- Szczerze mówiąc, nawet się trochę wystraszyłem - przyznał się Kieszka. - On tak wył, najpierw pomyślałem, że to pies, ale potem pojąłem, że żadne zwierzę nie mogłoby wydawać podobnych dźwięków.

Popatrzyłam na blogo rozciągniętego w fotelu Hootcha. Na temat walorów umysłowych Aliski i jej koleżanek nie miałam żadnych złudzeń - tępe jak głąby. Ale kto by pomyślał, że i moi domownicy to takie przygłupy!

Następnego dnia rano pojechałam, aby odnaleźć dom dziecka, w którym wychowywała się Ludmiła Szabanowa. Przecież niemożliwe, by nie zachowały się tam jakieś dokumenty, a może są jeszcze ludzie, którzy pamiętają dziewczynkę.

Ale młoda, energiczna dyrektorka natychmiast mnie rozczarowała.

- Ile lat ma ta Szabanowa?

- Około trzydziestki.

- Czyli od jej wyjścia stąd minęło ponad dziesięć lat, a przez ten czas zmieniło się tu siedmiu kierowników.

- Może zachowały się akta personalne? - zapytałam, sama dostrzegając beznadziejność sytuacji.

Dyrektorka zmarszczyła zgrabny nosek. Na oko wyglądała na trochę starszą od Kici, pewnie dopiero co skończyła studia.

- W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym wybuchł pożar i prawie wszystkie akta się spaliły. Jeszcze tu wtedy nie pracowałam.

Uchyliły się drzwi i do pokoju zajrzała kobieta ze staromodną fryzurą.

- Czy można?

- Ależ proszę - ucieszyła się dyrektorka. - Poznajcie się, panie, to Wiktoria Pawłowna, od wielu lat jest tutaj nauczycielką.

- Pamięta pani Ludmiłę Szabanowa? - zapytałam. Starsza pani usiadła i powtórzyła w zadumie:

- Szabanowa... Szabanowa... a dlaczego pani o nią pyta?

Ale ja przygotowałam sobie przekonujące wyjaśnienie.

- Jak już powiedziałam pani dyrektor, reprezentuję kancelarię adwokacką. Znaleźli się krewni Szabanowej, mieszkają za granicą i usiłują ją odnaleźć.

- Niestety. - Wiktoria Pawłowna westchnęła ze smutkiem. - Nie sposób

wszystkich zapamiętać. Tyle tu było dzieci... Nazwisko jakby znajome...

Postanowiłam wykorzystać ostatnią szansę.

- A czy zna pani wychowawczynię Jelenę Wadimownę?

- Tę mądralę? - wycodziła Wiktoria Pawłowna. - Owszem, razem pracowałyśmy. Bez przerwy pouczała nauczycieli, jak należy odnosić się do dzieci, a dyrektor, już nie żyje, patrzył na nią jak w tęczę. Nic dziwnego, mąż tej nudziary pracował w Ministerstwie Oświaty jako kierownik wydziału. Jak było tylko czegoś potrzeba, to się Jelenie w pas kłaniali, na przykład paletka dla dzieci albo telewizor... A ona, owszem, mężowi szepnęła, a potem zadzierała nosa.

- Gdzie jest teraz? - przerwałam ten strumień starych żalów.

Wiktoria Pawłowna odrzekła zgryźliwie:

- Słusznie się mawia, że coś tam nie tonie. Tu kryzysy, kłopoty, a Jelena Wadimowna otworzyła prywatny college, dyrektoruje sobie, a pieniążki płyną...

- Zna pani adres?

- To tu, za rogiem - prychnęła. - Miała jeszcze czelność umieścić w lutym na naszej bramie ogłoszenie: „Szkoła unikatowej metodyki pedagogicznej Jeleny Starostinej ogłasza nabór”. Rzecz prosta, od razu go zerwano. Przecież specjalnie powiesiła, żeby nam pokazać: patrzcie i podziwiajcie!

Zostawiłam nieposiadającą się ze złości Wiktorię Pawłownę i udałam się pod wskazany adres. Istotnie, było to tuż za rogiem. W głębi podwórka stał typowy jednopiętrowy budynek przedszkola. W środku apetycznie pachniało obiadem, świeżo malowane ściany obwieszane były obrazkami. „Twórczość naszych uczniów” - informował plakat.

- Czy zastałam Jelenę Wadimownę? - zapytałam wyrośniętego młodzieńca, dźwigającego wielki globus.

Uczeń, a może wyjątkowo młody nauczyciel, zawołał w biegu:

- Pierwsze piętro, pokój dwanaście.

Ruszyłam schodami w górę. Wszystkie ściany pokrywały karykatury, przy oknie wisiała gazetka ścienna i umieszczono skrzynkę z napisem: „Wrzuć tu kartkę, na której opisałeś swój kłopot”. Na drzwiach pokoju, którego szukałam, widniała tabliczka: „Wchodźcie śmiało, razem uporamy się z wszystkimi trudnościami”. To wspaniałe, mam nadzieję, że i do mnie odnosi się to zapewnienie.

Pokój był duży i jasny. W najmniejszym stopniu nie przypominał gabinetu dyrektora, raczej przytulny salon: kanapa, dwa fotele, duża stojąca lampa, ogromny

ciemnozielony dywan, dużo obrazów, regał wypchany książkami i naczyniami. Tylko pod oknem przycupnęło biurko z komputerem i właśnie tam siedziała jasnowłosa kobieta.

Na skrzyknięcie drzwi Jelena Wadimowna odłożyła linijkę i zapytała uprzejmie:

- W czym mogę pomóc?

Popatrzyłam na jej otwartą, miłą twarz. Dość jeszcze młoda, pewnie przed pięćdziesiątką, ale pierwsze zmarszczki już biegły nitkami od piwnych oczu ku skroniom. „Kurze łapki” nie szpeciły jednak tej twarzy, wręcz przeciwnie, czyniły ją bardziej łagodną. Od razu widać, że rzadko się gniewa i często śmieje. W młodości musiała być piękna, nadal jest ładna. Jasna cera, lekko zadarty nos, usta Brigitte Bardot. Z pewnością jest świadoma swojego podobieństwa do sekssymbolu Francji, bo włosy farbuje na jasny blond. Zresztą, figurę też ma najwyraźniej do pozazdrosczenia, sądząc po tym fragmencie sylwetki, jaki widziałam ponad biurkiem.

Usiadłam i zaczęłam bezwstydnie kłamać na temat zagranicznych krewnych Szabanowej.

Jelena Wadimowna słuchała, nie przerywając, dopiero gdy moja fantazja się wyczerpała, odezwała się spokojnie:

- Świetnie pamiętam Miłę, czynnie uczestniczyłam w jej życiu, proszę mi tylko powiedzieć, czy poszukują jej krewni ze strony ojca, czy matki?

- Ojca - palnęłam bez chwili zastanowienia.

Jelena Wadimowna wyraźnie się zjeżyła.

- Pani ma, naturalnie, jakiś dokument tożsamości?

Podsunęłam jej pod nos francuski paszport. Na jego widok Rosjanie zazwyczaj stają się niezwykle uprzejmi, ale Jelena Wadimowna była wyjątkiem. Groźnie zmarszczyła brwi, jej usta straciły całe podobieństwo do ust Bardotki, zacisnęły się w wąską kreskę.

- Ach, jest pani cudzoziemką. Obawiam się, że nie potrafię pani pomóc.

- Nie chce pani, żeby Ludmiła dostała spadek po pradziadku?

- Pani nie jest tym, za kogo się podaje.

Straciłam rezon i zapytałam głupio:

- Dlaczego?

- Dlatego że dziadek Milki nie zostawiłby jej nawet kopiejki; przecież matka

Ludmiły zabiła swojego męża, czyli jego syna. Dlatego właśnie dziewczynka znalazła się w domu dziecka.

Rozdziawiłam usta. Coś takiego! Jelena Wadimowna w milczeniu zapaliła papierosa.

I wtedy wyjęłam drugi, rosyjski paszport i opowiedziałam jej całą prawdę.

- To straszne - wyjąkała, gdy skończyłam. - Ale ona zawsze była trochę dziwna, to zapewne efekt trudnego dzieciństwa.

- Może pani wie, gdzie jest jej córka?

Dyrektorka pokręciła głową.

- Ostatni raz widziałam się z nią, gdy odbierała dyplom, bo to ja ulokowałam ją na studiach, żal mi jej było. Zresztą, jeśli ma pani trochę czasu, mogę opowiedzieć po kolei wszystko, co wiem.

Zapewniłam ją, że mam mnóstwo czasu, i zaczęłam uważnie słuchać.

Miłoczka miała siedem lat, gdy przywieziono ją do domu dziecka, ale nie umiała ani czytać, ani pisać, a nawet kiepsko mówiła. Jelenę Wadimownę początkowo to zaskoczyło. Ładna, na pozór absolutnie normalna dziewczynka okazała się prawie debilką. Była w wieku szkolnym, a zatrzymała się w rozwoju na poziomie dwóch-trzech lat. Jadła tylko łyżką, na parówki, kurczaka czy jajka na twardo patrzyła ze zdziwieniem.

- Co to? - zapytała, wskazując na omlet.

W domu dziecka dobrze gotowano i Jelena Wadimowna poczuła się początkowo zdetonowana zachowaniem małej.

- Jedz, Miłoczko, będzie ci smakowało.

Dziewczynka włożyła kęs do ust i zaczęła powoli przeżuwać.

- A co jadłaś w domu?

- Błogosławioną strawę - odpowiedziała dziewczynka i zapytała: - A to żółte to boskie czy diabelskie?

Jelena Wadimowna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Kłopot był też z odzieżą. Dziewczynkę przywieziono w styczniu w czymś, co wyglądało na koszulę nocną. Okazało się, że było to coś w rodzaju chitonu z grubego, niebielonego, wyraźnie tkanego w domu płótna. Na nogach miała skarpetki i kalosze.

Przez pierwszy rok Miła chodziła po domu dziecka na bosaka, bo wszędzie zostawiała swoje kaptcie.

Ani o Kopciuszku, ani o Czerwonym Kapturku, ani o Kocie w Butach nigdy

nie słyszała, telewizora bała się panicznie, od telefonu uciekała, a gdy dzieci zaprowadzono do teatru, runęła na kolana i zawołała:

- Precz, szatanie!

Ale Jelenę Wadimownę przestało już dziwić takie zachowanie dziewczynki. Poznała dokładnie jej poprzednie życie i wiedziała, jaka jest tego przyczyna.

Okazało się, że rodzice Miłoczki byli w sekcie. Należeli do grupy, która nazywała się „Świadkowie Zmartwychwstania”. Sekcie przewodził dziadek Miłoczki - ponury, brodaty mężczyzna. Syn podporządkowywał mu się bezwarunkowo, ale żonę przyprowadził z miasta. Członkowie sekty woleli żenić się w swoim wąskim kręgu, ale gdy w wyniku takich małżeństw zaczęły rodzić się dzieci-potworki, „biskup” zezwolił na zawieranie znajomości poza grupą. Jednakże pod jednym warunkiem - młody mąż lub żona muszą wstąpić do sekty. Matka Ludmiły najwyraźniej nie bardzo wiedziała, w co wdepnęła.

Za komunizmu wszelkie sekty, grupy i zgromadzenia o charakterze religijnym były absolutnie nielegalne. Źle widziane było nawet chodzenie do ortodoksyjnej cerkwi prawosławnej. Dlatego „Świadkowie zmartwychwstania” zachowywali się nienagannie. Mieszkali w wielorodzinnym domu, gdzie zajmowali kilka piętér. Musieli się dobrze napracować, żeby zdobyć mieszkania w tym samym bloku.

Nie mieli żadnego majątku osobistego. Wszystko należało do wszystkich: odzież, buty, naczynia, bielizna... Telewizor, radio, gazety i książki były surowo zabronione. Szamponu, pasty do zębów i wody kolońskiej nie używano. Nie pito herbaty ani kawy, nie jedzono mięsa ani ryb, odżywiano się „bożym pokarmem” - kaszą, makaronem, kartoflami. Przez prawie sto pięćdziesiąt dni w roku przestrzegano surowego postu. Nie wzywano lekarza, nie leczono chorych. Jeśli ktoś zachorował i umarł - widać taka była wola boża. Zresztą, zmarły zniknął, krzepcy mężczyźni zabierali go gdzieś w okolice Moskwy i chowali według obowiązującego obrządku. Dzień pogrzebu był zawsze świętem.

Mężczyźni spędzali dzień na modlitwach i medytacji, kilku pracowało na dworcu jako ładowacze i tragarze. Praca umysłowa nie cieszyła się uznaniem. Nauczyciel, lekarz albo urzędnik po wstąpieniu do sekty musiał zmienić miejsce zatrudnienia. Kobiety musiały nie tylko zarabiać, ale i prowadzić gospodarstwo. Okutane zimą w czarne chusty, myły podłogi w biurach i sklepach, były salowymi w szpitalach, a nawet pracowały w kostnicy przy ubieraniu zwłok.

Sąsiedzi przyzwyczaili się do dziwnych, cichych ludzi, przemykających przez

podwórko niby cienie. Nikt się nimi specjalnie nie interesował, bo też i oni nikomu nie dokuczali, wręcz przeciwnie, nie pili, nie palili, nie robili awantur i nie kłęli.

Nie przyjeżdżali do nich hałaśliwi goście, a dzieci wychodziły na dwór tylko wtedy, gdy było to absolutnie niezbędne, i to wyłącznie pod opieką dorosłych.

Dzieci w sekcie było kilkoro. Ich życie przebiegało pod surową kontrolą. Karmiono je raz dziennie, ubierano w „bożą” odzież, myto w lodowatej wodzie i zmuszano do modlitwy od rana do wieczora.

Matka Miłoczki, Raisa, trafiła do sekty przypadkowo. W domu kultury poznała sympatycznego chłopaka. Wydał jej się bardzo porządny i choć pracował jako zwykły ładowacz, to wódki i papierosów wystrzegał się jak zarazy, mówił cichym głosem i był bardzo nieśmiały. A u Raisy w domu ojciec i brat wiecznie pijani, matka dawno umarła z powodu bicia. Cóż dziwnego, że dziewczyna chętnie wyszła za chłopaka grzecznego i niepijącego.

Pierwsze miesiące w sekcie były straszne. Młody mąż spuścił wzrok i słowem nie zaprotestował, gdy ojciec pociągnął Raisę do sypialni. Dziewczyna zaczęła się opierać, ale wtedy nadbiegli inni członkowie sekty. Kobiety złapały nową za ręce i nogi, a mężczyźni po kolei zgwałcili „nowo poślubioną”. Następnie zostawiono ją w pokoju bez jedzenia. Drzwi otwierały się wyłącznie po to, by wpuścić uśmiechającego się obrzydliwie „biskupa” z kubkiem wody i batem.

Po tygodniu Raisa potulnie włożyła czarną chustę. Członkowie sekty, uznawszy, że zrozumiała, gdzie jej miejsce, uwolnili ją.

Popłynęły smutne dni. Raja urodziła troje dzieci - dwie dziewczynki i chłopca.

Miłoczka była ostatnia. Po niej Raisa, nie wiedząc czemu, już nie zaszła w ciążę. Jedna z sióstr doniosła „biskupowi”, że Raisa kupiła w mieście tabletki antykoncepcyjne. Dziadyga wściekł się i kazał obszukać podejrzaną, ale żadnych lekarstw nie znaleziono. Wobec tego wychłostano donosicielkę, a przy okazji także Raisę. W sekcie często bito kobiety. Wszystko było tam nastawione na to, by złamać ducha nowo przybywających. Długie posty, marne jedzenie w dni niepostne, wczesne wstawanie i późny spoczynek nocny - wszystko to osłabiało fizycznie, czyniło człowieka bezwolnym i podatnym, jak plastelina. Modlitwy przebiegały niemal w zupełnych ciemnościach, jedynie na stole, obok którego stał „biskup”, migotała tajemniczo kryształowa kula. Stary najwyraźniej znał najprostsze metody hipnozy i posługiwał się nimi na co dzień.

Ale natura obdarzyła Raisę silną psychiką. Przetrwała głód, bicie, hipnozę i



zachowała osobowość. Przez wszystkie lata spędzone w sekcie miała tylko jedno marzenie - uciec. Ale to nie było proste. Do miasta puszczano ją rzadko, i to wyłącznie w towarzystwie mężczyzn. „Biskup” nie dowierzał krnąbrnej synowej i nie pozwalał jej na podjęcie pracy. Rajeczkę zagnano do garów i dzieci. A dzieci nienawidziła całą duszą, i cudzych, i swoich. Miłoczka nie usłyszała od matki ani jednego miłego słowa, podobnie zresztą jak od ojca. Mężczyźni z sekty rzadko rozmawiali z dziećmi. Dziewczynkom wolno było wchodzić do pokoju, gdzie przebywali starsi, dopiero gdy skończyły szesnaście lat, chłopców wychowywano trochę mniej surowo.

Po całych dniach Raja prała, gotowała, sprzątała, karmiła dzieci, zmuszała je do modlitwy... I przez wszystkie te lata w jej głowie tłukła się tylko jedna myśl - uciec... Wreszcie nadarzyła się okazja. W sekcie miał się odbyć ślub. Panna młoda była z zewnątrz, Rajeczka wiedziała, że „biskup” i pozostali mężczyźni wezmą udział w zbiorowym gwałcie... Przykazała surowo dzieciom, że mają spać, zamknęła drzwi do pokoju i ukryła się w toalecie. Wszystkie mieszkania były ze sobą połączone i Raja usłyszała krzyki kobiet i rechot zadowolonych mężczyzn. Zorientowawszy się, że wszyscy są zajęci, błyskawicznie rzuciła się do wyjścia. Otworzyła niezliczone zamki, a gdy wreszcie drzwi ku wolności stanęły otworem, za plecami usłyszała głos męża:

- Dokąd się wybierasz, gadzino? - uśmiechając się złowieszczo, ukochany małżonek złapał biedaczkę za ramię. - Tak, tak - pokiwał głową - jazda z powrotem, jutro porozmawiamy.

Rai pociemniało w oczach. Ręce bez udziału jej woli schwyciły leżący w przedpokoju młotek. Zaskoczony mężczyzna nie zdążył się uchylić.

Raisa wyskoczyła z bramy i na złamanie karku popędziła ulicą. Marząc o wolności, nie pomyślała, gdzie będzie nocować, z czego żyć.

Biegnącą kobietę z zakrwawionym młotkiem w ręku zatrzymał patrol. W komisariacie Raja, zanosząc się od płaczu, zaczęła opowiadać o sekcie...

Członków sekty aresztowano, potem wsadzono do więzienia, dzieci wysłano do sierocińców. Rajeczka dostała wyrok, dwa czy trzy lata obozu, ale nie dosiedziała do końca, objęła ją amnestia. Dzieci zrzekła się od razu, dosłownie następnego dnia po aresztowaniu.

- Miłoczka początkowo przypominała mi Mowglię - westchnęła Jelena Wadimowa - szczerze mówiąc, myślałam, że tak już zostanie, ale gdy miała około

czternastu lat, pozbierała się, dopędziła rówieśników i całkiem nieźle skończyła szkołę.

W tym czasie mąż Jeleny Wadimowny zajmował wysokie stanowisko w Ministerstwie Oświaty. Żał mu było nieszczęsnej, okradzionej z dzieciństwa dziewczynki. Gdy Miłoczka zrobiła maturę, Igor Kiriłłowicz porozumiał się z rektorem Trzeciego Instytutu Medycznego i Miła została przyjęta na pierwszy rok bez egzaminów wstępnych. Zamieszkała w akademiku i zaczęła studiować.

- To było zdumiewające - ciągnęła Jelena Wadimowna. - Zupełnie jakby ciężkie dzieciństwo nie odcisnęło na niej żadnych śladów.

Poza jednym - Miłoczka była bez charakteru, uległa, pokornie słuchała koleżanek, wykładowców. W instytucie przezywano ją „ciepłe kluchy” i pokpiwano z niej.

- Wyszła za mąż?

- Wtedy jeszcze nie. A i koleżanek też właściwie nie miała, przyjaźniła się trochę tylko z Ałłoczka Mostową i Tamarą Rykliną. Ale, jak już powiedziałam, ostatni raz widziałam ją na rozdaniu dyplomów.

- Dziwne - mruknęłam - tyle pani dla niej zrobiła, a ona przestała się z panią kontaktować.

Jelena Wadimowna uśmiechnęła się smutno.

- Cóż w tym dziwnego? Gdy męża zwolniono ze stanowiska, dwie trzecie znajomych się od nas odwróciło. Przestali dzwonić, a niektórzy nawet się nie witali. Mnie też od razu dano wymówienie. Widocznie Miłoczka uznała, że nie jestem jej już do niczego potrzebna. Wie pani, dzieci wychowane w przytułkach są z zasady emocjonalnie niedojrzałe. Widocznie tylko w rodzinach można się nauczyć od małego, jak trzeba kochać, i dlatego te pozbawione rodziny są często praktyczne, dokładne, utalentowane, ale duchowo, niestety, głuche. Bywają ludzie bez słuchu muzycznego, ale są też tacy, którzy pozbawieni są empatii, obce jest im uczucie współradości, przywiązania. Do takich należała Miłoczka. I to nie jej wina.

Przypomniałam sobie, jak serdecznie na zdjęciu Ludmiła obejmuje Wieroczkę, ale nic nie powiedziałam.

- A co się stało z jej siostrą i bratem?

Dyrektorka wzruszyła ramionami.

- Trafili do innych domów dziecka. Specjalnie ich rozdzielono, żeby dzieci szybciej wyrzuciły z pamięci czas spędzony w sekcie. Siostry nigdy nie widziałam. A

brat kilka razy przychodził w niedzielę, zanim mu tego zabroniliśmy.

- Dlaczego?

Jelena Wadimowna bezwiednie przełożyła teczki z miejsca na miejsce.

- Był starszy od niej jakieś pięć, sześć lat, a może nawet siedem, nie pamiętam, w każdym razie wyglądał już jak dorosły chłopak.

- Co w tym złego?

- Wychowawczynie spostrzegły, że po jego wizycie Miłoczka nie chce jeść, płacze, odmawia pójścia do szkoły. Okazało się, że brat straszy siostrę srogimi karami za to, że „odeszła od wiary”. Dlatego musieliśmy pokazać mu drzwi. Miłoczka bynajmniej się nie zmartwiła, gdy przestał się pojawiać, a o siostrze w ogóle nie wspominała.

- Ma pani adresy Mostowej i Ryklinej?

- Niby skąd? - zdziwiła się. - Po prostu słyszałam od Miłoczki, że były w jednej grupie. Zdaje się, że obie były z Moskwy, a na pewno Ryklina, zapraszała latem Miłoczkę do siebie na daczę.

- A w którym roku urodziła się Szabanowa?

- W 1970 albo w 1972 - odpowiedziała Jelena Wadimowna i włączyła komputer.

Zrozumiałam aluzję, podziękowałam i opuściłam gabinet.

## **Rozdział 9**

Była szósta. Wyjęłam telefon i zadzwoniłam do Liany.

- Chciałabym państwu zwrócić koszty pogrzebu i stypy...

- Ależ skąd znowu - zaprotestowała i westchnęła. - To moja wina, przecież zidentyfikowałam ciało. Szczerze mówiąc, nie przyglądałam się dokładnie, spojrzałam jedynie na włosy i uznałam, że to Ninel!

No i dobrze, że nie muszę do niej jechać, czas do domu, dalsze poszukiwania odłożę do jutra.

W salonie znów jacyś nieznajomi. W holu pachniało obcymi perfumami i cygarami. Cicho uchylałam drzwi i zobaczyłam Filę, z lubością wypuszczającego kłęby cuchnącego dymu. Mnie domownicy raz na zawsze zabronili palenia w pokojach. Matce łaskawe dzieci wydzielają do palenia komórkę pod schodami, gdzie Irka przechowuje odkurzacz, ścierki i różne takie przydatne drobiazgi. A

czarownikowi pozwalają „łykać dym”. Muszę zadzwonić do Maksa i zapytać, jak długo zamierza wyjaśniać z Aliską problemy finansowe. Jeszcze kilka takich wieczorów i z pewnością pomalutku zwariuję.

Najciszej jak mogłam, przekradłam się na pierwsze piętro. Zrobię sobie kąpiel i poczytam jakiś miły kryminał. W drodze do domu zatrzymałam się w księgarni i zgarnęłam wszystkie nowości. Najważniejsze, by Aliska nie usłyszała, że jestem w sypialni, bo natychmiast zmusi mnie do zejścia na dół i udziału w kolejnej głupawej imprezie.

Pchnęłam drzwi do swojego pokoju i osłupiałam. Rano było tu mniej więcej posprzątane. No cóż, nigdy nie byłam przesadnie porządnicka, dlatego na krzesłach często wiszą ubrania, a na stoliku przy łóżku leżą skórki bananów i papierki po czekoladkach... Ale coś takiego zobaczyłam po raz pierwszy.

Podłoga usiana była skrawkami papieru. Podniosłam jeden i przekonałam się, że dywan pokrywają podarte kryminały, które zawsze stały w szafie. Sukienki, spódnice, kostiumy, pantofle leżały zwalone w kącie. Z foteli i kanapy ściągnięto narzuty, pościel wyglądała jak kupa szmat, w powietrzu niczym płatki śniegu fruwało pierze z rozdartych poduszek. Oparłam się o framugę. Czyżby do domu zakradł się złodziej? Zobaczył, że domownicy bawią się w najlepsze w salonie, przemknął na górę, a nie znalazłszy nic ciekawego, z zemsty zdemolował pokój? To się w głowie nie mieści!

Stos podartych prześcieradeł na łóżku poruszył się i wysunęła się spod nich najpierw ciemna ręka, a potem smągła twarzyczka... Wskoczyłam za drzwi szybciej niż błyskawica i rozdarłam się:

- Ratunku, napad!

Rozległ się tupot, po schodach biegli ludzie. Na przedzie, podwinawszy prawie do pasa przezroczystą szyfonową sukienkę, pędziła Aliska.

- Co to za rechwach? Gwałcą czy co?

A ta zawsze o jednym! Wskazałam ręką drzwi.

- Do domu zakradł się złodziej, to chyba Murzyn. Pewnie szukał pieniędzy, ale nie znalazł i dlatego zdemolował cały pokój, niedobrze się robi na sam widok. A teraz ukrył się w łóżku.

- To jakiś idiota! - orzekła Alisa i zarządziła: - No już, chłopaki, sprawdźcie to.

Trzej mężczyźni o dość wysportowanych sylwetkach popatrzyli na siebie i

weszli do sypialni. Fila został na schodach. Wstrzymaliśmy oddech. Zza drzwi doleciał jakiś pisk i jakiś skowyt.

- Freddy, moje kochanie - wrzasnęła Aliska i otworzyła drzwi.

Naszym oczom ukazał się zdumiewający widok. Pośrodku pokoju, na zyrandolu, huśtała się wyraźnie niezadowolona małpa.

- Freddy, chodź do mamusi! - wołała Aliska.

Małpa puściła zyrandol i podbiegła do niej.

- Mój maleńki, moje słoneczko, przestraszyłeś się, trafiłeś do cudzego pokoju.

Ach, ty psotniku, na pewno jesteś głodny.

Paskudny małpiszon objął swoją panią za szyję i oparł głowę na jej ramieniu.

- Chodź, moje śliczności, mama zaraz nakarmi Fredusia - mizdrzyła się

Aliska. A potem odwróciła się do mnie i powiedziała z naciskiem: - Tylko taki głupol jak ty mógł wziąć Fredunia za jakiegoś Murzyna. On nie znosi zapachu pomarańczy. Pewnie wyczuł go w twojej sypialni i się zdenerwował. Zapamiętaj sobie: żadnych cytrusów, cytryny też nie wchodzi w rachubę. No dobrze, idziemy teraz na herbatkę.

Zakręciła się jak fryga i już jej nie było. Małpka, popiskując, popędziła za nią. U podnóża schodów błogo drzemał rottweiler. Naturalnie, nie spodziewał się niczego złego, toteż atak Freddy'ego sprawił go w kompletne osłupienie. Małpka złapała z nocnego stolika „Tele Tydzień”, sprytnie zwinęła go w trąbkę i z całej siły grzmotnęła psa w łeb. Nieszczęsny Snap poderwał się i zaskowyczał.

- Posłuchaj. - Byłam już porządnie zła. - Zabieraj swojego bandytę.

- Nic takiego się nie stało - prychnęła Aliska. - Freddy nie cierpi much i zawsze je tłucze, tyle że nie za bardzo rozróżnia, co jest stołem, a co łbem i wali z jednakową siłą. Spryciulek Freduś, zabił wstrętne muszyska...

Małpa radośnie szczyrzyła zęby, wymachując gazetą. Snap, wiejąc przed zagrożeniem, wbił się pod schody. Zresztą pozostałe psy też gdzieś przepadły. I dzieci nie ma, w domu baluje jedynie Aliska z przyjaciółmi. Puściłam koło uszu jej usilne zaproszenie do wspólnej zabawy i poszłam szukać Irki.

Znalazłam ją w spiżarni.

- Dziwne, bardzo dziwne - mruzczała, przyglądając się pustej butelce.

- Co się stało?

- Kupiłam niedawno trzylitrową butelkę Ajaksa do mycia szyb, a dzisiaj jest pusta, proszę spojrzeć!

Potrząsnęła przed moim nosem resztką niebieskiego płynu. Powąchałam. Ach,

to tym chlapał Fila, gdy wczoraj wypędzał złe duchy! Dlatego zapach wydał mi się dziwnie znany.

- Bardzo dziwne - ciągnęła Ira. - Może źle zakręciłam i wyparowało?

Uśmiechnęłam się i poprosiwszy, aby posprzątała w sypialni, z ciężkim sercem ruszyłam do salonu, żeby robić dobrą minę do złej gry.

Ranek zaczął się o ósmej.

- Ile razy mam ci powtarzać, zakuty łbie, że herbata ma być gorąca, a masło zimne, nie odwrotnie! - jazgotał żeński głos.

W odpowiedzi dało się słyszeć jakieś niewyraźne mamrotanie. Wygramoliłam się więc z ciepłego łóżka i poczłapałam do salonu.

Przy stole w zielonym peniuarze z piórami siedziała Alisa. Uśmiechnęła się na mój widok.

- Świetnie trafiłaś, zaraz będzie kawa.

W tej samej chwili Ira wniosła tacę. Popatrzyłam na jej czerwony opuchnięty nos i powiedziałam zdecydowanie:

- Nie waż się ubliżać Irinie i grozić jej zwolnieniem z pracy.

Gospośnia spojrzała na mnie z wdzięcznością.

- Też coś! - parsknęła Aliska. - Przecież u ciebie w domu robi się wszystko byle jak, potrzebna jest twarda ręka!

- To mój dom - odcięłam się.

Irka wolała się ulotnić. Twarz Aliski wyrażała prawdziwą boleść. Teatralnym gestem chwyciła się za skronie i zaczęła zawodzić:

- Oto jest ciężki los nieszczęsnej kobiety niemającej w nikim oparcia. Rzucają się na nią wszyscy, komu przyjdzie na to ochota.

- Dość tych błazeństw - zdenerwowałam się.

- Ach - jęknęła Alisa, padając na kanapę - niedobrze mi. Dzisiaj tańczę w *Jeziorze...*, a w dzień spektaklu nie wolno mnie denerwować. A ty doprowadziłaś mnie do łez. Ręce mi się trzęsą, nogi drżą, koszmar! Cóż to za męka być osobowością twórczą, najmniejsza niesprawiedliwość boli niczym rana. Oj, moja głowa... to początek migreny, Boże, jak ja cierpię!

- Przepraszam - mruknęłam. - Nie chciałam.

- W porządku - złapała mnie za słowo Alisa, błyskawicznie podrywając się z łoża boleści. - Czyli zgadzasz się, żebym zaprowadziła porządek w domu?

- Po co? Jest nam całkiem dobrze.

- Nie denerwuj mnie przed spektaklem - nie ustępowała. - Jak zatańczę źle, to będzie twoja wina!

Moim zdaniem, dobrze to ona nigdy nie tańczyła, ale przecież jej tego nie powiem! Chyba zrobię najlepiej, jeśli pojedę załatwić swoje sprawy, a Alisę zostawię samą sobie.

Na uczelni medycznej uprzejma paniienka, kliknąwszy parę razy myszką, błyskawicznie poinformowała:

- Tak, były takie studentki - Szabanowa, Mostowa i Ryklina.

- Ma pani ich adresy?

- Szabanowa mieszkała w akademiku, a dwie pozostałe w tym samym domu przy prospekcie Kutuzowa.

Zanotowałam potrzebne dane i ruszyłam w stronę drzwi.

- Po co pani ich miejsce zamieszkania? - zreflektowała się sekretarka.

Ale ja byłam już za drzwiami. No, cóż minęło dużo czasu, mogły się przeprowadzić, ale a nuż mi się uda.

Najpierw pojechałam do Ryklinej. Na dźwięk dzwonka zza metalowych drzwi rozległ się drżący głos:

- Kto tam?

- Proszę otworzyć, milicja.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Na progu stała tęga, niestarannie uczesana kobieta. Kosmyki włosów sterczały w różne strony, nie pierwszej świeżości ciemnoczerwony bajowy szlafrok, ciepłe skarpetki i doskonale bezmyślne spojrzenie.

- Jesteś - ucieszyła się baba i zawołała w głąb korytarza. - Sasza, chodź tu szybciej, Tamaroczka wróciła!

Na te słowa z pokoju szybkim krokiem wyszedł mężczyzna, najwyraźniej emerytowany wojskowy - proste plecy, dziarski chód.

- Katieńko - powiedział karcąco do kobiety - przecież ustaliliśmy, że nigdy nie będziesz sama otwierała drzwi!

- Przecież przyszła Tomoczka - rozplakała się żałośnie. - Córeńka moja piękna, słoneczko moje...

- To nie Tamara - przerwał jej łagodnie mężczyzna.

- Nie Tamara - powtórzyła z rozpaczą. - Nie Tamara, nie Tamara...

Mężczyzna objął ją, a ona wtuliła twarz w jego ramię.

- Zechce pani przejść do gabinetu - zwrócił się do mnie - zaraz wrócę, położę tylko Katuszę.

Weszłam posłusznie do wskazanego pokoju i usiadłam na kanapie. Chyba jednak się pomyliłam, on nie jest wojskowym. Pokój wypełniały książki dotyczące psychiatrii, psychologii i innych dziedzin medycyny.

- Pani wybaczy - odezwał się mężczyzna od progu - ale od czasu, gdy spotkało nas nieszczęście, żona trochę źle się czuje. Czym mogę służyć?

Poczułam się nieswojo.

- Szczerze mówiąc, chciałam porozmawiać z Tamarą Rykliną.

Gospodarz wyjął z zamszowego woreczka fajkę i zaczął starannie nabijać ją tytoniem.

- Nasza córka zginęła rok temu.

- Bardzo przepraszam - wybełkotałam, pragnąc tylko jednego: uciec stąd jak najszybciej.

- Czego pani chciała od Tamary?

- Obawiam się, że pan nie zdoła mi pomóc. Tamara studiowała w jednej grupie w Ludmiłą Szabanową i...

Ojciec Tamary poczerwieniał, widać było, że z trudem powstrzymuje gniew.

- Po co pani Ludmiła Szabanowa?

- Dostała spadek, a my nie możemy wykonać testamentu, bo nie znamy adresu, jestem pełnomocnikiem adwokata...

- Wynocha - powiedział krótko Ryklin.

- Słucham? - Osłupiałam.

- Proszę natychmiast opuścić mój dom i nigdy więcej się tu nie pojawiać - wyrzucił z pasją, a widząc, że się waham, podniósł głos: - Wynocha, już, precz stąd!!!

Metalowe drzwi zgrzytnęły, a ja patrzyłam tępo na ładną bordową skórę, którą były obite. Najwyraźniej oboje są niespełna rozumu, jedno nie ustępuje drugiemu, dobrze choć, że nie oberwałam!

Wciąż oszołomiona, pojechałam na dziesiąte piętro. Ała Mostowa mieszkała w tym samym domu.

Tym razem drzwi otworzyły się natychmiast, bez pytania. Młoda kobieta zapytała uprzejmie:

- Pani jest Natasza? Bardzo mi przyjemnie.

- Jestem Dasza.



- Przepraszam, pomyliłam imiona - uśmiechnęła się gospodyni.

Weszłam do dużego, ciemnego przedpokoju. Kobieta obróciła się i wtedy zobaczyłam, że jest w ciąży, i to zaawansowanej, co najmniej siódmy-ósmy miesiąc. A z twarzy nie sposób było tego odgadnąć, ani jednej brązowej plamy.

- Możemy porozmawiać w kuchni?

Postanowiłam od razu postawić sprawę jasno.

- Szukam Ałły Mostowej.

- To właśnie ja. - Roześmiała się. - Chwileczkę...

Z głębi mieszkania rozległ się dźwięk budzika.

- Ojej - zawołała Ałła - zupełnie zapomniałam. Popychając mnie, wpadła za mną do kuchni i chwyciła dużą plastikową butelkę.

- Proszę usiąść, nie odzywać się i nie przeszkadzać mi.

Patrzyłam na nią w oszołomieniu. Mostowa przeżegnała butelkę, nalała do niej wody z filizanki i zaczęła pić po łyżku, kłaniając się na wszystkie strony. Jej usta mruczały coś niezrozumiałego.

- Nad jeziorem Bujana, nad rzeką, pod lasem, pójdzie sługa boża...

Poczułam się dziwnie. Wygląda na to, że w tym domu wszyscy mają nie po kolei w głowie. Wirus jakiś grasuje po piętrach, czy co? Trzeba wiać, póki mnie nie dopadł!

Te myśli najwyraźniej odbiły się na mojej twarzy, bo Ałła, dopiwszy ostatnią porcję, zakreśliła wręcz miłośnie butelkę i zapytała:

- Wystraszyła się pani, prawda?

- Raczej zdziwiła.

- To magiczne zamawianie ciąży.

- Wygląda, że u pani raczej wszystko w porządku.

Ałłoczka roześmiała się radośnie.

- Ma pani dzieci?

- Dwoje.

- A mnie się do tej pory nie udawało. Pierwsze małżeństwo właśnie z tego powodu się rozpadło. Były mąż pragnął następcy, a tu nic! Wszystko robiliśmy, lekarze, lecznicze błota, nic nie pomagało! I u niego, i u mnie wszystko było w porządku, a w ciążę nie zachodziłam. Z drugim mężem znowu nic. Ale Paweł mnie kocha, więc powiedział: „Nie mamy dzieci, trudno, obejdziemy się”.

Ałłoczka przestała się leczyć i porzuciła myśl o dziecku. Ale kiedyś jedna z

koleżanek poradziła jej, by zwróciła się do czarownika Filippa Gogolewa.

- Do kogo? - wykrzyknęłam.

- Rety! - Ała machnęła ręką. - Początkowo było to bardzo śmieszne, przecież jestem lekarzem, skończyłam medycynę.

Ale pokusa była zbyt wielka i Ała udała się w końcu na wizytę do maga.

- Kosztowało mnie to masę pieniędzy - zachwyciła się. - Rok można by za nie przeżyć.

Filipp stwierdził u pacjentki przekleństwo rodowe.

- Prababka pani była niańką w domu ziemiańskim - wyjaśnił - nie dopilnowała pańskiego dziecka, które podniosło z podłogi koralik i udławiło się nim. Jego matka w gniewie przeklęła rodzinę niańki do siódmego pokolenia. Przypuszczam, że pani matka i babka wiele wycierpiały?

Owszem, los nie oszczędzał Mostowów. Rewolucja październikowa, wojna domowa, represje w latach trzydziestych, druga wojna światowa... Wszyscy mężczyźni z rodziny zginęli, na froncie, w obozach, ale czy istotnie było to przekleństwo dotyczące wyłącznie ich rodziny?

Czarownik odczytał wszelkie rytuały i wręczył butelkę z „cudowną” wodą. Należało ją pić o pełnej godzinie, wypowiadając zaklęcia.

Rozczarowana Ała wróciła do domu, Paweł pokpiwał z naiwnej żony, ale ona, żalując wydanych pieniędzy, zdecydowała się wypić „ziółka”. Miesiąc później okazało się, że jest w ciąży, i teraz panicznie się boi, by nie przegapić pory zażycia „lekarstwa”. Szaman przykazał je zażywać aż do porodu.

Milczałam wstrząśnięta. Naturalnie to przypadek, ale na takich właśnie przypadkach budują swoją sławę szarlatani w rodzaju Fili.

Ałoczka westchnęła.

- No więc do rzeczy. Mieszkanie jest duże, ale mogę płacić jedynie tysiąc miesięcznie, może być?

Pokręciłam głową.

- Półtora - dorzuciła.

- Przepraszam, ale to nieporozumienie. Czy pani znała Ludmiłę Szabanową?

- A co? - zapytała ostro, uprzejma dotąd, Ała.

Po tym, co spotkało mnie u Ryklinów, szybko wyciągnęłam z kieszeni wiśniową legitymację ze złotymi literami „MSW” i pokazałam Mostowej. Kupiłam kiedyś okładkę na bazarze za śmieszne pieniądze... Ałoczka się wystraszyła.

- Co się stało?

Spojrzałam z wahaniem na jej brzuch, brzemienny nie powinno się denerwować.

- Jeśli Ludmile przydarzyła się jakaś przykrość, tylko się ucieszę - uspokoiła mnie Ałoczka.

- Ludmiła popełniła samobójstwo, toczy się śledztwo.

Ała odwróciła się do kuchenki i nastawiła czajnik.

- Znaczący sumienie ją zamęczyło...

- Dobrze ją pani znała?

- Kiedyś tak mi się wydawało.

- Może mi pani o niej opowiedzieć, wymienić jej przyjaciół?

- Poza mną, Tamarą i Galą nie miała nikogo, nie licząc oczywiście mężczyzn.

- Ałoczka zaczerwieniła się i dodała z przejęciem: - Nienawidziłam jej i ostrzegałam Tamarę, ale ona, święta duszyczka...

- Może mi pani opowiedzieć wszystko po kolei? - poprosiłam.

Ała i Tamara od urodzenia mieszkały w tym samym domu, a że były jedynymi dziećmi w tym wieku, więc siłą rzeczy się zaprzyjaźniły. Razem stawiały babki w piaskownicy, potem były w tej samej klasie, a jeszcze później wybrały te same studia. Tamaroczka była cicha, milcząca, dokładna, a Ałoczka przebojowa, gadatliwa i roztrzepana. Ale te krańcowo różne charaktery nie przeszkadzały im się przyjaźnić, wprost przeciwnie, dziewczęta nie potrafiły wręcz wytrzymać jedna bez drugiej, niczym siostry syjamskie. Tak naprawdę to pierwsze małżeństwo Ały rozpadło się nie z powodu braku dzieci, ale z zazdrości. Mąż Ały był zazdrosny o Tamarę, drażniła go ustawiczna obecność przyjaciółki, jej udział we wszystkich uroczystościach rodzinnych, wspólne wyjazdy nad morze... Jednym słowem, postawił ultimatum: ja albo ona! Ałoczka bez wahania wybrała wierną przyjaciółkę. A Tamarze jakoś się nie udawało wyjść za mąż. A dokładnie, nie potrafiła się zakochać, toteż odrzucała wszystkich kandydatów.

- Strasznie wybrzydzą - karciła ją Ałoczka. - Zostaniesz starą panną! Co ci się nie podoba w Andrieju? Przystojny, mądry...

- Nie w moim typie - odpowiadała krótko Toma.

- A Sierioża? Rodzice dobrze sytuowani, on jest fajny...

- Głupawy.

- To może Kostia. - Ała nie odpuszczała, bo postanowiła za wszelką cenę

urządzić przyjaciółce wesele.

- Gnojek. - Tamara wetknęła nos do podręcznika anatomii.

- Ej, mądralo - zdenerwowała się Ała. - A czytałaś bajkę o królu

Drozdobrodym? Tam też księżniczka wybrzydzała: ten gruby, tamten głupi albo zezowaty... Pamiętasz, jak to się skończyło? Kogo ty w końcu byś chciała, księcia Walii?

Tamara odłożyła grubą książkę i spojrzała nieśmiało na przyjaciółkę.

- Chcę się zakochać, a kiedy to się stanie, wszystko inne nie będzie się liczyło, ani wygląd, ani warunki materialne. Nigdy nie wyjdę za mąż dla pieniędzy albo dla wyglądu. Jeśli nie trafię na swoje przeznaczenie, wolę być sama.

Ałoczka, która ciągle się w kimś zakochiwała, prychnęła, ale milczała.

Były na trzecim roku, gdy do ich grupy dołączyła Miła Szabanowa.

Dziewczęta się zaprzyjaźniły. Uprzejma, dobrze wychowana Luda mieszkała w akademiku, więc Ałoczka początkowo przyjęła, że koleżanka jest z prowincji. Potem się wyjaśniło, że jest z domu dziecka, nie ma rodziców, nikt jej nie pomaga, utrzymuje się z groszowego stypendium. Tamara miała dobre serce i dobrze sytuowanego ojca. Miła zaczęła bywać u nich w domu, ale Ała nie miała do niej przekonania.

- Usiłowałam tego nie okazywać, myślałam, że jestem zazdrosna o Tamarę, bo czasami chodziły do teatru beze mnie. Miła była zapaloną teatromanką.

Kiedys wreszcie Ała nie wytrzymała i powiedziała Tamarze, co myśli o Mile.

- Trochę mętna ta twoja potulna owieczka. Dziewczyny mówią, że prawie co noc ma innego chłopaka, w akademiku nic się nie ukryje...

Tamaroczka serdecznie uścisnęła Ałę.

- Bardzo cię kocham, jesteśmy dla siebie jak siostry. Ale przecież nawet bliźnięta mają różnych przyjaciół. Żal mi Ludmiły, jest taka nieszczęśliwa. Mam nadzieję, że tata załatwi jej mieszkanie.

I tata generalnie się postarał, wydebił dla sieroty mieszkanie.

Ale Ałoczka nie zdążyła się nawet tym przejąć, bo nastąpiło od dawna wyczekiwane wydarzenie - Tamara się zakochała. Właśnie skończyły się studia i podjęły pracę w tej samej przychodni, świetnej, przy Sztabie Generalnym. Ałoczka nie powiedziała Tomie, co myśli o sprawie mieszkania, bo było jej głupio, przecież jej też ciepłą, prestiżową posadę załatwił tata Tamary.

Dziesiątego września na fotelu u młodej dentystki usiadł major Leonid

Kowalów. Pan major panicznie bał się borowania, natomiast Tamaroczka poczuła, że trzęsą się jej ręce, bowiem od razu zrozumiała - to on, ten jedyny, niepowtarzalny. Romans trwał ponad rok i przebiegał według klasycznego schematu: spacery przy księżycu, kwiaty, teatr, westchnienia. Wreszcie zaręczyny i długie narzeczeństwo.

- W ten sposób nigdy się nie pobierzecie - drwiła Ałłoczka.

- Sprawdzamy się - uśmiechała się Toma.

- Przespałaś się z nim przynajmniej?

Toma zaczerwieniła się i powiedziała zdecydowanie:

- Dopiero po ślubie.

- A on nie nalega? Przez półtora roku? - zdumiała się Ałła.

- Lonia szanuje moje uczucia i też uważa, że noc poślubna powinna być niezapomniana - odpowiedziała z przekonaniem Tamara.

„Jejku, żeby tylko nie okazał się impotentem” - pomyślała Ałłoczka.

Ślub odbył się w marcu w urzędzie stanu cywilnego. Lonia miał własne nieduże mieszkanie i młodzi tam zamieszkali. Po raz pierwszy Ałłoczka i Tamara nie wypiły razem wieczornej herbaty. Spotykały się teraz rzadziej, tym bardziej że Ałła znowu wyszła za męża. Najczęściej po prostu dzwoniły do siebie. Ludmiły Ałła w ogóle nie widywała, jedynie na urodzinach Leonida i Tamary zasiadały przy wspólnym stole i uśmiechały się miło do siebie. Ale obie wiedziały, że te spotkania nie sprawiają im żadnej przyjemności.

Tamara wyglądała na szczęśliwą. Jej życie kręciło się teraz wokół ukochanego męża i w rozmowach z Ałłoczka co chwila padało jego imię: Lonia lubi kotlety, Lonia nie pije kawy, Lonia śpi do ósmej, Lonia, Lonia, Lonia... Później burza emocji: Tamara oczekuje dziecka. I znowu idealny małżonek stanął na wysokości zadania: wyciskał soki, tarł marchewkę i pył zdmuchiwał żonie spod stóp...

Dlatego tak zaskoczył Ałłę telefon, którejś nocy:

- Jestem u rodziców - odezwała się nieswoim głosem Toma.

Ałłoczka zerknęła na zegarek - prawie druga. Włożyła szlafrok i pobiegła na dół.

- Zabiję go - szalał generał Ryklin. - Drań, łobuz, gnój, bydlę!

- Daj spokój, tato - odezwała się cicho Tomoczka, siedząca w fotelu. Jej ciąża była jeszcze niewidoczna, ale Ałłoczka wiedziała, że to już piąty miesiąc.

- Dziewuchę przegnam z Moskwy, dziwka - gorączkował się Ryklin.

- Nie zrobisz tego, tato. - Tamara była stanowcza. - Daj słowo honoru, bo jeśli

nie, odejdę z domu.

- Dobrze - warknął generał i wychodząc z pokoju, poprosił: - Porozmawiaj z nią, Ałło, ale nie zapominaj, że jest w ciąży...

- Co się stało?

Tomoczka popatrzyła w okno, za którym była ciemna noc.

- Leonid zakochał się w innej.

- Jak to?! - Ałła zdębiała.

Tamara wzruszyła ramionami.

- To absolutnie pewne.

- Ale w kim?!

- W Ludmile.

Z wściekłości Alle głos uwiązł w gardle. Miała już na końcu języka: „Przecież cały czas powtarzałam, że to podła cholera”, ale powstrzymała się i zapytała ostrożnie:

- Jak się o tym dowiedziałas?

Toma westchnęła.

- Gala mi powiedziała.

Gala była ich wspólną znajomą. Pracowała z Ludmiłą w tej samej przychodni.

- Zadzwoń do mnie i powiedz, że już dłużej nie może milczeć. Podobno ciągnie się to już długo, ale bała mi się powiedzieć z powodu ciąży...

- I co zrobiłaś?

- Pojechałam do Miły, drzwi nie były zamknięte i zobaczyłam ją z Lonieczką w łóżku.

To, że przyjaciółka wciąż nazywa dziwkarza Lonieczką, tak wściekło Ałłę, że ryknęła:

- Mam nadzieję, że im dokopałaś w dupę!

- Proszę cię, nie krzycz. - Tamara się skrzywiła. - Lonieczka nie jest moją własnością, skoro postanowił odejść do innej, to znaczy, że ją kocha. Nie stanę mu na drodze do szczęścia.

- Szczęścia! - pieniała się Ałła. - O czym ty mówisz? On jest jak pies w rui, a Ludmiła suka, no to się parzą. Poczekaj, jeszcze na kolanach do ciebie wróci.

- Po pierwsze, to niemożliwe, a po drugie, nie mów tak o nich, sprawiasz mi przykrość.

Łagodność Tamary i jej kompletny brak zawziętości zawsze zadziwiały Ałłę.

Najgorsze, że stało się to, przed czym ostrzegała Tamarę.

Miesiąc później skruszony Leonid z wielkim bukietem róż padł do nóg oszukiwanej żony.

- Wybacz, miej Boga w sercu - błagał. - Nie wiem, co mnie opętało, jakieś kompletne zaćmienie. Kocham tylko ciebie, wróć do domu.

Tomoczka spokojnie wstawiła kwiaty do wody i zapytała:

- Gdzie Ludmiła?

- Odeszła do innego - wymknęło się Leonidowi.

Tamara poprawiła bukiet.

- Piękne róże, moje ulubione, śnieżnobiałe.

- Więc wrócisz? - ucieszył się Lonia.

- Nie - pokręciła głową. - Przepraszam, ale nie.

- Już mnie nie kochasz? - zaatakował drań.

- Nie o to chodzi - wyszeptała. - Ale nie potrafię wybaczyć, a żyć w kłamstwie nie chcę, będzie lepiej, jeśli się rozstaniemy.

Przez cały miesiąc Lonia wisiał na telefonie, kładł bukiety pod drzwiami, ale żona pozostała niewzruszona. Nawet generał nie wytrzymał i powiedział:

- Może wybaczysz durniowi. Przecież to tylko mężczyzna. Wiesz, różnie to bywa...

- A ty zdradzałeś mamę?

Ryklin zakasłał i udał, że nie usłyszał pytania. Leonid przestał się pojawiać, a po dwóch tygodniach rozległ się dzwonek i obojętny męski głos zapytał:

- Tamara Igoriewna? Kim jest dla pani Leonid Michajłowicz Kowalow?

- To mój mąż... - odpowiedziała Tania sztywno. - A o co chodzi?

- Proszę natychmiast przyjechać tam, gdzie jest pani zameldowana. - Milicjant nie zareagował na jej pytanie.

Toma i Ałłoczka już pod domem zorientowały się, że zdarzyło się nieszczęście. Wszędzie stało pełno samochodów. Pogotowie ratunkowe, milicyjny ford, karetka do przewozu zwłok i mikrobus ratowniczy.

Ałła roztrąciła gapiów i... niczego nie zobaczyła.

- Co tu się stało? - zapytała cicho jakąś kobietę.

Ta w milczeniu wskazała na coś na górze. Ałła podniosła wzrok i... zemdląła. W domu, gdzie mieszkał Leonid, na parterze mieścił się fryzjer. Wejście do zakładu zdobił szyld z wymyślną nazwą „Kupidyn” oraz żelazna rzeźba przedstawiająca

grubego, paskudnego chłopaka, ściskającego w prawej ręce skierowaną w niebo strzałę. Na tę właśnie strzałę wbiło się ciało Leonida. Wskoczył z okna i trafił dokładnie na ostrze. Miał straszną śmierć. Gdy Tamara i Ała przyjechały, jeszcze żył, ale pomoc okazała się bardzo skomplikowana. Wezwani ratownicy zaczęli piłować pręt. Nagle Leonid ocknął się i krzyknął przeraźliwie. Ludzie szarpnęli się do tyłu. Ałoczek pozbierała się z trudem i dopadła do Tamary, zasłaniając jej uszy. Ta wyglądała jak skamieniała.

Zaraz jednak Lonia znów stracił przytomność i umilkł. Puls był jeszcze wyczuwalny, gdy przenoszono go do karetki reanimacyjnej. Samochód z włączoną syreną pomknął prosektem, ale nie zdążyli dowieźć go do szpitala.

W mieszkaniu znaleziono list poźegnalny. Leonid o wszystko oskarżał żonę. „Nie chciałaś mi wybaczyć, żyj teraz z myślą, że jesteś winna mojej śmierci”. Było tam jeszcze wiele niesłusznych pretensji, ale Ałoczek właśnie zapamiętała to zdanie.

Tamara musiała odpowiadać na pytania śledczego. W czasie jednego z przesłuchań zaczął się przedwczesny poród i dziecko umarło.

Kilka następnych miesięcy Tamara spędziła w różnych klinikach. Bardzo utyla i uporczywie odmawiała wszelkich rozmów, nawet z Ałoczką. Potem ojciec zabrał ją do domu i biedaczka w milczeniu gapila się w telewizor. Była całkowicie apatyczna, posłusznie jadła, gdy jej podawano, spała, gdy kładziono ją spać. Rodzice, chcąc wyjść z domu, wynajmowali pielęgniarkę. Pewnego dnia powiedziała ona generałowi, że do Tomy dzwoniła jakaś kobieta. Wszyscy znajomi wiedzieli o nieszczęściu i nie niepokoiili Ryklinów. Ale lekarz, który leczył Tamarę, kazał ją „rozruszać”. Zalecał zapraszać gości, prowadzić chorą do teatru...

Dlatego pielęgniarka podała Tamarze słuchawkę. Nieoczekiwanie milcząca prawie od pół roku kobieta zapytała:

- Czego chcesz?

Twarz jej stopniowo poczerwieniała i pielęgniarka usłyszała:

- To nie ja, to ty go zabiłaś, Miło.

Generał, zorientowawszy się, że do córki dzwoniła Szabanowa, w pierwszej chwili chciał pojechać do niej z awanturą. Powstrzymało go jedynie to, że Tomoczka po tej rozmowie jakby się ocknęła, zaczęła rozmawiać z rodzicami. A w nich zrodziła się nadzieja, że córka wyzdrowieje.

I oto nastąpił dwudziesty ósmy stycznia, dzień urodzin Leonida. Rano Tamara była bardzo serdeczna dla rodziców, całowała ich, ściskała. Pod wieczór oznajmiła,



że chce jechać do mieszkania Leonida. Formalnie się nie rozwiedli, więc odziedziczyła je żona. Matka wezwała taksówkę i odwiozła Tamarę.

Tomoczka obesza pomieszczenia, w których wszystko było tak jak za życia właściciela i powiedziała:

- Przeżyłam tu szczęśliwe chwile.

Zamilkła na chwilę, a potem poprosiła:

- Mamusiu, idź do sklepu po wino, wypijemy za Lonię.

Matka poszła do sklepu, a gdy po pół godzinie wróciła, lodowaty zimowy wiatr obojętnie kołysał firanką w otwartym oknie...

Na miękkich nogach podeszła do parapetu i spojrzała w dół.

Na białym, nie po moskiewsku czystym śniegu odcinała się ognistoczerwona plama. Tomoczka nie wiedzieć czemu tego dnia włożyła czerwoną sukienkę.

Ała umilkła. Mnie też słowa uwięzły w krtani. Po jakimś czasie rzuciła:

- Jestem pewna, że chciała wpaść na to samo ostrze, co Leonid, odkupić podobną męką swój rzekomy grzech, tylko Bóg do tego nie dopuścił. Zginęła natychmiast, śledczy powiedział, że upadła już na ziemię martwa, serce pękło jej w locie. I choć Lonia i Tamara sami wyskoczyli z okna, nie ma wątpliwości, że zabiła ich Ludmiła!

Milczałam, wstrząśnięta do głębi. Znowu zadzwonił budzik i przyszła matka chwyciła butelkę.

## Rozdział 10

Do domu wracałam w głębokiej zadumie. Teraz zrozumiałam, dlaczego generał Ryklin przegonił „adwokatkę”. Ałoczka powiedziała, że po śmierci Tamary jej matce zmaćcił się rozum i zrobiła się jak dziecko. Igor Kirriłowicz jest bardzo nieszczęśliwy.

- Aż trudno sobie wyobrazić, jak źli ludzie bywają na świecie - westchnęła Ałoczka. - Uwierzy pani, że w kilka tygodni po śmierci Tamary do skrzynki Ryklinów ktoś wrzucił list: „Bóg cię ukarał, sam wiesz za co. Żyj i cierp”. Oczywiście bez podpisu.

Wstrząśnięty generał poszedł do Ałły i pokazał list. Ałoczka w miary możliwości uspokoiła nieszczęśnika, a obrzydliwy anonim wyrzuciła.

- I wie pani co, wydaje mi się, że to zrobiła Ludmiła.

- Poznała pani charakter pisma?

- Nie - pokręciła głową Ałła - litery były wycięte z gazety. Intuicja mi podpowiadała, że to jej sprawka. Takie mam odczucie. I pomyślałam, że jeśli przyjdzie jeszcze jeden taki liścik, pójdę na milicję.

Ale więcej nikt Ryklinowi nie dokuczał.

Rozmyślając o tym wszystkim, przejechałam skrzyżowanie na żółtym świetle, ale na szczęście nikt nie spostrzegł wykroczenia. Pogoda rozszalała się na dobre. Zima najwyraźniej postanowiła zemścić się na wiośnie za przedwczesne wtargnięcie do miasta. Sypał śnieg, lodowaty wiatr ciskał na szyby garście mokrego śniegu.

Ałoczka dała mi telefon Gali, byłej koleżanki Ludmiły, ale postanowiłam nie zajmować się już dzisiaj poszukiwaniami. Na razie wiadomo jedno - Miła nie miała bliskich krewnych, a dwie z trzech znanych mi koleżanek - Tamara i Ałła - nie słyszały o Wierze. Tamara umarła, nim dziewczynka się urodziła, a Ałoczka zerwała z Ludmiłą wszelkie stosunki.

Rozmyślając o tym, jak przeprowadzić rozmowę z Galą, wjechałam na podwórze. Dzięki Bogu, nareszcie w domu! Choć to jeszcze nie znaczy, że uda mi się odpocząć, bo jeśli Aliska znowu przywlokła gości, będę się musiała uśmiechać, aż mi szczęka zdrętwieje, i udawać radosną panią domu.

Ale w domu było cicho. Oszołomiona wręcz tym faktem, otworzyłam drzwi salonu i zobaczyłam miły dla oka widok - Masza z Arkadym grają w tryktraka.

- Jesteśmy sami?

- Na to wygląda - odpowiedział syn. - Choć trudno uwierzyć.

- Aliska wyjechała.

- Dokąd?

- Tańczy dzisiaj w *Jeziorko*... - wyjaśniła Masza.

- Czyli prawie do północy jesteśmy absolutnie wolni - ucieszył się Kiesza i zgromił wzrokiem Maszę. - Szachrujesz!

- Też coś - prychnęła Mania.

- To jakim cudem można wyrzucić osiem razy z rzędu sześć-sześć?

- Nie wiem - uśmiechnęła się dziewczynka. - Po prostu mam szczęście.

- Daj kości - zażądał brat.

- Po co?

- Dawaj.

Mała piąstka Maszy zbliżyła się do szerokiej dłoni brata i upuściła dwie kostki

- białe z granatowymi kropkami. Syn potrząsnął nimi i rzucił je na blat: dwa-jeden.

- Teraz ty.

Marusia wzięła kostki, długo nimi grzechotała, przerzucając z ręki do ręki, i rzuciła: sześć-sześć!

- Niemożliwe! - mruknął Arkady. - Całkowity pogrom.

- Nie załamuj się - parsknęła śmiechem siostra. - Może jutro tobie się uda.

Gdy ona przekładała pionki, ja obejrzałam uważnie kostki. Białe, ale kropki nie granatowe, tylko czarne. Wszystko jasne! Kupiła w sklepie „Śmieszne rzeczy” szulerskie kostki z magnesem i teraz robi z brata wariata, sprytnie niczym David Copperfield!

- O co gracie? - zapytałam.

- Przegrany szczotkuje Cherry - wyjaśniła radośnie Mania.

Popatrzyłam ze współczuciem na Kieszkę. Trzy nasze psy są krótkowłose. Rottweilera, pitbulla i mopsa wystarczy jedynie co jakiś czas umyć pod prysznicem i dokładnie wytrzeć. Jorkszyska terierka Julie ma wspaniałe opadające pukle. Jej pani, niania Serafima Iwanowna, godzinę dziennie traci na szczotkowanie ulubienicy. Należy dodać, że psina to uwielbia i radośnie pędzi, gdy tylko zobaczy szczotki. Pudliczka Cherry też ma wspaniałe futerko. Jej małe ciało pokrywają czarne kędziorki, ale ona dla odmiany nie pozwala się czesać. Wystarczy rozpocząć przygotowania do operacji upiększania suczki, biorąc do ręki szczotkę, a cwana psina

natychmiast się ulatnia. Nie pomaga nic - pudliczka za nic w świecie nie wyjdzie z ukrycia, dopóki nie znikną fryzjerskie akcesoria.

Ale nawet jeżeli jakimś cudem uda się ją oszukać i podkraść się ze szczotką, do zwycięstwa jeszcze daleko. Pies błyskawicznie zamyka oczy i udaje drgawki przedśmiertne.

Jeżeli jest się zdeterminowanym i ignorując wszystko, co suczka wyprawia, przystępuje się do rozczesywania paskudnych kołtunów na łapkach, pudliczka zaczyna wyc. Im dłużej trwa operacja rozczesywania, tym głośniejsze i żałośniejsze wydaje jęki. Ja poddaję się po kilku minutach, Masza trzyma się trochę dłużej, natomiast Arkady nienawidzi zajęcia cyrulika. Ale cóż, psa należy czesać przynajmniej raz na tydzień! Wygląda na to, że dzisiaj to „szczęście” trafi się synowi, bo Mania, wyrzuciwszy po raz ostatni sześć-sześć, ogłosiła radośnie:

- Partia!

Arkady aż jęknął, a potem nagle zapytał:

- Matka, co dzisiaj robisz?

O nie, zaraz spróbuje zwalić na mnie fuchę psiego stylisty. Udałam, że nie usłyszałam pytania, i czmychnęłam do siebie, zaglądając po drodze do pokoju Kici. Olga w zadumie siedziała przed lustrem. Widząc w nim moje odbicie, zapytała:

- Jak sądzisz, czy dobrze mi w pomarańczowej szmince?

- Świetnie.

- A Fila mówi, że wszystkie odcienie oranżu prowadzą do nieszczęścia i nie powinno się ich używać.

- Filipp to szarlatan i kłamca. Rozumiem jeszcze Aliskę, ona ma pstro w głowie, ale ty?!

- Nie gadaj. - Kicia starannie ścierała szminkę. - Wczoraj mi wróżył.

- Wielkie rzeczy - uśmiechnęłam się. - Jedź na plac trzech dworców, tam pełno takich, co wróżą. Będą ci też pokazywać splecione nitki i czarne szpilki, śmiechu warte!

- Właśnie że nie - zaprotestowała Olga. - Widzisz, Fila przepowiedział mi wspaniałą karierę w telewizji.

Westchnęłam. Kicia skończyła Instytut Języków Obcych, napisała pracę magisterską, ale nie ma zacięcia ani do nauczycielstwa, ani do pracy tłumacza. Chyba od początku dokonała nietrafnego wyboru studiów. Dziewczyna marzy o jednym - chce zostać dziennikarką, ale nie w gazecie, tylko w telewizji. Moim zdaniem z jej

charakterem nie ma zbyt wielkich szans, by przebić się na mały ekran - jest łagodna, spokojna, uступliwa. Takie w błotku z krokodylami nie przeżyją.

- Wielkie rzeczy - upierałam się - pewnie usłyszał jakąś twoją rozmowę z Kieszą.

- Możesz posłuchać do końca? - zdenerwowała się Olga. - Dzisiaj rano przyszedł do mojej sypialni i oświadczył: „Każdy, kto kocha Aliskę, jest moim przyjacielem, dlatego chcę dać ci szansę. Zamknij oczy i pomyśl o swoim najbardziej upragnionym marzeniu, a ono do wieczora się spełni”.

- Aha! - roześmiałam się. - I co dalej?

Olga jeszcze raz popatrzyła w lustro i wyjęła z pudełka ciemnoczerwony błyszczący do ust.

- Jasna sprawa, że pomyślałam o pracy w telewizji. Powiedziałam sobie w myślach bardzo wyraźnie: „Chcę zostać gwiazdą, sławną jak nie wiem co”.

Uśmiechnął się i spryskał mnie taką niebieską wodą o ostrym zapachu...

Wiem, wiem, płyn do mycia okien Ajax.

- A potem... - ciągnęła Olga.

- Czyżby zaproponowano ci pod wieczór prowadzenie głównego wydania programu „Wriemia”? - nie wytrzymałam.

- Opuść sobie - najeżyła się Olga. - Jeśli nie wierzysz w magię, to jeszcze nie znaczy, że ona nie istnieje. Jasne, że nikt mi nie zaproponował prowadzenia dziennika, ale masz przed sobą korespondentkę programu „Świat sportu”.

Rozdziawiłam usta. Jeżeli dobrze pamiętam, ten trzydziestopięciominutowy program nadawany jest przez stację NTW w najlepszym czasie antenowym - o osiemnastej trzydzieści. Świetna pora. Ludzie obejrzą dziennik o szóstej na pierwszym kanale, a do programu informacyjnego „Siegodnia” pozostaje pół godziny. O tej porze do domu wrócili już z pracy wszyscy szurnięci kibice i sadowią się przed telewizorem z butelką piwka.

- I co - roześmiała się Kicia - zatkało cię?

- Ale jakim cudem?... - wyjąkałam

W odpowiedzi usłyszałam niebywałą historię.

Dzisiaj koło piątej Kicia wracała do domu i na poboczu zobaczyła autostopowicza. Olga nigdy ich nie bierze, zwłaszcza płci przeciwnej, boi się.

Ale tym razem jakaś siła zmusiła ją, by zahamować. Facet ruszył w stronę volkswagena, wymachując gorączkowo komórką. No i co? Okazało się, że jest z

telewizji, spóźnia się do pracy. Samochód mu wysiadł w najmniej odpowiednim miejscu, nikt nie chce go podwieźć...

Kicia wzięła nieszczęśnika i pognęła do Ostankina. W dowód wdzięczności Siergiej pokazał uczynnej i miłej nieznanym telewizyjną „kuchnię”. Wprowadził ją do studia i pozwolił, żeby się cichutko przyglądała. Właśnie przygotowywano kolejne wydanie „Świata sportu”. Nagle prowadząca, piękna dziewczyna, zaczęła odstawić jakieś fochy, rozplakała się, rąbnęła papierem o podłogę i wrzeszcząc: „Jeszcze będziecie mi się kłaniać”, wypadła za drzwi. Wszyscy zaczęli miotać się w panice, cenny czas uciekał. I wtedy kamerzysta dostrzegł Kicię.

- Zobaczcie, chłopaki - krzyknął - blondynka z piwnymi oczami!

Obskoczyli Olę, a jeden polecił:

- Otwórz usta. - I oznajmił: - Zęby równe.

A inny dodał:

- Już, już, szybko powiedz: król Karol...

Otumaniona dziewczyna wyrecytowała:

- Król Karol kupił królowej Karolinie korale koloru koralowego.

- Może być - zajazgotał dość paskudny chłopak, wyglądający jak włóczęga.

Przez podarte dzinsy prześwitywały mu kolana, wyświechtany sweter wisiał na nim smętnie, długie proste włosy były ściągnięte jaskrawoczerwoną frotką.

Po dziesięciu minutach pospiesznie ucharakteryzowana i uczesana Olga, przerażona, że zacznie się jąkać, czytała z promptera, próbując uśmiechać się do kamery. I tu wyszła na jaw jeszcze jedna, decydująca okoliczność.

Miła, regularna, sympatyczna, ale dość zwyczajna twarz Olgi na ekranie przeszła niesłychaną metamorfozę. Kicia wyglądała jak absolutna piękność. Oczy były ciut większe, usta szersze, nos dłuższy i właśnie to „ciut” zmieniło ją w niezwykłą kobietę.

- Tak - sapnął zadowolony „włóczęga”, który okazał się głównym szefem - zaraz podpiszemy kontrakt, a historyczki Ańki nie chcę więcej widzieć. Nie my jej, ale ona nam się będzie kłaniać.

I oto Olga siedzi przed lustrem w głębokiej zadumie. Skoro Fila powiedział, że kolor pomarańczowy przynosi nieszczęście, chyba lepiej wyrzucić ulubioną szminkę.

- Przecież ty nie odróżniasz piłki nożnej od koszykówki. - Tylko na taki komentarz się zdobyłam.

Synowa odwróciła do mnie rozjaśnioną, absolutnie uszczęśliwioną twarz i rzuciła niefrasobliwie:

- Nie święci garnki lepią, nauczę się!

Zostawiłam ją medytującą nad makijażem i poszłam do siebie. Filipp naturalnie jest szarlatanem i oszustem, ale to jednak znowu zadziwiający przypadek!

Z dołu dobiegł przeraźliwy skowyt. Nieszczęsna pudliczka próbowała odstraszyć Arkadego, uczciwie usiłującego spłacić dług karciany.

## **Rozdział 11**

Następnego ranka zadzwoniłam do Gali.

- Słucham, Zwieriewa - rozległo się w słuchawce.

- Czy mogę prosić Galę?

- Którą? U nas są trzy.

- Przepraszam, to nie jest mieszkanie prywatne?

- Klinika stomatologiczna - usłyszałam w odpowiedzi.

Masz, babo, placek, to jest telefon do pracy. Musiałam jeszcze raz zadzwonić do Ałłoczki, która poinformowała mnie skwapliwie:

- Ona nazywa się Korolowa, Galina Anatoljewna Korolowa.

Tym razem słuchawkę podniósł mężczyzna i suchym tonem odpowiedział:

- Korolowa została zwolniona.

- Za co i gdzie jej szukać? - nie wytrzymałam.

Mężczyzna burknął:

- Nie udzielamy informacji przez telefon. - I cisnął słuchawką.

Rada nie rada, pojechałam do kliniki. Sam zapach na korytarzu sprawił, że poczułam skurcze żołądka. Język machinalnie powędrował ku ruszającemu się zębowi. W porządku, jeszcze się trzyma. Jak wypadnie, to wtedy pójdę do dentysty.

Zapytałam uprzejmie w rejestracji:

- Nie wie pani przypadkiem, gdzie teraz pracuje doktor Korolowa?

Pulchna starsza kobieta oderwała się od krzyżówki.

- Galina?

- Tak.

- Galka nigdy nie była lekarzem, pracowała u nas w gabinecie numer osiemnaście, ale przepędzili ją za bumelowanie.

- Co też pani mówi? - wykrzyknęłam z udawanym przerażeniem.

- Ona kłamie jak najęta, niczym jaka artystka - ciągnęła rejestratorka. - Jeśli mówi, że jest dentystką, ani przez sekundę niech jej pani nie wierzy. Gdzie jest teraz, nie wiem, ale niech pani pójdzie na górę do gabinetu numer dwadzieścia pięć, do Olega Konstantinowicza, ten jest zorientowany, mieli tam coś ze sobą.

Oleg Konstantinowicz, młody człowiek o łapach młociarza, nudził się samotnie w gabinecie z tabliczką: „Usuwanie zębów”. A w ogóle w klinice było zadziwiająco pusto - albo kiepsko leczą, albo wzięli ceny z księżycy.

- Co pani dolega? - ucieszył się, biorąc mnie za pacjentkę.

Ale ja z miejsca rozwiałam jego nadzieje.

- Szukam Gali Korolowej.

- A dlaczego zwraca się z tym pani akurat do mnie?

- Tak mi poradzono w rejestracji.

- A to stara plotkara - zapienił się pan doktor. - Zaledwie kilka razy podwoziłem ją do domu, mieszkamy w pobliżu, na prospekcie Lenigradzkim.

- A gdzie ona jest teraz?

- Na cmentarzu Słońcewskim.

- Umarła? - przestraszyłam się.

- Ależ skąd. - Oleg Konstantinowicz zamachał rękami. - Młoda, zdrowa kobieta. Pracuje tam.

- Jak to?

Lekarz pokręcił głową.

- Nie wiem. Przecież mówię, że ją tylko podrzuciłem do domu. Powiedziała mi, że zaczęła się na cmentarzu. I sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej. U nas pielęgniarka zarabia mało, zresztą lekarz też.

Ruszyłam do Słońcewa. Dzień był piękny. Ociepliło się znacznie, słońce grzało, niebo błękitne, bez jednej chmurki. Aż wierzyć się nie chce, że wczoraj szalała taka śnieżycyca. Ptaki zachłystywały się radosnymi trelami, z dachów kapało...

Ale nawet w tak piękną pogodę niektórych spotyka nieszczęście. Przy bramie cmentarza stał rząd samochodów. Z długiego karawanu wyniesiono już okazałą trumnę ze srebrnymi uchwytami i ustawiono na wózku. Słysząc było ciche rozmowy ubranych na ciemno żałobników. Wyglądali dość specyficznie. Byli to głównie młodzi faceci z krótko ostrzyżonymi włosami. Napakowane mięśnie opinały markowe marynarki. Na rękach, ściskających ogromne, trywialnie drogie bukiety,



połyskiwały złote sygnety. Dostrzegłam ledwie kilka kobiet. Wygląda na to, że jakaś banda chowa kolejnego bandziora.

Spróbowałam po cichutku ominąć żałobną procesję, gdy zza rogu wyszła ładna młoda kobietka w eleganckim czarnym kostiumie.

- Wowoczka, kochany - zawołała wysokim pospolitym głosem. - Głupia kula nie wybiera, kogo zabić. Byłeś młody, piękny, brat dla swoich, mąż dla żony. Oj, dzieci sieroty, rodzice w rozpacz, jeju...

Po jej nieumalowanej twarzy lały się łzy.

Kobiety natychmiast ryknęły płaczem, a bandyci przestali rozmawiać o interesach i wyciągnęli drogie chusteczki do nosa.

- A-a-a - zawodziła kobieta, niemal kładąc się na trumnie - za co? Nie zdążyłeś pożyć, córeczka ledwo się urodziła... Co zrobimy bez ciebie, sokole nasz jasny...

Kondukt w milczeniu przechodził przez bramę. Krzyk niósł się po cmentarzu, aż serce się ścisnęło. No właśnie, za co zginął ten najwyraźniej młody mężczyzna? Dla kilku tysięcy dolarów? A może to jakieś porachunki? Widać dobry był z niego człowiek, choć bandyta, skoro tak po nim rozpaczają.

Odczekałam chwilę przy bramie i boczną alejką ruszyłam w stronę biura. Krzyk cichł, ale wciąż słyszałam, jak kobieta lamentuje nad trumną.

Obok biura siedział na ławeczce chłopina w zaplamionym granatowym kombinezonie.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie mogę znaleźć Gałę Korolową?

Grabarz podniósł na mnie mętne bezbarwne oczy i zamamlał:

- Zaczekaj chwilę, zara przyjdzie.

Usiadłam ostrożnie na drugim końcu ławki.

- Pani się nie boi, nie zarazę - skrzywił się w uśmiechu. - Wczoraj łyknąłem lodowatego mleka prosto z lodówki i ochrypłem. A ty chcesz Gałkę wynająć?

Na wszelki wypadek kiwnęłam potakująco głową.

- Dobrze zrobisz - pochwalił mnie. - Tańki nie bierz. Niby też nieźle pracuje, ale bez uczucia, a Gałka stara się jak dla własnej rodziny, całą duszą. No i napiwki ma galante, zarabia niezły grosz.

- A ty znowu pleciesz trzy po trzy - rozległ się wesoły, dźwięczny głos.

Podniosłam oczy i zdębiałam. Przede mną stała niepocieszona żałobnica, która chwilę wcześniej rozpaczała nad trumną. Ale teraz na jej sympatycznej,

okrągłej twarzy nie było śladu smutku.

- A to klientka do ciebie, Gałoczka - zaseplenił chłopina.

Gala wsunęła mu banknot i powiedziała:

- Idź, trzaśnij sobie klina.

Grabarz wstał i potulnie ruszył w stronę bramy. Gala spoważniała.

- Kto pani umarł? Ktoś z rodziny czy znajomy?

Ale ja wciąż jeszcze byłam oszołomiona.

- Czy to pani rozpaczała tak przed chwilą na pogrzebie?

- Tak, i wszyscy byli bardzo zadowoleni. Czy pani wie, ile kosztuje nasza usługa?

- To pani pracuje jako płaczka? - wyrwało mi się.

- A jakże - potwierdziła. - Ale czemu się pani tak dziwi, skoro przyszła mnie pani wynająć? Cena nie odpowiada, to możemy się dogadać. Ja niezbyt zamożnym zawsze daje zniżkę...

- Zna pani Szabanową?

- Ludę? Jasne, a co się stało?

- Umarła.

Gala opadła na ławkę i powiedziała wstrząśnięta:

- Jak to? Przecież była młoda, nie chorowała.

Ręce płaczki zaczęły lekko drżeć, wyjęła z kieszeni czerwono-złotą paczkę dunhilli.

- Miła popełniła samobójstwo.

- Co za koszmar. - Gala była wyraźnie przerażona. - Dlaczego?

- Przyjaźniła się pani z nią?

Korolowa milczała chwilę, a później zerknęła na zegarek.

- Kim pani jest dla niej?

Zawahałam się na moment, a następnie opowiedziałam jej bajeczkę o wielkim spadku. Na końcu dodałam:

- Dziadek Ludmiły kazał podzielić spadek między nią i Wieroczkę, dlatego szukam dziewczynki.

- A kto to jest? - zdziwiła się Gala.

- Jak to kto, córka Szabanowej.

Gala starannie zdusiła niedopalek.

- Następny pogrzeb dopiero o piątej. Chodźmy. Tu niedaleko jest niezła

restauracja, jestem bardzo głodna.

Zamówiwszy sałatkę, mięso, warzywa, porcję tortu i wielkie lody, Gała obrzuciła stół łakomym wzrokiem i westchnęła:

- Zawsze po robocie rzucam się na jedzenie jak wilk. Dużo energii tracę, płacz wyczerpuje.

- To dlaczego wzięła się pani do takiej ciężkiej pracy?

Korolowa przestała na chwilę chciwie pochłaniać frytki i zapytała rzeczowo:

- Czy pani wie, ile zarabia pielęgniarka? Ja tutaj w jeden dzień mam pięć razy więcej! A poza tym niosę tym ludziom radość.

Omam nie parsknęłam śmiechem. Dobre sobie! To prawdziwe szczęście - ryczeć przy trumnie.

Widocznie spostrzegła moją reakcję, bo powtórzyła zdecydowanie:

- Otóż to, radość, choć pani trudno to zrozumieć. Na przykład dzisiaj.

Chowano chłopaka, nie dożył trzydziestki, głupio zginął. Matka otępiała, żona kompletnie nie wie, co się wokół niej dzieje, przyjaciele stoją jak słupy, drapią się komórkami w wygolone karki. Zgoda, sam sobie winien, ale niech choć pochowają go po ludzku. A tu nic, wszyscy milczą. Na szczęście zdążyłam, opłakałam go z całego serca, lament podniosłam, powiedziałam o nim dobre słowo. Lubił psy... No i żałobnicy odtajali, popłynęły łzy, żal im się zrobiło chłopaka. I to jest radość.

- Od dawna zna pani Szabanową? - spróbowałam skierować rozmowę na interesujący mnie temat.

- Zaraz, wszystko po kolei. Ona zaraz po studiach trafiła do przychodni, a ja akurat przeszłam do gabinetu numer osiemnaście i tam się poznałyśmy.

Zdumiewająca kobieta!

- Dlaczego?

- Rzadki talent, lekka ręka. Nasi lekarze też do niej zaczęli chodzić. Leczyła zęby tak, że nic nie bolało, pacjenci walili do niej drzwiami i oknami. Rzecz prosta, niektórym lekarzom było to nie w smak. Oni gazety czytają, a Luda nie ma ani chwili oddechu. Nasza szefowa wyglądała czasami na korytarz i pytała: „Proszę, kto następny?”.

A pacjenci głowy spuszczaali i milczeli, aż wreszcie ktoś jeden wyduszał piskliwie: „My do Szabanowej”.

Dlatego nasi stomatolodzy się wściekli. Czego to oni o Mile nie rozpowiadali: że pijaczka, narkomana i puszczańska. Zazdrościli. A wszystko to nieprawda. Lubiła

chłopów, owszem, ale żaden się długo nie utrzymał. Tydzień, dwa i koniec, dawali dyla.

- Dlaczego?

Gala przełknęła wielki kęs tłustego tortu i z lubością zapaliła papierosa.

- Diabli wiedzą. Ludmiła była atrakcyjna, ładna, samodzielna, zarabiała lepiej niż wszyscy inni... pewnie dlatego mężczyźni nie czuli się komfortowo. A ona tylko wyglądała na niezależną, w głębi duszy była wrażliwa i nieśmiała, same kompleksy. Więc przywdziała maskę. Tak, z facetami szło jej fatalnie. Czy pani wie, że była z domu dziecka?

Kiwnęłam głową.

- Rodzice Miły zginęli w katastrofie lotniczej - wyjaśniła Ciąła. - Ale o jej dziadku nigdy nie słyszałam, Miła nigdy o nim nie wspominała.

Ach, więc taką wersję wymyśliła Ludmiła dla znajomych. No cóż, to z pewnością lepsze niż opowiadanie ciekawskim o sekcie i śmierci ojca.

- Miała babcię - rzuciła Korolowa, zbierając z talerza co większe okruszki.

- Babcię? - zdumiałam się.

- A co w tym dziwnego, skoro miała matkę, musiała też istnieć babka. Ale nie pamiętam, gdzie mieszkała, gdzieś pod Moskwą. Albo w Nachabinie, albo w Reutowie...

- A jak się nazywała?

Gala zastanowiła się przez chwilę, wreszcie powiedziała.

- Nie pamiętam. Ani imienia, ani nazwiska, jedyne, co mi się kołocze po głowie, to to, że chyba pracowała na poczcie, była bodajże naczelniczką. Ale niby skąd mam wiedzieć? Tyle czasu minęło. Z Miłą od dawna się nie widziałam. Ona się zwolniła sama, mnie zwolniono, przyczepili się, że się spóźniam do pracy. Luda nie zostawiła w pracy ani telefonu, ani adresu. Nagle jakiś rok później natknęłam się na nią w domu towarowym. Poszliśmy z tej okazji na pizzę. Luda zaczęła opowiadać, gdzie pracuje, gdy nagle zapiszczał pager. Zerknęła na niego, zaczerwieniła się i mówi: „Przepraszam, Gałoczka, muszę lecieć, babcia przysłała mi wiadomość, żebym przyjechała jak najszybciej. Stara już biedactwo, zachorowała, a nie ma jej kto pomóc”. Poradziłam jej: „Zadzwoń do niej, że jedziesz”. A Luda na to: „Nie mam dokąd dzwonić, ona nie ma telefonu, wcześniej, gdy babcia była naczelniczką na poczcie, dzwoniłam do pracy, ale odkąd odeszła na emeryturę - koniec kropka”. I poleciała. No, no, nie podejrzewałam jej o podobne uczucia rodzinne, sądziłam, że

jest do nich niezdolna, przecież nad Kostią tak się znęcała!

- Nad kim?

Korolowa się uśmiechnęła.

- To syn naszej szefowej, Kalerii Lwowny. Kostik - pepek świata, oczko w głowie. Nawet narzeczoną mu znalazła ze swojego środowiska i mieszkancko kupiła, na lekarza wykształciła, i wszystko wzięło w łeb. Na narzeczoną patrzył nawet początkowo łaskawym okiem, ale potem spotkał Miłę i przepadł. Po prostu usychał z miłości do niej, ale Ludka tylko się nabijała: „Nie w moim typie”.

Kostia niemal warował pod drzwiami mieszkania Miłoczki. Wreszcie sama Kaleria Lwowna przełamała się i zaczęła się do niej uśmiechać przy każdej okazji. Aż kiedyś wezwała ją do siebie i powiedziała:

- Wprawdzie pragnęłam dla syna innej żony, nie z domu dziecka, ale jeśli tak ma być, niech będzie. I wiedz, że Kostik to moje oczko w głowie. Wszystko mu oddam: mieszkanie, dachę, samochód. Tobie też pomogę, załatwię ci dobrą posadę.

Ale Miłoczka skrzywiła zgrabny nosek i odpowiedziała:

- Niech się Kostia niepotrzebnie nie trudzi, on mnie nic nie obchodzi.

Po trzech miesiącach sytuacja nagle się zmieniła. Ludmiła zainteresowała się chłopakiem. Zaczął się szalony romans, Konstantin mieszkał u Ludy, aż nagle go rzuciła. Zapłakany chłopak czatował na nią w pracy, dosłownie nie dawał jej przejść, błagał, żeby wróciła. Ale Luda tylko się śmiała: „Zgasła miłość, zwiędły róże”.

- Czyli nie wie pani, gdzie jest jej córka?

- Przecież nie miała dzieci, chociaż...

- Co?

Kiedyś oszalały niemal Kostia wdarł się do gabinetu. Luda zbierała się właśnie do domu. Chłopak, nie zważając na Gałoczkę, chwycił Ludę za ramię i zaczął krzyczeć:

- Zabiję cię, suko, nikt cię nie będzie miał!

- Uspokój się. - Ludmiła nie straciła zimnej krwi i poleciła Gali: - Daj mi wody.

Kostia z jękiem opadł na fotel i rozplakał się.

- Masz. - Luda podała mu kubek. - I skończ z tą histerią, bo się niedobrze robi.

Po co tu wciąż przyłazisz?

- Kocham cię - powiedział chłopak cicho.

- Nie wierzę - skrzywiła się.

- Jak to? - Konstantin szczerze się zdziwił.
- Jeśli się kogoś kocha, to mu się nie dokucza, a ty mi nie dajesz żyć.
- Wróć! - wybełkotał błagalnie i wielkie łzy potoczyły mu się po policzkach. Gali zrobiło się żal chłopaka, ale twarz Ludmiły ani drgnęła.
- Idź już i zejź mi z oczu, mam cię po dziurki w nosie!

Chłopak potulnie ruszył do drzwi, ale jeszcze się odwrócił i powiedział błagalnie:

- Zostaw dziecko, nie zabijaj go, my z mamą je wychowamy.
- Dość tych bredni - warknęła, poprawiając fryzurę.
- Chcesz, to je kupimy?
- Ciekawe za ile? - spytała z uśmiechem.
- Dam czterdzieści tysięcy baksów - powiedział zdecydowanie Kostia.

Luda znieruchomiała z grzebieniem w ręku.

- Ile?

- Czterdzieści tysięcy zielonych. Nie bój się, matka ma tyle, a w razie czego sprzedamy daczę i damy ci całą sumę, z ręki do ręki.

Ludmiła na chwilę straciła pewność siebie i spojrzała na Galę, która już wcześniej czuła się bardzo zakłopotana, a teraz, mruknąwszy: „Idę po watę”, wyskoczyła za drzwi.

- I co dalej? - poganiałam ją niecierpliwie.

- A nic. - Gala wzruszyła ramionami. - Kaleria ją zwolniła, a zaraz potem i mnie przy okazji. Wszyscy wiedzieli, że się przyjaźniłyśmy. Więcej jej nie widziałam.

- A kiedy to było?

- Rok temu. Może istotnie urodziła dziecko Kosti, ale nic o tym nie wiem.

Popatrzyłam w duże, jasne oczy Gali i zapytałam:

- Dlaczego zadzwoniła pani do Tamary Ryklinej i powiedziała jej o zdradzie Leonida?

Spojrzenie pięknych oczu Galiny o niezwykłym orzechowym odcieniu uciekło w bok.

- Kto wymyślił takie świństwo?

- Ała Mostowa.

Nalała sobie po brzegi szklanekę wody mineralnej i wypila dwoma łykami.

- No, powiedziałam, i co z tego? Miłka mnie poprosiła.

- Po co? Może Tamara nigdy by się nie dowiedziała o kochance męża i wszyscy nadal by żyli.

Gala walnęła szklanką o stół, aż ta zadźwięczała żałośnie i resztką wody bryzgnęła na obrus.

- Proszę nie robić ze mnie morderczym! Tamara sama sobie winna! Wie pani, czym Miłka go wzięła?

- No, czym?

- Łóżkiem. Przespała się z nim, trochę pobaraszkowała i chłop zobaczył co do czego. Toma, niech jej ziemia lekka będzie, była trochę nienormalna.

- W jakim sensie?

- Powinna się była urodzić w dziewiętnastym wieku, do naszego po prostu nie pasowała. Prowadziła pamiętnik, zapisywała swoje duchowe przeżycia. Romantyczka do szpiku kości. Lorda wracał wieczorem, a na stole świece, kwiaty, cicha muzyka i Tamarka z rozmową na tematy duchowe.

- A to źle?

- Ba! - Gala się roześmiała. - Ale na kolację jedynie gotowana kapusta.

Wykwintne talerzyki, serweteczki, cuda niewidy - i kawałek kapusty albo kupka warzyw. Bo obfite jedzenie to w jej oczach oznaka wulgarności. Piwo piją jedynie prostacy, można ewentualnie wypić łyk wina z kryształowego kieliszka. A co do łóżka...

Gałoczek skrzywiła się z politowaniem i machnęła ręką.

- Biedny Lonia tygodniami czynił podchody. Tamara mogła tylko w odpowiednim nastroju, więc usiłował go stwarzać: kwiaty, komplementy, wyznania miłości. Seks też uważała za wulgarny, który chłop coś takiego wytrzyma? Choć trzeba przyznać, że Lonia wytrzymał długo, dopóki nie trafił na Miłkę. A ona nie miała żadnych oporów - jest chęć, to czemu nie. Tyle że nie na długo jej tej chęci starczało. Kilka miesięcy, a czasem nawet tygodni... i już następny.

- Przecież wcześniej pani mówiła, że mężczyźni ją rzucali...

Gala westchnęła.

- Przeganiała tych, którym się podobała, natomiast tym, na których jej zależało, tak się narzucała, że ją zostawiali. Dziwna prawidłowość! I jeszcze jedno - niektóre jej romanse były dość dziwaczne.

- W jakim sensie?

- Niech pani sama oceni. Czy to Lonia, czy Kostia, czy Żora - zawsze to samo.

- Żora? Kto to?

- Był taki jeden. Gieorgij Roszczyn - rzuciła niedbale Gala i ciągnęła: - Ale nie chodzi o niego. Lońkę Miła znała prawie cztery lata i nie zwracała na niego żadnej uwagi. Aż tu raptem - miłość przez dwa miesiące i rozstanie. Od Kosti też się początkowo opędzała, kręciła nosem i nagle namiętne wyznania, love do grobowej deski i... rozstanie z hukiem. Tak samo było z Żorikiem. Do Miłki przychodziło mnóstwo pacjentów, Żorka też dość długo do niej chodził, aż to ona rzuciła mu się na szyję. Poza tym... Cóż, każdy ma własne wyobrażenie o urodzie.

Przytaknęłam: wiadoma sprawa. Niektóre moje rozwiedzione znajome po raz drugi wyszły za facetów łudzaco podobnych do byłych małżonków...

- Mile podobał się wysocy blondyni, masywni, niekiedy nawet grubawi, a Lonia, Kostia i Zora to drobni bruneci. Kostik wyglądał wręcz jak chłopaczek. Luda się nabijała - też się kawaler trafił, ani marzyć o obcasach. A potem ten gwałtowny romans, nie do pojęcia.

Zapaliłam gauloise'a. Ja też nic z tego nie rozumiałam. Gałoczka wyjęła puderniczkę, przejrzała się.

- No, cóż, muszę wracać do pracy.

Zapłaciłam rachunek, a jakże, i rzuciłam od niechcienia:

- A da mi pani telefon Kalerii Lwowny i Gieorgija?

- Skąd mam mieć? - zdziwiła się i poradziła: - Niech pani pojedzie do przychodni. Kaleria pewnie nadal nią kieruje, a Gieorgij leczy tam zęby, w rejestracji jest jego karta z adresem.

Świetny pomysł. Odprowadziłam Galinę do bramy cmentarza i popatrzyłam za nią. Szła równym, sprężystym krokiem, nie oglądając się, chociaż chyba czuła na plecach moje spojrzenie. Ciepłe wiosenne słońce wesoło oświetlało nagrobki, gdzieś radośnie pokrzykiwały dzieci. Nie wiadomo skąd nadleciało stado kruków. Z przeraźliwym krakaniem paskudne ptaszyska rozsiadły się na gałęziach wielkiej brzozy przy bramie i zaczęły rejwach. Poczułam nagle dreszcz lęku. W całej historii było coś niepokojącego. Podobnie człowiek się czuje, gdy idzie późnym wieczorem pustą ulicą. Niby nikogo nie ma, ale serce zamiera ze strachu.

Odwrociłam się i szybkim krokiem ruszyłam do samochodu. Dość miałam tej wizyty, na cmentarzu zawsze przychodzą mi do głowy paskudne myśli - brrr, nieprzyjemne miejsce.



## Rozdział 12

W rejestracji siedziała tym razem inna rejestratorka. Była godzina czwarta, no tak, to druga zmiana.

- Dzień dobry - odezwałam się dziarsko. - Dawno tu nie zaglądałam.

- To źle - podchwyciła chętnie młodziutka pielęgniarka. - Przegląd zębów należy robić co pół roku.

- Ten ciągły brak czasu... - machnęłam ręką. - W którym gabinecie przyjmuje Kaleria Lwowna?

Dziewczyna postukała ołówkiem w stół.

- Doktor Obrazcowa już u nas nie pracuje.

- Masz ci los - udałam głębokie rozczarowanie. - A ja tak się do niej przyzwyczaiłam.

- Mogę polecić Kalistratową - szepnęła rejestratorka - jest świetna.

- Nie, proszę mi raczej powiedzieć, gdzie mogę znaleźć Kalerię Lwownę...

- Pracuję tu od niedawna... - zaczęła i urwała, spostrzegłszy w mojej ręce dwudziestodolarówkę.

Bez słowa podeszła do jakiejś szafki.

- Może być domowy?

- Wspaniale - ucieszyłam się - może jeszcze telefon.

- Tutaj jest jedynie adres, ulica generała Kotowa 5, mieszkania 42.

- Chciałabym jeszcze dane Gieorgija Roszczyna, leczył tu zęby - poszłam na całość.

Uprzejma siostrzyczka uznała widać, że za dwadzieścia dolarów mam prawo do dwóch adresów, bo weszła między regały, stanowiące kartotekę.

Trwało to jakiś czas. Patrzyłam, jak powoli przesuwa się wskazówka na zegarze. Dlaczego nie mają tu jeszcze komputera?

Wreszcie wróciła, trzymając w ręku wymiętoszoną książeczkę.

- Gieorgij Pietrowicz Roszczyn, tak?

Kiwnęłam głową. Wprawdzie nie znałam imienia ojca, ale miałam nadzieję, że w tej klinice leczył się tylko jeden pacjent o tym nazwisku.

Już w volvo usadowiłam się wygodnie i wybrałam numer Roszczyna.

Dźwięczny dziecięcy głos wykrzyczał:

- Halo?

- Czy mogę prosić Gieorgija Pietrowicza?

- Tu tacy nie mieszkają - zawołało radośnie dziecko i odłożyło słuchawkę.

Jeszcze raz wystukałam ten numer. Tym razem odezwała się kobieta.

- Przepraszam, powiedziano mi, że to jest numer do Gieorgija Roszczyna.

Kobieta milczała chwilę, a potem ostrożnie zapytała:

- A kim pani jest dla niego?

- Nikim. Przyjechałam z Paryża, wspólni znajomi poprosili mnie o przekazanie mu dwóch drobiazgów - koszuli i swetra.

- To mu się już nie przyda. Roszczyn zmarł, a jego żona sprzedała nam mieszkanie.

- Co się stało? - wyrwało mi się.

Kobieta westchnęła.

- Samobójstwo. Rzucił się z okna, dobrze chociaż, że nie tutaj, bo byśmy za nic nie kupili tego mieszkania. Jeśli pani chce, to podam adres jego żony Lili, jej pani odda przesyłkę.

Ręka mi się trzęsła, gdy zapisywałam adres. Co u licha, to jakaś epidemia: wszyscy, którzy mnie interesują, wyskakują przez okno. Najpierw Ludmiła, potem mąż Tamary Leonid, wreszcie jakiś Roszczyn.

Posiedziałam jeszcze kilka chwil w zadumie i ruszyłam do Kalerii Lwowny. Przede wszystkim muszę się czegoś dowiedzieć o córce Miły, Wierze. Może miała ją z Konstantinem.

Długa, prosta jak strzeł ulica generała Kotowa biegnie w pobliżu metra Szczukinska. Dom numer dziewięć był najwyższy wśród otaczających go budynków. Ani domofonu, ani zamka kodowego. Bez kłopotu wjechałam na jedenaste piętro i nacisnęłam dzwonek. Usłyszałam słowiczy trel, drzwi otworzyły się jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Na progu stał ciemnowłosy szczupły chłopak. Na oko około dwudziestu pięciu lat.

- Czy pan Kostia? - zapytałam, uśmiechając się uprzejmie.

Chłopak zbladł i wyszeptał:

- Nie, Sienia.

W tym momencie drzwi jednego pokoju otworzyły się i do przedpokoju wpadła mała dziewczynka z pięknymi włosami. Podbiegła do młodzieńca, objęła go

szczupłutkimi ramionkami, przytuliła się; jej buzia była dokładnie na poziomie jego kolan.

- Wieroczka - powiedziałam radośnie.

Chłopak zsiniał na twarzy i martwym tonem wyjąkał:

- Ona się nazywa Lora, Kaleria.

- Coś takiego - odrzekłam beczelnie, wciskając się do przedpokoju - a więc wy nazywacie ją imieniem babci, a matka Wieroczka. Przepraszam, a gdzie jest Kaleria Lwowna?

Sienią cofnął się o krok.

- W sypialni.

- Skoro tak - powiedziałam zdecydowanie - jeśli ona odpoczywa, to najpierw porozmawiam z Kostią. Mam nadzieję, że jest w domu.

Chłopak patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, następnie gwałtownie przełknął ślinę i wyszeptał:

- Kim pani jest?

- To długa historia. Mógłby pan poprosić Konstantina?

- To niemożliwe. - Chłopak aż mienił się na twarzy. - Lepiej niech pani idzie.

Coś w jego tonie wystraszyło dziewczynkę, rozplakała się, ale Sienią nie zaczął jej uspokajać, powtarzał jedynie:

- Proszę wyjść, proszę wyjść.

Zaczynał mnie już denerwować swoim, delikatnie mówiąc, dziwacznym zachowanie.

- Nie przyszedł do pana, tylko do Kalerii Lwowny i do Kosti. To oni zadecydują, czy mnie wyprosić - uciełam.

Chłopak ciężko westchnął.

- Kostia zmarł.

- Co się stało?

- Popęłnił samobójstwo.

- Rzucił się z okna?

- Skoro pani wie, to po co ta cała komedia?

- Nie, nie, nic nie wiedziałam, po prostu się domyśliłam. Ale naprawdę muszę porozmawiać z Kalerią Lwowną.

- Obawiam się, że nic z tego - odpowiedział apatycznie.

- Chce pan powiedzieć...

- Proszę za mną - mruknął zrezygnowany i ruszył w głąb korytarza.

Mieszkanie było duże, ale zaniedbane. Tak na ogół wygląda gospodarstwo kawalera. Niby wszystko jak trzeba, skarpetki się nie walają, kurze starte, dywan odkurzony, ale brak przytulności, zupełnie jakby nikt w nim nie mieszkał, lecz jedynie nocował. Minęliśmy duży salon i weszliśmy do malutkiej sypialni.

- Proszę, to jest Kaleria Lwowna - powiedział Sienia.

W kącie na dużym łóżku leżała kupka szmatek. Podeszedłszy bliżej, przekonałam się, że to chudziutka kobieta, z głową omotaną kwiecistą chustką. Żółtoszara twarz, drobny, kościsty nos, zapadnięte policzki, całkowicie bezmyślne spojrzenie. Twarz przypominała czaszkę obciągniętą skórą. Oczy niczym dwa matowe guziki patrzyły obojętnie w sufit. Paskudny odór. Nawet przy najlepszej opiece nad leżącym chorym „aromatu” moczu nie da się usunąć.

- Kalerio Lwowno - zwróciłam się do kobiety półgłosem.

- Proszę się nie trudzić, mama nie odpowie. Już z żoną wszystkiego próbowaliśmy: i lekarstw, i fizykoterapii, w desperacji poszliśmy nawet do wróż. Na próżno. Leży tak całymi dniami, trudno poznać, czy słyszy, czy nie. Apetyt ma dobry, żołądek w porządku, serce zdrowe. Powiedziano nam, że taki stan może trwać i dziesięć, i piętnaście lat. Teraz z żoną chodzimy na zmianę do pracy, boimy zostawić się ją samą, a na opiekunkę nas nie stać.

- Jak to się stało? - zapytałam ze współczuciem.

Sienia zamknął drzwi.

- Z powodu Kosti.

- Jak to?

- A dlaczego pani pyta?

Wyjęłam gauloise'y, Sienia pokręcił głową.

- Proszę nie palić, dziecko ma alergię.

Posłusznie schowałam papierosy i zaczęłam opowiadać zmyśloną na gorąco historię.

Mój syn, młody człowiek, poznał niejaką Ludmiłę Szabanową. Zakochał się nieprzytomnie, pragnie się z nią ożenić, złożyli już nawet papiery w urzędzie stanu cywilnego. Ale mnie się przyszła synowa zdecydowanie nie podoba. Jest zbyt wulgarna, a na dodatek kłamczucha. Niedawno dowiedziałam się od kogoś, że podobno była już mężatką i ma dziecko, Wieroczkę, córkę jej i Kosti. Dlatego przyszedłam, żeby to sprawdzić.

Sienia słuchał bez słowa, wreszcie wymamrotał:

- Jeśli pani może, niech ją pani przegoni na cztery wiatry, to przez nią spotkało nas nieszczęście.

- Jak to?

Sienia przysiadł na krześle, podał dziewczynce piłeczkę:

- Idź, pograj sobie.

Ale Lora jeszcze mocniej przyłgnęła do jego nogi. Wtedy Sienia wsunął kasetę do magnetowidu, pstryknął pilotem. Na ekranie zaczęli się miotać Tom i Jerry. Dziewczynka poweselała, usadowiła się na kanapie i zapamiętała dłubiąc w nosie, całkowicie skupiła się na przygodach myszki. A my przeszliśmy do kuchni. Sienia włączył czajnik i wyjaśnił:

- Nie chcę przy niej opowiadać. Wprawdzie jest jeszcze mała, ale a nuż coś zapamięta.

Kostia spotkał Ludmiłę przypadkowo. Był wtedy na ostatnim roku medycyny. Kaleria Lwowna poradziła mu, by wybrał ginekologię. To dobrze płatny zawód, w każdym ustroju społecznym kobiety zachodzą w ciążę i rodzą dzieci, na chleb z masłem i serem nigdy nie zabraknie.

Kostik miał narzeczoną, Olę Litwinową, wyszukała ją troskliwa mama. Konstantin był dla Kalerii oczkiem w głowie, największym życiowym osiągnięciem. Sienia czasami się buntował, ale nic nie mógł zrobić - to Konstantinowi dostawała się cała miłość matki. Ojca nie pamiętali, wcześniej opuścił rodzinę i zapodział się gdzieś na ścieżkach życia.

- Mama przyjmowała wszelkich możliwych pacjentów - skarżył się cicho Sienia - żeby kupić Kostii najlepsze dżinsy, najdroższy zegarek, najmodniejsze koszule. Potem zaczęły się wydatki na korepetytorów, brat nie uczył się najlepiej.

- Przecież pan też chyba nie chodził w łachmanach.

Sienia kiwnął głową.

- Jasne. Tylko że ja zawsze ubiór traktowałem na luzie, a Kostia urządzał prawdziwe przedstawienia. Na przykład przechodzą koło sklepu, na wystawie kurtka, która kosztuje dwie mamine pensje. Kostia przystaje, gapi się z dziesięć minut, a potem ciężko wzdycha i mówi:

- Przez całe życie o takiej marzyłem, ale zdaję sobie sprawę, że nas na nią nie stać.

Kaleria natychmiast wbiegała do sklepu, a synalek dreptał za nią, pojękując:

- Nie trzeba, mamuniu, nie wydawaj pieniędzy, głupi jestem, że to powiedziałem!

Ale mama już wkładała na chłopaka nowy nabytek, wygładzała i wpadała w zachwyty. Kurtka leżała jak druga skóra.

- Masz idealny gust, Kostia - zachłystywała się Kaleria. - Gdy coś ci się spodoba, to zawsze jest to prima sort. Noś na zdrowie.

- Głupio się czuję. Sieni też należałoby taką kupić.

- To nadzwyczajne, że tak kochasz brata - roztkliwiła się matka. - Nie martw się, jego kurtka jeszcze się nadaje do noszenia, a twoja wyglądała już jak szmata.

Podobne sceny często się powtarzały, zresztą nie tylko przy sklepach z ciuchami. Kostia wdychał pod różnymi sklepami: muzycznymi, ze sprzętem wideo, telewizorami. Jego apetyty rosły, zapragnął telefonu komórkowego. To było osiem lat temu, gdy superdrogie komórki mieli wyłącznie najbogatsi.

- Nie sądzisz, że matki nie stać na takie zabawki? - denerwował się Sienia.

Kostik natychmiast rzucił ze złością:

- Nie prosiłem, sama mi dała.

- Znam dobrze twoje tanie chwytły.

- Uspokój się, Sienia - karciła go matka. - Już dawno chciałam kupić telefon, Kostia często przebywa poza domem do późna, nie ma skąd zadzwonić, a ja drzę ze strachu.

- Ja kupiłem kartę i korzystam z automatów - burknął Sienia.

- To dla mojego spokoju - odrzekła z naciskiem matka. - Potraktuj to, jakbym kupiła sobie.

Sienia wzruszył ramionami, ale na brata wściekł się nie na żarty.

Potem w domu zaczął się prawdziwy koszmar, bo Kostia nieprzytomnie zakochał się w Ludmile. Biedna Kaleria Lwowna bała się otworzyć syneczkowi oczy. Raz jeden burknęła nieśmiało:

- A co z Oleńką? Ona z pewnością bardziej do ciebie pasuje, i wiekiem, i wychowaniem. Miła z niejednego pieca chleb jadła...

Ale zazwyczaj uprzejmy i na ogół posłuszny Kostieńka nagle się zjeżył:

- Jeśli spróbujesz zniszczyć mój związek, ucieknę z domu.

Matka westchnęła. To nie był żaden związek, ale nieprzytomna, patologiczna miłość ze strony chłopaka. Najprawdopodobniej zgubną rolę odegrało tu niewłaściwe wychowanie. Przyzwyczajony, że dostaje wszystko na pierwsze napomknięcie,

Kostia nie potrafił radzić sobie ze swoimi uczuciami, marzył o Ludmile jak o nowej zabawce. Ale kobiety nie można przecież kupić jak nową kurtkę, samochód albo komórkę.

Początkowo Kaleria Lwowna nie traktowała tej oszalałej namiętności zbyt poważnie. Ot, powzdycha chłopak jakiś czas i zapomni. Dokoła pełno kobiet, po co mu taka oblatana. Ale zauroczenie nie mijało. Chłopak nosił do przychodni naręcza kwiatów, bombonierki, pisał listy miłosne. Przestał się w ogóle uczyć. I wtedy matka wpadła w popłoch. Dyplom za pasem, wszystko zaplanowane, żeby ukochany syneczek zaczął doktorat, ale wszelkie ambitne marzenia matki mogły wziąć w łeb z powodu jakiejś bezczelnej, cwanej przybłedy, której strzeliło do łba, że nie pójdzie z Kostikiem do łóżka.

Kaleria Lwowna była absolutnie pewna, że doświadczona Ludmiła umyślnie kusi naiwnego chłopaka, udając taką nieprzystępną. Dalekowzrocza taktyka obliczona na wygodne małżeństwo. Niekiedy wieczorami Kaleria aż dusiła się ze złości, widząc, jak syn miota się przy telefonie. Czy dla takiej dziwy pchała syna przez życie na własnych plecach? Dla takiej synowej dorabiała się mieszkania, daczy, samochodu i sporego konta? Co innego Oleczka Litwinowa, córka znanego profesora, lekarza naczelnego znanej moskiewskiej kliniki.

Ale Kostia teraz ani spojrzał na Olę. Wreszcie kiedyś, słysząc, jak syn płacze w łazience, nie wytrzymała. Następnego dnia, zebrawszy się w sobie, wezwała Ludmiłę do swojego gabinetu. Ta zjawiała się natychmiast, w smudze drogich perfum. Kaleria, nie owijając niczego w bawełnę, nie stosując żadnych wybiegów, rzekła:

- Pani wie, oczywiście, że mój syn jest w pani nieprzytomnie zakochany?

Ludmiła bez ceremonii zapaliła papierosa i uśmiechnęła się.

- Ja nie mam z tym nic wspólnego, nie robiłam do niego słodkich oczu.

Kaleria postanowiła puścić tę bezczelną uwagę mimo uszu i ciągnęła:

- Nie ukrywam, że nie o takiej synowej marzyłam, ale skoro tak się stało...

Ludmiła przerwała jej:

- O czym my mówimy, między mną a pani synem nic nie ma, nawet się nie spotykaliśmy, a pani mówi o ślubie!

- Chwileczkę. Chcę pani jedno powiedzieć: nie mam nikogo, prócz dzieci.

Kostia sporo ode mnie dostanie: daczę, mieszkanie, samochód. Niebawem zrobi też intratną specjalizację. Moje nazwisko również coś niecoś znaczy w świecie medycyny, załatwię pani świetną posadę. Ręce ma pani, że daj Boże każdemu,

szybko pójdzie pani w górę. A więc lepiej żyć z nami w przyjaźni.

Luda starannie zdusiła niedopałek i zapytała uprzejmie:

- Jeśli dobrze rozumiem, proponuje mi pani dobra materialne w zamian za życzliwość dla Kosti? Uważa mnie pani za prostytutkę?

Kaleria Lwowna wybuchła:

- Przestań udawać niewiniątko. Myślisz, że nie wiem, o co chodzi?

Przetrzymać chłopaka, a potem biegiem do urzędu stanu cywilnego. Chcesz wyrwać słodki kąsek, sam miód. Dość tego znęcania się nad Kostią, chłopak się prawie rozchorował. Decyduj się, i to szybko, weź go do łóżka, co to, ubędzie ci? Wiem o twoich wyczynach, chłopów zmieniasz jak rękawiczki, a z mojego chłopca kpiny sobie robisz, upatrzyłaś go na męża. No cóż, nie będę się sprzeciwiać, możesz stanąć z nim na ślubnym kobiercu, dla niego postaram się być dobrą teściową.

Miła uśmiechnęła się szeroko:

- Widzę, że bardzo kocha pani Kostię. Ale płonne są pani nadzieje, że on raz się ze mną prześpi i mu przejdzie. Ma pani rację, co mi szkodzi pobaraszkować z nim, tylko po co? Nowe miejsce pracy? Obecne całkowicie mi odpowiada, pacjentów mam tylu, że nie jestem w stanie wszystkich przyjąć, a to dlatego, że jak sama pani wie, w tym nędznym przybytku jestem najlepszym lekarzem. Mieszkanie mam, pieniędzy też pod dostatkiem, na powodzenie nie narzekam. A Kostia się uspokoi, przejdzie mu.

Nie czekając na reakcję Kalerii Lwowny, Miła wypadła za próg, nie omieszkawszy trzasnąć drzwiami. Wściekła Kaleria, trzęsąc się ze złości, przyjechała do domu i poleciła starszemu synowi:

- Jak najszybciej zaprosz przyjaciół i postaraj się, aby przyszło jak najwięcej sympatycznych dziewczyn.

Sienia, który się niedawno ożenił, spojrzał zdziwiony na matkę.

- Nie gap się na mnie - warknęła, nie panując nad sobą - trzeba ratować Kostika przed tą harpią. Powinien mieć wokół siebie dużo kobiet, żeby zapomniał o Ludmile.

Sieni zaczął często urządzać imprezy, ale młodszy brat ani myślał w nich uczestniczyć. W najlepszym razie wychodził do gości ze swojego pokoju zaledwie na parę minut. Matka zaczęła się nie na żarty zastanawiać, czy nie zasięgnąć porady psychiatry. Wreszcie, zapominając, że jest przecież lekarzem, zwróciła się do babki, żeby „odczyła uroki”.

Chuda, niechlujna baba obróciła w pomarszczonych rękach zdjęcie



legitymacyjne i powiedziała zdecydowanie:

- Uroki, a jakże, można spróbować odczynić, ale będzie lepiej, jeśli wywieziesz syna jak najdalej od tej baby, im szybciej, tym lepiej.

- Dlaczego?

- Ona terminuje u czarownika, a ten kręci nią jak chce i na ciemne sprawy napuszcza. Wychodzi wyraźnie, że twojemu synowi zatracenie od niej.

Kaleria Lwowna zapłaciła żadaną sumę i w zamian dostała małą buteleczkę z przezroczystym płynem. Miała go, odmawiając w duchu *Ojcie nasz*, wlewać Kostikowi do herbaty. Płyn wkrótce się skończył, a Konstantin nadal szalał za Ludmiłą. Matka już tylko wzdychała. Co jej strzeliło do głowy, żeby iść do jakiejś ciemnej znachorki.

Nagle jednak sytuacja całkowicie się zmieniła. Kostikowi jakby skrzydła u ramion wyrosły. Ludmiła nareszcie raczyła zniżyć się do niego. Zaczął się burzliwy, namiętny, szalony romans. Chłopak przeniósł się do Ludmiły, całymi tygodniami nie dzwonił do domu. Matka słowa złego mu nie powiedziała, ciesząc się, że syn jest szczęśliwy.

Ale ten raj na ziemi nie trwał długo. Jakies dwa miesiące później Kostik wrócił do domu niczym zbity pies. Ludmiła pokazała mu drzwi, nawet nie próbując się tłumaczyć. Powiedziała jedynie:

- Wynoś się, mam cię dość.

Tydzień chłopak przeleżał z nosem w poduszce, odtrącając podsuwane przez troskliwą mamę przysmaki.

Po jakichś dziesięciu dniach rozległ się dzwonek do drzwi. Była kochanka oświadczyła bezczelnie:

- Jestem w ciąży, a zabieg jest drogi, musisz się wykosztować.

Kostik zaczął błagać damę swego serca, by nie pozbywała się dziecka. W rozpaczę nawet obiecał:

- Tylko urodź, wezmę je, a właściwie kupię, dam czterdzieści tysięcy dolarów.

Ludmiła przyjęła tę szaloną propozycję. Kaleria Lwowna zaniemówiła, gdy pewnego sobotniego poranka zobaczyła na progu swojego mieszkania bezczelnie uśmiechniętą Szabanową.

- Jak śmiesz!

Ale Miła spokojnie weszła do środka i oświadczyła:

- Musimy porozmawiać. Mogę urodzić pani wnuka, jeśli Kostia zapłaci, tak

jak obiecał.

Kaleria bezwładnie oparła się futrynę.

- Dla mnie zrobić aborcję to jak splunąć - uśmiechnęła się Ludmiła z błyskiem w czarnych oczach. - A za czterdzieści tysięcy baksów oddam wam dzieciaka, nie mam zapotrzebowania na pieluchy, ale na pieniądze.

Kaleria Lwowna nie miała pojęcia, co robić. Suma, jakiej Ludmiła zażądała, była oszalamiająca. Mniej więcej tyle zaoszczędziła przez całe swoje życie.

- Mamusiu - rozległ się za jej plecami cichy głos syna - błagam, zgódź się, nie przeżyję, jeśli ona pozbędzie się dziecka.

Kaleria patrzyła w milczeniu to na wpół oszalałego syna, to na spokojnie uśmiechającą się harpię.

- Dobrze - wycedziła. - Ale masz zgłosić ojcostwo Kosti i zniknąć z naszego życia.

- To żaden problem - zapewniła ją Miła i zapytała: - Jedziemy?

- Dokąd? - zdziwiła się Kaleria.

- Do biura notarialnego, podpisać dokumenty. Okazało się, że praktyczna Ludmiła już dawno wszystko przemyślała, zaprosiła nawet do urzędu świadka, ciemnowłosego, ciemnookiego mężczyznę. Kaleria Lwowna musiała napisać oświadczenie, że jest winna Ludmile czterdzieści tysięcy „zielonych”, które zobowiązuje się wypłacić na pierwsze żądanie.

Później, wspominając to, co się stało, kobieta była przekonana, że podpisała ten idiotyczny papierek jak we śnie. Jeszcze nigdy ona, stary wróbel, nie dała się tak podejść.

Miła zwolniła się z pracy i dopiero się zaczęło. Domagała się świetnego pożywienia, wyjazdów do sanatorium, witamin, wizyt u kosmetyczki, masaży, pomocy domowej i Bóg wie, czego jeszcze.

Kosti nawet za próg nie wpuszczała. Zostawiał na schodach torby z zakupami i odchodził. Raz jeden zaryzykował i podszedł do byłej ukochanej, gdy wyjrzała zza drzwi. Ludmiła, starannie zasłaniając szlafrokiem duży już brzuch, burknęła gniewnie:

- Twoje wizyty mnie denerwują, a to się może odbić na dziecku.

Już więcej Kostik nie ryzykował.

Wreszcie nadeszła szczęśliwa chwila. W nocy z dwunastego na trzynastego września Miła zadzwoniła i powiedziała.

- Jadę na porodówkę, numer sto dziewięćdziesiąt sześć.

Kaleria Lwowna próbowała wcześniej skierować ją do swojego ginekologa, ale Miła odmówiła.

Nad ranem urodziła piękną, zdrową dziewczynkę, a potem spędziła w szpitalu jeszcze dziesięć dni.

Późnym wieczorem dwudziestego trzeciego września Kaleria Lwowna i Kostia przyjechali do kliniki. Ludmiła wyszła z zawiniątkiem w rękę i odchyliła róg kocyka. Serce Kalerii ścisnęło się boleśnie. Spośród śnieżnobiałych, przygotowanych przez Kostię pieluszek wyjrzała drobniutka, pomarszczona, nieco żółtawa twarzyczka. Nagle niemowlę skrzywiło się zabawnie, kichnęło, otworzyło niebieskie bezmyślne oczka i uśmiechnęło się do babci. Kaleria Lwowna poczuła, jak do jej serca napływa miłość, wielka i bezgraniczna. Widocznie Kostia poczuł to samo, bo zażądał:

- Daj mi ją.

- Najpierw pieniądze - przypomniała mu spokojnie Miła.

Kaleria podała jej reklamówkę. Nie wypuszczając dziecka, Luda zajrzała do środka i widząc grube pliki studolarowych banknotów, mruknęła zadowolona:

- Mam nadzieję, żeście mnie nie oszukali.

- Nie jesteśmy na bazarze - warknęła Kaleria. - Zabieraj pieniądze i oddaj dziewczynkę.

W tym momencie dziecko zapłakało żałośnie.

- Chce jeść - oświadczyła Ludmiła i ściskając reklamówkę, zawróciła do szpitala.

- Dokąd? - zawołała za nią Kaleria.

- Nie bójcie się, nie ucieknę wam z dzieckiem - uspokoiła ją Miła. - Mnie ona na nic, nakarmię ją tylko i przewinę, bo się ta wasza krew z krwi obsrajała.

Niezwykłość całej sytuacji stępiła tylko czujność babki i Luda spokojnie odeszła.

Kostia i Kaleria niecierpliwili się w poczekalni. Aż wreszcie pojawiła się pielęgniarzka z zawiniątkiem.

- Kazała powiedzieć, że dziewczynka zasnęła. Nie odsłaniajcie buzi, w powietrzu są zarazki, jeszcze zachoruje.

Prawie nie oddychając, Kostia przytulił lekki pakunek i tak trzymał przez całą drogę do domu. W sypialni odsłonił róg kocyka i aż się wstrząsnęli. Patrzyły na nich

wielkie martwe oczy. Na policzkach płonęły namalowane rumieńce, gutaperkowe usta wykrzywił uśmiech. W pieluszkach leżała lalka.

Kostia zemdłał. Kaleria rzuciła się do telefonu, ale nikt nie podnosił słuchawki. Wobec czego wskoczyła do taksówki i popędziła do bezczelnej hochsztaplerki. Ale w mieszkaniu spokojnie pił herbatę jakiś mężczyzna. O żadnej Ludmile nigdy nie słyszał, trzy dni temu kupił mieszkanie przez agencję.

Przygnębiona Kaleria wróciła do domu. Kostia siedział przy pustym łóżeczku dziecka.

- Uciekła. - Tyle tylko zdołała wykrztusić.

Syn jakby nie słyszał.

- Juro pójdę na milicję, na pewno ją znajdą.

Ale do wizyty na milicji nie doszło. O siódmej rano Kalerię obudził dzwonek. Zdziwiona taką wczesną wizytą, otworzyła drzwi.

Na klatce schodowej stał dozorca i dwóch milicjantów.

- Proszę się nie denerwować - powiedział jeden, zdejmując czapkę.

- Co? - wyjąkała, czując zimny strach.

Kostię znalazł dozorca. Ciało już otężało, krew wypływająca z głowy zastygła. Kaleria Lwowna okiem lekarza obrzuciła zwłoki syna i bez słowa osunęła się na ziemię. Doznała udaru mózgu...

Sienia umilkł.

- Nie próbowaliście szukać Ludmiły?

- Po co? - zapytał apatycznie.

- A pieniądze? Przecież was oszukała!

Senia pokręcił głową.

- Poszedłem do śledczego i usiłowałem mu wszystko wytłumaczyć, ale popatrzył na mnie jak na wariata. Powiedział, że sprawa jest jasna, chłopak przez nieszczęśliwą miłość rzucił się z okna, co rusz się to zdarza, a matka nie zniosła śmierci syna...

- Powiedział pan o czterdziestu tysiącach dolarów?

Machnął ręką ze znużeniem.

- Jasne.

- I co?

- Najpierw zapytał, czy były objęte podatkiem, a potem oświadczył, że na słowo nie mogą zacząć śledztwa, co innego gdybyśmy mieli jakiś dokument...

Przestraszyłem się, że jeszcze zażądamy podatku od tej sumy, i wyszedłem.

Proszę, jak sprytnie pozbył się go milicjant.

- Pewnie pomyślał, że przez to nieszczęście dostałem świra. Zapytał mnie łagodnie, czy aby mi się nie pomyliło z tym dzieckiem. Nikt nie widział Ludmiły w ciąży. Wszystko to specjalnie zaplanowała, kazała mamie, by zwolniła ją z pracy za ustawiczne spóźnienia. Wciąż powtarzała: „Nie chcę dziecka, po co mi głupie gadanie, nikomu o ciąży nie mówcie”. No to milczeliśmy, a Kostia zadreślał się niepewnością, że a nuż się rozmyśli i nie odda dziecka! I doczekał się!

Sienia pociągnął nosem.

## Rozdział 13

„Czyli jednak jest dziewczynka! - myślałam w drodze do domu. - I ma dopiero dwa lata. Z kim Miła ją zostawiła? Dlaczego ukryła? Żadna koleżanka nie miała pojęcia o jej istnieniu. Po co takie tajemnice? Setki, tysiące kobiet rodzi teraz nieślubne dzieci, nikt już tego nie potępia, nawet kumoszki na podwórkach. Bała się, że odbiorą jej pieniądze? Ale wszystko wskazuje na to, że wiedziała o śmierci Kosti i chorobie Kalerii Lwownej. Żyła sobie zupełnie normalnie, pracowała w jakimś SZOOFUG. A właśnie! Śledczy Nikołaj Wasiljewicz obiecał, że się dowie, co kryje się za tym skrótem, i sprawdzi, do kogo należy numer telefonu, pod który dzwoniła Miła.

Była dokładnie ósma wieczorem. Wszyscy przyzwoici ludzie już dawno wrócili do domów, zajadają kapuśniak i oglądają mecz. Wszyscy, ale nie funkcjonariusze milicji, którzy mają na głowie rozbabrane sprawy. Wykręciłam numer telefonu, w słuchawce rozległo się pokasztywanie i zmęczony głos powiedział:

- Słucham, Kondratjew.

Wyłączyłam się szybko. Zaraz do niego skoczę, tylko jaką by mu przyjemność sprawić? Można wprawdzie zaproponować pieniądze, ale intuicja podpowiadała mi, że ten kapitan nie weźmie ani kopiejki, absolutnie nie wyglądał na łapówkarza.

Przypomniało mi się, jak kiedyś mój serdeczny przyjaciel Aleksander Diegtiariew, uśmiechając się z zadowoleniem, odsunął pusty talerz i powiedział:

- Wiesz, Daria, o czym marzy każdy pracownik MSW?

- O wysokiej pensji.

- Nie, moja mądralo. Jasne, pieniążki dobra rzecz, ale to nic wobec gorącego, domowego obiadu. Nieszczęśni pracownicy organów odżywiają się byle jak, bez ładu i składu. A najgorzej mają pracownicy oddziałów terenowych, bo ci z centrali mają przynajmniej stołówkę. A te biedaki noszą ze sobą kanapki albo wsuwają chińskie paskudztwo lub niejadalne parówki z keczupem. A potem dolegliwości gastryczne, wrzody, rak żołądka.

Powoli wjechałam na podwórko i popatrzyłam w okna - ciemno. Tak, Aliski nie ma, Marusia w Instytucie Weterynarii, Kiesza w pracy, a Kicia pewnie postanowiła nocować w telewizji.

W kuchni odkryłam wiele różnych rondelków. W jednym pachniała zupa, w

drugim był boeuf Strogonow, kartofle i coś nieokreślonego, obrzydliwie żółtego, pachnącego zgniłą cytryną.

Włożyłam potrawy do słoików i pojechałam na posterunek. Nikołaj Wasiljewicz tym razem miał na sobie dość przyzwoity garnitur i kolorowy krawat.

- Dzień... bry - burknął, podnosząc zaczerwienione oczy znad jakichś zdjęć. - Czym mogę służyć? Pomyliła pani jeszcze jednego nieboszczyka, czy też znowu ktoś spadł pani na głowę?

Lekceważąc jego ironiczny ton, postawiłam przed nim słoiki, zdjęłam pokrywki i poleciłam:

- Lepiej niech pan zje.

Kapitan pociągnął nosem, następnie wziął z biurka łyżkę i błyskawicznie rozprawił się z zawartością miseczek.

- Szkoda, że nie ma chlebka - mruknął, zlizując to, co upadło na papiery.

- Zapomniałam... - powiedziałam przepraszająco. - Bardzo się spieszyłam...

- Świetnie pani gotuje - pochwalił mnie. - Pani mąż to szczęściarz! A moja była umiała jedynie kluchy i jajka, jajka i kluchy.

- Dowiedział się pan czegoś o numerze telefonu?

Nikołaj Wasiljewicz zapalił papierosa.

- Owszem. To numer na poczcie głównej w miasteczku Nagorje w okręgu moskiewskim. Rozumie pani, gdy ktoś nie ma telefonu w domu, idzie na pocztę. A z kim rozmawia, tego już nie można sprawdzić.

- A skrót?

- To proste: Sp. z o.o., fabryka urządzeń grzewczych, Magistralna 86.

Ruszyłam do drzwi.

- Dario Iwanowno - zawołał za mną - proszę przyjść zawsze, gdy będzie pani potrzebowała pomocy.

- Umowa stoi.

Uśmiechnęłam się, zamykając drzwi. I proszę, zaprzyjaźniliśmy się, a to dzięki smacznemu domowemu obiadowi. Biedny chłopina, pewnie od zupek w proszku męczy go zgaga. Jednak słuszne jest powiedzonko, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek.

W salonie siedzieli wszyscy domownicy, w milczeniu wlepiając wzrok w telewizor. Były tu nawet Irka i Katierina. Dziwne, w kuchni stoi duży philips i nasza służba tam woli oglądać seriale. Nie dlatego bynajmniej, że im zabraniamy oglądać z

nami, same tak chcą. Ale tym razem oczy wszystkich przyciągała nie *Dynastia* czy *Santa Barbara*. Na ekranie fascynująco piękna dziewczyna mówiła anielskim głosem:

„Mecz zakończył się druzgoczącą porażką 8:0. Na miejscu koszykarzy z Kamska rzuciłabym tę dyscyplinę i zajęła się golfem. Tam ich nieruchawość byłaby bardziej na miejscu...”.

- Sama to wymyśliłaś? - zainteresował się Kieszka.
- Nie - pokręciła głową Olga - czytam, co mi dają.
- Chcecie powiedzieć, że to Kicia? - zapytałam w osłupieniu.
- Wyobraź sobie - mruknęła Olga.
- Coś ty, mammo - zdziwił się Kieszka. - Nie poznałaś jej?

Patrzyłam w milczeniu na uśmiechniętą prezenterkę. Ta niewiarygodnie piękna dziewczyna z wielkimi oczami, zgrabnym noskiem i z idealnie wykrojonymi ustami to naprawdę moja synowa?! A włosy! Gęstwina jasnych, wspaniałych loków. Zerknęłam z ukosa na chudziutki bezbarwny ogonek ściągnięty czarną frotką na karku i spytałam:

- Włożyłaś perukę?
- Skądże. Utopirowali, wylakierowali, prawda, że super?

Nie mogąc wydusić z siebie ani słowa, kiwnęłam w milczeniu głową. Podobne uczucia kłębiły się najwyraźniej w duszy Irki, bo wypaliła:

- Coś podobnego, tak się odmienić, co za skończona piękność, oczu oderwać nie można. Niech pan uważa, Arkady Konstantinowiczu, bo sprzątną panu żonkę sprzed nosa.

Kieszka podrapał się w głowę.

- Zmienili godzinę programu? - wyrwałam się znów jak filip z konopi. - Jest już pół do dziesiątej.

- Mammo, włącz rozum - zniecierpliwiał się Arkady. - Nagraliśmy na wideo!

No to już rozumiem, dlaczego się tu wszyscy zebrali.

- A cóż tu się dzieje? - rozległ się wesoły głos Aliski.

Dzwoniąc bransoletkami, naszyjnikami i łańcuszkami, balerina jak burza wpadła do pokoju.

- Dlaczego służba tkwi przed telewizorem razem z państwem?

Paskudny Freddy, obejmujący Aliskę za leciutko już wędnącą szyję, pisnął gniewnie. Irkę z Katią wymiotło w jednej chwili. Freddy podszedł do spokojnie śpiącego Bundy'ego i zaczął się nad nim kiwać na krzywych włochatych nogach.



- Dobra małpka - zaćwierkała Aliska. - Pobaw się z pieskiem. To co tu się dzieje?

Usłyszawszy o kasecie natychmiast zażądała, by puścić ją jeszcze raz, i znów zaczęliśmy się zachwycać pięknnością Olgi.

- Zwracam ci uwagę - skomentowała Aliska - że się garbisz, ramiona idą do przodu. Siedzisz nieładnie, a trzeba tak.

Zręcznie napięła kościste obojczyki. Kicia próbowała to naśladować, ale po chwili wystękała:

- Boli mnie w krzyżu.

- Bo przywykłaś się garbić - wymądrzała się Aliska - a to paskudne przyzwyczajenie. Plecy u kobiety są najważniejsze, wcale nie nogi, nie dupa, nie piersi, ale właśnie plecy.

Okrągłutka Mania spróbowała usiąść prosto i jęknęła:

- W głowie mi się kręci.

- Za to płuca się prostują - wyjaśniła Aliska. - Ściskasz je przecież cały czas, nie mogą należycie pracować. Wiesz, jak można się nauczyć trzymać postawę?

- Jak? - ożywiła się Mania.

- A tak - oświadczyła tancerka i z rozmachem walnęła Kieszkę po grzbiecie.

- Oj - jęknął syn - boli!

- I o to chodzi! - ucieszyła się „nauczycielka”. - Pomaga bezbłędnie. W szkołach baletowych walą po plecach żelazną linijką, zapamiętuje się to na całe życie.

Kieszka, krzywiąc się, pocierał łopatki. Freddy zafukał z zadowoleniem. Zachowanie pani wyraźnie przypadło mu do gustu. Paskuda błyskawicznie chwyciła bambusowy kijek, którym Ira rozsuwa zasłony, podskoczyła do Kici i pisnąwszy radośnie, walnęła kijem niczego niepodejrzewającą dziewczynę.

- Co jest? - wrzasnęła moja kulturalna synowa. - Aliska, złap tę swoją cholerną małpę.

Westchnęłam ciężko. Obecność eksmadame Polańskiej zdecydowanie źle wpływa na domowników. Nigdy wcześniej nie słyszałam u Kici podobnych słów. Ale Aliskę nie tak łatwo zbić z tropu.

- Myślałby kto - parsknęła, zabierając Freddy'emu kij - jacy to jesteśmy wrażliwi, delikutaśni. Dobrze ci to zrobi, bo wyglądasz na ekranie jak podskubany kurczak - szyi nie ma, ramiona przy podbródku. Lepiej byś podziękowała mnie i Freddy'emu, gwiazdo telewizyjna!

Małpka w skupieniu dłużyła w nosie. Pełen obrzydzenia Kiesza i zdenerwowana Kicia błyskawicznie wypadli z pokoju. Nawet bezgranicznie kochająca zwierzęta i pragnąca zostać weterynarzem. Maszka zmieniła się lekko na twarzy, a mnie zrobiło się niedobrze. Natomiast Aliska ani drgnęła.

- Czy w tym domu podadzą wreszcie kolację? Czy mamy iść spać na głodniaka? - wrzasnęła. - Irka, Kat'ka, zapomnieliście o swoich obowiązkach, tłuste dupski?

- Nie klnij - poprosiłam zrezygnowana, kątem oka widząc chichoczącą Manię.

- A kto klnie? - zdziwiła się Aliska. - Przecież ja tak mówię, wybacz, ale inaczej nie umiem. My, tancerze baletowi, jesteśmy ludźmi prostymi, żadna Francja elegancja, piszemy z błędami, liczymy z trudem.

- Dość tych wygłupów...

- Jasne - podchwyciła radośnie moje słowa - wyzywaj się na mnie, bezdomnej, bezbronnej.

Popatrzyłam na jej pstrą, jarmarczną biżuterię i przypomniałam sobie pewien incydent z przeszłości. Wiele lat temu na wydziale, gdzie pracowałam, pojawił się starszy pan. Miał około siedemdziesiątki i zamierzał bronić pracy doktorskiej na temat „Obraz miasta przemysłowego w poezji Lessinga”. Nasza szefowa, bardzo ładna i niezwykle mądra kobieta, z lekka osłupiała, gdy to usłyszała.

- Przepraszam, mój drogi - powiedziała ostrożnie - Lessing urodził się w 1729 roku i wtedy w Niemczech nie było jeszcze dużych zakładów przemysłowych, a w jego utworach mowa jest o miłości, obowiązku, wierności...

- Ale przecież nikt jeszcze nie pisał na taki temat - upierał się.

Nadieżda Michajłowna powtórzyła cierpliwie:

- Nie da się na ten temat niczego napisać, wyobraża pan sobie zbieranie materiałów na temat „Życie pingwinów w Moskwie”?

- To bardzo oryginalny temat - nie ustępował.

W ten sposób rozmawiali prawie dwie godziny, wreszcie oszołom wyszeptał:

- Pani musi mi pomóc.

- Dlaczego? - zdumiała się Nadieżda Michajłowna.

- Jestem sierotą, wszyscy mi umarli, i mama, i tata, i babcia.

- Mnie też. - Tylko tyle zdołała wybąkać pani dziekan.

Rano przy śniadaniu zastanawiałam się, dokąd najpierw pojechać, gdy do

pokoju wszedł pogodnie uśmiechnięty Fila.

- Czym nas dzisiaj raczą? - zapytał radośnie, obrzucając spojrzeniem stół. - Oładki? Wspaniale, dzień należy zaczynać pożywnym daniem.

Patrzyłam, jak oblewa grube placuszki tłustą śmietaną, próbuje i dokłada konfitur. Ten z pewnością nie ma kłopotów z wątrobą, a poziom cholesterolu we krwi nie mąci mu spokoju.

Szaman podniósł na mnie wzrok i powiedział:

- Wątroba istotnie jak u noworodka. Mogę panią nauczyć, jak oczyścić ją ze złogów.

Zmieszałam się. Czyżbym miała myśli wypisane na twarzy? Wyraźnie tym rozbawiony Fila rzekł:

- Przygotowałem dla wszystkich jambę.

- Co? - nie zrozumiał Kiesza. - Jamkę?

- Jambę - powtórzył cierpliwie Fila - specjalne danie. Należy się nim delektować, przez cały czas myśląc o najbardziej upragnionym marzeniu.

- I się spełni? - zapytała Marusia.

- Bezwzględnie.

- Gdyby tak zachorować na ospę wietrzną - rozmarzyła się szczerze.

- Po co? - zdębiałam.

- Wtedy ominą mnie cztery klasówki - wyjaśniła radośnie. - To teraz moje największe marzenie.

- Nie gadaj głupot - skarcił ją brat. - A właśnie, dlaczego nie jesteś w szkole?

- Przecież jest sobota - pisnęła. - Wy to byście dzieciaka najchętniej łańcuchami do ławki przykuli.

- Zjecie jambę? - zapytał Fila.

- Jasne! - wrzasnęła Mania entuzjastycznie. - Byle szybciej.

Podejrzliwie popatrzyłam na żółtawą breję, cuchnącą zgnilizną. Widziałam to wczoraj w kuchni. Maniunia niepewnie powąchała zawartość łyżki i czym prędzej przelknęła. Kicia gapiała się na nią jak wół na malowane wrota. Masza czym prędzej popiła wodą cudotwórczą jambę i orzekła:

- Zjeść się da, tylko strasznie śmierdzi. Mam nadzieję, że pomoże.

- Mnie też dajcie - poprosiła z determinacją Kicia.

Ja i Arkady odmówiliśmy.

- Będziecie potem żałować - postraszył nas Fila.

Przygnębiona dłużyłam widelcem w talerzu. To okropne. Wpuściłam na kilka dni bezdomną Aliskę, a dostałam do kompletu szamana i małpę. Miałam jedynie nadzieję, że to paskudztwo nie zostało sporządzone z pasty do podłóg albo płynu do mebli. Trzeba zapytać Irkę, czy ze spiżarni nie zginął znowu jakiś środek czystości.

Wdowa po Gieorgiju Roszczynie, Lila, wydała mi się bardzo stara. Gdy stanęła w progu, omal nie spytałam: „Pani jest matką Gieorgija?”, ale w porę się zreflektowałam.

- Pani Lila?

Kobieta cofnęła się o krok w głąb mieszkania i bezbarwnym głosem odrzekła:

- Tak, a kim pani jest?

- Nazywam się Dasza.

- Przepraszam, ale nie przypominam sobie.

- Nie znamy się. Przyszłam do pani z prośbą o pomoc.

- Czym mogę służyć? - zapytała bez śladu zainteresowania w głosie.

- Ludmiła Szabanowa...

Błada twarz Lili jeszcze zbladła, na chudych policzkach wykwitły czerwone plamy.

- Jeśli przysłała panią ta...

- Nie, nie - zaprotestowałam gorąco. - Nacierpiałam się przez nią, potrzebuję pani rady.

- Proszę wejść.

Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Niełatwo rozmawia się z osobą, której twarz jest niczym kamienna maska. Przełknęłam ślinę i zaczęłam wyrzucać z siebie wymyśloną historię.

- Mąż chce mnie zostawić. Przeżyliśmy razem dwadzieścia lat i proszę - w starym piecu diabeł pali. Nic innego, tylko diabeł starego poraził, i to poniżej pasa. Wziął sobie kochankę, bezczelną babę, Ludmiłę Szabanowa i chce ode mnie odejść. Na szczęście dobrzy ludzie powiedzieli mi, że wspomniana baba zmienia chłopów jak rękawiczki, żaden nie utrzymuje się dłużej niż dwa miesiące. Pomyślałam, że otworzę memu ślubnemu oczy na sztuczki jego ukochanej, może się opamięta i zostanie. Bardzo przepraszam, że panią niepokoję, ale jesteśmy teraz prawie jak siostry w nieszczęściu...

Lila pokręciła głową.

- Mówić chłopu czy nie mówić, na jedno wychodzi, jeśli go чуć sparła. Ja mojemu otwarcie mówiłam, że to zdzira. Nic go to nie wzruszało. No i doigrał się.

Rozplakała się cicho. Poczułam się nieswojo. Przyszłam tu i pcham się z brudnymi butami do duszy tej biedaczki, ale przecież muszę odnaleźć dziecko! Lila uspokoiła się trochę i spytała:

- A pani mąż gdzie poznał to ścierwo?

- W przychodni, leczył u niej zęby.

- A mój w metrze.

- Jak to? - zdziwiłam się i palnęłam bez zastanowienia: - A mnie mówiono, że pan Roszczyn był pacjentem Szabanowej.

Na szczęście wdowa nie zwróciła uwagi na to, że jej gość jest zaskakująco dobrze poinformowany, i potwierdziła:

- Właśnie, w wagonie. Razem wysiedli na stacji Nowosłobodzka, ona niosła ciężką siatkę i nagle urwały się uchwyt.

Ludmiła zaczęła zbierać rozsypane zakupy. Szarmancki Roszczyn rzucił się pomagać, zwłaszcza że kobieta była bardzo ładna: smukła, czarnowłosa, ciemnooka, o cudownej karnacji. I tak się poznali. Żora pomógł zanieść zakupy do domu. Miła, a jakże, zaprosiła „wybawiciela” do mieszkania. Czym tak zauroczyła Żorę, Lila nie wiedziała. Ale wierny mąż zjawił się w domu około siódmej rano z gorączkowo błyszczącymi oczami i oświadczył od progu:

- Odchodzę.

Rozespana żona nie zrozumiała, co się stało. Żora pracował jako księgowy w dużej firmie, od czasu do czasu zdarzało się, że musiał siedzieć przy komputerze do rana.

- Znów jakiś błąd w papierkach? - spytała, ziewając. - Upomnij się o podwyżkę.

Ale mężulek w milczeniu otworzył szafę, wyjął walizkę i zaczął do niej wrzucać skarpety, slipy i koszule. Wtedy do Lili dotarło, że coś jest nie tak, tym bardziej że małżonek powtórzył:

- Odchodzę do innej.

Ale tego dnia nie udało mu się opuścić mieszkania. Żona stanęła w progu i zażądała wyjaśnień.

- Przeżyliśmy ze sobą wiele lat - ciągnęła Lila. - Byliśmy bardzo młodzi, gdy się pobraliśmy, ja nie skończyłam jeszcze osiemnastu, musieliśmy mieć zgodę

rodziców. Różnie było przez te wszystkie lata, kilka razy jeździł na urlop do Soczi bez mnie, sama pani rozumie, jak to jest. Dzieci nie mamy, nie było dla kogo ciuć, więc wszystko wydawaliśmy na siebie. Tak było! I nic, naprawdę nic, nie przepowiadało rozstania. Mieliśmy rozmaite plany, złożyliśmy dokumenty w ambasadzie, ja jestem Żydówką, chcieliśmy wyemigrować do Izraela, mam tam wujka...

Rozmowa trwała całą noc. Roszczyń przedstawił żonie całą gamę pretensji. Lila ryczała jak bóbr. Serdeczny i wierny do tej pory mąż obrzucił ją stekiem, wyzwisk.

- Jesteś paskudną kucharką - wrzeszczał. - Ani razu w ciągu całego małżeństwa nie zjadłem porządnie usmażonych kartofli.

Lila rzeczywiście przygotowywała ulubione danie męża pod przykrywką. Przeczytała kiedyś w piśmie „Zdrowie”, że chrupiąca skórka jest kancerogenna, i przestraszyła się. Mąż chętnie zjadał „duszone” smażone kartofle. Teraz się okazało, że była to dla niego męka.

- A koszule! Katastrofa! Nigdy nie wyprasowałaś ich jak należy. W kątach kurz, zasłony latami nieprane!

- Myślisz, że tak łatwo zdjąć portiery - broniła się Lila. - Ciebie nie mogłam się doprosić, wiesz, jesteś zajęty, a kran w łazience cieknie, rezerwuar szumi, drzwi dużego pokoju się nie domykają.

- Drzwi się nie domykają! - przedrzeźniał ją ze złością. - A inne kobiety jakoś sobie radzą! Choćby Miła - jest sama, bez chłopca, a w domu wszystko gra - nic nie cieknie, nic nie szumi i wszystko się domyka. I kartofle zrobione po ludzku, a nie rozciapciana breja na patelni...

- Aha, to ona nazywa się Ludmiła. No, no, widać potwornie zgłodniałeś, że z powodu kartofli rzucasz żonę!

- Kartofle to sprawa dwudziestorzędna - machnął ręką i zamilkł.

- A jaka jest pierwszorzędna?

Żora milczał.

- Oczywiście łóżko. - Lila się uśmiechnęła. - Ogier z ciebie i tyle...

- Nie, moja droga - wydarł się kulturalny księgowy. - To ty jesteś piczka zasadniczka. Ile razy spędzamy razem noc? Najwyżej raz na miesiąc. Uważasz, że jestem aż taki stary, by zadowolić się taką częstotliwością?

Lila umilkła. Mąż już wcześniej nalegał na częste kontakty intymne. Ale

natura obdarzyła ją mizernym temperamentem. Gdy była młoda, jeszcze baraszkowała, później jej się odechciało, wymigiwała się pod byle pretekstem - a to ból głowy, a to okres zaczął się przed terminem, a to zmęczona...

I oto teraz małżonek, buchając wściekłością wrzeszczał:

- Co cię tak męczyło? Dzieci nie ma, nie przepracowywałaś się, śpisz po dwanaście godzin, jesz do syta, trzy miesiące spędzasz na daczce... Inne kobiety nawet połowy tego czasu nie mają - wracają o siódmej z pracy, sprawdzają dzieciom lekcje, gotują obiad, a nocą jeszcze obsługują męża. Nie wszyscy, trzeba ci wiedzieć, muszą się onanizować tak jak ja, w nosie mają babskie fanaberie, kładą się na babie i robią swoje!

- Wynocha stąd - krzyknęła Lila i szurnęła spakowaną walizkę wprost na klatkę schodową - Jazda zaspokajać swoje seksualne potrzeby.

- Głupia byłaś i głupia umrzesz - podsumował Żora.

Lila, kipiąc wściekłością, potłukła wszystkie filiżanki i zadzwoniła do przyjaciółki.

- Nie przejmuj się - uspokoiła ją koleżanka. - Każdy chłop uważa się za macho. A tak naprawdę zobaczysz, że częściej niż raz na tydzień i tak nie może. Niebawem wróci: albo sam ucieknie, albo ta suka go wykopie.

I tak było. Miesiąc później, onieśmielony i sflaczały niczym przekłuty balonik, zadzwonił do drzwi. Lila się ucieszyła, ale nie dając nic poznać po sobie, zapytała chłodno:

- Zapomniałeś czegoś?

Mąż usiadł w przedpokoju na krześle i po prostu się rozplakał. Lila natychmiast zapomniała o obrazie. Zaczęli żyć jak dawniej. Żora nic nie mówił, ale z jego półsłówek Lila domyśliła się, że kochanka przegnała męża na cztery wiatry. Żora był teraz jak robot: jadł, pił, spał, chodził do pracy - wszystko robił mechanicznie, z kamienną twarzą. Wreszcie Lila nie wytrzymała i postanowiła porozmawiać z Ludmiłą. Wiedziała, że tamta pracuje w lecznicy stomatologicznej.

Zapisała się jako ostatnia pacjentka do doktor Szabanowej, na dziewiętnastą. Została sama na korytarzu, gdy Miła zawołała:

- Następny.

Usadowiwszy się w fotelu, obrzuciła rywalkę uważnym spojrzeniem i mimo woli westchnęła. Przekłeta uwodzicielka miała wszystkie walory, jakich brakowało prawowitej małżonce: urodę, pewność siebie i seksapil. Rozmowa była okropna.

Ludmiła wysłuchiwała jej z bezczelnym uśmiechem i powiedziała:

- Nie bardzo wiem, czego pani ode mnie oczekuje?

- Sama nie wiem - odpowiedziała szczerze Lila. - Żal mi Żory, bardzo cierpi.

Skoro do tego doszło, niech go pani bierze, zgodzę się na rozwód. Zostawcie mi tylko mieszkanie, pani ma przecież swoje, natomiast samochód i dachę oddam, nic mi po nich.

- Spokojnie - przerwała jej Miła, przekładając swoje budzące lęk narzędzia. - Niedługo mu przejdzie, a ja go mam po dziurki w nosie. Bez samochodu i dachy się obejdę. A już na pewno nie zwiążę się z tego powodu z facetem, który budzi we mnie obrzydzenie.

Właśnie wtedy do gabinetu wszedł młody chłopak z bukietem kwiatów.

- Jesteś jeszcze zajęta?

- Jeszcze chwileczkę, Kostik - odpowiedziała Miła.

Chłopak wyszedł potulnie.

W duszy Lili zakotłowały się najgorsze uczucia, porównywalne z tymi, jakich doznaje teściowa, gdy dowiaduje się o zdradzie synowej.

- Już nowy na tapecie - wypaliła i przypieczętowała: - Gonisz się jak suka!

Z tym samym złym uśmieszkiem Miła nacisnęła nogą na pedał i fotel w jednej chwili zamienił się w łóżko. W górze zakołysało się jakieś narzędzie wydające przenikliwy pisk. Miła zbliżyła wirujące wściekle kółko do skamieniałej ze strachu twarzy Lili i cicho wysyczała:

- Nikomu nie pozwolę się obrażać! Zaraz będzie po nosie!

Przerażona Lila zamknęła oczy. Fotel wrócił do poprzedniego położenia.

Ludmiła zapaliła papierosa i oświadczyła:

- Idź stąd, pókiś żywa. I zapamiętaj, że twojego mężulka mam pod obcasem, zrobię z nim, co zechcę, rozumiano?

Lila wyszła na ulicę na miękkich nogach. Zielonego pojęcia nie miała, że na świecie istnieją takie ścierwa. Mężowi, naturalnie, niczego nie powiedziała.

Miesiąc później Żora nagle odżył. Ludmiła znowu zaczęła z nim romansować i znowu go rzuciła. Bawiła się nim jak kot myszą. Lila tylko wzdychała, patrząc w milczeniu na marniejącego męża. Właśnie wówczas zrozumiała, że jest jej drogi, właściwie stał się jej dzieckiem - dużym, ale głupim i bezradnym. Zresztą Żora też się bardzo zmienił, już nie atakował żony. Żeby częściej widywać Ludmiłę, zaczął chodzić do kliniki i leczył zęby. A po powrocie skarżył się żonie:



- Wierci bormaszynką w milczeniu, żeby się choć słówkiem odezwała...

Lila pocieszała nieszczęśnika jak umiała. Miesiąc później pani doktor znów zapalała namiętnością do księgowego i znów szczęście nie trwało długo. Gieorgij zaczął mieć kłopoty z sercem, a Lilę nękały wyczerpujące migreny.

Pewnego dnia leżała w łóżku, próbując się pozbyć nieznosnego bólu głowy, pulsującego w lewej skroni. Nagle w przedpokoju rozległ się głos męża:

- Lila, przyjdź tutaj.

Pojękując, z trudem wygrzebała się spod koca, weszła do przedpokoju i ból natychmiast wyparował. Przy wieszaku stała Ludmiła, uśmiechając się odrażająco. Przyszła z niebywałą propozycją: jest w ciąży i urodzi Gieorgijowi dziecko, pod warunkiem, że ten zapłaci jej trzydzieści tysięcy dolarów.

Oszołomiona Lila warknęła bez zastanowienia:

- Nie mamy takich pieniędzy.

- Zgadzam się - rzucił szybko Żora, wypychając z przedpokoju swoją lepszą połowę. - Znajdziemy taką sumę.

W nocy przyszedł do żony - spali teraz w osobnych pokojach - przysiadł na jej łóżku, ujął ją za rękę. Na jedną chwilę stał się taki, jakim był, zanim poznał tę wiedźmę - serdeczny, kochający, delikatny.

- Lileńko - wyszeptał.

Żona zaczęła płakać. Żora w milczeniu głaskał ją po głowie.

- No już, już. Przecież ty nie możesz urodzić...

Lila kiwnęła głową bez słowa.

- Weźmy tego dzieciaczka, to w końcu nie z domu dziecka, nie obcy, to moja krew. Wiem, że jest ci ciężko, ale zgódź się, kochanie. Do śmierci będę ci wdzięczny, razem spędzimy resztę życia, ciesząc się synkiem.

Lila milczała, w jej sercu kłębiły się sprzeczne uczucia. Mąż padł na kolana.

- Co robisz? - zawołała. - Niech już będzie, jak chcesz, ale skąd weźmiemy pieniądze?

- Sprzedamy daczę.

Okazało się, że musieli jeszcze pozbyć się samochodu, biżuterii, a mimo wszystko uzbierało się ledwie dwadzieścia siedem tysięcy zielonych.

- Niech już będzie - burknęła niezadowolona Miła. - Tyle że ja odchodzę z pracy, a wy, jeżeli chcecie mieć zdrowego potomka, musicie mi zapewnić należyte wyżywienie.

Długie miesiące Żora skrupulatnie targał siaty z zakupami i stawiał je pod drzwiami. Kochanka nie wpuszczała go do mieszkania.

- Okropnie się bała, że ktoś zobaczy ją w ciąży! - opowiadała Lila. - To wręcz fobia. Nikomu nic nie powiedziała i nam zakazała mówić. Na dwór wychodziła tylko w wyjątkowych wypadkach. Co za dziwactwo!

Czternastego września Ludmiła zadzwoniła, słuchawkę podniosła Lila.

Damy od dawna przestrzegały aktu o nieagresji, więc żona spokojnie zapytała kochankę męża:

- Co słychać?

- Trzynastego urodziłam zdrową dziewczynkę - powiedziała spokojnie Ludmiła. - Nie przyjeżdżajcie do szpitala, przygotujcie pieniądze, powiem wam, gdzie i kiedy dokonamy wymiany.

Żora zaczął biegać po mieście. Kupił łóżeczko, wózek, pampersy. Lila jak umiała udawała radość, ale nie mogła wyzbyć się lęku. Dopóki dziecko istniało tylko w marzeniach, sądziła, że go pragnie, ale teraz jej serce zaczęło się buntować. Przecież to córka nie tylko Żory, ale też znenawidzonej Ludmiły.

Dwudziestego drugiego znowu zadzwonił telefon.

- Czekam jutro, dokładnie o trzeciej, w holu motelu przy szosie Mińskiej, jak się spóźnicie, odjeżdżam - oświadczyła wstrętne żołą i rozłączyła się.

Wystraszeni małżonkowie zjawili się na spotkanie znacznie przed czasem i usiedli w holu. Nie było tu żywej duszy, jedynie przy kontuarze rozwiązywał krzyżówkę sympatyczny młody człowiek. Nim wybiła trzecia, z pierwszego piętra zbiegła Ludmiła. Lila nie dowierzała własnym oczom, patrząc na płonące zdrowym rumieńcem policzki i lśniące, niczym w reklamie szamponu „Panten” włosy. Kto by pomyślał, że ta kobieta dopiero co urodziła dziecko; wyglądała, jakby przyjechała z kurortu...

W rękę trzymała zawiniątko.

- Pokaż - poprosił Żora.

Miła uchyliła róg kocyka. Wyjrzała mała twarzą z zadartym noskiem.

- Podobna do mnie - mruknął Żora - prawda, Lii?

Żona przytaknęła, kurcząc się wewnętrznie od targających nią emocji. Widok dziecka wywołał w niej mieszane uczucia. Przemknęło jej przez myśl, żeby wyrwać matce bękartą i rąbnąć nim o podłogę, ale mąż nadal się zachwycał.

- Wystarczy. - Miła zasłoniła buzię spokojnie śpiącej dziewczynki. - Gdzie

forsa?

Zora sięgnął po pieniądze, ale Lila go powstrzymała:

- Chwileczkę, najpierw daj dziecko.

- Takaś cwana? - Miła obrzuciła ją złym spojrzeniem. - Dawaj dolary!

- Najpierw dziewczynka - nie ustępowała Lila.

- Żorka, utemperuj swoją głupią babę, bo nie dostaniesz dziecka - zagroziła była kochanka.

- Nie strasz, bo się obudzisz - powiedziała twardo Lila. - Co niby zrobisz, przecież widać, że potrzebujesz pieniędzy.

- Przestańcie już - wymamrotał niepewnie Gieorgij.

Sytuacja stała się patowa. I wtedy wpadła Lili do głowy wspaniała myśl.

- Proszę pana! - zawołała.

Portier oderwał się od krzyżówki.

- Słucham.

- Proszę nam pomóc i potrzymać dziecko.

- Naturalnie - zgodził się chętnie - tylko otworzę okno, bo bardzo duszno.

Wyszedł zza kontuaru, otworzył lufcik i wziął dziecko. Lila przekazała pieniądze. I w tej samej chwili rozległ się ogłuszający huk i przenikliwy alarm samochodowy. Niemowlę się rozplakało.

- Boże! - krzyknął portier i wybiegł na podwórze. - Wypadek!

Lila i Zora popędzili za nim. Na ulicy, wirując szaleńczo, dymiała petarda.

- Ach te łobuzy! - zdenerwował się portier. - Śmiertelnie mnie wystraszyli, myślałem, że samochód wysadzili!

- Gdzie dziecko? - opamiętał się Zora.

- Położyłem na kanapie przy wejściu. Proszę się nie denerwować - uspokoił go chłopak.

Gieorgij chwycił zawiniątko. Lilę coś w nim uderzyło, ale nie mogła sobie uświadomić, co takiego. Ludmiła zniknęła, gdy wypadli na ulicę.

Czym prędzej złapali taksówkę. W domu ojciec drżącymi rękami odwinął kocyk i krzyknął. W ładnym koronkowym beciku leżała lalka, jedna z tych do złudzenia przypominających żywe niemowlęta - łysa, plastikowa główka z głupawym uśmiechem. Dopiero teraz Lileczka zrozumiała, co wcześniej wydało jej się dziwne. Leżące na kanapie dziecko było milczące, w drodze do domu nawet nie pisnęło. Ludmiła zdążyła zamienić zawiniątko, gdy oni na tę krótką chwilę wybiegli na ulicę.

Czy warto wspominać, że Ludmiły nie odnaleźli? Jej mieszkanie zostało sprzedane, a co więcej, niemowlę jakby w ogóle nie istniało. Żora poszedł na milicję i zażądał, żeby przeprowadzono śledztwo w sprawie kradzieży dziecka. Ale z miejsca go usadzono. Jeśli dziecko zabrała rodzona matka, nie jest to przestępstwem. Po za tym ich związek nie był formalny, nie ustanowiono ojcostwa.

- Czy niemowlę w ogóle było? - zapytał retorycznie milicjant. - Kto je widział?

- Sprawdźcie to w porodówce numer 96 - zażądał niedoszły ojciec.

Z niezrozumiałych przyczyn milicjant go usłuchał. I wtedy spotkał Żorę ogłuszający cios. Żadna Ludmiła Szabanowa nigdy nie rodziła w tej klinice!

- Może by tak lepiej pójść do psychiatry? - zezłościł się stróż porządku. - Przychodzi pan, głowę zawraca: dziecko ukradziono! A jego nigdy nie było!

- Była dziewczynka! - wrzasnęła Żora, tracąc panowanie nad sobą.

Milicjant złapał telefon.

- Była! - krzyczał nieszczęsny Żora, usiłując wyrwać milicjantowi słuchawkę. - Córeczka, moja własna, dałem za nią trzydzieści tysięcy dolarów!

Skądś przybiegli inni funkcjonariusze, znalazł się lekarz ze strzykawką... Lila ledwo wyrwała męża z rąk gliniarzy, którzy zamierzali odwieźć go do szpitala psychiatrycznego.

Gieorgij uspokoił się, milczał do wieczora, a potem napadł na żonę:

- To twoja wina, nie chciałaś od razu dać pieniędzy, chciwość z ciebie wylazła, i zabrali moją córkę.

Lila wysłuchiwała w milczeniu krzywdzących wyrzutów. Żora zachowywał się jak zły, chory pies, warczał i powtarzał:

- To twoja wina, wszystko przez ciebie.

Lila rozumiała, że mężowi potrzebny jest teraz ktoś, kogo może oskarżyć o wszystkie nieszczęścia, ale było jej ciężko. W głębi duszy miała nadzieję, że mąż doceni jej starania, zrozumie, ile dla niego zrobiła, ocknie się i przeprosi. Ale nie! Żora zachowywał się jak wściekły pies.

- I co, cieszysz się? - warknął do żony. - I tak nie chciałaś tego dziecka!

Widocznie dostrzegł coś w jej twarzy, bo dodał:

- Przecież widzę...

Nie potrafiła zaprzeczyć, bo naprawdę tak było. Gdy zobaczyła dziecko, rozumiała, że nigdy nie zdoła go pokochać.

Tydzień później, wróciwszy z pracy, zastała męża niezwykle podnieconego. Miotał się po mieszkaniu i powtarzał:

- Była tu, była.
- Kto? - zapytała zdumiona.

Z mętnych, oderwanych słów wynikało, że niedawno do ich mieszkania rzekomo przyszła Ludmiła i obiecała, że odda dziecko.

- Przyniesie o ósmej, tym razem mam być sam, bez ciebie.

Lila chciała zaoponować, ale mąż warknął:

- Nie wtrącaj się.

Musiała zostać w domu. Już wychodząc, zawrócił do kuchni.

- Daj zapałki.
- Po co? Przecież nie palisz.
- Daj i nie dyskutuj - powiedział rozkazująco, obrzuciwszy ją niezbyt przytomnym wzrokiem.

Lila podała mu w milczeniu pudełko, a przez głowę przemknęła jej myśl: „Może jednak się rozwieść?”. Zora pospiesznie zapalił świeczkę, którą nie wiedzieć skąd wytrzasnął, i zaczął obchodzić pokoje. Zatrzymywał się w rogach i unosił świeczkę. Równy płomień zaczynał się chwiać, świeca trzaskała i kociła.

- Zgadza się - mruczał zadowolony. - Zobacz, ile tu negatywnej energii, to przez ciebie wszystkie nieszczęścia, czarownico.

Czując, jak dojrzeła w niej decyzja o rozwodzie, Lila splunęła i poszła do swojej sypialni. Usłyszała trzaśnięcie drzwi wyjściowych. Zajrzała do salonu, na stole leżała dymiąca świeczka z czarnymi naciekami. Stało się, podjęła decyzję. Ma dość, nie zamierza brać sobie na głowę bachora Ludmiły, musi się zakrzętnąć i zamienić mieszkanie na dwa, to jest na tyle ładne, że chętnych nie zabraknie!

Połknęła środki nasenne i zasnęła. Ocknęła się blisko południa, męża jeszcze nie było. Nie zjawił się do wieczora. Lila uznała, że widać wiedźma znowu zesłała się z Georgijem. Ale mimo to tydzień później poszła na milicję, pełna mściwych myśli. „Będą go szukać - myślała, wypełniając wniosek - i pewnie nie znajdą. A ja miesiąc później go wymelduję, niech sobie potem mieszka, gdzie chce, bydłak”.

Ale milicja odnalazła Roszczyna w kostnicy. Zwłoki jako niezidentyfikowane leżały tam prawie tydzień. Wyszedłszy z domu późnym wieczorem, Georgij wyskoczył przez okno z piętnastopiętrowego wieżowca. Lila nie miała pojęcia, co go tam poniosło. Sprzedała mieszkanie, przeprowadziła się i teraz usiłuje zapomnieć o

tragicznych przejściach.

- Straszne miała pani przejścia - powiedziałam szczerze. - Ja bym tego nie wytrzymała.

- Bardzo mi żal Żory, wychował się w domu dziecka, marzył o licznej rodzinie, a ja jestem bezpłodna.

- W domu dziecka? - zdumiałam się.

- A cóż w tym dziwnego? Jego rodzice zginęli w katastrofie lotniczej, dlatego się tam znalazł. Zresztą, nigdy nie powiedział złego słowa o latach spędzonych w domu dziecka, wprost przeciwnie, chwalił wychowawców i dyrektora. Zdobył tam zawód.

- Gdzie był ten dom dziecka?

- Internat na Sokolskiej, byliśmy w nim razem na jubileuszu ich rocznika.

## Rozdział 14

Pożegnałam się z Lilą i ruszyłam do domu. W głowie miałam natłok myśli. Ludmiła Szabanowa to bez wątpienia obrzydliwa wywłoka. Żyła równocześnie z dwoma facetami i każdemu z nich „sprzedała” własne dziecko. Ale dlaczego? Odpowiedź wydaje się prosta - dla pieniędzy. No dobrze, ale gdzie jest dziewczynka? Przecież byłoby prościej, gdyby oddała ją jednemu z ojców, wtedy przynajmniej liczba jej wrogów zmniejszyłaby się o dwie osoby. Tymczasem ona wystawia do wiatru najpierw jednego, potem drugiego i znika, by po jakimś czasie znów podjąć pracę w Moskwie jakby nigdy nic. Aż tak jest pewna bezkarności? Wygląda na to, że miała pomocników. Przecież ktoś przyjął ją do porodówki bez skierowania. A portier, który przypadkowo tuż przez wybuchem petardy otworzył lufcik...

Ale na dzisiaj mam dość, wracam do domu, po drodze wstąpię jedynie do cukierni i kupię Maszy ulubione różki z kremem.

Tymczasem, o dziwo, córka wcale nie ucieszyła się z łakoci.

- Jakoś nie mam ochoty - wybąkała. - Może później.

Zaniepokoiłam się.

- Dobrze się czujesz?

Masza to niezwykle dziecko. Żadnych kaprysów, żadnego wybrzydzenia, jeśli chodzi o jedzenie. Chętnie je kaszę, pije mleko i bez mrugnięcia okiem wsuwa szpinak. Nie to, co Arkady, który mnie i Nataszkę doprowadzał do szału. Musiałyśmy ściągać skórę z kurczaka, po siedem razy precedzać kakao i wyławiać z zupy najmniejsze źdźbło cebuli. Zresztą teraz też potrafi grymasić. Kawioru nie je, bo „niedobrze mu się robi, gdy widzi nienarodzone embriony”. Jajek też nie uznaje. „Gdy pomyśle, skąd one z kury wyskakują, od razu mnie mdli”. Kipiące mleko przyprawia go o dreszcze, a w mięsie są przecież „okropne toksyny”.

Maszeńka natomiast, ku radości Katieriny, ma apetyt młodego wilczka. Gdy skończyła trzy latka, oddaliśmy ją, wtedy jeszcze biedne nauczycielki, do przedszkola. Stoliki ustawiano tam w kształcie litery U i Manię zawsze sadzano w środku. Opiekunka stawiała przed nią talerz i dziewczuszka natychmiast chwyciła łyżkę i zaczęła pochłaniać zupę.

- A teraz, dzieci, wszyscy jemy tak jak Maszeńka. Kto potrafi ją wyprzedzić?

Przez dwa lata nikt nie wygrał z Manią. A ciastek odmawia wyłącznie wtedy,

gdy jest chora.

Wsunęłam jej pod pachę termometr, widząc zaczerwienione, błyszczące gorączką oczy. Trzydzieści osiem stopni.

- Boli cię głowa?

- Boli - szepnęła, kichnęła i rozplakała się.

Wezwany lekarz postawił jednoznaczną diagnozę:

- Ospa wietrzna. Dwa tygodnie w łóżku.

Gdy doktor wypisywał harmonię recept, Kiesza jak mógł pocieszał siostrę:

- Nie martw się, jutro poczujesz się lepiej, a teraz się prześpij.

- Wcale się nie martwię - rozległo się spod kołdry. - Wprost przeciwnie, bardzo się cieszę, ominię mnie klasówka. Widzisz, mamusieczko, żałuj, że nie zjadłaś jamby, widzisz -działa!

- Maria - ofuknęłam ją - to zwykły przypadek, ani trochę nie wierzę jakimś tam czarownikom czy szarlatanom. Nie ma żadnych czarów!

- A właśnie, że są - upierała się.

- Nie ma.

- Są!

- Nie ma.

- Są.

- Matka - włączył się Arkady w nasz konstruktywny dialog - dlaczego dokuczasz choremu dziecku? Niech myśli jak chce.

- Ale przecież głupstwa opowiada!

- Wystarczy - syn usiłował wypchnąć mnie za drzwi. - Idź stąd, jeszcze się zarazisz.

Już w korytarzu usłyszałam, jak Arkady mówi:

- Nie ma w tobie, Maniuniu, instynktu samozachowawczego. Ja w twoim wieku dobrze wiedziałem, że sprzeczać się z dorosłymi to tyle, co pluć na wiatr.

Odpowiedzi Maszki nie usłyszałam i zesłam do salonu. Kicia, wyraźnie spięta, siedziała przed włączonym wideo.

- Zachwycasz się sobą - zadrwiłam.

- Powiedziano mi, że w czasie audycji ruszam brwią - odpowiedziała. -

Usiłuję zaobserwować, kiedy tak robię. Co z Manią?

- Ospa wietrzna.

Synowa wyłączyła wideo.



- Uprzedzę Serafimę, żeby nie puszczała do niej bliźniaków.

- To idiotyczne! - wyrwało mi się.

- Co?

- Marusia jest przekonana, że jej choroba to efekt wypowiedzianego życzenia, gdy jadła tę idiotyczną jambę Fili. Teraz uwierzy w cuda, przepowiednie i szamańskie brednie.

- Wiesz co? Oczywiście, zdarzają się zbiegi okoliczności, ale wczoraj pomyślałam, że chciałabym, żeby Wiktor mnie nie szykanował...

- I co?

Okazało się, że w zespole przygotowującym program jest reżyser Wiktor, człowiek dość wpływowy. Na nieszczęście jest wujkiem byłej prowadzącej i rzecz jasna, natychmiast wziął Kicię na widelec, początkowo nawet się z nią nie witał. Ale dzisiaj po nagraniu nieoczekiwanie podszedł i wyciągając rękę, odezwał się:

- Muszę przyznać, że jest pani czarująca i utalentowana, zostaliśmy przyjaciółmi.

- Dlatego uważam, że jamba działa - oznajmiła Kicia z przekonaniem.

Byłam tak wściekła, że omal nie walnęłam w nią kasetą. Rozumiem: Maniusia, głupiutkie dziecko, ale taka Kicia!

Aby nie wywalić jej głośno, co naprawdę myślę o Fili, Alisce, małpie i szamaństwie, czym prędzej wykręciłam numer szkoły i powiedziałam wychowawczyni:

- No cóż, Anno Gennadijewno, my też padliśmy ofiarą epidemii.

Nauczycielka wyraźnie się przestraszyła.

- W szkole nie ma żadnej epidemii.

- Jak to, a ospa wietrzna?

- Pierwsze słyszę, nie odnotowaliśmy ani jednego przypadku.

- Czyli my jesteśmy pierwsi - podsumowałam.

- Coś podobnego - sumitowała się Anna Gennadijewna - tak się staramy, by dzieci nie miały kontaktu z chorobami: wozimy je autobusem, obcych nie wpuszczamy! Gdzie ona mogła to złapać?

Gdzie, gdzie? Wszędzie! Dlatego nazywa się wietrzna, bo wiatr ją przenosi. Odłożyłam słuchawkę i zagapiłam się w okno. Rety, jeszcze i mnie przyjdzie uwierzyć w czary! Okazuje się, że w klasie wszyscy są zdrowi.

Następnego ranka Kiesza zszedł do jadalni w dość oryginalnym stroju - białe

spodnie, beżowy T-shirt.

- Nie pomyliłeś czasem pory roku? - roześmiałam się. - Jest koniec marca, a nie sierpień.

- Lecę do Indii - wyjaśnił.

- Dokąd? - Odłożyłam widelec.

Okazało się, że jeden z byłych klientów syna udaje się do Delhi na podpisanie jakiegoś kontraktu z tamtejszymi biznesmenami. Poprosił więc Arkaszkę, by poleciał z nim i rzucił adwokackim okiem na dokumenty.

- Boże, to tak daleko! - westchnęłam.

Panicznie boję się samolotów, wolę przemieszczać się pociągami. Ale Kieszce obce są takie lęki.

- Głupstwo, zaledwie osiem godzin lotu, robota też lekka. A przy okazji obejrzę tygrysy, słonie i małpy...

- Akurat małpę to mamy teraz własną...

- Kogo masz na myśli? - roześmiał się. - Dobrze jest, nie przejmuj się, nie będzie mnie raptem dwa dni. Chcesz, to przywiozę ci kobrę? Ułożymy ją na progu, będzie się na wszystkich rzucać...

Odprowadziłam syna, a potem, wyciągnąwszy wielką mapę okolic Moskwy, rozłożyłam ją na podłodze w gabinecie i zaczęłam po niej pełzać na kolanach. O, jest Nagorje. Małe miasteczko w pobliżu Istrińskiej Zapory Wodnej. To tutaj często dzwoniła Ludmiła, w każdym razie tak wynikało ze znalezionej przeze mnie rachunku. Dziesiątego stycznia, dwunastego, piętnastego... Można przypuszczać, że tam właśnie mieszka nieznana babcia, o której wspominała Gała Korolowa, mistrzowska płaczka. Zapewne Ludmiła odwiozła do niej Wieroczkę, a potem denerwowała się i dzwoniła co chwilę.

...Do cichego, sennego miasteczka dojechałam w ciągu godziny. Cywilizacja najwyraźniej jeszcze tu nie dotarła. Od Moskwy rzut beretem, a wygląda jak dziura zabita dechami, Niskie drewniane chatki, walące się płoty. No nie, określać takie miejsce mianem miasteczka to wyraźna przesada, to zaledwie osiedle, chociaż w oddali, na skraju jeszcze ośnieżonego lasu, wznosił się rząd dużych domów z czerwonej cegły. Na placu przed dworcem przycupnęło kilka sklepików. Popatrzyłam na asortyment: tania wódka, snickersy, guma do żucia i papierosy. Gauloise'ów naturalnie nie ma.

- Gdzie tu jest poczta? - zapytałam znudzonego sprzedawcę.

- Niech pani jedzie do końca tej ulicy, będzie tam zielony dom.

Poczta jaśniała czystymi szybami. Na schludnych parapetach cieszyły oko doniczki z bujnie kwitnącym geranium. Na wszystkim znać było troskliwą kobiecą rękę, a tymczasem kierownikiem okazał się dość młody mężczyzna.

Kupiłam drogie kartki i kilka pism kobiecych.

- Spokojnie tu u pana, nikogo nie ma.

- A, szkoda gadać - odpowiedział skwapliwie. - Niby kto ma przychodzić, trzy kaleki żyją w pobliżu i tyle. Latem jest weselej, przyjeżdżają letnicy, dzieci biegają, inne życie! A zimą jak w grobie. Staruszki nosa z domu nie wysuwają, oglądają seriale, chłopów wódka wykończyła. Ma taki czterdziestkę, a już inwalida, gazet nie prenumerują, pism nie kupują...

- Pewnie tylko gadają przez telefon - zażartowałam, wskazując na budkę telefoniczną.

- A skąd, za drogo. Nawet jak ktoś umarł, to i tak wysyłają telegram. Taniej wychodzi. A pani służbowo?

- Chciałabym wynająć daczę na lato, przyjechałam wcześniej, bo podobno w maju trudno coś znaleźć.

Kierownik obrzucił uważnym spojrzeniem moją kurtkę, eleganckie kozaczki i wąziutkie czarne dżinsy.

- To nie dla pani - orzekł. - Drewniane chałupki, wychodek na zewnątrz, łaźnia nie u wszystkich...

- A moja koleżanka jest bardzo zadowolona - zełgałam. - Mieszkała przez kilka lat u fajnej babci, zdaje się, że byłej kierowniczką poczty.

- U Marii Siergiejewny? - zdziwił się. - Nie myli się pani? Ona do siebie nikogo nie wpuszcza, żyje samotnie jak borsuk.

- A gdzie to jest?

- Prosto za pocztą, na wzgórzu, ale to zbędna fatyga, lepiej niech pani pójdzie do Frołowej, dom większy i gospodyni miłsza.

Ale ja ruszyłam do Marii Siergiejewny. Dom, leżący trochę na uboczu, wyglądał ponuro. Okna parteru zdobiły plecione kraty - zdumiewająca ostrożność jak na prostą wiejską babinę, bo niby co tu u niej można ukraść. A już zupełnie cudacznie wyglądały metalowe drzwi.

- Kto tam? - rozległo się gdzieś z boku.

Zaskoczona aż podskoczyłam, a w następnej chwili dostrzegłam domofon i

małą videokamerę. Patrzcie państwo! Brakuje tylko instalacji alarmowej.

- Przywożę pozdrowienia od Ludmiły.
- Od jakiej Ludmiły? - Babka udawała głupią.
- Pani wnuczki, matki Wiery, Ludmiły Szabanowej.

Trzasnęły zasuwę, szczęknęły zamki i ciężkie żelazne drzwi się uchyliły.

- Wchodź - dobiegło z półmroku.

Pewnym krokiem weszłam do środka. W ciemnej sieni pachniało sianem i czymś kwaśnym. Gospodyni wskazała ręką.

- Idź do salonu.

Duży pokój o trzech oknach był umeblowany po miejsku. Ładny regał, kanapa, dwa głębokie fotele, wspaniały telewizor Panasonic, wideomagnetofon i wełniany dywan na podłodze.

- Czemu zawdzięczam tę wizytę? - zaczęła ceremonialnie baba. - Nie znam żadnej Ludmiły.

Kłamie, bo dlaczego wobec tego wpuściła obcą kobietę? Popatrzyłam na nią uważnie. Wysoka, szczupła, o prostych plecach, a talii pozazdrościłaby jej każda młódka - najwyżej sześćdziesiąt centymetrów. Twarz niezbyt stara, zmarszczek niewiele, błyszczące czarne oczy, smoliste brwi i zupełnie siwe włosy.

- Słucham? - powtórzyła ze zniecierpliwieniem.

Wzięłam głęboki oddech i wypaliłam:

- Ludmiła zginęła, wypadła przez okno w szpitalu, ciało skremowano, urna jest w krematorium Nikoło-Archangielskim...

Staruszka wbiła we mnie spojrzenie płonących oczu. Poczułam dreszcz na plecach, miałam wrażenie, że w twarz rzucono mi garść rozżarzonych węgli. Milczenie się przeciągało. Może jednak coś pomyliłam? Wreszcie kobieta usiadła sztywno na krześle i złożyła na kolanach ręce pokryte starczymi plamami. Francuzi nazywają takie pigmentowe przebarwienia „margarytkami śmierci”.

- A ty kim jesteś? - Maria Siergiejewna lekko ochłonęła.

Trochę się zawahałam.

- To dość skomplikowane, proszę lepiej powiedzieć, czy dziewczynka jest u pani?

Ale Maria Siergiejewna nawet okiem nie mrugnęła.

- No to mów. A może dokądś się spieszysz?

Coś w jej twarzy się zmieniło, kąciki ust opadły w dół, ręce bezwiednie

zaczęły oskubywać pasek taniej tureckiej sukienki.

Westchnęłam i zaczęłam opowiadać o pociągu, szpitalu, torebce i liście. Maria Siergiejewna wysłuchiwała wszystkiego w milczeniu, a potem mruknęła:

- Czyli pani nie od nich!
- Co? - nie zrozumiałam.
- Ściągaj bluzkę i wyciągnij rękę, lewą.
- Po co?
- Ściągaj.

Oszołomiona, zdjęłam kurtkę, sweter i wyciągnęłam rękę.

- Nie wygłupiaj się - ofuknęła mnie - przecież wiesz, czego szukam, dawaj gołą rękę.

Kompletnie ogłupiała, ściągnęłam koszulkę. Staruszka chwyciła mnie mocno za nadgarstek, szarpnęła rękę do góry i zajrzała pod pachę.

- Nie ma!
- A co powinno być?
- Znak.
- Jaki?
- Może jesteś głodna? - Nieoczekiwanie zaczęła się krzątać. - Siadaj do stołu, przegryziesz coś.

Zaskoczona, zaczęłam bąkać:

- Ależ nie, dziękuję...
- Zjesz - oświadczyła Maria Siergiejewna - i dopiero potem porozmawiamy!

Usiadłam przy stole. Gospodyni postawiła na ceracie wielki talerz z twarogiem i słoik śmietany.

- Bierz, nie krępuj się, od własnej krowy.

Nie przepadam za mlekiem, natomiast wiejski twaróg i śmietaną bardzo lubię. Dlatego nie żałowałam sobie. Nałożyłam na talerz białą apetyczną masę i spróbowałam.

- Wspaniałe!

Delikatny tłusty ser rozplątywał się w ustach, śmietana wyglądała jak ubita.

- To jedz, skoro ci smakuje.

Nie przejmując się już niczym, poczyniłam spustoszenie na stole i westchnęłam.

- Oczy by jeszcze jadły, ale żołądek się poddał.

- Kawy? - spytała Maria Siergiejewna.

Spojrzałam na nią z wdzięcznością. No i proszę, na oko wściekła baba, a w istocie gościnna, serce na dłoni.

Nadal bez cienia uśmiechu wyjęła słoik z kawą. Ku mojemu zdumieniu, nie była to kawa rozpuszczalna, ale mielona, napój okazał się świetny - mocny i nie za słodki. Do pełnego szczęścia brakowało mi tylko papierosa, bezwiednie wyjęłam gauloise'a.

Babka wlepiała spojrzenie w paczkę. Drgnęłam:

- Przepraszam, wyjęłam je bezwiednie.

Maria Siergiejewna uśmiechnęła się życzliwie, ukazując żółtawe, ale mocne zęby.

- Palisz?

- Niestety.

- Kurz sobie.

- Nie będzie przeszkadzać?

- Pal, pal.

Na stole pojawiła się puszka po szprotach; z rozkoszą zaciągnęłam się dymem. Maria Siergiejewna czekała w milczeniu, aż dopalę, a potem mruknęła, patrząc na niedopałek:

- Ależ to paskudztwo śmierdzi...

- Przecież sama mi pani pozwoliła zapalić - odpowiedziałam hardo.

- Zgadza się, ale dymu nie znoszę, zresztą, nie babska rzecz kurzyć fajki, oszczędzaj zdrowie, nowego nie kupisz. A pozwoliłam ci palić, żeby poddać cię ostatecznej próbie. Myślałam, że skończysz na jedzeniu, a ty papierochy wyciągasz, to popatrzyłam.

- Jakiej próbie?

- Gdybyś była od nich, tobyś sera do ust nie wzięła. Nabiał jest u nich absolutnie zakazany, kawy też nie można, grzech śmiertelny, a co dopiero papierosy! Znaku też nie masz, znaczy, nie jesteś od nich.

- Ale od kogo? - zapytałam niemal ze łzami w oczach. - Nic nie rozumiem.

- Ach, biedna Ludmiła - westchnęła Maria Siergiejewna. - Znaczy dowiedzieli się i zabili.

- Kto?

- Dranie z sekty. Popatrz.

Wyjęła z szuflady duży album i pokazała mi kolorowe zdjęcie dziewczyny. Wesoła twarz, delikatna szyja, chmura włosów. Nie piękność, ale bardzo ładna, łagodne, budzące zaufanie spojrzenie.

- To moja zmarła wnuczka - westchnęła. - Swietoczka...

- Taka młoda, na co umarła?

- Co wiesz o Ludce? - odpowiedziała mi pytaniem.

- Nic szczególnego. - Wzruszyłam ramionami. - Była dentystą, urodziła dziewczynkę, miała duże powodzenie u mężczyzn.

- Takie nieszczęście... - Rozplakała się nagle. - Nie uchroniłam dziewczynki.

- Jakiej?

- Wieroczki. Ludka kraty założyła, drzwi żelazne, kamerę zainstalowała, a mimo to - porwali ją!

- Kto?

- Kolka, bydlak, żeby go pokręciło, żeby się w piekle poniewierał!

Odruchowo spojrzałam w kąt pokoju.

- Nie patrz - ofuknęła mnie. - Nie ma ikon. Gdy umarła Swietoczka, wszystkie natychmiast wyrzuciłam. I co, nie skarał mnie.

Ciężkim krokiem podeszła do okna, wzięła z parapetu butelkę i wlała do filiżanki trochę ostro pachnącego płynu.

- Posłuchaj - odezwała się po chwili. - Jesteś kobietą miastową, zamożną, pewno masz różne znajomości, pomóż mi odebrać wnuczkę. Wiem, gdzie jest. Tylko Wieroczka mi została, wszystkich pochowałam. Zwróć mi dziewczynkę, wychowam ją, urzęduję, wszystko jej zapiszę. Sama powiedz, jakie życie czeka ją w sekcie!

- Najlepiej, jak mi pani dokładnie opowie o sekcie, Świecie i Ludmile, bo szczerze mówiąc, niczego nie rozumiem.

Maria Siergiejewna usiadła na krześle, prosta jak trzcina.

- W porządku. Nikomu o tym nie mówiłam, ale teraz życie mnie zmusiło.

## Rozdział 15

Przez całe zawodowe życie Maria Siergiejewna Bałabanowa pracowała na poczcie. Najpierw biegała z torbą wypchaną gazetami i listami, potem została kierowniczką. Z Nagorja najdalej wyjeżdżała do Moskwy, i za każdym razem, gdy się tam znalazła, cieszyła się szczerze, że nie mieszka w tym zwariowanym mieście, tylko w swoim cichym zakątku z własnym ogrodem, krową i kurami. Trafił jej się dobry chłopak, pobrali się, Iwan Pietrowicz nie pił, nie palił, żonę kochał, rozpieszczał. Nie zginął na froncie, nie został ranny. Dzieci też im się udały - dwaj synowie, Sierioża i Sasza. Sąsiedzi im zazdrościli. W wielu domach wiecznie piekło, piją, biją się, brak pieniędzy. A u Bałabanowów spokój i cisza. Dom odmalowany, nowy dach, dzieci grzeczne i widoczny dostatek. Dlatego w Nagorju niezbyt ich lubiano. Maria Siergiejewna była tego świadoma, z babami bez potrzeby nie gadała, ot, tylko przy okazji, gdy spotykały się przy wspólnej studni. W latach sześćdziesiątych mąż wykopał studnię na podwórzu, założył kanalizację, zainstalował kocioł i nawet urządził ciepłą toaletę. Tego sąsiedzi już nie mogli znieść. Bałabanowów zaczęły spotykać przykrości. Raz bramę im ktoś podpalił, kiedy indziej wydeptał kartofle. Ale Maria Siergiejewna i Iwan Pietrowicz zbytnio się tym nie przejmowali. Nieszczęścia jakby odbijały się od rodziny. Nawet synowe trafiły się nad podziw serdeczne, pracowite, życzliwe. Wkrótce starszemu synowi, Sierioży, urodziła się córka Swietoczka.

Mijały lata, wrogość przycichła. Teraz wielu mieszkańców mówiło o Bałabanowach z szacunkiem. Szczególnie gdy kupili sobie samochód.

Pewnego ciepłego kwietniowego dnia sąsiedzi Filimonowowie urządzali wesele. Zaprosili całą wioskę. Odmówić w takim przypadku nie można, bo to śmiertelna obraza. Bałabanowowie kupili serwis do herbaty i całą rodziną udali się na zabawę. W domu została jedynie Maria Siergiejewna z chorą Swietą.

- Powiedźcie - poleciała - że tylko uśpię dziecko i też na chwilę wpadnę.

Ale gorączkująca Swieta nie chciała zasnąć. Babcia niezłe się namęczyła, kołysząc ją. Wreszcie dziecko ucichło. Maria Siergiejewna narzuciła elegancki zakiecik, wyszła na ulicę i nogi wrosły jej w ziemię. Nad domem Filimonowów kłębił się ogień! Strażacy byli jacyś niepozbiegani, więc mężczyźni wpadali do płonącego domu, żeby ratować, co się da. Jak potem wyjaśniło śledztwo, robili to tylko



Bałabanowowie, pozostali trzymali się w bezpiecznej odległości. W tym rozgardiaszu zapomnieli o butlach z gazem, nastąpił wybuch. Sasza i Sierioża zginęli na miejscu, Iwan Pietrowicz i synowie męczyli się jeszcze kilka dni w szpitalu. Maria Siergiejewna została sama z malutką wnuczką.

Niezbyt rozmowna z natury, teraz stała się jeszcze bardziej milcząca. Całe jej życie kręciło się wokół dziewczynki, gdziekolwiek chodziły, zawsze trzymały się za rękę. Nawet do koleżanek na podwórko babcia nie puszczała jej samej, a do szkoły, która była w sąsiedniej miejscowości, odwoziła ją aż do matury. Wszyscy wiedzieli, co dotknęło ich rodzinę, więc nikt nie wyśmiewał postępowania Marii Siergiejewny.

Swietoczka była bardzo przywiązana do babki. Uczyła się świetnie i jako jedyna w szkole dostała medal. Po maturze dyrektor osobiście przyjechał do Bałabanowej.

- Niech pani puści dziewczynkę do Moskwy - namawiał babkę. - Co będzie tu robiła? Gnoj wybierają? Niech idzie na studia.

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie babka. - Przy mnie będzie jej lepiej.

Dyrektor długo przekonywał, wreszcie wykrzyczał podenerwowany:

- To niewybaczalny egoizm! Pani miała swoje życie, niech i dziewczyna ma szansę na swoje. Tu nie znajdzie męża ani nie zdobędzie zawodu.

- Dobrze - poddała się w końcu babka. - Proszę nam poradzić, co powinna studiować.

- Oczywiście medycynę - odpowiedział natychmiast dyrektor. - Skończy studia, wróci do domu. Tutaj lekarz to pierwsza persona.

Swieta bez trudu dostała się na akademię medyczną. Zamieszkała w akademiku, ale na soboty i niedziele przyjeżdżała do domu, zawsze z jakimś drobnym prezentem.

Coś dziwnego zaczęło się z nią dziać na piątym roku. Zawsze była modnisią. Świetnie szyła i potrafiła z taniego materiału uszyć taką sukienkę, że się za nią kobiety oglądały. Chętnie też pokazywała zgrabne nogi, aż nagle zjawiła się w domu na święta w jakimś zgrzebnym sarafanie do ziemi.

- To teraz taka moda? - zdziwiła się Maria Siergiejewna.

Swieta nie odpowiedziała. Babcia zauważyła, że dziewczyna nie chce pić mleka, a przed posiłkiem duka pod nosem jakieś wiersze.

- Modlisz się?

Wnuczka znów nie zareagowała.

Od tej pory przyjeżdżała do domu rzadko, a w połowie piątego roku nieoczekiwanie wyszła za mąż, bardzo szybko się rozwiodła, dostała pokój w mieszkaniu komunalnym... Do babki więcej nie przyjeżdżała, a ta raz tylko odwiedziła ukochaną wnuczkę i wróciła do domu chora. Swieta przyjęła ją z wielkim niezadowoleniem, nie podała jej nawet filiżanki herbaty.

- Nie mam czasu - wycedziła niechętnie, ujrzawszy na progu babkę, która ją wychowała. - Po co przyjechałaś?

Maria Siergiejwna aż się rozplakała. Swietoczka nigdy wcześniej tak z nią nie rozmawiała, zawsze była serdeczna, tymczasem teraz stała przed nią blada, pełna złości kobieta ze zgasłym spojrzeniem.

Wróciła więc do domu z ciężkim sercem. Po zastanowieniu uznała, że skoro tak ma być, niech będzie, żadnych listów do niewdzięcznej dziewczyny. Jeśli zechce, przypomni sobie o babce, jeśli nie...

Swieta się nie pojawiała. Maria Siergiejwna nie wiedziała ani gdzie jest, ani co się z nią dzieje.

Dwa lata temu, pod koniec października, zapukała do niej kobieta z niemowlęciem.

- Przenocuje mnie pani?

- Tu nie hotel - odpowiedziała surowo i chciała zamknąć drzwi.

Wtedy nieznajoma spytała:

- Chwileczkę, pani jest Marią Siergiejwną? Proszę spojrzeć.

Staruszka machinalnie wzięła od niej zdjęcie i oniemiała. Na kolorowej fotografii spokojna twarz Świetoczki. Początkowo nie mogła się zorientować, gdzie leży ukochana wnuczka, jakieś takie dziwne łóżko, przyjrzała się uważniej - to była trumna!

- Jak to, co to... - wybełkotała zeszywniałymi wargami.

Kobieta, która przyniosła tę straszną wieść, odchyliła w milczeniu róg kocyka i pokazała twarzyczkę spokojnie śpiącego dziecka.

- Poznajcie się, to Wieroczka, córka Swietłany, pani prawnuczka.

Pod staruszką ugięły się nogi. Nieznajoma, która przedstawiła się jako Ludmiła, przemknęła do dużego pokoju.

- Ale co się stało? Jak to? - powtarzała w oszołomieniu Maria Siergiejwna.

Ludmiła opowiedziała jej niewiarygodną historię. Ona i Swieta studiowały na jednym roku, ale się nie przyjaźniły. Zamieniały kilka słów we wspólnej kuchni w

akademiku, czasami pożyczaly sobie nawzajem po kilka rubli do stypendium, ale nie poza tym. Los zetknął je później, w dziwnym miejscu, w sali modlitewnej sekty „Droga do Jezusa”. Swietoczka związała się z nimi jeszcze na studiach. Zdaje się, że wciągnął ją tam były mąż.

- Sektą kierował młody człowiek imieniem Nikołaj, uważający siebie za ni mniej, ni więcej, tylko potomka Jezusa Chrystusa. Nikołaj ustawicznie cytował Biblię, nigdy się nie uśmiechał i miał wygląd klasycznego ascety: chudy, śmiertelnie blady, z fanatycznie płonącymi oczami.

Porządki w sekcie były bezlitosne. Wstępujący całkowicie wyrzekał się swojej przeszłości, a nawet zmieniał imię. Nie było żadnych osobistych rzeczy. Nowi zobowiązywali się, że oddadzą wszystko, co mają, „świętemu ojcu”. „Pątnicy” mieszkali wszyscy razem na wsi pod Moskwą. Przestrzegali surowego postu - zakazane były produkty mleczne, mięso, jaja, ryby, zresztą herbata i kawa również.

Latem żywił ich ogród, zbierali jagody, grzyby. Zimą niemal głodowali, ale Nikołaj nie cierpiał narzekających, bezlitośnie ich karano. Mężczyźni mieszkali w jednym domu, kobiety - w drugim, kilkorgiem dzieci zajmowały się trzy baby. Stosunki cielesne nie były zakazane, ale też nie zachęcano do nich, dlatego w sekcie rzadko rodziły się dzieci. Dokooptowanie nowego człowieka uważano za zbożne dzieło i ten, kto przyprowadził takiego z miasta, nagradzany był skąpą pochwałą.

W sekcie istniał wyraźny podział na duchownych i robotników. Duchowni nie opuszczali wsi, uprawiali ogród i prowadzili „boże śpiewy”. Robotnicy z wyglądu niczym się nie różnili od zwykłych ludzi. Pracowali w różnych miejscach jako lekarze, nauczyciele, wojskowi. Ale wszystkie zarobione przez siebie pieniądze obowiązani byli oddać Mikołajowi. Z tych właśnie środków zbudowano nowy kościół i wielki dom „świętego ojca”. Raz w tygodniu, w soboty, członkowie sekty zbierali się razem na modlitwę i spowiedź. Później Nikołaj karał tych, którzy czymś zawinili. Najczęściej było to biczowanie. W sekcie był specjalny kat, łypiący spod oka chłop o czerwonej gębie. Im głośniej krzyczał nieszczęśnik, tym szerzej uśmiechał się mistrz. Kobiety zamykano na kilka dni do piwnicy bez jedzenia i picia, dzieci musiały klęczeć przez noc na grochu.

I Swieta, i Luda należały do robotników. Spotykały się wyłącznie na modlitwach, członkom sekty nie wolno było się ze sobą przyjaźnić. Dlatego Miła niemal osłupiała, gdy pewnego razu usłyszała w słuchawce cichy głos Bałabanowej. Swietoczka poprosiła ją o spotkanie.

- Jestem w ciąży - powiedziała od progu.

Ludmiła aż przysiadła. Kobiety o zajściu w ciążę musiały natychmiast powiadamiać Nikołaja. A ten albo pozwalał urodzić dziecko, albo wysyłał delikwentkę do babki Olgi, umiejącej spędzać płód. Do lekarzy się nie zwracano, choć przecież niektórzy z członków sekty pracowali w szpitalach.

- Który miesiąc?

- Czwarty.

Luda aż podskoczyła na krześle.

- To jak odbyłaś spowiedź?

Raz na miesiąc „pątnicy” musieli wyznawać swoje grzechy. Nikt nie mógł się od tego uchylić, a cała procedura odbywała się według jednakowego scenariusza. Najpierw rozdawano jakiś brązowy napój, nazywany „zbawienną rosą”. Po wypiciu spowiadający się wpadali w dziwny stan, coś między snem i jawą, a język sam wyznawał wszystkie tajemnice.

Swietoczka się uśmiechnęła:

- Po prostu nie wypiałam.

- To wielki grzech oszukać ojca - wystraszyła się Miła.

- To nie mój ojciec, zamierzam odejść z sekty.

- Nawet o tym nie myśl. Wiesz, czym to grozi.

Niekiedy ktoś usiłował wyplątać się z lepkiej sieci sekty. Nikołaj takiej osoby nie zatrzymywał, wypuszczał ze słowami: „Twoja droga, idź”. Tyle że w ślad za odstępcą znikał też na jakiś czas z wioski kat.

- Nie mam zamiaru pytać - ucieła Swieta.

Miła tylko kręciła głową; sekta miała długie ręce i czujne uszy, ktoś zobaczy ją przypadkiem i wygada.

- A kim jest ojciec dziecka? Ktoś z miasta?

Nikołaj kategorycznie zabraniał wiązać się z kimś z miastowych.

- Nie - burknęła Swieta - z naszych.

- Kto? - nie ustępowała Miła.

- Trzymaj się krzesła - uśmiechnęła się Swieta. - Nikołaj.

- Niemożliwe! - jęknęła Ludmiła. - Święty ojciec jest dziewiczy, tyle razy powtarzał, że zachowuje energię na spotkanie z Panem!

- Trele-morele - pokiwała głową Swietoczka. - Też byłam taka głupia jak ty. Powiedz, sprzątałaś u niego kiedyś?

Miła potrząsnęła głową. Nikołaj mieszkał sam w dużym domu obok kościoła. Tam również była wielka sala modlitewna. Ze zgromadzenia wybierano kobietę, najczęściej młodą i niebrzydką, do której obowiązków należało przygotowanie sali przed niedzielną mszą: rozstawiała świece, rozścielała dywaniki, na których klęczeli zebrani, pomagała też Nikołajowi w czasie modłów. Przez ostatni rok te obowiązki wypełniała Swieta.

- Po mszy Nikołaj zabierał mnie do siebie. Nie masz pojęcia, jak tam u niego pięknie - wspaniałe meble, telewizor, telefon komórkowy, lodówka pełna po brzegi: wino, owoce, wędliny.

- Kłamiesz! - Ludmiła nie mogła uwierzyć.

Członkom sekty wolno było mieć jedynie najniezbędniejsze rzeczy, a o telewizorze absolutnie nie mogło być mowy.

- Sama osłupiałam - rzekła smutnie Swieta.

Nikołaj wyjaśnił dziewczynie, że osiągnął już najwyższy stopień wtajemniczenia i teraz nie potrzebuje się ograniczać.

- Was chronię przed pokusami - powiedział jej „święty ojciec” - bo wasza wiara jest jeszcze chwiejna, brak wam koncentracji, szatan tylko czyha, by was zagarnąć, a mnie już nic nie nęci, jestem ponad to.

Ale Swiecie w jednej chwili opadła zasłona z oczu. Oto na co idą pieniądze „robotników” i ofiary nowo wstępujących członków - na komfortowe życie, wykwintne jedzenie i rozrywki. Nikołaj często wyjeżdżał do Moskwy, tłumacząc to „Bożym nakazem”. Szeregowi członkowie naturalnie w to nie wnikali. Jedynie Swieta wiedziała teraz, że Nikołaj ma w pobliżu centrum bogato umeblowane mieszkanie. Tu w ciszy i spokoju odpoczywał od „bogobojnej” działalności.

- Po co ci to wszystko powiedział! - Ludmiła wciąż nie mogła uwierzyć.

Swieta wzruszyła ramionami.

- Chciał, żebym została bogurodzicą.

- Kim?

- No, żebym urodziła mu dziecko, koniecznie syna, któremu potem przekazał swoje „zbożne” dzieło.

- A dlaczego akurat ty?

Swietłana się uśmiechnęła.

- Sądzę, że były też inne. Kiedyś wygadał się, że Lena Jemieljanowa urodziła mu córkę, ale dziewczynka się oczywiście nie liczy.

- Lena? - zdumiała się Miła. - Przecież ona zginęła.

Dwudziestopięcioletnia Jemieljanowa nagle zniknęła nie wiadomo gdzie, po prostu uciekła z sekty, a jej imienia nie wolno było wymieniać.

- Myślę, że Kolka dokładnie wie, gdzie spoczywają jej kości - powiedziała Swieta. - Ależ my głupie, tyle lat na niego pracowałyśmy. A on stosuje hipnozę i truje nas narkotykami. A ja na początku omal nie zwariowałam z radości.

Zamilkła na chwilę, a potem podjęła swą opowieść. Myśl, by stać się bogarodzicą, najpierw uskrzydliła dziewczynę. W jej głowie kłębiła się dzika płatanina jakichś fragmentów wiedzy teologicznej. Wtedy ani przez chwilę nie wątpiła w świętość Nikołaja i była dumna, że ją wyróżnił. „Święty ojciec” zakazał jej opowiadać komukolwiek o tym „szlachetnym” działaniu.

Ale stopniowo zaczynała przeglądać na oczy. Najpierw Nikołaj kategorycznie zakazał jej przystępować do komunii. Przed poranną i wieczorną modlitwą rozlewał do kubków „krew Pańską” i poił nią swoją trzodę.

- Nie pij i lepiej nie przyjeżdżaj na niedzielne modlitwy - powiedział - twój organizm musi okrzepnąć przed ciążą.

Następnie „mesjasz” polecił jej, by się dobrze odżywiła.

- Ty pójdziesz szczególną ścieżką, Pan mi powiedział, jak należy postępować.

Przywykła do absolutnego posłuszeństwa Swieta pokornie zaczęła jeść mięso, jajka, biały ser.

Po pewnym czasie zaszła w ciążę i Nikołaj przeniósł ją do swojego moskiewskiego mieszkania. Już się więcej z nią nie modlił przy małej lampce z mrugającą żarówką.

Młody organizm Swiety szybko się zregenerował. Bez comiesięcznej narkotycznej „komunii” i hipnozy jej umysł zaczął sprawniej pracować. Zrozumiała, w co wdepnęła, i przeraziła się. Miała tylko jedno wyjście - uciec jak najdalej.

- On mnie później zabije - powiedziała spokojnie. - Po prostu udusi, jak Lenę i Nataszę Leonową.

Ludmiła drgnęła. Natasza Leonową też zginęła kilka lat wcześniej.

- Zbyt dużo o nim wiem - ciągnęła Swieta. - Urodzę i każe mnie zabić. A dziecko będzie potem pokazywać jako cud boski. Dlatego zakazał mi pokazywać się w wiosce, boi się, że zobaczą mój brzuch. Nie mam wątpliwości, że muszę umrzeć.

- Po co mi to opowiadasz? - wyszeptwała Miła z przerażeniem. - Sprawdzasz moją wiarę?

- Otwórz wreszcie oczy. Jesteśmy ofiarami sprytnego cwaniaka, nie mam pojęcia, czym on nas poił, a te modlitwy to ewidentne seanse hipnozy. Tyle że na mnie to już nie działa, ale twój rozum nadal jest otumaniony.

- To co mam robić?

- Pomóż mi.

- Jak?

Swietoczka oznajmiła, że wszystko już przemyślała. Wynajęła mieszkanie na inne nazwisko i jeszcze dziś tam się przeprowadzi. Adresu nikomu nie poda, zniknąć z oczu w wielomilionowym mieście nie jest wielką sztuką. Nikołaj jej nie znajdzie.

- A praca?

- Zwolniłam się.

- Z czego będziesz żyć?

Swietoczka się roześmiała.

- Pożyczyłam sobie co nieco od naszego „świętego”, myślę, że starczy na pięć lat, a potem znów zacznę pracować. Stomatolog nigdy nie będzie bezrobotny.

- Ukradłaś! - przeraziła się Miła. - „Świątemu ojcu”!

- Odebrałam swoje. Całego majątku mu nie wyniosłam, zaledwie pięćdziesiąt tysięcy.

- To nie wystarczy na pięć lat.

- Dolarów, nie rubli.

Ludmiła zamarła z otwartymi ustami.

- Jezu Chryste, skąd ojciec ma tyle pieniędzy?

- A jak myślisz? - odpowiedziała Swieta ponuro. - Wstępując do sekty, oddawaliśmy wszystko, prawda? Ciesz się, że skończyłyśmy studia i temu krwiopijcy posłużyłyśmy jedynie jako dojne krowy, bo „duchowni” przepisywali na niego mieszkania, dacje i samochody.

- A schron? - bąknęła Miła.

Nikołaj często powtarzał, że członkowie sekty są wybrańcami, straszyl naiwnych ludzi katastrofą wszechświatową, wojną atomową, niewyobrażalnymi pożarami i powodziami.

- Ale nam się nic nie stanie - uspokajał „święty ojciec”. - Wszyscy ocalejemy w schronie.

Właśnie na budowę tego mitycznego bunkra szły, według Nikołaja, wszelkie środki. Nikt z członków sekty nigdy nie widział budowy, bo miejsce, gdzie się

znajdowała, trzymano w ścisłej tajemnicy, by się wróg nie dowiedział. Prace prowadzili zagraniczni robotnicy, którzy nie znali rosyjskiego.

Nikołaj często jeździł na inspekcje i nieustannie opowiadał o kłopotach: to wynikły problemy z własną elektrownią, to znów z ogrzewaniem...

- Nie ma żadnego schronu - oświadczyła Swieta. - Ocknij się wreszcie i przynajmniej przestań pić to świństwo przed modlitwami.

- Jak?

- Normalnie, przyczep sobie pod sukienką szczelny pojemniczek i tam wylewaj.

Miła usłuchała i też zaczęła stopniowo przychodzić do siebie. Swieta nadal miała status „bogurodzicy”. Ucieczkę zaplanowała na dziesięć dni przed porodem.

- A jeśli nie poradzisz sobie sama z dzieckiem? Ja do ciebie nie przyjadę, bo mogą mnie śledzić!

- Mam babcię, nazywa się Maria Siergiejewna, mieszka w Nagorju, nikt o niej nie wie. Gdy odbywałam wtajemniczenie, powiedziałam, że moi rodzice umarli, a o innych krewnych nikt mnie nie pytał.

Miła uświadomiła sobie nagle, że wszyscy członkowie sekty to ludzie samotni. Ona jest z domu dziecka, rodzice Swiety zginęli, inni też byli sierotami, nikomu niepotrzebni, nikt się o nich nie martwił, ani rodzice, ani małżonkowie.

Ucieczka się udała. Poród przyjęła w domu znajoma lekarka położna. Dziewczynka urodziła się zdrowa. Trzy dni później Swieta zadzwoniła do Miły. Wychrypiała:

- Natychmiast przyjeżdżaj do mnie, podaję adres.

Nie bacząc na późną porę, Ludmiła popędziła do koleżanki. Swietoczka miała wysoką gorączkę. Wprawdzie stomatolog nie zawsze może postawić właściwą diagnozę, ale w tym przypadku nie było wątpliwości - gorączka połogowa, w języku naukowym rzucawka. Zapewne w czasie porodu wdała się infekcja. Swieta umarła następnego dnia w szpitalu.

Ludmiła urządziła skromny pogrzeb i natychmiast pojechała do Nagorja.

- Nie mogę zatrzymać dziecka - tłumaczyła półprzytomnej Marii Bałabanowej. - Niech pani weźmie Wieroczkę, tylko proszę pamiętać, że Nikołaj na pewno zechce ją odebrać, niech jej pani strzeże jak źrenicy oka.

Bałabanowa jedynie kiwała głową. Luda spędziła u niej tydzień. Na ulicę nie wychodziła, przebywała w pokoju od podwórza. Z Moskwy wezwała brygadę



robotników i chatę przyozdobiły kraty, metalowe drzwi i najnowocześniejszy wideofon.

Na pożegnanie Miła zostawiła dużą sumę.

- Przykro mi - powiedziała - lecz nie mogę przyjeżdżać, może później, gdy zdołam uciec z sekty. Ale będę dzwonić.

Zostawiła staruszce na wszelki wypadek numer pagera.

- Nikogo obcego proszę nie wpuszczać, członkowie sekty na rozkaz Nikołaja mogą udawać kogokolwiek. Ale gdyby musiała pani porozmawiać z kimś nieznanym, niech pani sprawdzi, czy ma pod pachą inicjał.

Staruszka popatrzyła uważnie na „kainowe piętno” - mały czarny trójkąt z wpisanymi literami D i J.

- Wszyscy nasi to mają.

Przeżona Maria Siergiejewna bała się wynosić na powietrze spadłą jej jak z nieba prawnuczkę. Ale wioska to nie miasto, na wsi zaczęto szeptać. Ktoś widział na sznurku pieluszki, ktoś słyszał płacz... Aż kiedyś Wieroczka zachorowała i trzeba było wezwać lekarza, który od razu zażądał okazania świadectwa urodzenia i książeczki ubezpieczeniowej. Żadnych dokumentów naturalnie nie było.

Po nieprzespanej nocy Maria Siergiejewna podjęła wreszcie decyzję i wyciągnęła ze schowka ładny zielony papierek, udała się do rady wiejskiej, zwanej teraz wyszukanie merostwem.

Znajoma przewodnicząca powitała ją słowami:

- A ja czekam i czekam, kiedy się wreszcie zjawisz...

- Zlituj się - poprosiła Maria Siergiejewna, kładąc przed nią banknot - pomóż.

- A o co chodzi?

- Widzisz, Swietka wyszła za mąż i urodziła dziecko - zaczęła łąać Maria Siergiejewna - które mi podrzuciła, żeby grzech ukryć.

- A jaki tu grzech?

- Mąż poszedł do wojska, a ona po roku urodziła dziecko, terminy nijak się nie zgadzały. Przywiozła je wtedy do mnie i mówi: ukryj go, babciu, potem coś się wymyśli. Błagam cię, na litość, wypisz metrykę!

- Żaden kłopot! - odpowiedziała przewodnicząca. - Mam takie uprawnienia. Daj zaświadczenie ze szpitala.

- Nie mam - wybąkała Maria Siergiejewna - urodziła u mnie w sypialni, same sobie poradziłyśmy, bez lekarza.

Urzędniczka postukała ołówkiem o stół, zerknęła na portret amerykańskiego prezydenta i wyjęła z sejfu zieloną książeczkę. Wiera Iwanowna Bałabanowa uzyskała status obywatela. Jako ojca dziecka Maria Siergiejewna podała swojego zmarłego męża, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

Nagorje zatrzęsło się na chwilę od plotek i ucichło. Dziecko przyniesione cichaczem do babki, żeby ukryć przed światem grzech, to w końcu zwyczajna rzecz. Nic w tym szczególnego, miejscowe plotkary po tygodniu straciły zainteresowanie tą sprawą.

Potem Wańka Bielonosow ożłopał się samogonu i po pijaku zadźgał żonę, teściową i szwagierkę. To wydarzenie wstrząsnęło wszystkimi i o Wierze natychmiast zapomniano.

Wieroczka była ładną dziewczynką, ciemnooką i ciemnowłosą. Maria Siergiejewna wzdychała, bo prawnuczka całkowicie wdała się w znenawidzonego Nikołaja, ale nie miało to żadnego wpływu na jej wielką do niej miłość.

Miła często telefonowała, pytała o zdrowie Wiery. Raz na miesiąc przyjeżdżała ukradkiem w nocy do Nagorja i obsypywała dziecko zabawkami, słodyczami i ubrankami. A odjeżdżając, zostawiała pokaźne sumy. Ostatni raz była przed Nowym Rokiem i poprosiła Marię Siergiejewnę, by zrobiła kilka zdjęć. Staruszka posłusznie wypstrykała film, a jakiś czas później otrzymała list ze zdjęciami. Oglądając piękne kolorowe fotografie, dostrzegła niezwykle podobieństwo Wieroczki i Miły. Obie miały gęste, niemal czarne włosy i przepastne oczy.

Na początku marca rozległ się dzwonek do drzwi. Na ekranie wideokamery podejrzliwa staruszka zobaczyła młodego mężczyznę z wielką torbą.

- O co chodzi?

- Emerytura dla Bałabanowej - odpowiedział.

Podejrzliwość wzięła górę i staruszka zapytała:

- Dlaczego Lena nie przyniosła?

- Jest chora - wyjaśnił i rzucił niecierpliwie: - Otwiera pani?

- Zawsze przynosi Lena - nie ustępowała.

- Jak nie, to nie, pójdzie do depozytu, potem niech się pani upomina u

Siergieja Nikołajewicza!

Imię i nazwisko miejscowego naczelnika rozwiało podejrzenia i staruszka otworzyła drzwi. Listonosz wszedł do pokoju, wyjął pieniądze, przeliczył, wyjął listę, pióro...

Niespodziewająca się niczego złego kobieta zaczęła podpisywać i wtedy straciła przytomność.

Ocknęła się dość szybko, ale to wystarczyło, by porywacz chwycił z łóżeczka spokojnie śpiącą Wieroczkę i uciekł. Maria Siergiejewna popędziła na pocztę, żeby zadzwonić do Ludmiły na pager. Do tej pory dzwoniła na ten numer tylko dwukrotnie i za każdym razem Miła natychmiast oddzwaniała.

Ale tym razem nie doczekała się odpowiedzi. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nie ma żadnych innych zamiarów Miły. Biedny pager pewnie rozgrzał się do czerwoności od naglących wezwań: „Zadzwoń zaraz. Babcia”. „Natychmiast zadzwoń. Bałabanowa”. „Odezwij się jak najszybciej, nieszczęście. Maria Siergiejewna”. Ale wszystko na nic. Ludmiła nie oddzwoniła i nie przyjechała, przepadła jak kamień w wodę.

A później zjawiłam się ja z informacją o śmierci Szabanowej.

## Rozdział 16

Do domu wracałam już o zmierzchu. Głowa mi puchła od nadmiaru zaskakujących informacji, ale wielu rzeczy nie rozumiałam. Na przykład, Miła należała do sekty. Jak wobec tego należy tłumaczyć jej rozliczne związki z mężczyznami? To zupełnie nie pasuje do obrazu pokornej i cnotliwej „pątniczki”. Jeżeli to Swieta była matką dziecka, to gdzie jest córka Ludmiły? Wygląda na to, że dzieci urodziły się w tym samym czasie. Ludmiła nie udawała ciąży, ale naprawdę była brzemienna. Matka nieszczęsnego Konstantina, Kaleria Lwowna, będąc osobą podejrzliwą, nim podpisała dokument u notariusza, zażądała, by Ludmiła razem z nią odbyła wizytę u ginekologa. Dopiero gdy się upewniła, że wredne babsko istotnie jest w ciąży, poszła do notariusza.

Pokazałam Marii Siergiejewnie zdjęcie, które wzięłam z mieszkania Ludmiły, a ona od razu poznała swoją prawnuczkę. Kto trzyma przy łóżku zdjęcie cudzego dziecka? Wytłumaczenie było jedno. Wieroczka jest po prostu córką Ludmiły. Dlaczego więc zrobiła z niej prawnuczkę Bałabanowej? I dokąd uprowadzono dziewczynkę? Kto jest jej prawdziwym ojcem? Konstantin czy Żora? Choć to akurat nie ma już żadnego znaczenia, bo obydwaj zginęli, a i Ludmiła jest już na tamtym świecie. Gdzie zatem szukać Wieroczki?

Ciągle miałam przed oczami prostą jak trzcina staruszkę. Odprowadzając mnie do drzwi, ścisnęła mi ramię kościstymi palcami i wyszeptowała prosto w twarz:

- Pomóż, proszę cię na wszystkie świętości, odszukaj dziewczynkę. Ona jedna mi została, cała rodzina na cmentarzu, czy ty wiesz, co to znaczy zostać samej na świecie?

Milczałam, a ona ciągnęła z gorączkowym błyskiem w oczach:

- Nie mam zbyt dużo pieniędzy, ale te, które Miłka dawała na dziewczynkę, są prawie nieruszone, będą twoje. Podpowiem ci adres, gdzie szukać.

- Gdzie?

- A w tej przeklętej sekcji, u Nikołaja. Tylko po co mu dziewczynka?

Szczerze mówiąc, ja też tego nie rozumiałam.

- Lepiej, żeby pani zawiadomiła milicję...

- Gdzie tam? - prychnęła. - To nic nie da, nikt nawet palcem nie kiwnie. Kiedy zaginął syn Goriaczkinów, to nawet zgłoszenia nie chcieli przyjąć.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Widocznie Ludmiła ci ufała, skoro przed śmiercią podała mój adres - rzekła z westchnieniem staruszka. - Więc pomóż...

- Niech pani poda nazwę.

- Jaka? - zdziwiła się.

- No, wioski... gdzie znajduje się sekta.

- Nie znam - powiedziała zaskoczona.

- Jak to, przecież dopiero co chciała mi pani podać adres.

- Miałam na myśli, że Wieroczka na pewno jest w tej sekcie - wybełkotała. - U tych diabłów przeklętych! Swietoczkę zgubili, teraz się biorą za moją prawnuczkę.

Rozplakała się cicho, żałośnie. Łzy jak groch toczyły się po zoranej zmarszczkami twarzy i spływały na szyję. W odróżnieniu od większości wiejskich staruszek, które potrafiły zawodzić z byle powodu, Maria Siergiejewna płakała niewprawnie, jakby po raz pierwszy w życiu. Pewnie nie zwykła robić tego przy obcych. Nieszczególnie porusza mnie pokazowa rozpacz, przesadne zawodzenie, załamywanie rąk, ale pełen cierpienia bezgłośny płacz Bałabanowej ścisnął serce.

- Proszę sobie przypomnieć, może Miła powiedziała cokolwiek: nazwę pobliskiej stacji, szosy...

- Nie, napomknęła tylko, że to w okolicach Moskwy.

„Dobre sobie - pomyślałam, zbliżając się do obwodnicy - obszar wielkości jednej trzeciej Francji. To szukanie igły w stogu siana”.

Smętne rozmyślenia przerwał mi dzwonek telefonu.

- Gdzie jesteś? - zapytała Kicia.

- Na zjeździe od strony szosy Wołokołamskiej...

- Przyjeżdżaj szybko do „Arlekina”.

- Po co?

- Bo tak - rzekła stanowczo i wyłączyła się.

„Arlekin” to dość ekskluzywny sklep. Jego trzy kondygnacje wypełnia po brzegi odzież wszelkich marek. Jedno nam się tylko w nim nie podoba - ceny. Jak mówi Kiesza: „Flaki się przewracają, kiedy się płaci za buty tyle, za ile we Francji można kupić dziesięć par”. Dlatego teraz wolimy ubierać się w Paryżu, tam jest znacznie taniej. Poza tym, kupując w salonie Chanel spódnicę, ma się pewność, że to rzecz autorska, pojedynczy model. W Moskwie natomiast istnieje zawsze ryzyko, że płaszcz kupiony nawet w drogim butiku może się okazać włoską podróbką, za to z

dumną metką „Channel”. I ktoś kupuje, i nosi, w przeświadczeniu, że ma oto wyrób nieśmiertelnej Coco. Pozostaje jedynie drobny szczegół: nazwisko wielkiej kreatorki pisze się po francusku „Chanel”, z jednym n w środku, a nie, tak jak na metce płaszcza, „Channel”. Tak oto okłamuje się niezbyt obeznanego z podobnymi szczegółami moskiewskiego klienta. Widziałam już „Deor” zamiast „Dior”, „Lagerfield” zamiast „Lagerfeld” i „Pacco Rabanna” zamiast „Paco Rabanne”. Różnica zaledwie jednej literki, a w szafie zamiast wyrobu firmowego wisi tandetna szmata.

Ale co poniosło Kicię do „Arlekina”?

Kicia niecierpliwie przechadzała się przed wejściem.

- Ile można jechać? Chodźmy szybciej, kazali mi kupić jasnofioletowy kostium, na jego tle moja twarz ma być bardziej interesująca. Odłożyłam cztery sztuki. Teraz przymierzę, a ty mi doradzisz, który lepszy!

Chwyliła mnie mocno i ciągnęła za sobą, zrzędząc:

- Nie można cię znaleźć, kiedy jesteś potrzebna, gdzie ty przepadasz na całe dnie...

- Przepraszam - rozległ się uprzejmy męski głos - czy pani Woroncowa?

Olga spojrzała na obcego mężczyznę w smętnej kurteczce i odpowiedziała cicho:

- Tak.

- Ta, która prowadzi „Świat sportu”? - upewnił się.

Kicia potwierdziła kiwnięciem głowy.

- Chłopaki! - wrzasnął młody człowiek. - Chodźcie tu, mówiłem, że to ona, a wy, że takie nie łążą po sklepach.

W jednej chwili otoczyła nas gromada rozgorączkowanych przedstawicieli płci przeciwnej. Podtykali Kici pod nos kartki, kupione właśnie książki i banknoty.

- Prosimy o autograf - wołali jeden przez drugiego.

Jeden ściągnął kurtkę i podstawił gołe ramię.

- Jak zagra Zenit?

- Czy CSKA ma szansę na zwycięstwo?

- Czy Spartak zachowa przewagę?

- Gdzie będzie mieszkał Juran?

Pytania sypały się jak grad, biedna Kicia usiłowała się wyrwać, ale na próżno. Kibice ani myśleli ustąpić, teraz ich zainteresowanie przeniosło się na dziewczynę.

- Ile pani ma lat?
- Ma pani męża?
- Może podwieźć do domu?

Wybawił nas menedżer z działu kostiumów kąpielowych. Przecisnął się do nas, chwycił Kicię za przegub i dosłownie wepchnął ją do przebieralni.

Rozczarowani młodzieńcy, przestępując z nogi na nogę, szemrali przy wejściu.

- Coś wam powiem, chłopaki - postanowiłam się wstawić - jak zagra Zenit, ona nie wie, bo niby skąd... Kiedy mecz?

- Jutro - bąknęło kilka głosów.

- No właśnie, skąd niby komentator ma wiedzieć, skoro mecz się jeszcze nie odbył. Męża ma, mistrz boksu i karate, sto czterdzieści kilo żywej wagi, zaraz przyjdzie, mierzy tam spodnie, a ja jestem jego mamą. Autografy dostaliście, czego jeszcze chcecie?

Nie wiem, co bardziej ich otrzeźwiło: istnienie męża supermana czy obecność wrednej teściowej, w każdym razie, burcząc coś pod nosem, zaczęli się rozchodzić.

Odsunęłam zasłonkę przymierzalni. Kicia siedziała na stołku.

- Co to było? - zapytała, kręcąc potarganą głową. - Co to było, do licha?

- Sława - uśmiechnęłam się. - Trąby miedziane, odurzający napój popularności. Chcesz powiedzieć, że nie po to pchałaś się na ekran?

Nie znalazła na to odpowiedzi. Lękliwie osłaniając twarz torebką, wyjrzała na salę i burknęła:

- Lecimy prosto do działu z kostiumami!

- Ola! - rozległo się za nami.

Synowa podskoczyła. Menedżer, który nas przed chwilą ratował, trzymał egzemplarz „TV-park”.

- Bardzo proszę autograf tu, obok zdjęcia.

- Jakiego zdjęcia? - wybąkała.

- Swojego! Nie widziała jeszcze pani pisma? - Sprzedawca się uśmiechnął. -

Dzisiaj wyszło.

Podsunał nam pod oczy zdjęcie na rozkładówce. Wybałuszyłyśmy oczy. „Najpiękniejsza prezenterka kanału sportowego” - głosił podpis.

- Coś takiego! - Kicia klasnęła w ręce.

Wreszcie wybrałyśmy kostium i popędziłyśmy do domu. Kicia pierwsza

volkswagenem, a ja za nią moim volvo. Przy skręcie w Kamyszyńską Olga przegapiła znak stop i natychmiast capnął ją czujny gliniarz. Zaparkowałam za nią i czekałam.

Stróż porządku podszedł do samochodu z kamienną twarzą, zasalutował, otworzył usta i... rozpląnął się w zachwyconym uśmiechu.

Sekundę później siedział już w volkswagenie. Minuta... druga... Co oni tam robią?

Znudziło mi się czekanie, wysiadłam i podeszłam do samochodu Olgi.

- Co się stało?

- O co chodzi, obywatelko? - warknął niezadowolony milicjant.

- To moja teściowa - wyjaśniła Kicia.

- Wobec tego już nie przeszkadzam, życzę szerokiej drogi.

Odszedł do swojej budki, wdzięcznie wymachując lizakiem.

- Co tak długo? - burknęłam.

- Pisałam autografy - wyjaśniła Olga. - „Pieti - Woroncowa”, „Loni - Woroncowa”, „Miszy - Woroncowa” i tak dalej. Nie odczepił się, póki nie dostał autografów dla wszystkich kolegów.

Nagle parsknęła śmiechem.

- A o mandacie zapomniał!

- Sama widzisz - powiedziałam triumfalnie - sława ma też swoje dobre strony.

- Przynajmniej wiem jedno - westchnęła, gdy wreszcie wstawiłyśmy samochody do garażu i ruszyłyśmy do drzwi wejściowych. - Muszę sobie kupić ciemne okulary i wiązać włosy w kucyk, wtedy nikt mnie nie pozna.

Tym razem z wizytą u nas była zaledwie jedna para. Chuda dama z żyłastymi mocnymi nogami, najwyraźniej była tancerka, i dość masywna kobitka w oszałamiającym zielono-pomarańczowym stroju. Obie elegantki obwieszane były od stóp do głów biżuterią. Młodsza nawet na kostkach nóg miała łańcuszki z drobnymi kamykami.

- O, przyszły dziewczyny - pisnęła Aliska. - Poznajcie się.

- Sofa - powiedziała gruba.

- Julie - mruknęła chuda.

Fila, nie podnosząc oczu, wachał jakąś ostro pachnącą substancję.

- Bejart kompletnie sfiksował. - Julie wróciła do przerwanej naszym wejściem rozmowy.

- Tylko nie wiadomo, czy taki balet jest zrozumiały dla widzów - westchnęła



Sofa.

- Nie można aż tak komplikować techniki. - Julie poklepała się po bokach i dodała niezadowolona: - Do licha, zostawiłam papierosy w samochodzie, muszę po nie iść.

- Proszę wziąć moje - zaproponowałam.

Dama obrzuciła lekceważącym spojrzeniem paczkę, którą jej podałam, i wycedziła przez zęby:

- Takich nie palę.

Szybkim krokiem wybiegła z pokoju.

Fila łyknął coś z filizanki, czknął z zadowoleniem, wylał część płynu na spodeczek i zamruczał nad nim:

- Zumo, bumo, gumo.

Ale ja już przywykłam do jego cudactw i wcale się nie zdziwiłam.

- Niepotrzebnie pobiegła do samochodu - odezwała się nagle Sofa - papierosy leżą tu, pod lampą.

- No właśnie - roześmiała się Aliska. - Ale z nas gapy, jak nas pochłonie rozmowa o sztuce, to zapominamy o bożym świecie.

Otworzyła okno i wrzasnęła:

- Julie, Julie, wracaj, ty roztrzepana cipo, znalazły się twoje papierosy. Julie, Julie!

Drzwi uchyliły się cichutko i do pokoju wsunęła się chyłkiem terierka. Grzeczna, dobrze wychowana suczka stanęła przed Aliską i zaczęła machać puszystym ogonkiem.

- Julie, Julie - wydzieriała się Aliska - Julie, chodź tu, Julie!

Terierka oparła łapki o nogi Aliski i cicho zaskomlała.

- Julie! - nie przestawała wołać Aliska. - Julie!

Terierka głośno zaszczekała. Aliska aż podskoczyła.

- Ale mnie przestraszyłeś! Czego chcesz?

Piesek zaczął podskakiwać. Aliska jeszcze raz zawołała:

- Julie!

Terierka zaniósł się szczekaniem.

- Co jej się stało? - Aliska popatrzyła na mnie zdumiona.

Z trudem tłumiąc śmiech, odpowiedziałam:

- Nic, po prostu myśli, że chciałaś, aby przyszła, i za nic nie może zrozumieć,

dlaczego nadal ją wołasz.

- Nie miałam najmniejszego zamiaru jej wołać - zdziwiła się Alisa.

- Suczka wabi się Julie - wyjaśniła Olga.

Aliska parsknęła śmiechem i chwyciwszy suczkę z podłogi, obsypała pocałunkami kosmatą mordkę.

- Śliczności ty moje, pewnie pomyślałaś, że mamunia sfiksowała?

Siedzący spokojnie w kącie Freddy wydał z siebie głuchy ryk.

- Nie bądź zazdrosny, głuptasku. - Aliska odwróciła się do małpki. - Masz tu.

I rzuciła jej „Cosmopolitan”. Małpka z mądrą miną zaczęła kartkować pismo. Wróciła Julie, chwyciła paczkę potwornych papierosów, grubych jak moja noga, ucięła złotą gilotynką czubek jednego z nich i zaczęła wydmuchiwać kłęby niemal czarnego, cuchnącego dymu.

Rzuciłam zjadliwe spojrzenie w stronę synowej. Mnie moje drogie dzieci nie pozwalają nawet wyjąć papierosa. Ale Olga nie odezwała się słowem, tylko wyszła z pokoju. Za nią ze spodkiem w rękach ruszył Fila. W salonie już po chwili nie było czym oddychać, a obie damy z entuzjazmem rozprawiły o najnowszych wydarzeniach baletowych.

Wymknęłam się i poszłam do Mani. Dziewczynka spała. Oddychała równo, czoło miała chłodne, policzki w kropki pomazane „zielonką”. Na kołdrze piętrzyły się różnorodne przedmioty: opakowania po chipsach, pisma, guma do żucia... Długie nici muliny zwisały prawie do podłogi. Na dywanie leżał pilot do telewizora, szczotka pudła, spodnie od pizamy... Wszystko zasypane okruchami ciasteczek... Maniunia najwyraźniej wraca do zdrowia.

Zaczęłam sprzątać. Mania ani drgnęła. Na stoliku nocnym obok kartonu z sokiem pomarańczowym i podręcznikiem *Choroby infekcyjne* znalazłam pusty spodeczek. Machinalnie obracałam go w rękach. Na dnie przetaczało się kilka brązowych kropeł o intensywnym zapachu. Poczułam, że dusi mnie złość. Tego już za wiele!

Fila siedział w fotelu w pokoju Aliski. Nie wchodziłam tu prawie od dwóch tygodni i teraz osłupiałam ze zdziwienia, tak bardzo pokój się zmienił.

Na zasłonach wisiały przychepione szpilkami wycięte z papieru dziwne symbole. We wszystkich kątach stały płonące świece. Stół ozdobiły dość specyficzne przedmioty - migotliwa kryształowa kula na podstawie, dziwaczny trójnóg z niezliczonymi rzędami słoiczków, flakoników, buteleczek.

Czarodziej przywdział granatową szatę ze złotymi wzorami. Wyglądało na to, że zdomowił się tu na długo.

Wściekła podetknęłam mu pod nos spodeczek i warknęłam:

- Co to?

Filia spokojnie odłożył książkę *Wiejska magia* i odpowiedział uprzejmie:

- Spodeczek.

- Niech pan nie robi z siebie idioty - wysyczałam. - Jeśli jeszcze raz zobaczę, że poi pan dziecko jakimś paskudztwem, poproszę, żeby opuścił pan mój dom.

- To nie paskudztwo - odpowiedział uprzejmie - ale stary, sprawdzony środek na gorączkę. Lekarz przepisał Maszeńce duże dawki antybiotyku. Złapałem się za głowę, gdy zobaczyłem receptę. Nie wolno truć dziewczynki w jej wieku takim lekarstwem.

- Jasne, należy leczyć cudowną wodą...

- Antybiotyki - ciągnął, nie dostrzegając mojego gniewu - to środek podstępny. Nie przeczę, że często ratuje człowiekowi życie, ale przecież nie przy zwykłej ospie wietrznej! W tym wypadku zażycie antybiotyków może mieć fatalne skutki.

- Doprawdy?!

- Po pierwsze, niszczy florę bakteryjną i trzeba ją będzie odtwarzać przez wiele miesięcy, po drugie, organizm, gdy mu się aplikuje taką dawkę, przyzwyczajają się do leku. A przecież, nie daj Boże, może się zdarzyć, że antybiotyk będzie naprawdę niezbędny, na przykład po operacji, i wtedy nie zadziała jak należy. Jako specjalista nie radziłbym strzelać do wróbla z armaty. Maszeńka śpi, temperatura spadła, w tym napoju nie ma niczego szczególnego - zwykła mieszanka ziół, zna ją każda wiejska znachorka.

- Kategorycznie protestuję, żeby moje dziecko leczyło się u wiejskiej znachorki!!!

- Niesłusznie. Babki dużo wiedzą i mogą...

- Dość tego - przerwałam mu zimno. - Obejdziemy się bez pana morałów, przywykliśmy do medycyny tradycyjnej!

- Z wykształcenia jestem terapeutą, skończyłem medycynę i przez wiele lat pracowałem w Szpitalu imienia Botkina. Czarodziejem stałem się stopniowo, zdobywając tę wiedzę.

Prychnęłam pogardliwie.

- Nie wiem, w jaki sposób ogłupia pan swoich klientów, ale ze mną się to nie uda. Ile ma pan lat?

- Pięćdziesiąt pięć - odparł spokojnie.

Teraz już roześmiałam mu się w twarz. Młoda, rumiana twarz, włosy bez najmniejszego śladu siwizny, proste plecy, szybkie, zwinne ruchy - to wszystko świadczyło o jego prawdziwym wieku - najwyżej około trzydziestki.

Filipp poderwał się z fotela i podał mi dowód. „Filipp Andriejewicz Głagolew, rok urodzenia 1944”.

Na mojej twarzy musiało się odbić zdumienie, bo wyjaśnił:

- Ojcu się udało. Został ranny, odesłano go z frontu, urodziłem się dziewięć miesięcy później.

Od wiszącego w powietrzu słodkiego dymu zakręciło mi się w głowie, poczułam mdłości, w uszach zaczęły mi stukać młoteczki, raz za razem. Już wiedziałam, zaczyna się migrena, muszę szybko wziąć lekarstwo.

- Dobrze - burknęłam, ruszając do drzwi - może istotnie jest pan doświadczonym specjalistą, ale proszę, by już więcej nie mącił pan w głowach mojej rodziny. A za dotychczasowe wysiłki mogę panu zapłacić.

- Próbuje pani mnie obrazić - uśmiechnął się Fila - ale to niemożliwe. Zdążyłem polubić Maszeńkę, Arkaszę, Olę, wspaniałe dzieciaki, potrzebna jest im moja pomoc i wiedza. A tak przy okazji, migrena przejdzie, gdy tylko wypije pani to.

I wsunął mi do ręki małą butelkę.

- Pięć kropli na język i po kłopotcie.

Wyskoczyłam na korytarz z ciężką głową, kipiąc złością. No, Aliska, podpadasz mi coraz bardziej.

## Rozdział 17

Noc była okropna. W lewej skroni łomotał ból, łóżko kołysało się pode mną, nad ranem dostałam torsji. W takim stanie zwykle łykam wszelkie możliwe analgetyki, a potem, zażywszy radedorm, usiłuję zasnąć. Wyczerpująca migrena trwa dobę, dwadzieścia cztery godziny bólu, mdłości i przygnębienia.

Ale dzisiaj tabletki na sen nie podziałały. W głowie jakby świdrował rozpalony do białości pogrzebacz, nozdrza wypełniał jakby odór gnijącego mięsa. I żadna pociecha, że to się tylko tak wydaje. W takim stanie jest się gotowym zjeść wszystko - żywą żabę, karalucha, popić wodą z kałuży, jeśli tylko jest cień nadziei, że to przyniesie ulgę.

W desperacji złapałam flakonik, wlałam zawartość do ust i wsłuchałam się w siebie. Nic, głowa boli jak bolała.

Budzik tykał głośno, odliczając minuty. Ósma rano. Co za głupota, żeby uwierzyć w tak zwaną magię. To wszystko brednie, dowód Fila też ma podrobiony, żeby mydlić oczy klientom. I wtedy powieki same mi opadły i pograżyłam się w zbawiennym śnie.

Po przebudzeniu przeciągnęłam się i ostrożnie pokręciłam głową. Nic nie bolało. Usiadłam rzeško. Co za uczucie! Ciekawe, ile spałam?

Wskazówki wskazywały ósmą dziesięć. Zapatrzyłam się tępo na tarczę zegarka - chyba ósma wieczorem? Ale jasne marcowe światło jednoznacznie świadczyło o tym, że jest wczesny ranek. Za oknem było błękitne niebo, w ogrodzie ganiał z wesołym szczekaniem Bundy.

Nie do wiary! Spędziłam w objęciach Morfeusza ledwo dziesięć minut, a czuję się tak, jakbym przespała dwanaście godzin. I migrena minęła bez śladu...

Flakonik stał w szafce... Nie, bzdura, po prostu zadziałały w końcu wszystkie zażyte przeze mnie tabletki.

Zjadłam śniadanie i wróciwszy do swojego pokoju, zaczęłam się zastanawiać. Jak odnaleźć sektę? Wreszcie przyszedł mi do głowy pewien plan. Wiem, że w takich organizacjach należy zrzec się wszelkiego dobytku na rzecz sekty. Ludzie sprzedają mieszkania, samochody, dacje... A to znaczy, że „święty ojciec” na pewno chętnie widzi nowych członków, każdy nowo wstępujący pomnaża jego majątek. Dlatego wtajemniczeni mają za zadanie werbować nowe ofiary. Zapewne Miła też zajmowała

się propagowaniem ideologii „pątników”. Pozostał mi drobiazg, znaleźć kogoś, kogo wciągnęła do sekty, i przez niego albo nią wejść na „Drogę do Jezusa”.

W zamyśleniu rysowałam w notesie domki. Ale gdzie mam znaleźć tych ludzi? W miejscu, gdzie pracowała Szabanowa. Na pewno zwerbowała tam parę osób.

...Fabryka aparatury cieplnej mieściła się na wielkim pustym placu. Wejścia pilnowała czujna babina.

- Dokąd się pchasz? - przywitała mnie.

- Gdzie jest przychodnia?

- Punkt medyczny - poprawiła mnie. - Obejdź od tyłu, tam nie trzeba przepustki.

Obeszłam ogromny budynek. Ciekawe, co to takiego aparatura cieplna? Pewnie różne grzejniki i baterie.

Ale cokolwiek to było, dla fabryki było opłacalne. Dwupiętrowy korpus świeżo po remoncie, w przychodni wszystkie korytarze wyłożone dywanami. Pacjentów natomiast nie dostrzegłam. Nawet przed drzwiami z napisem „gabinet stomatologiczny” nie siedziała ponura kolejka.

Zapukałam, wyjrzała ładna dziewczyna.

- Proszę wejść.

Pieniądzy na zdrowie robotników administracja raczej nie sypnęła. Ale wyposażenie było nowoczesne, a lekarka miała ładną chirurgiczną czapeczkę.

- Przepraszam - udałam zmieszanie. - Od dawna lecę się u doktor Szabanowej.

Lekarka odłożyła błyszczące lusterko z długą rączką i uprzejmie odpowiedziała:

- Zwolniła się.

- Jak to? - zdziwiłam się.

- Pewnie znalazła sobie inne miejsce pracy, wygodniejsze, choć... - Wzruszyła ramionami.

- Co?

- Dla dobrego specjalisty to dobre miejsce. Miejscowi prawie nie przychodzą, można cały dzień przyjmować prywatnych pacjentów. Pani, jak sądzę, też przychodziła tu prywatnie?

Przytaknęłam.

- A Miła nie zostawiła adresu nowej pracy?
- Nie.
- To jak można ją znaleźć?
- Po co pani Szabanowa? - zaczęła mnie kusić. - Jestem nie gorsza od niej.

Materiały mam importowane, ceny umiarkowane...

- Przyzwyczaiłam się do niej, ma złote ręce.
- Co prawda, to prawda, Ludmiła to świetny fachowiec.
- A może któraś z jej koleżanek ma adres - wypuściłam próbny balon. -

Szkoda mi tracić ulubionego lekarza.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Ja o swoich stałych pacjentach wiem dużo. Sama też im czasem opowiadam o mężu, o dzieciach. A Miła - nigdy. Pracowała w milczeniu. Czy pani na przykład wie cokolwiek o jej życiu osobistym?

Pokręciłam przecząco głową.

- No właśnie - powiedziała z zadowoleniem. - Przepracowałam z nią niemal dwa lata i nic o niej nie wiem. Przychodziła rano, uprzejmie się witała i do roboty. Lekarze czasami piją razem herbatę, kawę, ale ona na ogół odmawiała. Uprzejmie, ale zdecydowanie. Z pacjentami też żadnych rozmówek, wyłącznie na tematy zawodowe. Dziwna kobieta, nieprawdopodobnie skryta. Tutaj nikt o niej nic nie wie. Zwolniła się też dosyć nietypowo, po prostu nie stawiała się w poniedziałek do pracy, a tu pacjenci przyszli, czekają. Poszłam do szefa, żeby zapytać o jej domowy telefon. I okazało się, że się zwolniła i nawet nie wspomniała o tym swoim stałym pacjentom. To szczyt lekkomyślności, tracić pacjentów. W dzisiejszych czasach!

Pozostawiwszy lekarkę, by w samotności przeżywała swój gniew, w ponurym nastroju wsiadłam do samochodu. Kompletne fiasko! Przecież nie mogłam podchodzić do ludzi na ulicy i z miłym uśmiechem mówić: „Przepraszam, chciałam zapytać...”.

Raczej werbowała nowych spośród pacjentów. Tylko jak poznać ich nazwiska? Z osób mi znanych zęby u Miły leczył jedynie Roszczyn. Z głębi pamięci wygrzebałam adres domu dziecka, w którym przebywał Żora. Pojadę tam, porozmawiam z dyrektorem, może coś z tego wyniknie. Słaba niteczka, ale innych na razie nie mam.

Internat stał w głębi pięknie urządzonego dziedzińca. Asfaltowe chodniki czysto zamiecione, klomby przekopane, huśtawki i drążek pomalowane jaskrawą

farbą w kolorze „błękit pruski”.

Od żelaznej bramy do głównego wejścia ciągnęła się oszklona gablota „Nasza duma”. Przemknęłam wzrokiem po zdjęciach. Przez lata w tym domu dziecka wychowywano przyszłych lekarzy, dyrektorów fabryk, a nawet jednego kosmonautę. Zdjęcia Roszczyna nie dojrzałam.

Uśmiechnęłam się mimowolnie do własnych wspomnień. Przez wiele lat na moim wydziale pracował profesor Radko, znakomity znawca niemieckiego i francuskiego, erudyta, wielbiciel pięknych pań, smacznego jedzenia i dobrych trunków.

W młodości mieszkał w Marjonej Roszczy. Gromady wyrostków z poszczególnych ulic wciąż wszczynwały między sobą awantury. W czasie jednej z rozrób doszło do tragedii. Ktoś wyciągnął nóż i pchnął przeciwnika. Aresztowano wszystkich, również Radkę. Sąd ukarał ich surowo, Radko dostał pięć lat i odsiedział cały wyrok.

Widać już od dziecka przyszły profesor odznaczał się mocnym charakterem, bo się nie poddał za kratami. Skończył szkołę i zaczął się sam uczyć języków. Na wolność wyszedł z twardym postanowieniem, że będzie kontynuował naukę, kontaktów z byłymi „kolegami” z baraku nie podtrzymywał, jedna gorzka lekcja wystarczyła mu na całe życie.

Michaił Andriejewicz obronił najpierw doktorat, potem zrobił habilitację, napisał kilka książek i podręczników, stał się autorytetem naukowym. Swojej przeszłości nie ukrywał, wszyscy na uczelni wiedzieli, że w młodości „odsiedział wyrok”.

W pewien poniedziałek Michaił Andriejewicz zjawił się na wydziale wyraźnie nieswój. Właśnie sprawdzałam prace kontrolne. Uderzył mnie jego wygląd i zapytałam:

- Nowa dama czy też o jeden kieliszek za dużo?

Wyraźnie się wzdrygnął.

- Nie uwierzy pani, Daszeńko, co mi się zdarzyło w weekend.

W piątek wieczór rozległ się dzwonek telefonu.

- Witam, towarzyszu doktorze - rozległ się głos, wyraźnie nawykły do rozkazywania. - Tu zamknięty zakład karno-wychowawczy 1906/7.

Radko poczuł się mocno nieswojo. Był to numer kolonii karnej, w której niegdyś liczył dni do wyjścia.



- Musi nam pan pomóc - oświadczył naczelnik.

- W jaki sposób? - zapytał ostrożnie profesor.

Okazało się, że administracja poprawczaka zaprasza byłych „odsiadkowiczów”. Ale nie wszystkich, jedynie tych, którzy „nie zboczywszy z drogi poprawy, osiągnęli szczyty zawodowego sukcesu”.

- Pański przyjazd będzie miał duże znaczenie wychowawcze. Patrząc na pana, wielu pójdzie po rozum do głowy. Proszę się nie martwić, przywieziemy i odwieziemy pana samochodem, obiad zje pan w stołówce.

Radko skrzywił się na wspomnienie „rybnej brei”, ale się zgodził.

W niedzielę wczesnym rankiem pod domem zatrąbiła czarna wołga. W środku siedziały dwie osoby. Młody, spocony chłopak w mundurze, który przedstawił się jako kapitan Tarasow, i krzepkie chłopisko.

- Kolan. - Krzepki wyciągnął do Michaiła Andriejewicza dłoń niczym bochen chleba. - Górnik, Bohater Pracy Socjalistycznej, też, że tak powiem „były”.

Jechali niecałą godzinę. Gdy ukazała się przed nimi znajoma, pomalowana na ciemnozielono brama, profesor mimo woli poczuł mrówki na plecach. Przypomniała mu się śluza, do której zaraz wprowadzą samochód, i poniżająca rewizja.

Ale wołga zahamowała przed budynkiem administracyjnym. Tam z dość koślawym kołaczem w rękach przestępowały z nogi na nogę dwie pulchne dziewczyny w mundurach polowych.

- Ożeż pieska niebieska - zachwycił się Kolan. - Ani bym pomyślał, że będą mnie tu tak witać!

Michaił Andriejewicz burknął coś i odruchowo poruszył łopatkami. Gdy przyjechał tu wtedy, wiele lat temu, konwojenci nie szczędzili mu po drodze bolesnych kuksańców tylko dlatego, że chłopak nie mógł powstrzymać łez na myśl, że będzie tu musiał spędzić pięć długich lat.

Dziewczyny wręczyły im kołacz, zjawił się „gospodarz” zony. Uściskał i ucałował gości.

- Wszyscy są w klubie i nie mogą się już doczekać.

Zgrzytnęły automatyczne zamki, zaskrzypiały niezliczone żelazne drzwi i Radko pożałował, że zgodził się tu przyjechać - wspomnienia były wciąż zbyt żywe.

Wreszcie wyszli na szeroką asfaltową alejkę, prowadzącą do klubu, i Michaił Andriejewicz zamarł. Tuż przed nimi, na żelaznych stojakach bił w oczy ogromny transparent: „Aleja Sławy. Osadzeni, zapamiętajcie: jeśli zdecydowanie wkroczycie

na drogę poprawy, możecie osiągnąć w życiu wszystko. Popatrzcie na te twarze - oni też odbywali karę w naszym zakładzie”.

Na moment w duszy profesora ocknął się nauczyciel, który chciał zjadliwie sprostować, że w więzieniu siedziały nie tylko twarze, ale i reszta tułowia osadzonych. Tyle że język stanął mu kołkiem, bo profesor zobaczył wspomnianą Aleję Sławy.

Po obu stronach alejki stały gabloty ze zdjęciami. Fotografia Radki otwierała ekspozycję. Administracja miała tylko jedno jego zdjęcie - to samo, które widniało na zwolnieniu z więzienia. Radko doskonale pamiętał, jak je zrobiono.

Raz na miesiąc w kolonii pojawiał się fotograf. Przywoził ze sobą staromodną czarną marynarkę, spraną białą koszulę i krawat na gumce.

Dwóch więźniów naciągało prześcieradło. Wychodzący na wolność ściągał kufajkę, przywdziewał strój cywilny. Następnie padał rozkaz:

- Siadać na krzesło, spojrzeć na buty, potem na mnie.

Zdjęcia wychodziły okropnie. Na pierwszym planie ostrzyżona głowa, spojrzenie spode łba, ponure i czujne, usta zaciśnięte.

Radko zagapił się na zdjęcie. Z tyłu usłyszał:

- Ożeż pieska niebieska.

Widocznie Kolan znalazł swoją fotografię.

Pod zdjęciem Radki widniała informacja, napisana na maszynie z obłuzowaną czcionką:

„Doktor hab., profesor, laureat nagrody Makarenki - Michaił Andriejewicz Radko. Bójka z ciężkim uszkodzeniem ciała, przynależność do grupy przestępczej. Pięć lat”.

- Podoba się panu? - zapytał z dumą naczelnik, widząc osłupiałą twarz gościa.  
- Kupę szmalu kosztowało. Musieliśmy stelaże w mieście zamawiać.

Radko, niezdolny do odpowiedzi, kiwnął jedynie głową. Ale nie wiedział jeszcze, co go czeka dalej. Główną niespodziankę administracja zostawiła na koniec. Około dziewiątej wieczorem, gdy program spotkania został w całości wykonany, „gospodarz” zapytał:

- Nie chce pan popatrzeć na swoją dawną pryczę?

Poszli do baraku. I tutaj spotkał Radkę ostateczny cios. Zbliżywszy się do piętrowej, żelaznej pryczy pomalowanej na niebiesko, spostrzegł małą tabliczkę, przykręconą do wezłowania: „Na tej pryczy spał przyszły profesor, doktor

habilitowany, osadzony Radko. Ty też możesz osiągnąć sukces, jeśli zdecydowanie wkrocysz na drogę poprawy”.

W drodze powrotnej Michaił Andriejewicz i Kolan milczeli, przeżywając to, co zobaczyli.

- Obrzydliwość - skarżył się profesor - choć wiem, że miejscowej władzy przyświecał chlubny cel.

Najwyraźniej dyrekcja internatu, do którego właśnie przyjechałam, również chciała oddziaływać na dzieci pozytywnym przykładem. Wszystkie zdjęcia wyglądały jednakowo - chłopcy w czarnych marynarkach i krawatach, dziewczynki - w białych bluzkach i z broszkami pod szyją. Chyba i tutaj fotograf przyjeżdżał ze „specodzieżą”.

Natomiast w środku dom dziecka okazał się niezwykle przytulny. Jasne, czyste korytarze, wyłożone chodnikami. Na ścianach, jak to bywa w normalnych domach, półki zapchane książkami. Wnioskując ze stanu okładek, muszą być często czytane. Zbliżyłam się i przeczytałam tytuły: *Koszmar kowboja*, *Potwory z Fryburga*, *Zamek wampirów*.

- Na parterze horrory i kryminały - rozległ się z tyłu jakiś głos - na pierwszym piętrze klasyka, a wyżej literatura edukacyjna i poradniki, podręczniki, encyklopedie...

Odwrociłam się. Uśmiechała się do mnie rezolutna osóbką mniej więcej siedmioletnia, w dużych okrągłych okularach.

- Jakie to niezwykle - odezwałam się. - U was książki nie są w bibliotece... Można je brać, kiedy się zechce, bez zapisów?

Dziewczynka się zdziwiła:

- A u pani w domu to co, zapisuje się w zeszycie?

- Jasne, że nie.

- A to przecież nasz dom - pouczyła mnie dziewczuszka. - Jesteśmy jedną rodziną. Kogo pani szuka?

- Dyrektora.

- Proszę za mną.

Niemal pobiegłyśmy krętym korytarzem. Drzwi do kilku pokoi były otwarte i dostrzegłam, że w każdym są tylko dwa łóżka, zaścielone pięknymi puszystymi pledami. Przyjrzałam się uważnie mojej uprzejmej przewodniczce i dostrzegłam ładny nowy dresik z zabawnym obrazkiem na piersi, porządne kapcie z pomponami,

kolorową frotkę, ściągającą świeżo umyte lśniące włosy, niezliczone naszyjniki i wisiorki. Dziewczynka żuła gumę. Ani trochę nie przypominała nieszczęsnej, głodnej sieroty.

- Dlaczego nie jesteś w szkole?

- Wczoraj zaczęłam kaszleć, dziadek kazał mi zostać w domu.

No, teraz wszystko jasne. Dziewczynka nie jest sierotą, tylko córką któregoś z pedagogów.

Podbiegłyśmy do drzwi z tabliczką „Proszę wejść” i moja przewodniczka otworzyła je:

- Dziadku, ktoś do ciebie.

Starszy, kompletnie łysy mężczyzna, spojrział surowo znad okularów.

- Dziękuję, Lenoczka, ale dlaczego biegasz po korytarzu? Mama wie, że nie leżysz w łóżku?

Lena pokręciła głową.

- Zmykaj szybko pod kołdrę, bo niedługo wróci tata i dopiero ci się dostanie! Lenoczkę jakby wymiotło.

- Czym mogę służyć? - zapytał dyrektor.

Otworzyłam usta, ale w tej samej chwili do gabinetu weszli dwaj chłopcy, na oko uczniowie jedenastej klasy.

- Dziadku - jęknął jeden - kompletnie nie wiemy, co robić...

- Żulka umarła - dorzucił drugi. - Jak mamy to powiedzieć dzieciarni, będzie rozpacz!

- Za chwilę, chłopcy, teraz mam gościa - powiedział surowo dyrektor.

Chłopcy wyszli, ale zanim zaczęliśmy rozmawiać do gabinetu wpadło pięciu zaaferowanych chłopaczków.

- Dziadku - przekrzykiwali się - zobacz, zreperowaliśmy, teraz nas puścisz?

Dyrektor zamachał rękami.

- Z tą sprawą idźcie do rodziców.

- Nie, dziadku - jęknęli chórem - ty im każ, ciebie posłuchają.

- Nie przeszkadzajcie dziadkowi - dobiegł głos z korytarza - nie widzicie, że ma gościa?

Chłopcy wybiegli. Dyrektor wstał, otworzył drzwi i obrócił tabliczkę; teraz widniał na niej napis: „Proszę nie wchodzić”.

- Przepraszam - uśmiechnął się.

- Ilu ma pan wnuków? - zapytałam zdumiona.
- Sześćdziesięcioro ośmioro - usłyszałam w odpowiedzi i aż się zachłysnęłam.
- Ilu?

Dyrektor się roześmiał.

- Kieruję internatem przez całe życie. Mogę śmiało powiedzieć, że nasz dom jest unikatowy, nie ma takiego drugiego. Inni tylko gardłują, że dzieciom należy stworzyć ludzkie warunki i żądają pieniędzy. My tu mieszkamy jak jedna rodzina. I każdy ma wyznaczoną rolę. Ja, dziadek, Siergiej Filippowicz, jestem najważniejszy, moje słowo jest święte. Mamy dwie babcie, mamę, tatę, wujków, ciocie... A dzieci są dla siebie braćmi i siostrami. Posiłki główne jemy o określonej godzinie, ale każdy może pójść w dowolnej porze do kuchni, żeby się napić kawy, herbaty czy kakao. W tygodniu dzieci kładą się spać i wstają o wyznaczonej porze, natomiast w dni wolne kto chce, może spać do południa. Książki są dla wszystkich, zabawki również. Starsze dziewczynki mają swoje kosmetyki, niektórzy chłopcy z ostatnich klas palą, ale obowiązuje umowa - wyłącznie w wyznaczonym miejscu. Żadnych wspólnych urodzin raz na miesiąc. Każde z dzieci dostaje prezent i życzenia w swoje urodziny.

- Jak wam się to udało?

Siergiej Filippowicz rozłożył ręce:

- Wspaniały zespół, ludzie pracują razem po trzydzieści, czterdzieści lat. A z nowo przybyłych utrzymują się tylko pokrewne dusze. Żli, zbyt surowi, po prostu odpadają, nie potrafią się odnaleźć w takim układzie.

- A skąd pieniądze? Teraz wszyscy płaczą, że na wszystko brakuje!

Dyrektor uśmiechnął się chytrze:

- Jesteśmy przecież rodziną i tak pozostaje, nawet gdy dzieci idą na swoje. Mamy wielu absolwentów, wszyscy pomagają. Jeden kupił telewizory, drugi przywiózł zabawki, trzeci - ziemniaki. Leczymy się u swojego lekarza, włosy strzyżemy u własnego fryzjera, remont przeprowadziliśmy własnymi siłami, a materiały dał Lonia, ma teraz duży sklep.

- Naprawdę wszyscy pomagają?
- Tak - odpowiedział z dumą. - Nie przypominam sobie ani jednego wyjątku.
- A Roszczyń?
- Żorka? Wspaniały umysł, niezwykle księgowy, ileż on nam sprawozdań sporządził, ileż udzielił znakomitych wskazówek, żeby można było ludziom płacić normalne pensje.

- Wie pan, że zginął?

Siergiej Filippowicz kiwnął głową.

- Straszna tragedia. Żona powiedziała, że palił papierosa w otwartym oknie i w głowie mu się zakreśliło. Młody, zdrowy, przystojny... Bardzo nas to poruszyło.

- Jak pan myśli, czy Żora był wierzący?

Dyrektor uniósł brwi.

- Kiedyś nie, zresztą, zresztą w minionych latach my wszyscy byliśmy ateistami. Dlaczego pani pyta?

Wyjęłam z kieszeni bordową legitymację ze złotymi literami MSW i odpowiedziałam:

- W okolicach Moskwy pojawiła się sekta „pątników”, którą kieruje oszust, zwyczajny złodziej. Osiedlili się w jednej z wiosek, adres jest ściśle tajemnicą. Dotarły do nas informacje, że Roszczyn był z nimi związany i jego śmierć nie jest przypadkowa. Pomyśleliśmy, że może ktoś od was coś będzie wiedział.

Siergiej Filippowicz zachmurzył się i zabębnił palcami po stole. Po chwili rzekł:

- Zaszło u nas pewne niemiłe wydarzenie, jedyne w całej historii domu. Dla mnie jest to jak wrzód, przypomnienie o mojej niekompetencji, a Gieorgij Roszczyn odegrał w niej główną rolę.

- Czy mogę prosić o szczegóły? - powiedziałam i poprawiłam się w miękkim, zadziwiająco wygodnym fotelu.

## Rozdział 18

Siergiej Filippowicz tak wszystko zorganizował, że dzieci trafiały do jego rodziny, gdy kończyły trzy lata. Teoretycznie dom dziecka mógł przyjmować dzieci w każdym wieku. Nowo przyjęte dwunasto-trzynastoletki to zjawisko normalne w innych sierocińcach, ale nie u Kostomarowa. On nie chciał burzyć unikatowej struktury. Maluch, przeniesiony jako trzylatek z domu małego dziecka, chętnie podejmował zabawę w „mamę i tatę”, natomiast wyrostek raczej by to odrzucił. Siergiej Filippowicz bardzo troszczył się o swój dom, dlatego robił wszystko, nawet ogłaszał kwarantanny, informując wydział oświaty, że w internacie panuje żółtaczka, zapalenie opon mózgowych i Bóg wie co jeszcze, byle tylko nie przyjmować starszych dzieci.

Później jego brat zrobił oszałamiającą karierę i został jednym z sekretarzy Moskiewskiego Komitetu Miejskiego Partii. Domowi dziecka z miejsca przyznano status jednostki eksperymentalnej, dyrektor otrzymał tytuł „Zasłużonego nauczyciela RSFRR”. Co więcej, instytucję przekazano pod egidę Instytutu Psychologii Dziecięcej, przestała więc podlegać Ministerstwu Oświaty. Siergiej Filippowicz odetchnął z ulgą - rodzinie nie zagrażało już żadne trzęsienie ziemi.

Raz jeden tylko zrobił wyjątek, i to dopiero po telefonie z Pietrowki.

- Zlituj się - dudnił w słuchawce głos generała, dobrego znajomego dyrektora - wiem, że nie bierzesz starszych dzieci, ale to szczególny przypadek. Wykryliśmy sektę, stwierdzono tam działalność przestępczą, wszyscy poszli do więzienia, a dzieciaki rozsyłamy po sierocińcach. Ale jest tam jeden chłopiec... Jednym słowem, chcę, abys wziął go do siebie.

- Ile ma lat?

- Trzyście.

- Za nic w świecie - zaprotestował zdecydowanie Siergiej Filippowicz.

Generał zaczął go prosić, wreszcie powiedział:

- Jeśli dobrze pamiętam, prosiłeś mnie o jakiś budynek dla twoich protegowanych. Otóż posłuchaj - bierzesz chłopca, dostajesz domek, w sam raz na siedemdziesiąt osób, likwidujemy tam kolonię karną.

Na takie dictum dyrektor się oczywiście zgodził, ale zapytał:

- A co ty się tak trzęsiesz nad tym dzieciakiem?

- To wilczek, nie dzieciak - westchnął generał. - Poza tobą nikt sobie z nim nie poradzi. W każdym innym domu dziecka podporządkuje sobie wszystkich, zaprzęgnie ich do własnego wozu, tylko u ciebie, mam nadzieję, będzie inaczej.

Siergiej Filippowicz poczuł wtedy wielki niepokój. Zaczął być jednak lepszej myśli, gdy Kola Szabanow przybył do domu.

- Kto? - zapytałam wstrząśnięta.

- Nikołaj Szabanow, całkiem niezły chłopak, zakwaterowaliśmy go razem z Żorą Roszczynem.

Kola nie wyróżniał się niczym szczególnym, poza tym, że jadł niewiele i nie wszystko, nie pomagały żadne namowy wychowawców. Odmawiał też zdecydowanie nazywania wychowawców mamą i tatą. Wolał zwracać się do nich oficjalnie, za nic nie chciał podjąć gry „w rodzinę”. Siergiej Filippowicz znalazł jednak sposób, żeby wytłumaczyć wnukom tę drażliwą sprawę. Powiedział:

- Koleńka przyszedł do nas z innego domu, przyjęliśmy go ciepło, jak powinno być w dobrych dużych rodzinach. Nie jest nasz rodzony, ale bardzo nam bliski.

I to były w zasadzie jedyne problemy z Kolą. Uczył się normalnie, przestrzegał porządku, wypełniał polecenia. Tyle że z nikim się nie przyjaźnił, jedynie z Żorą łączyło go coś na kształt koleżeństwa.

Natomiast Gieorgij od czasu, gdy zaczął dzielić pokój z Kolą, schudł, zrobił się bardziej zamknięty i jakoś dziwnie szarpał ramieniem.

Pewnego razu do Siergieja Filippowicza zadzwoniła znajoma dyrektorka innego domu dziecka i poprosiła:

- Czy mógłby pan zabronić Koli Szabanowowi odwiedzać siostrę? Po jego wizytach dziewczynka jest zawsze w złym stanie.

Wezwany Nikołaj wyjaśnił spokojnie:

- Jest jeszcze mała, gdy mnie widzi, przypomina się jej mama, płacze, chce do domu. Przecież nie mogę powiedzieć, co tak naprawdę stało się z matką.

Siergiej Filippowicz wiedział, że Raisa Szabanowa odsiaduje wyrok za zabójstwo męża, kiwnął głową, ale powiedział:

- Na razie tam nie chodź.

- Dobrze - zgodził się Kola skwapliwie.

Mijały tygodnie, miesiące, aż znów zdarzyła się przykra sprawa. Tym razem z Żorą.



- Cichego, dobrego chłopca przyłapano na tylnym podwórku w chwili, gdy podcinał gardło ulubieńcowi wszystkich, podwórzowemu psu Bimce.

Dzieci stłukły Żorkę i zaciągnęły do dziadka. Rozgniewany Siergiej Filippowicz zaczął wypytywać chłopaka, ale ten, trzęsąc się jak w gorączce, zemdłał. Pogotowie zabrało go do szpitala. Już w godzinę później z izby przyjęć zadzwonił lekarz z wrzaskiem:

- Oświadczam, że podleczę chłopaka i zrobię wszystko, żeby wsadzili pana do ciupy!

- Co się dzieje? - zbaraniał dyrektor.

- Tłuczecie tam dzieci prawie na śmierć i jeszcze się pan pyta!

Siergiej Filippowicz pognał do szpitala. Błady z wściekłości lekarz ściągnął z Żory prześcieradło, a wtedy dyrektor omal nie zemdłał. Prawie całe ciało chłopca pokrywały sińce, krwawe wybroczyny, blizny...

- Proszę - wysyczał pediatra - widzi pan? Nieszczęśnika bito sznurem, drutem, a tu są ślady po oparzeniu, ktoś gasił na nim papierosy...

- Chłopcze drogi, wnuczku mój, kto ci to zrobił?! - spytał drążącym głosem dyrektor.

Żora z trudem uchylił powieki.

- Boję się, Pan Bóg mnie ukarze.

- Powiedz - przekonywał Siergiej Filippowicz. - Mnie możesz, przecież jestem twoim rodzonym dziadkiem.

Twarz chłopca jakby się zapadła, po policzkach pociekły mu łzy. Wykrztusił:

- Boży syn.

- Kto? - zawołali równocześnie dyrektor i lekarz.

- Nikołaj - z trudem wybełkotał Żora i znów stracił przytomność.

Gniew dyrektora był straszny. Tego samego dnia wezwał milicję i Szabanowa aresztowano. Właśnie skończył czternaście lat i według prawa mógł odpowiadać za swoje czyny.

Odbył się proces, w charakterze świadka wystąpił Żora, który już wyzdrowiał.

Niemal szeptem opowiedział o tym, jak Nikołaj bił go i dręczył, mówiąc, że tak samo cierpiał za wiarę Jezus Chrystus. Ze łzami w oczach mówił o różnych draństwach, jakie musiał robić, by umocnić się w wierze. Śmierć nieszczęsnego pieska nie była jego jedynym wyczynem. Miał na sumieniu chomiki i kotkę Fimę, która zniknęła bez śladu.

- Dlaczego go słuchałeś? - zapytała jedna z ławniczek.

- Nie wiem - rozpląkał się Roszczyn. - Tak na mnie patrzył, jakby popychał mnie oczami, i choć nie chciałem, to robiłem.

Siedzący na ławie oskarżonych Nikołaj uśmiechnął się krzywo i splunął na podłogę.

- Proszę zachowywać się przyzwoicie - upomniała go sędzia.

- Wlepić draniowi, co mu się należy - nie wytrzymał drugi ławnik, w mundurze wojskowym.

Ale sędzina zdecydowanie przywróciła porządek.

- Naszym obowiązkiem jest przestrzeganie prawa - warknęła. - Dlatego musimy należycie rozpatrzyć tę niecodzienną sprawę.

Proces trwał długo, przeprowadzono dodatkowe śledztwo, wzywano na świadka nawet Raisę. Ale dowieziona pod strażą do sądu matka wymamrotała jedynie, że „Kola jest dobry, nikogo nie skrzywdzi”.

Siergiej Filippowicz zauważył, że na widok matki twarz oskarżonego łagodnieje, a wzrok staje się cieplejszy.

„Chwała Bogu - pomyślał - jeszcze nie całkiem stracony, kocha matkę”.

Czternastego października ogłoszono wyrok. Sędzina długo czytała kartkę, wreszcie ogłosiła: „Pięć lat i specjalna szkoła zawodowa”.

Nagle Żora Roszczyn się rozpląkał. Nikołaj spojrział na niego i okrutnym uśmiechem rzucił:

- Nie przejmuj się, niedługo wrócę po ciebie, spójrz mi w oczy!

Żora spojrział w twarz swojego prześladowcy, zaszlochał i upadł na podłogę. W sali zahuczało.

- Straż! - krzyknęła zdenerwowana sędzina. - Wyprowadzić oskarżonego.

- Mało dostał drań! - wrzasnęła ławniczka.

- Trzeba było dać surowszy wyrok - wtórował ławnik - wojskowy.

- Dość tego - warknęła na nich sędzina. - Chcielibyście chłopaka zetrzeć z powierzchni ziemi, a wiecie, w jakich warunkach się chował? Na dobrą sprawę należałoby go umieścić w jakiejś dobrej rodzinie, a nie w szkole specjalnej.

- Takie jak pani - wrzasnął wojskowy - tylko pomagają przestępcom!

- Już dawno zauważyliśmy pani szczególną lojalność wobec tego typu osobników - wysyczała ławniczka.

Sala ucichła, słuchając tej pyskówki. Sędzina odwróciła się spokojnie i

ruszyła do wyjścia. Szabanow, którego konwojenci prowadzili do wyjścia, nagle głośno i groźnie powiedział:

- Wszystkim będzie odpłacone wedle ich czynów, a szczególnie za mnie.

Żora Roszczyn, który zdążył się już pozbierać, znów zemdłał.

- Panią, Anno Pierfiljewno - ciągnął Nikołaj - ominie gniew Boży, a za dobroć będzie nagroda.

Sędzina drgnęła i szybko wyszła na zaplecze. Georgija Roszczyna wyniesiono na rękach do samochodu, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Przez cały następny rok leczył się u neuropatologa.

- Czy Szabanow już nigdy potem nie pojawił się w domu dziecka? - zapytałam.

- Nigdy. - Siergiej Filippowicz potrząsnął głową. - A ja nie uważam go za swojego wychowanka.

Na dworze było piękne słońce. Zima wreszcie się poddawała, wiosna przejęła od niej pałeczkę i teraz bardzo się starała, zalewając Moskwę jaskrawym, ciepłym blaskiem.

Znaczy, że Nikołaj Szabanow został skazany „za wiarę”. Trudno wymyślić lepszy podarunek dla fanatyka religijnego. Aureola męczennika dodaje podobnym ludziom siły. Ciekawe, czy w więzieniu też próbował „nawracać”? Przywódca „pątników” ma na imię Nikołaj, a Ludmiła Szabanowa jest członkinią sekty. Nasuwało się tylko jedno wytłumaczenie. Po wyjściu na wolność brat w jakiś sposób odszukał siostrę i podporządkował ją sobie. Ale dzięki Siergiejowi Filippowiczowi wiem teraz, gdzie mam szukać adresu Nikołaja. Najprawdopodobniej jest u Raisy, syn i matka z pewnością utrzymują kontakt.

Nie zatrzymując się dłużej w mieście, pomknęłam prosto do Łożkina. Ponury śledczy Nikołaj Wasiljewicz jest jedyną osobą, która może mi pomóc.

Kapitan nie był sam. Naprzeciw niego przycupnął na skraju krzesła młody człowiek, właściwie chłopiec. Jego twarz zdobiły liczne siniaki i zadrapania.

Na mój widok śledczy rozpląnął się w uśmiechu, a do chłopca powiedział:

- Zmykaj i wyciągnij wnioski.

Chłopak wypadł za drzwi.

- Zajmuje się pan wychowywaniem dzieci pokolenia pepsi - uśmiechnęłam się. - A co na to izba dziecka?

Nikołaj Wasiljewicz prychnął.

- To nasz pracownik operacyjny.

- Taki młody?

- Już wojsko odsłużył, nicpoń.

- Dlaczego nicpoń?

Kapitan się roześmiał, wyjął marlboro.

- Niech pani sam oceni.

Dziś rano młodzik miał doprowadzić przestępcę na wizję lokalną. Złodziej okradł mieszkanie, a właścicielkę związał i zamknął w łazience. Należało go doprowadzić na miejsce przestępstwa, żeby odtworzył zdarzenia tamtego dnia.

Poprzedniego wieczoru młody milicjant nieźle zabalował na weselu przyjaciela, jadł, tańczył i naturalnie pił, a ściślej mówiąc, zdecydowanie przesadził z piciem. Rano zasnął, ocknął się o pół do dziewiątej i nieogolony, nieuczesany, w zmiętym swetrze i brudnych dżinsach pognął do pracy.

Podejrzanego przywieziono z aresztu jak na złość gładko wygolonego, w stonowanym garniturze, w krawacie. Pachniał wodą kolońską, wyżelowana fryzura lśniła.

Milicjant spał się z nim kajdankami i stękając z bólu głowy, zionąc odorem alkoholu, wszedł do okradzionego mieszkania.

I tu zdarzyła się rzecz nieprzewidziana. Z krzykiem „Ty łobuzie, draniu!” właścicielka lokalu rzuciła się z pięściami na... milicjanta. Złodziej pękał ze śmiechu, patrząc, jak rozwścieczona baba łomocze milicjanta po twarzy, wrzeszcząc z furią: „Zapamiętasz sobie, draniu, co to znaczy okradać uczciwych ludzi!”. Konwojenci z trudem oderwali ją od milicjanta. Gdy zrozumiała swoją pomyłkę, zaczęła przeproszać, ale wizja lokalna już się nie odbyła.

- Młody jeszcze - westchnął Nikołaj Wasiljewicz. - Dlatego nie rozumie, że dla podejrzanego wyjazd z aresztu jest bardzo ważny. W celi dadzą mu i garniturek, i wodę kolońską, nawet chusteczkę do nosa, żeby się dobrze prezentował. A czym mogę pani służyć, Dano Iwanowno?

- Nikołaju Wasiljewiczu, czy pan może zażądać, by udostępniono panu materiały z archiwum?

- Z jakiego okresu i kto się zajmował sprawą?

- Roku nie znam, sędzina nazywała się Anna Pierfiljewna.

- O-o! - ożywił się. - Sokołowa!

- Zna ją pan?

- A kto jej nie zna? Litrami wysysała krew ze swoich współpracowników. Niepotrzebni jej byli adwokaci, sprawy rozpracowywała sama, najdrobniejsze uchybienie wychwytywała natychmiast. Nasi nieraz od niej obrywali. Przy każdej okazji deklamowała: „Jesteśmy tu, by przestrzegać prawa”, i bach! - odsyłała sprawę do dopracowania. Zwierzchnicy na wszystkich odprawach apelowali: „Przygotowujcie materiały tak, żeby Sokołowa nie mogła się przyczepić”. Ja miałem z nią do czynienia, gdy pracowała już w sądzie miejskim. Wredna baba. Gdy znalazła choć najmniejszy powód, by zwolnić oskarżonego, natychmiast wypuszczała. I nie było na nią mocnych, nikogo się nie bała. Teraz jakoś nie spotykam takich sędziów.

- Dlaczego mówi pan o niej w czasie przeszłym?

- Odeszła na emeryturę, wykłada teraz w jakimś college’u prawniczym, stara już jest, ale umysł jasny, pamięć świetna, pamięta rozprawy! Niech pani z nią najpierw pogada. Tylko co chce pani wiedzieć?

- Podjęłam pracę w gazecie, naczelny kazał mi pogrzebać w materiałach procesu sprzed lat, sądzono wtedy członka sekty...

- A - uspokoił się kapitan. - Pewnie, niech pani pisze, ludzie lubią czytać o takich sprawach...

Dostałam adres college’u, gdzie zatrudniona była „żelazna” Sokołowa, i wróciłam do domu.

W holu stała smętnie mała skórzana walizka. Arkaszka wrócił z Indii. Poszłam do jego pokoju.

- Jak podróż?

- Dobrze - odparł niemrawo.

Leżał w łóżku.

Zaniepokoiłam się. Zasłony były zaciągnięte, światło zgaszone. Twarz miał poczerwieniałą, oczy błyszczały mu gorączkowo.

- Jesteś chory!

Termometr po minucie wskazywał równo czterdzieści stopni. Nagle Kieszę chwyciły torsje. Przeraziłam się i wezwałam pogotowie.

Młodziutka lekarka, niewiele wyższa od Marusi, weszła do pokoju i od razu poleciła:

- Proszę odsłonić okno!

W świetle gasnącego dnia dostrzegłyśmy, że czoło i policzki Arkaszki pokrywają obrzydliwe krosty.

Pojawiły się nagle, dosłownie w ciągu dziesięciu minut. Lekarka niepewnie obejrzała chorego i powiedziała:

- Jestem w kłopotcie, zaraz wezwę kogoś z większym doświadczeniem.

Pół godziny później zjawiła się dama około pięćdziesiątki, o zmęczonej twarzy. Popatrzyła na półprzytomnego Kieszę i wymruczała:

- Do licha, co to za paskudztwo?

Jej spojrzenie padło na bilet Aeroflotu, leżący na stoliku, i zapytała:

- Skąd chory wrócił?

- Z Indii.

Lekarka wypadła za drzwi jak oparzona, złapała telefon i wrzasnęła do słuchawki:

- Osiemnastka, natychmiast do mnie, alarm numer dwa.

Patrzyłam na nią osłupiała.

- Z kim chory się kontaktował? - zaatakowała mnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Z nikim, jego żona jest w pracy, siostra choruje, dzieci z nianią na wczasach.

Wysłaliśmy dzieci z Serafimą Iwanowną, gdy zachorowała Mania, żeby nie narażać ich na infekcję.

- Kto jest jeszcze w domu?

- Gosposia i kucharka.

W tym momencie z przeraźliwym wyciem wpadły na podwórko dwa auta. Wysypała się z nich gromada cudacznie ubranych ludzi. Okutani w brezentowe kombinezony, na nogach mieli coś w rodzaju botków, na twarzach gumowe kaski, wielkie okulary i respiratory. Czterech niosło butle z rozpylaczami, trzech trzymało nosze.

- Gdzie? - spytał jeden z nich.

- Pierwsze piętro - odpowiedziała lekarka.

Sanitariusze, łomocząc noszami, popędzili na górę, przeskakując po kilka stopni. Pozostali zaczęli skrupulatnie spryskiwać hol cuchnącą cieczą.

- Co robicie? - zdenerwowałam się.

Ale nikt nie odpowiedział. Brygada pracowała szybko, sprawnie, metodycznie. Nie minęły dwie minuty, gdy pojawili się ci z noszami. Skamieniałam.

Kieszę wpakowano do dużego czarnego worka, niczym zwłoki. Jedyne twarz miał odsłoniętą, ale za to w masce, okularach i z respiratorem.

- Co to znaczy? - wybełkotałam.
- Proszę się zbierać - polecił władczy głos.
- Dokąd?
- Pojedzie pani z nami.

Z kuchni wyszły kompletnie osłupiałe Irina i Katierina.

- Po co? - zapytałam oszołomiona.
- Alarm numer dwa - zadudnił głos.

Z powodu tych idiotycznych ubiorów nie wiadomo było, czy mówi do mnie kobieta, czy mężczyzna.

- Na krok się nie ruszę - oświadczyłam twardo, sadowiąc się w fotelu - dopóki mi nie wyjaśnicie, co się dzieje.

- Alarm numer dwa! - powtórzyła z naciskiem istota niewiadomej płci.
- Pani syn przywiózł z Indii czarną ospę - wyjaśnił jeden z lekarzy. -

Wszystkich, którzy mieli z nim kontakt, musimy izolować.

Poczułam lekkie stukanie młoteczków w skroniach. Irka zapiszczała.

- Jak to czarną ospę? - wyjąkałam. - Skąd?
- Czy szczepił się przez odlotem do Delhi?
- Nie.

- No to czego się pani spodziewała? - syczał zza maski lekarz. - W Indiach nieustannie odradza się ta choroba. To bardzo nieodpowiedzialne, żeby przed wyjazdem do takiego kraju się nie zaszczepić.

Wepchnęli nas do auta. Kieszka już wcześniej odjechał innym.

- Ale w pokoju na górze leży chora dziewczynka, poza tym mieszkają u nas goście.

Lekarz starannie zamknął drzwi i odrzekł:

- W domu zostanie posterunek epidemiologiczny, wszystkich, którzy się pojawiają, umieści w izolatkach.

- A co będzie z nami? - zaciekawiała się Katierina.

Pytanie zawisło w próżni.

Nieśmiało pociągnęłam lekarza za rękaw.

- Skoro czarna ospa to alarm numer dwa, jaka choroba jest numerem pierwszym?

- Dżuma - odrzekł krótko.

## Rozdział 19

Chyba stres rzucił mi się na wzrok i pamięć, bo kompletnie nie pamiętam, jak i dokąd nas wieziono. Ochłonełam dopiero w małym, nędznie umeblowanym pokoiku: żelazne łóżko, żelazne krzesło i nocna szafka, jakiś przedpotopowy sejf bez drzwiczek. W pokoju, niczym w celi więziennej, znajdował się też obrzydliwy, ale nieskazitelnie czysty sedes bez rezerwuaru. Z szumem spływała w nim woda. Przy ścianie była nieduża umywalka.

Ale najbardziej zdumiały mnie drzwi. Przymocowano do nich jakąś dziwną skrzynkę. Kompletnie oszołomiona, rzuciłam się na łóżko i odruchowo pomacałam prześcieradło - papierowe.

Mijały minuty, potem godziny. Nikt do mnie nie zaglądał. Punktualnie o siódmej za drzwiami rozległ się stukot. Uchyliło się okienko w drzwiach, wysunęły się dwie ręce w gumowych rękawiczkach, trzymające tekturowy talerzyk i plastikową łyżkę.

- Kolacja - rozległ się ponury głos.

Wzięłam talerz - kasza, kawałek chleba i jakieś dwadzieścia gramów masła.

Skrzynka znowu się otworzyła i te same ręce podały mi jednorazowy kubek z ciepłąwą ciecżą.

Nie czułam głodu. Pogmerałam w kaszy i nie spróbowałam nawet „herbaty”, położyłam się i usiłowałam zasnąć.

Ale gdzie tam. Skrzynka znowu się otworzyła.

- Naczynia.

- Proszę wezwać lekarza - powiedziałam, oddając talerz, kubek i misę.

Żadnej reakcji. Nagle z korytarza doleciał ostry, wściekły głos:

- Kit wam w ucho, popaprańcy.

Aha, czyli Aliskę też tu zapuszkowali i teraz usiłuje na wszelkie sposoby wyrazić swoją wściekłość. „Karmnik” się zamknął, znowu zrobiło się cicho. Ułożyłam głowę na twardej, przesiąkniętej odorem jakiegoś lekarstwa poduszce. Ubranie mi odebrano, w zamian dostałam koszulę nocną z absurdalnie wielkim dekoltem. Trzęsłam się z zimna.

Wreszcie trochę się rozgrzałam i spróbowałam zasnąć, nie myśląc o jutrze. Czarna ospa! Pamiętam, byłam dzieckiem, gdy we wczesnych latach sześćdziesiątych



pewien moskiewski artysta po pobycie w Indiach przywłókł tę straszną zarazę. On i jego rodzina podobno zmarli, mieszkanie wypalono w środku, drzwi wejściowe zabito deskami nasączonymi jakimś środkiem, sąsiedzi z tej samej klatki musieli opuścić dom, w szkołach czym prędzej przeprowadzono szczepienia dzieci. Chryste, a nasze zwierzaki! Zostały same, biedaki, i pewnie głodne.

Otworzyły się drzwi. Na progu stanął przyjaźnie uśmiechnięty mężczyzna. Rzuciłam się w jego stronę, podtrzymując spadającą z ramienia koszulę.

- Co z Kieszą?

- Wszystko w najlepszym porządku - obwieścił. - Pani syn ma ospę wietrzną.

- Ospę wietrzną?

- Właśnie - promieniał lekarz. - Już zaraz zwalniamy was wszystkich do domu.

Zerknęłam na zegarek, minęła akurat północ.

- Teraz, zaraz!

- Właściwie możemy panią jeszcze zatrzymać. - Błysnął białozębym uśmiechem. - I wypisać jutro. Ale na pani miejscu zmykałbym z oddziału zakaźnego jak najszybciej.

W tym momencie nareszcie do mnie dotarło. Ospa wietrzna! Nikt nie umrze! Jak najszybciej do Łóżkina!

- Jak mogliście nam to zrobić? - Rzuciłam się na lekarza z pięściami. - To się w głowie nie mieści. Pomylić z czarną ospą!

- Spokojnie, spokojnie - zamruczał eskulap, cofając się za drzwi. - Pani syna tak obsypało, że skrawka wolnej skóry nie ma ani na twarzy, ani na ciele. Przy tym przyjechał z Indii, lekarze nie rozpoznali choroby od razu. Lepiej przesadzić niż zlekceważyć.

Człapiąc kapciami, pognałam do drzwi z tabliczką „Wypisy”.

- Musia! - wrzasnęła Marusia.

Powiodłam wzrokiem po obecnych w pokoju: Olga, Mania, Irka, Katierina, Fila, Aliska. Wszyscy w okropnych koszulach.

- Pieprzone przygłupy - szalą baletnica. - Jutro dostaną za swoje. Fila, naślij na nich prawdziwą dżumę!

Salowa przyciągnęła ogromny wór.

- Proszę się ubierać.

Olga dźgnęła palcem worek.

- Co to?

Salowa spuściła oczy.

- Rzeczy państwa były dezynfekowane.

Krzywiąc się, Kicia wsunęła szczupłą rękę do środka i wyciągnęła jakieś paskudne spodnie - szare, z ciemnymi zaciekami i plamami. Następny był mały sweterek, do złudzenia przypominający zdechłą mysz.

- Boże - jęknęła Kicia - my nic takiego nie mieliśmy!

Ale ja dostrzegłam broszkę w kształcie złotej gałązki i burknęłam:

- To moje.

- W czasie dezynfekcji odzież blaknie i może się skurczyć - zaczęła się tłumaczyć Salowa. - To nie moja wina, robię, co do mnie należy.

W milczeniu grzebaliśmy w worku, wybierając swoje rzeczy. Wreszcie wszyscy się ubrali. Spojrzałam i parsknęłam śmiechem. Aliska w zmiętej sukience w kolorze skisłego kefiru. Kicia w spodniach, które zmieniły się w bermudy i w bluzce w szaro-buro-zieloną kratkę. Mani ze sweterka wystawały gołe do łokci ręce, a dzinsy, teraz już nie niebieskie, tylko zielonkawe, nie dopinały się. Fila nie zdołał się wbić w swój T-shirt, który nadawał się teraz najwyżej dla Barbie. A wszystkie buty były pomarszczone, bez obcasów i sznurowadeł.

- Ubraliście się państwo? - zapytał wesoło lekarz, który właśnie wszedł. - Wspaniale, teraz idźcie alejką do bramy, tam złapiecie taksówkę.

Zatkało nas wszystkich, nawet Aliskę.

- No już, ruszajcie - poganiał lekarz. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Co z Kieszą? - zawołała Mania.

- Wszystko jak najlepiej - entuzjasmował się lekarz. - Przenieśliśmy go na oddział dziecięcy, do sali z ospą wietrzną. Jutro poczuje się lepiej.

Dosłownie wypchnął wszystkich na dwór. Natychmiast dopadło nas przenikliwie zimno. Szczękając zębami, wypadliśmy na ulicę i zaczęliśmy machać rękami. Ale żaden samochód ani myślał się zatrzymać.

- Ja też bym za nic nie wzięła gromady meneli - skonstatowała Kicia.

- A mamy pieniądze? - zaciekał się Fila. - Bo ja, na przykład, nie mam ani kopiejki.

- To niech pan szybko wyczaruje - nie wytrzymałam.

Fila poczerwieniał.

- Dość tych sprzeczek - skarciła mnie łagodnie Aliska i wyciągnęła

zmiętoszoną torebkę. - Ja mam sto dolców.

Ale papierek, który wyjęła, był dziewiczo czysty. Dezynfekcja zamieniła banknot studolarowy w zwykły świstek.

W tym momencie z bramy wyjechał samochód do przewożenia zwłok.

Zahamował, a prowadząca go kobieta zapytała:

- Wypisali was z zakaźnego?

- Tak - zawołaliśmy jedno przez drugie. - Niech nas pani podwiezie do domu.

- Wsiadajcie.

W jednej chwili znaleźliśmy się w środku.

- Pojazd w sam raz dla nas - prychnęła Olga. - Poprosimy, żeby poczekała przed domem, skoczmy po pieniądze i jej zapłacimy.

- Proszę - odezwała się cicho Irka, wyciągnąwszy z kieszeni zmięty, lecz ani trochę nieuszkodzony banknot pięćsetrublowy. - Daria Iwanowna dała mi rano na środki czyszczące, ale nie zdążyłam kupić.

- Coś takiego - zachwyciła się Aliska, oglądając banknot. - A oni mówią, że ich dolar to pieniądz. Przecież przy naszych to zwykle gówna! Rubelków żadna dezynfekcja nie weźmie!

Rano, zszedłszy do jadalni, zaczęłam z Kicią oceniać szkody. Wszystkie ściany w zaciekach, meble i dywany się kleją. Ale najgorzej wyglądały zwierzęta. Pudliczka zamieniła się w dużą lepka kulę, mops nieustannie kichał i kasłał. Snap, na oko całkiem normalny, leżał jak placek pod krzesłem, Bundy miał torsje, a terierka o szarozłocistej sierści teraz do złudzenia przypominała mokrego kota. W co natomiast zamieniły się nasze koty, na razie nie wiedziałam. Kleopatra i Fifina gdzieś przepadły.

Musieliśmy wezwać i weterynarza, i psiego fryzjera. Zbliżała się dwunasta, ale żaden z nich się nie pojawił.

Widząc, że co chwila zerkam na zegarek, Fila zwrócił się do mnie:

- Niech pani jedzie załatwić swoje sprawy, zajmę się zwierzakami.

Zawahałam się na sekundę. Kicia pojechała do Kieszy, Aliska ma próbę, Maria w szkole...

- A pan się nigdzie nie wybiera?

Pokręcił głową.

- Nie mam nic do roboty aż do piątku

Uśmiechnęłam się mimo woli. No proszę, czytał *Kubusia Puchatka*.

Filipp roześmiał się głośno:

- Przerabiałem też *Królewnę Śnieżkę*, *Pinokia* i *Czerwonego Kapturka*

Nagle zrobiło mi się lekko na duszy, nogi samo poniosły n i nie do drzwi, zupełnie jakby wyrosły mi skrzydła u ramion. Nic miałam pojęcia, skąd ta nagła euforia, w każdym razie zawołałam już w drzwiach:

- Dziękuję, Fileczka, postaram się wrócić jak najprędzej.

- W porządku - powiedział szaman, wciąż się śmiejąc. - I niech Lumo pani nie opuszcza.

- Kto? - Zdziwiona zatrzymałam się już w drzwiach.

- Lumo, duch zsyłający siły witalne i dobry nastrój. Poprosiłem go, by czuwał dziś nad panią.

Nie wiem, czy to istotnie za przyczyną Lumo, w każdym razie do bulwaru Griszajewskiego, gdzie znajduje się college, dotarłam w ciągu dwudziestu minut. Światła życzliwie świeciły na zielono, milicjanci z drogówki się uśmiechali, świeciło słońce, a radio nadawało same energetyzujące melodie.

W dziekanacie ładna dziewczyna poinformowała mnie uprzejmie:

- Anna Pierfiljewna jest na wydziale, pokój numer dwieście osiem. Ale jeżeli chce pani przelożyć termin oddania pracy semestralnej, to lepiej się nie trudzić, ona nigdy się na to nie zgadza, jest okropnie pryncypialna.

Wciąż w radosnym nastroju wbiegłam na pierwsze piętro. Mówią wprawdzie, że świetnie wyglądam, ale już dawno nikt nie wziął mnie za studentkę. Niby głupstwo, a przyjemne.

Drzwi do pokoju dwieście osiem były otwarte.

Zajrzałam do środka i zapytałam głośno:

- Czy mogę rozmawiać z Anną Pierfiljewna?

Zza szafy, przedzielającej pokój na połowy, dobiegł wysoki, bynajmniej nie starczy głos:

- Proszę tutaj.

Przy biurku siedziała kobieta o wyglądzie jak z lat sześćdziesiątych. Staranna fryzura - natapirowana trwała - tak wyglądały moje nauczycielki. Kostium też miała, jak kiedyś one, z dżerseju, jasnowisniowy z beżową lamówką. To był krzyk mody początku lat sześćdziesiątych.

Okrągłą i spokojną twarz z perkatym nosem ozdabiały pospolite okulary w plastikowej oprawie. Oczy zza szkieł patrzyły uważnie, by nie powiedzieć - surowo.

Najbardziej pasowało do niej określenie „surowa, ale sprawiedliwa”.

- Proszę usiąść - powiedziała uprzejmie.

Mimo podeszłego wieku nie można jej było w żadnym razie nazwać staruszką czy babcią. Nie zdziwiłabym się, gdyby określano ją mianem „dama”.

- Słucham, o co chodzi?

Takiej nie uda się podsunąć pod nos lipnej okładki z napisanym koślawo „MSW” ani udawać dziennikarki, bo z pewnością zażąda legitymacji prasowej. Tu trzeba zagrać inną rolę.

Wyjęłam z torebki chusteczkę, przytknęłam ją do suchych oczu i postarałam się wyglądać na kompletną idiotkę. Mój brat Nikołaj Szabanow został skazany przez sędzinę Sokołową na pięć lat. Ja wychowywałam się w domu dziecka i nigdy się z nim nie widziałam. Teraz postanowiłam go odnaleźć, ale okazało się, że to nie takie proste. Nie mam żadnych na niego namiarów. Adres może znać nasza mama, Raisa Szabanowa, ale ona też wcale się ze mną nie kontaktuje, nawet nie wiem, czy żyje. Nie pamiętam imienia dziadka, brat miał innego ojca, jego imienia też nie znam. Może ona pamięta, w którym roku odbywała się ta rozprawa? Ostatnią dla mnie szansą na odnalezienie krewnych jest dotarcie do milicyjnych akt, bo biuro adresowe udziela informacji tylko wtedy, gdy podaje się wszystkie dane z dowodu.

Sokołowa słuchała, nie przerywając, z kamienną twarzą. Znać było po niej wieloletnią praktykę sędziowską. Wreszcie zapytała:

- Pani ma imię Luba, czy tak?

- Nie, Ludmiła.

- Ach tak, pomyliłam się, ale pamiętam, że pani jest młodsza od Koli, tymczasem pani ma około czterdziestki...

A żmija, odgadła na pierwszy rzut oka.

- Nie skąd - obruszyłam się - po prostu tak źle wyglądam, dużo chorowałam.

Sokołowa wyciągnęła z kieszeni kompletnie niepasującą do takiej damy paczkę „Sobrania” i wyjąwszy zieloną cygaretkę, powiedziała:

- Doskonale pamiętam tę sprawę. Dziwna historia i niezrozumiałe potem zachowanie matki. A pani brat ma niezwykle zdolności mediumiczne, uratował mnie od śmierci. Choć wtedy, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku, nikt nie słyszał o jakichś tam bioterapeutach, ja też nie wierzyłam, a jednak.

- Ma pani adres Koleńki?! Proszę mi dać.

Sokołowa pokręciła głową:

- Kola zniknął z mojego życia. Dziwna, wręcz mistyczna historia.

Zaczęłam rozpaczliwie szlochać, chwyciłam się za serce.

- Proszę, niech mi pani opowie, nic nie wiem ani o bracie, ani o matce, błagam panią.

Anna Pierfiliewna dopaliła w milczeniu papierosa i westchnęła.

- W zasadzie nie ma w tym żadnej tajemnicy. Ale pani nie jest do niego podobna, on był ciemnowłosy, ciemnooki, smagły.

- No cóż - wzruszyłam ramionami - tak się zdarza.

- Zdarza się - zgodziła się ze mną. - A więc, jeśli moja opowieść pani pomoże...

Wstąpiła na prawo, idąc za głosem serca, i zawsze marzyła, by zostać sędzią. Nie adwokatem, nie prokuratorem, ale właśnie sędzią - sprawiedliwym, lecz bezlitosnym dla przestępców.

Przez całe swoje życie zawodowe Sokołowa nigdy nie skusiła się łapówką, choć początkowo miała ku temu wiele okazji. Nigdy nie szła na kompromis, nie zwracała uwagi na żadne telefony „z góry”.

Dla sędzi Sokołowej ważna była wyłącznie obiektywna prawda. Każdą sprawę rozpoznawała jak najdokładniej. To żadna tajemnica, że niektórzy sędzy Temidy zaglądną do teczek z dokumentami po raz pierwszy dopiero na rozprawie. Anna Pierfiljewa studiowała dokumenty skrupulatnie, wnikliwie, wszelkie wątpliwości tłumacząc na korzyść oskarżonych.

Pod jej surową angielską bluzką biło dobre serce. Żal jej było wszystkich, którzy zetknęli się z machiną sądową: i ofiar, i oskarżonych, i rodzin. Jeśli miała cień wątpliwości, próbowała nie pogrążyć tego, któremu powinięła się noga. Ale grubo by się mylił ten, kto by sądził, że dobra sędzina spojrzy przez palce na naruszenie prawa. Jeśli bezsprzecznie udowodniono winę, Annie Pierfiljewnie nawet głos nie drgnął, gdy czytała wyrok.

Sprawa Szabanowa okazała się wyjątkowa. Na pierwszy rzut oka - nic szczególnego. Jeden wyrostek pobił drugiego, ale już na drugi rzut... Temu, który bił, przyświecał, według niego, zbożny cel - nawracał przyjaciela na drogę prawdziwej wiary. W 1978 roku Związek Radziecki składał się niemal całkowicie z ateistów. O żadnych „Białych Braciach”, „Sekcie Aum” i scjentologach nikomu ani się nie śniło. Wszelkie sekty były surowo zakazane, zresztą nawet do cerkwi prawosławnej chadzano chyłkiem. A tu nagle chłopak żarliwie wierzący, który ani myśli się pokajać

i niczego się nie boi.

Anna Pierfiljewna nie omieszkła sprawdzić wszelkich szczegółów z dzieciństwa chłopaka i dowiedziała się, że matka, Raisa Szabanowna, po zabiciu męża - członka sekty, odsiaduje karę w obozie. Sędzina poleciła dowieźć ją na rozprawę. Szczerze mówiąc, liczyła na to, że wydobędzie od niej jakieś zeznania, które pozwolą z oskarżonego zrobić ofiarę. Ale Raisa nie spełniła tych oczekiwań. Ze wzrokiem wbitym w podłogę powtarzała monotonię:

- On jest dobry, lubi zwierzęta.

A później w ogóle przestała odpowiadać na pytania, tłumacząc się stanem zdrowia.

Anna Pierfiljewna musiała jeszcze wytrzymać starcie z ławnikami - lekarką i wojskowym. Zawsze ochoczo zgadzali się z orzeczeniem sędziny, a tym razem stanęli okoniem: dla takich wyrodków nie ma miejsca w Związku Radzieckim.

- Trzeba wydusić tę zarazę jak karaluchy - sierdziła się lekarka. - On stanowi zagrożenie publiczne, jest gorszy niż morderca.

- Racja - wtórował wojskowy. - Morderca unicestwia ciało, a ten drań - duszę. A jeśli pani dziecko dostałoby się pod wpływ takiego? Co wtedy zrobicie, towarzyszeko Sokołowa?

Anna Pierfiljewna westchnęła. Nie miała rodziny.

Proces zakończył się drobną awanturą.

Minęły lata, Anna Pierfiljewna prawie zapomniała o niezwykłym oskarżonym. W pewien zimny grudniowy wieczór, otulona w ciepły szlafrok, piła herbatę. Ostatnio często miała dreszcze, była nawet u lekarza, ale nie stwierdzono u niej żadnej konkretnej choroby. Zegarek wskazywał prawie dziewiątą. Sokołowa włączyła telewizor, żeby obejrzeć wiadomości, gdy rozległ się dzwonek.

Zdziwiona, popatrzyła przez wizjer. Ładny, ciemnowłosy chłopak trzymał w rękach pudełko z tortem. To był Nikołaj.

- No i jestem - powiedział, przeciskając się energicznie do wąskiego przedpokoju. - Nie pamięta mnie pani? Jestem Szabanow.

- Czego pan chce? - zapytała cicho Anna Pierfiljewna.

- Jestem już wolny, postanowiłem wstąpić, żeby pani podziękować.

Sokołowa poczuła nagle dziwną słabość w nogach, jej usta wbrew woli wymówiły:

- Proszę wejść.

Nikołaj wszedł do kuchni, rozpakował tort i rzekł:

- Jest pani jedyną osobą w moim życiu, która się nade mną użaliła.

- Wypełniałam po prostu swój obowiązek, nie ma o czym mówić.

Pili herbatę. Nikołaj opowiedział, że w obozowej zawodówce najpierw uzyskał zawód stolarza, a potem spodobał się tamtejszemu lekarzowi, który skierował go na kurs pielęgniarstwa. Teraz ma skończoną szkołę, może podjąć pracę w szpitalu.

- A gdzie pan będzie mieszkał?

Kola wzruszył ramionami.

- Chwilowo zatrzymałem się u przyjaciela, a potem może dzięki pani odzyskam mamę. Pisałem do niej wielokrotnie, ale ani razu mi nie odpowiedziała.

Anna Pierfiljewna obiecała, że postara się coś zrobić. Nikołaj zaczął się żegnać i już w przedpokoju, wkładając zbyt lekką jak na tę porę roku kurteczkę, powiedział nagle:

- Anno Pierfiljewno, czy wie pani, czemu doktor zwrócił na mnie uwagę? Z powodu mojego oka. Ja u człowieka przez ubranie rozpoznam chorobę, jak rentgen. Tylko proszę nie pytać, skąd to się bierze, bo sam nie wiem. Po prostu podnoszę rękę i wyczuwam, gdzie co doskwiera.

Sokołowa się uśmiechnęła.

- Rzadki dar.

- Niech się pani nie śmieje - odpowiedział Mikołaj poważnie. - Chcę się odwdzińczyć za dobre słowo. Nigdy dotąd się nie pomyliłem. I wiem na pewno - dokucza pani osteochondroza i żołądek.

Anna Pierfiljewna uśmiechnęła się lekceważąco. Takie dolegliwości ma co drugi człowiek w jej wieku.

- Jeszcze coś - ciągnął Szabanow. - Ma pani początkowe stadium białaczki, raka krwi. Proszę obiecać, że pójdzie pani do lekarza.

- Dobrze - zgodziła się odruchowo Sokołowa.

- Nie - upierał się. - Proszę mi dać słowo honoru.

- Już dobrze, daję.

- Ale niech pani pamięta, że słowa należy dotrzymywać.

Cały następny dzień prześladowały ją słowa Szabanowa. Przez ostatnie trzy miesiące istotnie nie czuła się najlepiej. Szybko się męczyła, źle sypiała, gorączkowała. Lekarz rejonowy orzekł, że to przewlekłe przeziębienie, i zalecił biseptol, ale lekarstwo nie pomagało.



Do południa się wahała, a potem zadzwoniła jednak do poradni onkologicznej i zapisała się na wizytę. Następnie spróbowała spełnić prośbę Szabanowa. Najpierw zwróciła się o informacje do Głównego Zarządu Więziennictwa, później do Biura Ewidencji Ludności. I oto już następnego dnia wiedziała, że po odbyciu kary Raisa Fiodorowna Szabanowa zamieszkała w stolicy, przy zaułek Stiekolny. Miało to miejsce na początku lat osiemdziesiątych.

Dopiero gdy zapisała adres, zorientowała się, że nie wie, jak ma go przekazać Nikołajowi. Chłopak nie zostawił telefonu i dopiero teraz zadała sobie pytanie, skąd wiedział, gdzie ona mieszka.

Ale w czwartek Szabanow znów się pojawił, wziął adres, rozplywając się w podziękowaniach, a wychodząc, zapytał:

- Była pani u lekarza?
- Zapisałam się na piątek.
- Czy to dobry specjalista?

Wzruszyła ramionami:

- Przyjmuje w poradni onkologicznej, to chyba ma kwalifikacje.
- W porządku - mruknął Nikołaj i wyszedł.

W przychodni nikt nie okazał szczególnego niepokoju, zlecono jej jedynie przeprowadzenie mnóstwa analiz. Anna Pierfiljewna potulnie pozwalała się kłuć w palce i nosiła do laboratorium słoiczki po majonezie.

Cios spadł na nią po dwóch tygodniach. Białaczka, na szczęście w stadium początkowym.

- Lekarzowi, który panią do nas przysłał, należy się duża wódka - rzekł onkolog. - To świetny specjalista. Na ogół lekarze rejonowi takich jak pani przez rok leczą na przeziębienie i w efekcie chorzy trafiają do nas w trzecim stadium. A pani miała szczęście.

Ściskając w dłoni skierowanie, Anna Pierfiljewna wracała do domu na miękkich nogach.

Długo leżała w szpitalu. Choć wszyscy ją zapewniali, że jej przypadek jest banalny, czuła, że traci siły. Z trudem docierała do szpitalnej stołówki. Sąsiadki z pokoju kręciły nosem na szpitalne jedzenie, jadły to, co im przyniesiono z domu. Wokół ich łóżek nieustannie kręciły się dzieci, krewni, znajomi.

Anny Pierfiljewny nikt nie odwiedzał. Rodziny nie miała, a spędzając całe dnie w pracy, nie zdążyła się z nikim zaprzyjaźnić. W końcu tak osłabła, że posiłki

przywożono jej do sali. Leżała, patrząc w okno, za którym była obrzydliwa pogoda - śnieg, wiatr. Nie czuła lęku, tylko gorycz. Nie udało jej się życie, nie zbudowała domu, nie posadziła drzewa, nie urodziła dziecka. Wszystko poświęciła ukochanej pracy, i oto teraz nie ma kto przynieść jej owoców i soków, nikt się nad nią nie uzali, nikt nie zapłacze nad jej grobem. „Pochowają mnie pewnie na koszt państwa” - kołatało jej w głowie.

- Jak samopoczucie? - usłyszała nagle.

Drgnęła i odwróciła głowę. Przy łóżku stał Szabanow z ciężką siatką.

- Nie ciągnie od okna? - zapytał, patrząc uważnie na wychudzoną kobietę. - W porządku, zaraz sobie z tym poradzimy.

Pół godziny później Sokołową przeniesiono do separatki, przeznaczonej dla najcięższych przypadków. Na nocnej szafce wyrosła bateria butelek i słoiczków, złościły się wesoło pomarańcze.

- Umieram - poskarżyła się nagle po raz pierwszy w życiu. - Niech pan weźmie, Kola, moje klucze i przywiezie mi książeczkę oszczędnościową oraz notariusza. Chcę dać panu upoważnienie. Pieniądzy na książeczce nie za wiele, ale na trumnę wystarczy, nie chcę być pochowana we wspólnym grobie.

Szabanow pochylił się i powiedział z przekonaniem:

- Pani nie umrze, będzie żyć długo, do późnej starości.

Anna Pierfiljewna usiłowała się uśmiechnąć, ale usta odmawiały jej posłuszeństwa, wyszedł z tego grymas.

Kola usiadł na łóżku i ujął ją za rękę. Jego wielkie czarne oczy patrzyły na nią bez mrugnięcia. Anna Pierfiljewna poczuła, jak po jej ręce przebiega gorący prąd, rozgrzewa nogi, przyjemne ciepło rozchodzi się po całym ciele, dosięga głowy.

Gdy się obudziła, była sama w pokoju. Przez okno wdzierało się jaskrawe światło słoneczne. Raptem poczuła ochotę, by wstać. Spuściła nogi i chwiejąc się, sama poszła do stołówki. Gdy wracała, spotkała Kole.

Przez blisko miesiąc chłopak przychodził do szpitala codziennie. Prawie z nią nie rozmawiał. Zjawiał się około siódmej, siadał na łóżku, ujmował jej rękę.

Lekarze dziwili się, deliberując nad zagadką raka. Beznadziejnie chora nieoczekiwanie zaczęła wracać do zdrowia.

Ale Anna Pierfiljewna była pewna - to Kola ją wyleczył. I to nie tabletkami, nie zastrzykami, nie naświetlaniem, ale, jak to dawniej mawiano, „przyłożeniem rąk”.

Pod koniec stycznia Sokołowa zmieniła się nie do poznania. Na jej twarz

powróciły rumieńce, odzyskała apetyt, i wszystkie badania świadczyły o tym, że jest zdrowa.

Kilka dni przed wypisaniem jej ze szpitala Szabanow przyszedł jak zwykle do pokoju, ale tym razem nie wziął jej za rękę, tylko stanął przy oknie i powiedział:

- Chrystus kazał odpłacać za zło dobrem, a za dobro oddawać po dziesięćkroć. Ale ja na razie jestem zwykłym grzesznikiem, nie ma we mnie należytej pokory. Pani oddałem dług, odpłaciłem za wszystko dobro. Przez całe pięć lat za kratkami pamiętałem, że prokurator żądał dla mnie dziesięciu lat, ławnicy usiłowali wyrzucić na panią presję. Ale pani zlitowała się nade mną. Nikt nigdy się nade mną nie litował, dopiero pani okazała mi współczucie, zrozumiała, że nękałem Żorkę Roszczyna ze szlachetnych pobudek, chciałem mu ukazać Królestwo Niebieskie!

- Nadal wierzysz? Wróciłeś do sekty? - zapytała Anna Pierfiljewna.

- Nigdy z niej nie odszedłem. Bóg był we mnie za kratami, jest ze mną i na wolności. Czy można człowiekowi odebrać duszę? A teraz muszę się już pożegnać. Pani już nie będzie chorować, czuję to, i lepiej, żebyśmy się nie widywali. Pani jest sędzią, ja byłym przestępcą, jesteśmy jak ogień i woda. Niech pani zostanie z Bogiem. Pamięta pani, w sądzie powiedziałem, że panią czeka nagroda, a nikczemników bicz? I tak się stanie, może nie od razu, lecz niechybnie.

Anna Pierfiljewna chciała poprosić, by wyjaśnił, co ma na myśli, o jakich nikczemnikach mówi, ale nie zdołała. Poczula ciężar w piersi i nagle zapadła w sen.

## Rozdział 20

W tej opowieści wiele rzeczy wydało mi się dziwnych. Ale najbardziej zdumiało mnie to, że ostatnie słowa Anna Pierfiljewna wymówiła z wyraźnym wysiłkiem, ustawicznie ziewając. Dziarska i energiczna kobieta zniknęła bez śladu. Przede mną siedziała apatyczna, z trudem wymawiająca słowa staruszka. Drżącymi rękami przekartkowała zniszczony notes i wymamrotała, przeciągając sylaby:

- Telefonu nie mam, zaulek Stiekolny dziesięć.

Podziękowałam i zapytałam jeszcze:

- Czy później widziała się pani jeszcze z Kolą?

- Nigdy - wymamrotała, chwiejąc się na krześle. - Nawet o nim nie myślałam, aż do pani przyjścia.

Nagle jej szyja się wygięła, ramiona zwiotczały, głowa opadła na papiery. Przeraziłam się i zawołałam sekretarkę. Dziewczyna popatrzyła z lękiem na groźną zazwyczaj wykładowczynię i wezwała lekarza. Wcisnęłam się w kąt, by zobaczyć, co będzie dalej.

Sokołową położono na kanapie i przykryto zielonym suknem, jakim zwykle przykrywa się stół prezydialny. Lekarz zbadał ją uważnie i powiedział niepewnie:

- Zdumiewające, ona po prostu śpi, choć bardziej wygląda to na trans hipnotyczny. Do takich środków uciekają się psychiatrzy i psychoterapeuci.

- Czy to długo potrwa? - wyrwało mi się.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale to nie jest dla niej groźne, zostawcie ją po prostu, niech sobie poleży.

- A może ją pan obudzić?

- Po pierwsze, nie potrafię, po drugie, nie chcę. - Lekarz zamknął walizeczkę.

- Hipnoza to dziedzina delikatna, nie do końca zbadana. Może się na coś leczy i zastosowano terapię snem.

- Jak to? - zdziwiłam się. - Teraz nie było przy niej żadnego hipnotyzera.

Lekarz westchnął.

- Szczerze mówiąc, nie jestem mocny w tej kwestii, ale z tego, co wiem, dobry specjalista może zasugerować wykonanie dowolnego polecenia w dowolnym czasie.

- Mam rozumieć, że na przykład w piątek rano nakaże mi za miesiąc

wyskoczyć przez okno, i ja to zrobię?

- To raczej mało prawdopodobne - roześmiał się. - Bo nikt nie zaleci pacjentowi czegoś podobnego, a poza tym, hipnotyzer też nie jest wszechmocny. Człowieka nie można zmusić do zrobienia czegoś, co jest sprzeczne z jego naturą - kradzieży, morderstwa, samobójstwa. Te wszystkie idiotyczne filmy, w których bohater w transie dusi kogo popadnie, to kompletne brednie. Jeśli pani nie jest zdolna zabić, to w hipnozie najprawdopodobniej po prostu upuści pani nóż albo rewolwer.

- A jeśli jestem do tego zdolna, a powstrzymuje mnie jedynie strach przed karą?

Lekarz się zamyślił.

- Powtarzam, nie jestem znawcą tematu. W Rosji jest niewiele osób profesjonalnie zajmujących się hipnozą, większość to zwykli oszuści. Choćby przedwczoraj, wiozłem do kliniki młodą kobietę, właściwie umierającą. Rak piersi, guz pękł, z rany płynęła ropa, czwarte stadium, bardzo cierpiała. Pytam, dlaczego nie poszła wcześniej do onkologa? Rak piersi we wczesnych stadiach jest w pełni uleczalny, chorzy żyją potem latami i umierają ze starości. Dlaczego nie zwróciła się do poradni? Otóż leczył ją mąż, czarownik, zresztą całkiem znany. Często pokazuje się w telewizji, publikuje artykuły w gazetach, wszystkim gwarantuje wyleczenie... Gubi tych, którzy mu zaufali, a przy okazji własną żonę też wysłał na tamten świat... Leczyć się trzeba u prawdziwych lekarzy. Za granicą ludzie mają więcej oleju w głowach. Najpierw idą do szpitala, biorą leki, zastrzyki, poddają się operacji. Dopiero gdy staje się jasne, że medycyna tradycyjna jest bezsilna, pędzą do magów, szamanów, znachorów. A u nas jest na odwrót. W efekcie choroba się rozwija, skutki są opłakane.

- To co, wszyscy są oszustami?

- Nie wiem, słyszałem, że na wydziale psychologii Uniwersytetu Moskiewskiego pracuje niejaki Mielniczenko, ponoć geniusz. Ale nie miałem z nim do czynienia. A wasza wykładowczyni pewnie chodzi do psychoterapeuty i ma zakodowany na tę godzinę sen. Zostawcie ją w spokoju.

Nagle Anna Pierfiljewna poruszyła się i uśmiechnęła.

- Widzi pani - ucieszył się lekarz. - Wszystko w porządku, niebawem się ocknie.

Zaułek Stiekolny mieści się w samym centrum Moskwy. Obok dudni Twerska, lśnią witrynami drogie sklepy, ale pod arkadą, gdzie zaczyna się ulica,

której szukam, jest cicho. Domy niewysokie, dwu-, trzypiętrowe, podwórka brudne, obok wypełnionych po brzegi pojemników na śmieci kraczą wrony, zupełnie jakby parę kroków stąd był nie Kreml, ale zaczynały się peryferie.

Zaułek wił się dość dziwnie i domy też stały w zaskakującym porządku. Po prawej stronie był numer ósmy, dziewiąty i czternasty, po lewej - dwunasty, trzynasty, piętnasty. A dziesiąty wyparował. Przejechałam tam i z powrotem ze dwadzieścia razy, wreszcie się poddałam i zapytałam przechodzącą kobietę:

- Gdzie jest dom numer dziesięć?

- Na przejeździe Priedtieczeńskim - odpowiedziała.

- Ale ja szukam adresu Stiekolny dziesięć.

- No właśnie adres pocztowy jest taki, ale budynek stoi zupełnie gdzie indziej, wszyscy go szukają.

Rzeczywiście, niebieściutki dwupiętrowy dom patrzył fasadą na przejazd Priedtieczeński. Wielkie skrzypiące drzwi bez zamka kodowego i domofonu zrobione były z jednego kawałka drewna, miały masywną klamkę z brązu, najwyraźniej niezmienianą, odkąd dom istnieje. Remontu też chyba nigdy nie przeprowadzono. Wesoly z wierzchu, w środku dom robił przygnębiające wrażenie - schody wydeptane, balustrada tu i ówdzie wyrwana, kafelki na podłodze i ścianach poodpadały w wielu miejscach.

Na każdej kondygnacji było jedno mieszkanie. Mieszkanie numer trzy znajdowało się na ostatniej.

Ścianę obok dzwonka zdobiły tabliczki: „Do Pietrowów raz”, „Do Kostomarowów dwa”, do „Do Rieszotnikowów trzy”. Ze dwanaście nazwisk, ale Szabanowej nie było. Ile osób tu mieszka? To nie w porządku, do Pietrowów tylko jeden dzwonek, wręcz banalne, ale już do Niesterowów jedenaście, ci dopiero cały czas muszą liczyć dzwonki. Nie, ludzie nigdzie nie są równi sobie, nawet w budynkach komunalnych.

Bez zbytniego zastanawiania się nacisnęłam na guzik trzy razy. Sądząc po tabliczce, otworzą mi Rieszotnikowowie.

Zazgrzytały zamki i łańcuchy, drzwi się otworzyły i zobaczyłam przed sobą długi i ciemny korytarz. Ściany obwieszane rowerami i szaflikami, na podłodze jakieś skrzynie, toboły, stopy gazet. Boże, najprawdziwsze moskiewskie mieszkanie komunalne.

Dokładnie w takim samym mieszkaniu przy ulicy Kirowa, obecnie

Miasnickiej, spędziłam swoje dzieciństwo. Już nie pamiętam, ilu mieliśmy sąsiadów - piętnaścioro, a może dwanaścioro. Przed toaletą wisiała lista z wyznaczonym czasem. Dla mnie i dla babci była to dziesiąta rano. Uważano bowiem, że najpierw trzeba przepuścić tych, którzy się spieszą do pracy i do szkoły. Aleśmy sobie zbytnio nie krzywdowali, bo pod łóżkiem trzymaliśmy naczynie, które dziadek nazywał dowcipnie „nocna waza”.

Dzieci jeździły po korytarzu na rowerkach, bawiły się w chowanego w wielkiej czterdziestometrowej kuchni. Stał tam wspinały kredens, własność poprzedniego właściciela apartamentów, kupca Rukawisznikowa. Siedząc w środku, c i bserwowałam przez uchylone drzwiczki, jak koleżanki szukają tej „okropnej Daszki”.

Do łazienki natomiast baliśmy się wchodzić, myliłyśmy się niechętnie. W wielkim pomieszczeniu wznosiła się na grubych żelaznych łapach ogromna wanna, wręcz basen. Pięcioletni Kolka Makiejew pływał w niej od kranu do przeciwległego „brzegu” i pewnego razu omal nie utonął, gdy matka zostawiła go na chwilę samego. Była tam też głęboka umywalka z mosiężnymi kranami i groźnie buczący piecyk gazowy, a na wysokim lustrze czyjaś dziecinna ręka wyskrobała „Anna, 1912 rok”. Zawsze patrząc na to, zastanawiałam się, co się stało z tą dziewczynką później.

Ale najciekawiej było, gdy zaczęto nas rozkwatrowywać. Pootwierano wtedy pawlacze, na korytarzu po raz pierwszy wkręcono stuwatowe żarówki, żeby lepiej widzieć poupychane po kątach rzeczy.

Co za skarby wtedy odkryto! Samowary, lampy naftowe, miedziane patelnie do smażenia konfitur, żeliwne moździerze, stęchłe pierzyny, poobtłukiwane talerze, toboły wypchane ubraniami, a nawet staromodny welocyped. Wisiał tak pod nigdy nieremontowanym sufitem od 1917 roku i żaden z lokatorów nie pamiętał już jego właściciela.

Mnie udało się szczególnie. W jednym z ogromnych pudeł babcia znalazła niemal pełne wydanie kryminałów o Nicku Carterze i Nacie Pinkertonie. Ze dwieście broszurek, wydanych przed rewolucją przez Sytina. Początkowo trudno mi się czytało tekst pisany starą ortografią, ale szybko się przyzwyczaiłam. Spędziłam nad książkami długie godziny, trzęsąc się ze strachu i zachwytu. Zapewne od tamtego czasu zrodziła się we mnie namiętna miłość do kryminałów i śledztw.

Szczerze mówiąc, byłam przekonana, że takich komunałek już od dawna nie ma, a tu patrzcie państwo.

- Pani do mnie? - zapytała jakaś kobieta w otwartych drzwiach.

W półmroku nie widziałam jej twarzy, słyszałam tylko głos.

- Szukam Raisy Fiodorowny Szabanowej, mieszkała tutaj na początku lat osiemdziesiątych.

- A kim pani jest dla niej? - zapytała surowo, cofając się w głąb mieszkania.

Weszłam za nią. Drzwi się zamknęły. Korytarz oświetlała teraz jedynie oszczędnościowa dwudziestopięciowatówka, poczułam też znany mi z dzieciństwa „bukiet”, w kuchni ktoś pichcił kapuśniak, gotował bieliznę i smażył kotlety.

- To długa historia - zaczęłam bąkać - to moja koleżanka, postanowiłam ją odszukać.

- Proszę za mną. - Kobieta, szurając kapciami, ruszyła w głąb korytarza.

Szłam za nią, potykając się o komody, wiadra i narty.

Pokój, do którego wreszcie dotarliśmy, okazał się niezwykle duży, czysty i jasny. Ciepły wiosenny wietrzyk lekko kołysał śnieżnobiałymi firankami. Przez otwarte okna płynęło świeże powietrze. Stół przykrywała serweta, stał na niej wazon ze sztucznymi kwiatami. Pokój był trochę przeładowany: dwa regały, kilka kanap, fotele, pianino, lodówka, sporo krzeseł. Ale ani jednej książki, za to półki uginały się pod różnymi naczyniami, a w każdym kącie stał zwinięty dywan.

- Przeprowadzamy się - wyjaśniła gospodyni. - Dostaliśmy już przydziały, jedziemy do Mitina, do dwóch pokoi z kuchnią. Ten dom kupiła jakaś firma. Sąsiedzi narzekają, że z Centrum wyrzucają ich na peryferie, ale ja się cieszę - przynajmniej na starość przestanę stać w kolejce do łazienki. Sama sobie będę panią - będę się myć, kiedy zechcę i ile dusza zapagnie. Kupiliśmy już meble. - Roześmiała się, ukazując ładne, mocne zęby. - Mówi pani, koleżanka? Zupełnie pani nie pamiętam, zresztą, trochę pani za młoda.

- Czyli...

- Tak, jestem Raisa Fiodorowna, ale nie Szabanowa, tylko Rieszotnikowa.

Wyszłam za męża i zmieniłam nazwisko. Cóż panią sprowadza?

Bez chwili wahania wyciągnęłam legitymację MSW i podsunęłam jej pod nos.

- Musimy porozmawiać.

Raisa mocno zbladła, ale cios wytrzymała. Po krótkiej chwili na jej twarz powróciły kolory i zapytała szorstko:

- Czego jeszcze chcecie? Karę dawno odbyłam, nie miałam więcej z milicją do czynienia, a od tamtej pory minęło już tyle lat! Wyszłam na wolność w



osiemdziesiątym...

- Nie chodzi o panią, tylko o syna, Nikołaja Szabanowa, przeciwko niemu prowadzone jest śledztwo. Stworzył sektę i...

- Nie mam dzieci - przerwała mi spokojnie.

Spojrzałam na nią osłupiała.

- Jak to? Czy Nikołaj i Ludmiła to nie pani dzieci?

- Nie moje - powtórzyła bardzo spokojnie. - To pomyłka.

- Chwileczkę - zdenerwowałam się. - Pani jest Raisa Szabanowa?

- Rieszotnikowa - poprawiła mnie.

- Przecież nie zawsze była pani Rieszotnikowa - rozzłościłam się.

- Na początku lat osiemdziesiątych zmieniałam nazwisko.

- Czyli wcześniej nazywała się pani Szabanowa?

- No tak, tak jakby...

- Jak to „tak jakby”?

- Przypuśćmy, że się nazywałam.

Poczułam, że pod sweterkiem pokrywam się potem. I jak tu nie współczuć stróżom prawa!

- Proszę mi nie mydlić oczu, aresztowano panią za zabicie męża - członka sekty.

Raisa Fiodorowna zacisnęła usta.

- Dawne dzieje, o wszystkim już zapomniałam, wyszłam drugi raz za męża.

- Ale ma pani dzieci, Nikołaja i Ludmiłę?

- Nie.

Umilkła ze wzrokiem wbitym w sufit.

- Jak to? - nie ustępowałam. - Kola i Miła, brat i siostra, o nich też pani zapomniała?

Nadal patrzyła tępo do góry.

- To przecież głupie zaprzeczać istnieniu własnych dzieci. Są wymienieni w pani aktach.

Szabanowa nadal tkwiła bez ruchu jak słup.

- Dobrze - westchnęłam i ruszyłam ku drzwiom.

Gospodyni ani drgnęła.

- Wezwiemy pani obecnego męża, pokażemy mu akta sprawy, może on sobie przypomni...

Raisa zachnęła się:

- Piotr nie ma z tym nic wspólnego. On o niczym nie wie.

- No i dobrze, czas go oświecić. Niech się dowie, jaki los spotkał jego poprzednika, może zaduma się nad charakterem małżonki, nie zaszkodzi też wspomnieć o dzieciach. Jak to tak, tyle lat razem żyjecie i nie powiedziała mu pani prawdy, oj, nieładnie.

- Czego pani chce?

- Adresu Nikołaja.

- Nie mam.

- Proszę nie kłamać.

Kobieta ciężko westchnęła.

- Naprawdę nie znam.

- Przecież przyjeżdżał do pani!

W milczeniu skubała obrus.

- Proszę mówić, jeśli pani nie chce, żeby Piotr się dowiedział, kogo wziął za żonę.

Raisa wsunęła obie ręce we włosy i szarpiąc je, odezwała się z nieoczekiwaną pasją:

- I jeszcze raz bym zabiła podłego bydlaka, a dzieci trzeba było jeszcze w kołysce podusić, żeby śladu po Sergieju nie zostało - całą trójkę.

- Trójkę?

- Co się pani dziwi? - prychnęła. - Może się pani przekonać, czy mówię prawdę. Przecież wiecie o tym - dwie dziewczynki, Ludmiła i Tańka, i Kolka, łajdak, drugi dziadzius. Ile ja się przez nich wycierpiałam!

Teraz słowa popłynęły potokiem, oczy zabłyśły, usta nabrały koloru.

Z dziada pradziada Szabanowowie obdarzeni byli niezwykłym darem.

- Popatrz w twarz czarnymi oczyskami - mówiła Raisa - i człowiek czuje, że sobą nie włada. Nogi się uginają, ręce zwisają bezsilnie, i jak automat spełnia się jego rozkazy. Całkiem jak robot.

I Kolka też miał ten dar. Nieustannie zmuszał Ludmiłę i Tatianę, żeby popełniały różne draństwa - musiały kraść dla niego zakazany cukier z kuchni, myć go, ubierać rano, słać łóżka. Zrobił z siostr służące. Kiedyś Luda poskarżyła się matce, że Kolka ją „dotyka oczami”. Ale Raisa dała jej po buzi. Z dziewczynkami w sekcie się nie patyczkowano, nie posyłano ich do szkoły, żywiono nędznie i często

bito. O chłopców się troszczono, otrzymywali wykształcenie, żywieni byli znacznie lepiej, a już Kolka, wnuk „świętego ojca” w ogóle robił, co chciał. Kilka razy czuć było nawet od niego papierosy, ale ani ojciec, ani dziadek go nie ukarali, choć każdy inny za to samo zarobiłby chłostę.

W wieku dziesięciu lat Nikołaj zrozumiał, że jest na szczególnych prawach, i zaczął z tego w pełni korzystać. Donosił dziadkowi o postępach członków sekty. Zaczęto się go bać, ale chłopcu najwyraźniej się to podobało. Kilka razy doniósł na matkę - kiedyś Raisa opuściła wieczorną modlitwę, a raz syn widział, jak w post jadła ukradkiem kaszę.

Raisa nienawidziła męża, nie od razu jednak dotarł do niej koszmar życia w sekcie. Początkowo przemoc, głód i bicie złamały ją i potulnie urodziła troje dzieci. Później coraz częściej zaczęła ją prześladować myśl - uciec stąd. Co też w końcu zrobiła, zabiwszy uprzednio męża.

Po odbyciu kary zameldowała się w mieszkaniu matki, zadeklarowanej alkoholiczki, i postanowiła całkowicie odciąć się od przeszłości. Dzieci wyrzekła się jeszcze przed rozprawą sądową, nie interesowała się ich losem, nie odwiedzała w domach dziecka. Ludy i Tani nie chciała widzieć, bo przypominały jej o sekcie, a Kolki nie znosiła.

Wykreśliwszy syna i córki ze swojego życia, zaczęła nowe życie w domu przy Stiekolnym, pochowała matkę, zaczęła się spotykać z Piotrem Rieszotnikowem. Aż pewnego razu przeszłość sama zastukała do jej drzwi. W grudniowy, przenikliwie zimny dzień na progu pojawił się Nikołaj.

Poznała go od razu, choć syn wyrósł, zmeźniał, stał się mężczyzną. Bojąc się ustawicznie podsłuchujących sąsiadów, zaprowadziła go do pokoju i zapytała:

- Skąd masz adres?

Chłopak patrzył na nią przenikliwie.

- Lepiej zapytaj, jak żyłem w kolonii. Omal nie zdechłem z głodu. Dlaczego ani razu nie napisałaś, nie przysłałaś paczki, herbaty, papierosów?

Uśmiechając się wyłącznie ustami, wbił w twarz matki oczy gorejące niczym rozżarzone węgle.

Raisa z przerażeniem uświadomiła sobie, że syn w pełni odziedziczył zdolności dziadka i ojca. Nogi się pod nią ugięły, ręce opadły bezsilnie, a z ust jakby niezależnie od niej popłynęły słowa:

- Żebyś zdechł, przeklęty, diabelskie nasienie.

- Brutalnie, ale szczerze - podsumował Nikołaj. Usadowił się wygodniej w fotelu i wyjął papierosy.

Lekki szaroniebieski dymek uleciał pod sufit. Szabanowa poczuła podchodzące do gardła mdłości. Syn spokojnie przyglądał się matce.

- A gdzie Ludka i Tańka?

- Nie wiem - wyszeptała otępiąła. - Zrzekłam się praw macierzyńskich.

- Nawet wilczyca troszczy się o swoje szczeniaki - wycedził Nikołaj cicho. - Cóż, ja i Miłka byliśmy już duzi, ale Taniuszka nie miała wtedy nawet roczku.

- Osiem miesięcy - odpowiedziała Raisa jak automat.

- Nawet nad niemowlęciem się nie użaliłaś?

- Nienawidzę - wydusiła z siebie Raisa - nienawidzę!

Kolka się uśmiechnął.

- W porządku. Ale w kolonii napatrzyłem się, co to znaczy rodzina. Wszyscy dzieciom wybaczała, zło zapominali, za ostatnie pieniądze kupowali choćby śledzia, to jest właśnie matczyzna miłość!

- Nie jestem twoją matką - wydusiła z siebie Szabanowa.

- To prawda - zgodził się - ale i tak nie mogę z tobą postąpić jak nakazuje wiara - oko za oko, ząb za ząb. Pewnie przestałaś się modlić, postu nie przestrzegasz?

Raisa tylko kręciła głową. Pragnęła uciec z pokoju, gdzie oczy poniosą. Zniknął gdzieś nawet strach, że sąsiedzi dowiedzą się o jej kryminalnej przeszłości. Ale nieznaną siłą przygniotła ją jak kamień i poczuła, że jeszcze chwila, a straci przytomność i zwali się na podłogę,

Kolka jakby wyczuł stan matki, bo nalał z czajnika wody i podał jej kubek.

- Pij.

Potulnie przyjęła ciepłą ciecz.

- Teraz posłuchaj - nakazał dręczyciel. - Zdrada nikomu nie może ujść na sucho. A ty zdradziłaś dwukrotnie. Najpierw odrzuciłaś własną krew, potem wyrzekłaś się wiary. Każdego spotkałaby za to kara śmierci, ale ja, w odróżnieniu od ciebie, wiem, co to rodzina. Krew nie woda, żyj sobie dalej.

Raisa miała wrażenie, że w głowie pękł jej jakiś słoik, wypełniony ciecżą. Ciepła strużka popłynęła po karku, wzdłuż krzyża, aż do nóg.

- Będiesz żyła - dotarł do niej głos jakby przez mgłę - ale ani zdrowa, ani szczęśliwa. Jeśli zaczniesz narzekać, przypomnij sobie, że to za zdradę.

Niczego więcej nie zapamiętała. Ocknęła się na kanapie. W pokoju było

cicho, jedynie słaby zapach dymu i niedopałek na spodeczku świadczyły o tym, że to wszystko nie było złym snem.

Od tego dnia zaczęła chorować. Spadł na nią istny grad chorób. Alergia, która przeszła w astmę, zrobiła z młodej jeszcze kobiety inwalidkę. W dodatku mąż, Piotr Rieszotnikow, zaczął ją straszliwie drażnić: hałaśliwy, uwielbiający gości. Niekiedy miała ochotę rzucić w niego rondlem, gdy stawał na progu w towarzystwie wciąż nowych przyjaciół. Z największym trudem panowała nad sobą, wiedząc, że jeśli przegna męża, zostanie bez grosza. Rieszotnikow był znakomitym stolarzem meblowym, świetnie zarabiał, natomiast Raisa dostawała grosze jako windziarka w sąsiednim bloku. Na inną pracę nie starczało jej zdrowia. Ustawiczne rozgoryczenie spowodowało wrzód żołądka. Słowem, nie miała z życia żadnej radości.

- Nikołaja nigdy więcej pani nie widziała?

- Nigdy, dzięki Bogu. Nienawidzę tych nikczemników...

Rozplakała się gorzko, oparłszy głowę na stole.

Patrzyłam na drgające ramiona, na rzadkie włosy na czubku głowy. Nie, trzeba stąd iść, tu na pewno nie dostanę adresu Nikołaja.

## Rozdział 21

Wracałam do domu, nie dostrzegając pięknego wiosennego wieczoru. Jak tu trafić do sekty? I co ja w ogóle wiem o hipnozie, mediach, czarownikach i magach? Przecież nigdy nie wierzyłam w podobne rzeczy. Może wypytać File?

Domownicy byli zajęci swoimi sprawami. Mania tkwiła przy komputerze, Kicia, podśpiewując, brała prysznic, Aliska wydzieriała się w kuchni na Katierinę. Irkę znalazłam w gabinecie, w rękach trzymała ogromnego szczura.

- Skąd go masz? - Zdziwiona patrzyłam, z jaką czułością otula drżącego gryzonia moherowym pledem.

- To Julie - rzekła z westchnieniem Irka, układając w fotelu pieska, który nie spuszczał z nas zażawionego, nieszczęśliwego spojrzenia.

Aż usta rozdziwiłam. Julie? Co się stało ze wspaniałą sierścią terierki? Okazało się, że pod gęstymi puklami kryje się drobne, wątle ciało.

- Walentyna ją czesała, czesała - wyjaśniła Irka, gładząc Julie po łysym łebku - a potem ostrzygła. A klęła przy tym, aż strach.

A jakże, już sobie wyobrażam, jakimi soczystymi przekleństwami rzucała psia fryzjerka, dość specyficzna dama, bezdietna, ale za to mająca siedem pudli.

- Serafima Iwanowna wróci, to się dopiero zdenerwuje - ciągnęła Ira. - Julie, biedactwo, teraz cały czas marznie, a Hootchuś wcale nie chce obok niej spać.

Tacy są mężczyźni, dla nich nie delikatna dusza się liczy, ale piękne ciało. Mops uwielbia terierkę, kilka razy trafiły im się nawet szczenięta niewyobrażalnej rasy, którą Marusia nazwała „mopsterier łożkiński”. Nasze wysiłki, by oddać je w dobre ręce, to oddzielna historia. Teraz, nauczeni gorzkim doświadczeniem, staramy się nie dopuścić do ślubu. Ale i tak Julie i Hootcha łączy czuła przyjaźń. Często śpią razem, przytuleni. Domownicy wzruszają się, patrząc na takie przywiązanie. I oto dzisiaj, gdy biedaczkę pozbawiono sierści, szarmancki kawaler dał nogę. A może wcale jej nie kochał, jedynie grzał się we wspaniałych puklach przyjaciółki?

- Cherry też prawie wygolili - meldowała Ira. - Bundy'ego i Snapa udało się domyc, Hootcha wytarliśmy, ale kotki gdzieś przepadły. To się w ogóle w głowie nie mieści, przyszli tu, zalali wszystko jakimś paskudztwem, zniszczyli meble i okazało się, że to pomyłka.

- A co, wolałabyś, żeby Kiesza naprawdę był chory na czarną ospę? -

zaciekawiała się Aliska, wkraczając do gabinetu. - Nie przejmuj się, posprzątasz, wytrzesz, wyszorujesz.

Irę w jednej chwili wymiotło z pokoju.

- Jak można się wdawać w przyjacielskie pogaduszki ze służącą - napadła na mnie Aliska. - Uczę cię, powtarzam, wszystko na próżno. Zrozum wreszcie, że takie zachowanie prowadzi zawsze do tego samego - natychmiast przestają pucować.

Westchnęłam. Do dzisiaj czuję się nieswojo, gdy ktoś myje podłogę, a ja najspokojniej oglądam telewizję. Widocznie lekceważący stosunek do personelu pracowniczego formuje się od dzieciństwa. Jeśli od kołyski ma się wokół siebie lokaja i służące, mimo woli przywyka się do dyrygowania nimi.

Tyle że u Aliski tego typu cecha wykształciła się w ciągu jednego roku życia z Makssem.

- Daruj sobie to spojrzenie - oświadczyła, padając na kanapę.

Wyciągnęła mocne, żyłaste nogi ze zniekształconymi przez puenty stopami i jęknęła z ulgą.

- Zmęczyłam się jak wielbłąd na topoli.

- Dlaczego wielbłąd na topoli? - zapytałam odruchowo, myśląc o swoich sprawach.

- Nie znasz czastuszki?

- Jakiej?

- Stoi wielbłąd na topoli - zanuciła - czterech gości go...

Przerwała.

- Teraz jest czasownik, nie lubisz, żeby go głośno wymawiać, więc opuszczam.

Aż pokręciłam głową, zdumiona taką delikatnością.

Aliska zaczęła od nowa.

- Stoi wielbłąd na topoli, czterech gości go..., dwóch za uszy, a dwóch w zad, aż zmęczony wielbłąd padł. Podoba ci się?

Wybuchnęła gromkim śmiechem.

Sprośna czastuszka, ale śmieszna. Mam tylko nadzieję, że nie będzie ich śpiewać przy Mani, bo wczoraj słyszałam, jak rozmawiając z koleżanką, moja córuchna palnęła:

- Chemia jest mi potrzebna jak wrzód na dupie.

Dużo wysiłku włożyłam w to, aby wytłumaczyć jej niestosowność takich

zwrotów u panienki.

Aliska przestała się śmiać i zadysponowała:

- Idziemy na herbatę.

Trzeba przyznać, że to dzięki niej na stole zawsze wszystko jest gorące. Przed półmiskiem z pasztecikami siedziała już Kicia.

- Coś taka zmartwiona? - zapytałam, nadgryzając aromatyczny, rumiany pasztecik.

- Kupiłam białą bluzkę i okazało się, że ona „ginie” na ekranie, chcę teraz sprawdzić różową.

Westchnęłam ciężko. Ostatnio synowa nie myśli o niczym poza swoją pracą. Każda rozmowa sprowadza się do omawiania makijażu, ubrania i fryzury. Reagowała jeszcze na wiadomości o rozgromieniu jednej drużyny przez drugą w meczu Zenit - CSKA i ożywiała się, gdy omawiano niedociągnięcia reprezentacji koszykówki.

- A może lepszy będzie lila? - zastanawiała się głośno.

Fila i Aliska w milczeniu pochłaniali niezwykle smaczne paszteciki. Katierina w ogóle świetnie gotuje, ale tym razem przeszła sama siebie.

- Czemu nic nie mówisz? - rozzłościła się Kicia i trąciła mnie nogą pod stołem. - To jaki będzie lepszy?

- Przy fioletowym twarz wydaje się bledsza.

Olga aż się zachnęła.

- A kto tu mówi o fioletowym? Liliowy albo różowy! Bądź łaskawa słuchać, co do ciebie mówię.

I to właśnie mnie zachwyca u moich bliskich, że ani myślą zostawić biedną matkę w spokoju, sam na sam z jej własnymi myślami. Prawie wszystkie moje koleżanki głośno się skarżą na swe dorosłe dzieci. Że opryskliwe, gburowate, niemiłe, nigdy nie rozmawiają z rodzicami, nie pytają o radę...

U nas jest wprost przeciwnie. Kiedy staliśmy się bogaci i zaczęliśmy się budować w Łożkinie, zaproponowałam Kieszy:

- Zbudujmy na tej działce dwa parterowe domy. Jeden dla ciebie i Kici, drugi dla mnie, Nataszki i Mani.

- A to niby czemu? - najeżył się.

- Bo myślę, że wolelibyście pomieszkać oddzielnie...

- W życiu! - prychnęła Kicia. - Tylko wszyscy razem, całą rodziną.

Westchnęłam cicho. Szczerze mówiąc, liczyłam na to, że gdy oni się



wyprowadzą, będę mogła spokojnie palić w mieszkaniu, kiedy dusza zapagnie, jeść w łóżku, spać do południa, krótko mówiąc, żyć nie umierać. Ale nic z tego.

- Wspaniały pomysł! - sarknął Arkady. - Zostawić cię samą na pastwę losu!

Niedoczekanie!

W efekcie papierosy mogę palić wyłącznie w komórce pod schodami, podjadać tylko wtedy, gdy wszyscy rozejdą się do swoich pokoi, a spać w ogóle mi się nie daje.

O ósmej rano do pokoju wpada zazwyczaj Mania i drze się jak opętana:

- Jak myślisz, włożyć kożuszek czy kurtkę?

A niby skąd mam wiedzieć, przecież śpię!

- Wyrzuj przez okno.

- Już wyglądałam - wydziera się Marusia, podskakując z niecierpliwości. -

Śpij, Musieczko, tylko mi powiedz, co włożyć.

Uwolnwszy się od córki, z lubością zamykam oczy i... słyszę burczenie Kieszki.

- Matka, jeszcze kimasz? Gdzie są moje czarne buty?

- Nie wiem.

- Bardzo ciekawe - żołądkuje się synecek. - To kto ma wiedzieć?

Zdawać by się mogło, że właściciel obuwia. Ale taka myśl jakoś nie przychodzi mu do głowy i nie przestaje miotać się po pokoju, właśnie tu, nie wiedzieć czemu, szukając swoich kamaszy. Czy naprawdę sądzi, że matce strzeliło do głowy, by włożyć jego „pantofelki” o rozmiarze 45?

Wreszcie, mrużąc pod nosem „niech to diabli”, wychodzi, ale ze spania i tak nicy, bo przed lustrem zaczyna się mizdrzyć Kicia, oczekująca natychmiastowej odpowiedzi, która szminka jest lepsza - perłowa czy „mokry piasek”.

- Powiedz - pcha mi przed oczy pomadki - różowa?

- Tak - mrużę na odczepnego, chowając twarz w poduszce.

- Może liliowa?

- Tak.

- Albo wypróbuję Maksa Factora?

- Tak.

- To okropne, gdy się ma taką nieczułą teściową, ty byś tylko spała. -

Obrażona, trzaska drzwiami.

Otulam się kołdrą, ale ranek już się toczy swoim rytmem. Wchodzi Irka po

pieniądze na zakupy, za nią Katierina z pytaniem:

- Upiec wieprzowinę czy kurczaka?

Jeszcze kilka razy wpada Mania w poszukiwaniu portmonetki, kluczy, szalika, rękawiczek, teczki.

Wreszcie dziarskim krokiem, roztaczając zapach wody kolońskiej, wchodzi Kiesza i mówi serdecznie:

- Idę do pracy, śpij spokojnie.

W rezultacie, gdy na progu znów pojawia się Olga i oświadcza: „Jednak najlepsza jest różowa” - siedzę już w łóżku, choć jeszcze niezbyt przytomna.

Obudziłaś się? - dziwi się rozkosznie. - Dlaczego tak wcześnie, poleż sobie, nawet nie ma dziesiątej.

- No to jaką bluzkę włożyć? - dręczyła mnie nadal Kicia.

- Jasnozielona będzie najlepsza - odezwał się Fila. - Osoby spod znaku Skorpiona powinny unikać białego i różowego. Natomiast wszystkie odcienie zielonego są jak najbardziej wskazane.

- Właśnie - sapnęła z zadowoleniem Olga i jeszcze raz mnie kopnęła. - Bo od ciebie trudno się doczekać jakiejś rady. Dziękuję, Fila.

- Nie ma za co - uśmiechnął się. - Chcesz, to ci sporządzę horoskop?

Kicia kiwnęła głową, zachwycona, ja szybko łykałam kolację; a nuż uda mi się czmychnąć do sypialni.

Z korytarza dobiegł szmer. Do jadalni niemal bezszelestnie wsunął się Freddy. W łapie trzymał zwinięty w trąbkę „TV-park”. Szczercząc żółte kły, wodził spojrzeniem za krążącą po pokoju muchą. Wreszcie czarna kropka usiadła na wymyślnej fryzurze Kici, która nieświadoma tego faktu, spokojnie piła herbatę. Kolebiąc się na boki, Freddy podkraść się do Olgi i rąbnął ją zwiniętą gazetą w głowę. Olga wrzasnęła, rozlewali herbatę na kolana.

- Aliska, zabieraj swojego potwora!

- Kociątko, żabeczko, chodź do mamusi - zaszcebiotała balerina.

Ale małpa zaczęła miotać się po pokoju, usiłując dobić umykającą ofiarę.

- Freddy! - wrzasnęli wszyscy chórem.

Małpa pognęła do drzwi. W tej samej chwili do jadalni wsunęła się bokiem Irka, trzymając tacę zastawioną talerzami. Niemal oberwała w oko papierowym rulonem. Krzyknęła i potknąwszy się o kosmatą łapę małpy, runęła jak długi.

Talerze się potłukły, płatki owsiane zalały podłogę. Małpa natychmiast odrzuciła „pałkę”, przysiadła i zaczęła zlizywać nasze jedzenie.

- Co się stało? - dobiegł z korytarza głos Mani.

- Stój! - zawołałam.

Ale Maniunia już wpadła do pokoju. Dziewczynka zazwyczaj przemieszcza się biegiem i rzadko patrzy pod nogi, więc na rezultat nie trzeba było czekać - wdepnęła w śliską masę, machnęła rękami i runęła na Irkę.

- Oszaleć można - jęknęła Kicia, patrząc, jak szwagierka tapla się w owsiance.

- Ile razy ci się powtarza: „Patrz pod nogi”.

Mucha znowu usiadła na jej włosach. Freddy wyłowił zapaćkaną płatkami gazetę i z wojennym okrzykiem Komanczów pacnął nią w wypracowaną fryzurę gwiazdy telewizyjnej. Słodkie, lepkie bryzgi poleciały na wszystkie strony.

- Ty małpia dupo! - wrzasnęła Kicia.

Freddy z całkowitym spokojem podniósł z podłogi trupa pokonanego wroga i z niejaką zadumą wsunął do pyska.

- Życie w tym domu staje się nie do wytrzymania - wściekała się Kicia, wyciągając z włosów śliskie grudki.

- Fredduchna, skarbie, zabiłeś jednak muchę, zuch z ciebie - promieniała Aliska.

- To bardzo ciekawe - zabrała głos Mania, wygrzebując się z płatków. - Ja wczoraj powiedziałam dupa i miałam całe kazanie na ten temat, a Olga może się wyrażać!

- A czemu nie? - zdziwiła się Aliska, nie spuszczać oczu z Irki, która usiłowała uporać się z katastrofą.

Marusia, burcząc pod nosem, poszła do łazienki. Freddy podskoczył i chwycił ze stołu pasztecik.

- Smacznego, rozbójniku - uśmiechnął się Fila.

Westchnęłam w duchu. Ciekawe, kiedy wreszcie Maks kupi byłej żonie mieszkanie? Jeszcze tydzień, a wszyscy zaczniemy się porozumiewać wyłącznie niecenzuralnymi słowami.

W nocy nie mogłam zasnąć. Długo patrzyłam na zdjęcie małej Wieroczki. Czyją jest córką? Ale ktokolwiek ją urodził, nie można jej zostawić w sekcji. Trzeba ją odnaleźć jak najszybciej i odwieźć do babci. Tylko gdzie szukać? Każdy trop wiedzie donikąd. Objechać wszystkie wioski pod Moskwą? Z czymś takim nawet ja

się nie uporam.

Wypaliłam papierosa w otwartym oknie i jeszcze raz przeczytałam przedśmiertny list Ludmiły. Dlaczego włożyła go do torebki? To nieroztropne zostawiać taki list bez koperty z adresem, przecież w ten sposób nie trafi do rąk tego, dla kogo jest przeznaczony. Ale zaraz, dlaczego bez koperty...

Uważnie obejrzałam kartkę. Jak mogłam tego od razu nie dostrzec! Była dziwnie złożona: wzdłuż, z niestarannie zagiętym brzegiem. Tak się robi, gdy chce się wcisnąć list do nowych kopert na wzór zachodni - długich i wąskich. Nasze stare, kwadratowe, są znacznie wygodniejsze. No proszę! A więc była koperta i chyba nawet wiem, gdzie się podziała.

Z samego rana pognałam na stację. Ale w budce zwrotniczego dyżuruwała obca kobieta.

- Gdzie Lusia?

- Zwolniła się - wyjaśniła baba. - Miała już wszystkiego po dziurki w nosie, rzuciła swojego pijaka i wyniosła się z dziećmiakami.

- Nie zostawiła adresu?

- A po co mi adres? Zapytaj jej matkę, taki krzywy domek za sklepem. Idź, tylko weź ze sobą butelkę, za frajer nie będzie rozmawiać.

Na podwórzu leżał pies. Dawno nie widziałam takiego chudego owczarka. Szkielet obciążony czarną skórą. Nieopodal siedział wychudzony kot. Zapukałam do drzwi.

- Kogo diabli niosą? - rozległo się uprzejme pytanie z głębi domu.

- Szukam Lusi, może mi pani dać jej adres?

- Związała twoja Luśka. - Na krzywy ganek wyszła niechlujna baba. - Zgarnęła manatki i tyle ją widzieli. Zostawiła rodzoną matkę, prawowitego męża, który pije z rozpachy, uspokoić się nie może.

Popatrzyłam na opuchniętą, niezdrowo bladą twarz. Duży sino-żółto-fioletowy siniak pod prawym okiem. Bez wątplenia ręczna robota.

- Dam dwadzieścia dolarów, jeśli mi pani da adres córki.

- Nie zostawiła, łobuzica - wydarła się mamuśka. - Uciekła jak złodziejka, kiedy wszyscy spali, wzięła tylko dzieciaki i torbę. I przepadła, niech ją szlag, niewdzięczna dziewczucha, karmiłam ją, poiłam, ubierałam, obuwałam. I widzisz, jak się odwdzięczyła, zostawiła mnie chorą, słabą, bez pieniędzy.

I ryknęła pijackim płaczem. Po chwili, rozmazując smarki po policzkach,

zapytała z nadzieją w głosie:

- A może jednak dasz, w charakterze pomocy humanitarnej?
- Mowy nie ma - odpowiedziałam twardo - wyłącznie za adresik.
- To wynocha stąd, zasrańcu - zaproponowała uprzejmie moja rozmówczyni i zatrzasnęła drzwi.

Na ganku jeszcze przez chwilę unosił się odór alkoholu. Kichnąłam i ruszyłam w stronę bramy. Znowu nic.

- Pani - usłyszałam zza uchylonych drzwi - naprawdę da pani dwadzieścia baksów?

Odwrociłam się. Na ganku stał chłopak w trudnym do określenia wieku, wzrostu siedmioletniego dziecka, miał oczy starego człowieka i chytry uśmieszek dorosłego młodzieńca. W prawej ręce dziwaczna istota trzymała papierosa, co jawnie kłóciło się z dziecinnymi granatowymi spodenkami. Na ich kieszeniach widniały nalepki, na prawej - ładna dziewczyna, na lewej - jakiś potwór.

- To jak, da pani? - zapytał dziwaczny mutant.

Zaciągnął się i wypuścił zgrabne kółeczko dymu.

Swego czasu próbowałam się tego nauczyć, ale bez powodzenia.

- W zamian za adres.

- Niech pani pisze - powiedział rzeczowo. - Butowo Północne, ulica Akademika Komowa...

- Skąd wiesz?

- Tajemnica firmowa - uchylił się od odpowiedzi. - A teraz „zielone”.

- Tylko pamiętaj - zagroziłam - jeśli mnie oszukałeś, wrócę i oberwiesz. I wyrzucę tego papierocha, palenie w twoim wieku jest bardzo niezdrowe.

- Eee, ja rzadko palę, tylko jak mam kaca, wczoraj matka przytęszyła jakieś wyjątkowe paskudztwo, nazywa się „Korostylewska”, jeśli wpadnie pani w ręce, lepiej nie pić, bo można się przekreślić, ojciec mało kopyt nie wyciągnął, całą noc tkwił nad wiadrem.

Zręcznie chwycił papierek z moich palców i zniknął w cuchnącej izbie. Westchnęłam i ruszyłam w stronę samochodu. Czasami w najmniej odpowiedniej chwili budzi się we mnie wychowawca. Myślę, że z człowiekiem pracującym w oświacie trudno wytrzymać. Bo jak się normalnie prosi dziecko o kawałek chleba? „Wanieczka, ukrój mi kromkę razowca”. A ja mówię inaczej:

- Masza, wyprostuj się, nie garb, patrz i słuchaj uważnie. Idź do kredensu,

wyjmij pojemnik, weź bochenek i nóż. Połóż chleb na desce, odkrój kromkę, a potem wszystko schowaj, uważaj, żeby nie nakruszyć...

A muszę dodać, że po wielu latach pracy na uczelni mimo wszystko nie osiągnęłam najwyższego stopnia nudziarstwa. Podobno wśród nauczycieli młodszych klas dziewięćdziesiąt procent jest po rozwodzie, co na dobrą sprawę wcale nie dziwi. I po jakie licho próbowałam wychowywać młodego alkoholika! Najpierw mu dałam dwadzieścia dolarów na wódę, a potem uznałam za stosowne pouczyć „chłopczyka”, że źle postępuje.

## Rozdział 22

Do Butowa Północnego jechałam dokładnie godzinę. Kiedy wreszcie, minąwszy cmentarz, las i jakieś budowy, znalazłam się w środku ponurego osiedla-sypialni, poczułam się nieswojo. Na ulicach żywej duszy. Nie było nawet matek z wózkami, choć pogoda zachęcała do spacerów - ciepły, pogodny dzień.

Zerkając na mapę, zaczęłam szukać ulicy Komowa. Powinna być na tyłach prospektu Wiszniakowa. Kilka razy przejeżdżałam tam i z powrotem i nie znalazłam śladu tej ulicy. Wreszcie, czując się bezradna, wysiadłam pod jakimś sklepem i zapytałam znudzoną ekspedientkę:

- Jak mogę dojechać pod adres Komowa 18?

Żując orbit, pannica popatrzyła na mnie tępym wzrokiem i oświadczyła:

- Dojechać? Nijak!

- Jak to? - osłupiałam. - Nie ma takiej ulicy?

- Niby dlaczego? Jest.

- To gdzie? - warknęłam.

- A tu, zaraz za rogiem, w dół do wąwozu - poinformowała, przeraźliwie ziewając.

„Zaraz za rogiem, w dół do wąwozu” prowadziły żelazne schody. Wróciłam do sklepu o nazwie „Supermarket” i wyrwawszy sprzedawczynię ze śpiączki, zapytałam:

- A samochodem jak tam dojechać?

- Nijak - odpowiedziała obojętnie miłośniczka orbitu - na Komowa nie można dojechać, tylko na piechotę. Zresztą, gdzie niby jechać? Stoi tam jeden dom i tyle.

- Na pewno? Szukam numeru osiemnaście.

- No i właśnie, jest tam w dole, w wąwozie, jeden, jedyny dom.

- A gdzie pierwszych siedemnaście? - zdziwiłam się głupawo.

- Cholera ich wie, pewnie zapomnieli zbudować. Ulica Komowa to są schody i jeden dom. - Dziewczyna powoli niczym żółw mrugała powiekami, wyraźnie walcząc ze snem.

- A dlaczego tak pusto na ulicach?

- A co tam robić? Zresztą, wszyscy pojechali do roboty, do Moskwy.

Klnąc pod nosem, zaczęłam schodzić po schodach. Na dnie wielkiego

wąwozu, pośród śmieci stał dwupiętrowy blok, mało co większy od naszego w Łożkinie. Wokół sterczały bez ładu i składu pokraczne drzewa i połamane krzewy. Na rogu budynku wisiała tabliczka „18”. Zadziwiające, komu, przyszło do głowy, aby zbudować dom w takim miejscu i dlaczego dostał akurat ten numer? Za wąwozem rozciągało się pustkowie, zavalone zardzewiałym żelastwem, beczkami i resztkami cegieł.

Na drzwiach, o dziwo, był domofon. Nacisnęłam guzik z cyfrą 1 i usłyszałam kobiecy głos.

- Kto tam?

Z trudem tłumiąc chęć, żeby odpowiedzieć: „Hipopotam”, zawołałam głośno:

- Lusieńko, niech pani otworzy, to ja, Daria Wasiljewa z Łożkina.

Szczękniętą zamek, obrócił się klucz w drzwiach. Na progu stanęła Lusia, potargana, w bajowym szlafroku. Przy jej nogach, ściskając połę, kiwało się na krzywych nóżkach mniej więcej roczne dziecko.

- Coś takiego? - zdziwiłam się. - Cały czas myślałam, że pani dzieci chodzą już do szkoły...

- Daria Iwanowna... - wymamrotała Lusia. - Skąd ma pani adres?

Pominęłam milczeniem pytanie, weszłam do przedpokoju i powiedziałam:

- Chodźmy do pokoju, musimy porozmawiać.

Lusia otworzyła drzwi. Pokój był nad podziw duży, ze dwadzieścia pięć metrów, prowadziły z niego drzwi do drugiego, mniejszego. Meble były proste, ale nowe. W oknach tanie, najwyraźniej również nowe firanki, na podłodze syntetyczny kilim.

- Miłe mieszkanko - pochlebiłam gospodyni. - A kuchnia duża?

- Dwanaście metrów - odpowiedziała z wyraźną radością. - Proszę zobaczyć.

Kwadratowe przytulne pomieszczenie lśniło czystymi szafkami. W rogu tkwiła śnieżnobiała lodówka ZIL. Biedna pracownica kolei nagle się wzbogaciła, a ja chyba znam źródło tego bogactwa.

- Eleganckie mieszkanie, ciepłe, w starej chałupie marzliśmy przez całą zimę, okropność.

- Dlaczego nie paliliście w piecu?

- Ci dranie drwa przepijali. Ale teraz koniec, będę żyć jak człowiek, sama z dziećmi, jakoś sobie poradzimy. Ale skąd pani ma mój adres?!

Nadal ignorując jej pytanie, usiadłam przy nowym, nakrytym ceratą stole i



zapytałam:

- Lusieńko, pani zdaje się mówiła, że nie ma pani z czego żyć i szuka pracy?

- To co? - zapytała ostrożnie.

- Zwolniłam gosposię. Chce pani tę pracę?

Uspokojona, że gość zjawiał się w określonym celu, i sądząc, że niebezpieczeństwo minęło, Lusia westchnęła.

- Gdyby to było miesiąc wcześniej, wzięłabym z pocałowaniem ręki, ale teraz...

- Co się zmieniło?

- Przeprowadziłam się do Butowa. A stąd musiałabym dojeżdżać ze dwie godziny. Mam dzieci, przecież ich nie zostawię. No i znalazłam już pracę...

- Jaką?

Lusia wzięła na ręce poważnego, sapiącego malca.

- Opiekuję się trójką dzieci, przez cały dzień, gdy ich matki są w pracy. Dobry zarobek, a i moje dzieci są dojrzone, nakarmione. Nie to co wcześniej - okrąglą dobę na przejeździe. I jaka odpowiedzialność - pijak wpadnie pod pociąg, a ty odpowiadaj.

- Ale to chyba drogie mieszkanie...

- Gdzie tam. - Machnęła ręką. - Poszłam do biura i mówię: „Jestem biedna baba, poszukajcie mi taniego mieszkania, ale za grosze”. I agentka się postarała. Mówiła, że dają mi za bezcen. Dosyć daleko, dom nieszczególny i stoi tak głupawo - ani podjechać, ani podejść. Ale mnie to nie przeszkadza, byle dalej od tych potworów, chcę być sama z dziećmi...

- Zapłaciła pani trzydzieści tysięcy?

Aż podskoczyła w miejscu.

- Dwanaście! Jak fart, to fart!

Wyjęłam papierosy, nie przejmując się kichaniem dziecka, i zaczęłam głośno podliczać:

- Dwanaście mieszkanie, około sześciu tysięcy meble, ze dwa tysiące na to i owo... Ile pieniędzy było w kopercie?

Lusia zmieniła się na twarzy. Zbladła tak, że nawet jej usta zmieniły się w dwa białe pasemka.

- Pani... wie?

- Oczywiście - uspokoiliam ją.

Lusia padła na kolana i wyciągnęwszy przed siebie drżące ręce z połamanymi

paznokciami, które z pewnością nigdy nie widziały manikiuru, zaczęła błagać:

- Niech mnie pani nie gubi, niech mnie pani nie gubi!

Podciągnęłam ze wstrętem nogi i powiedziałam stanowczo:

- Niech pani daruje sobie ten cyrk i opowie wszystko od początku.

Ale Lusia, jak wszyscy histerycy, wpadła w amok. Raz za razem waliła głową o podłogę, zawodząc na jednej nucie. Niech mnie pani nie gubi, niech mnie pani nie gubi!

Dziecko skrzywiło się, rozdziawiło buzię i wrzasnęło. Z małego noska pociekł gil, twarzyczka spurpurowiała. Nie wiem dlaczego, ale cała ta scena wzbudziła we mnie jedynie wstręt. Ciekawe, jak długo oboje zamierzają tak wyc?

Pierwszy poddał się dzieciak. Zrozumiał, że nikt nie zamierza go uspokajać, chlipnął jeszcze raz i na czworakach popętlzył do pokoju. Lusia wyła nadal. Widać zmęczyło ją klęczenie, bo siedziała teraz na podłodze, kołysząc się niczym wańka-wstańka. Trzeba mieć końskie zdrowie, żeby tak się wydzierać przez prawie pół godziny.

Wreszcie po kolejnym crescendo odebrało jej głos.

- Lusiu - powiedziałam surowo - niech pani wybiera. Albo natychmiast idę na milicję i zawiadamiam o kradzieży, albo pani mówi mi prawdę i wszystko zostaje tak jak jest.

Kobieta wytarła nos połą szlafroka i zapytała z nadzieją:

- To znaczy, jak zostaje?

- Po prostu uznam, że nie wiem, skąd ma pani pieniądze, i będzie pani dalej żyła tak jak teraz...

Lusia rzuciła się do mnie.

- Dario Iwanowno! Moja kochana!!!

Jeżeli jest coś, czego serdecznie nie znoszę, to właśnie obejmowania przez obcych ludzi. Uchyliłam się zdecydowanie i powtórzyłam surowo:

- Proszę mówić.

Lusia usiadła na stołku i zaczęła się kajać.

Jej matka Kława to nałogowa alkoholiczka z długim stadem. Ojca nie znała. Matka urodziła dziewięcioro dzieci, kompletnie nikomu niepotrzebnych. Lusia była najstarsza i użyła jak pies w studni, wszystkie domowe zajęcia matka zwałała na barki siedmioletniej dziewczynki. Matka pracowała wtedy na kolei, jeździła jako konduktor na trasie Moskwa -Lwów. Całe doby spędzała poza domem, a w te dni, gdy nie

pracowała, przeważnie leżała pijana w łóżku.

Lusia nigdy nie miała przyzwoitego ubrania, butów, jedzenia. Skończyła tylko pięć klas. Potem nie miała warunków do nauki i rzuciła szkołę. Okresowo w domu pojawiali się kawalerowie matki, których należało nazywać „tata”. Po jakimś czasie rodziło się kolejne dziecko, i obowiązkiem Luśki było karmić je i przewijać. Jedno było pocieszające, nowo narodzone siostrzyczki i braciszki niezdługo gościli na tym świecie, żadne nie dożywało roku.

W wieku siedemnastu lat Lusia z głupoty wyszła za mąż za robotnika kolejowego Sańkę. Przez pierwsze dwa lata żyli zgodnie, potem Sania zaczął pić, bić żonę i kłócić się z wiecznie pijaną teściową. Kławka w tym czasie pracowała już jako sprzątaczką w sklepie, Sania załapał się tam na tragarza. Teraz już się nie kłócili, pili zgodnie, razem wyciągali pieniądze od Lusi i razem jej wymyślali, gdy odmawiała... W tym czasie urodziła dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, ciche, chorowite, lekko opóźnione w rozwoju.

Lusia uwijała się jak w ukropie. Dyżur na przejeździe, potem pędziła do przychodni myć podłogi, następnie do restauracji, gdzie do trzeciej, czwartej rano zmywała naczynia.

Ale dobry Bóg obdarował ją pogodnym, pełnym radości życia charakterem, więc mimo wszelkich przeciwności losu nie narzekała. Wręcz przeciwnie, usiłowała we wszystkim dostrzegać dobre strony. Wiecznie pijany mąż nabawił się stałej impotencji. Wspaniale, cieszyła się Lusia, nie będzie więcej dzieci. Dźwigając ciężkie wiadra w przychodni, uśmiechała się wesoło: dentysta bezpłatnie wyleczył zęby dzieciom, a i jej jako pracownicy zrobił bezpłatnie protezę. Myjąc talerze w restauracji, wręcz jaśniała radością. Knajpa należała, do przyzwoitej kobiety, Gruzinki Nany, i po pracy na Lusię czekało pokaźne pudło z jedzeniem. W środku było wszystko: kotlety, frytki, sałatki, ciastka. Czasami nadgryzione i lekko zmiętoszone, ale to przecież głupstwo! A niedopitą fantę albo coca-colę Lusia zlewała do plastikowych butelek. Tak że dzieci odżywiały się przyzwoicie, czasami nawet kręciły nosem na jesiotra z rusztu...

Starła się nie dostrzegać w domu dokuczliwego zimna zimą, pijackich krzyków i ustawicznie bolącego krzyża. „Wszyscy wokół piją - pocieszała się. - Dzięki Bogu, że chociaż ja nie jestem alkoholiczką”.

Ale czasami przed snem i ja dopadał smutek. Wtedy zaczynała marzyć. Gdyby tak wszechwiedzący Bóg zesłał jej trochę szczęścia i zabrał do siebie matkę i Sańkę!

Ale Bóg najwyraźniej zapomniał o dróżniczce i jej dręczyciele nawet nie chorowali.

„Gdyby tak znaleźć na ulicy milion - myślała niekiedy, słysząc pijackie chrapanie. - Kupić choć pokoik i uciec od tych krwio pijców!”

To pragnienie było tak wielkie, że czasami kupowała nawet gazetkę „Mieszkania i dacje”. Przebiegała wzrokiem ogłoszenia. Niepotrzebne jej pałace, wystarczy małe mieszkanie, choćby jeden pokój, na końcu świata, jak najdalej od kochanej rodzinie. Ale skąd miałaby wziąć pieniądze?

I nagle zdarzył się cud. Bóg dostrzegł jej męczarnię i zesłał wybawienie.

Torebkę znalazła, gdy szła do domu. Aż dziwne, że wcześniej nikt jej nie spostrzegł. Lusiu zsunęła się po nasypie, chwyciła znaleźisko. Jakies wewnętrzne przecucie podpowiadało jej, że ma w rękach bogactwo.

Schowała się na wszelki wypadek w toalecie i otworzyła torebkę. W środku znalazła grubą kopertę. Drążącymi palcami rozerwała ją i oniemiała - na jej kolana wysypały się banknoty studolarowe. Były też dwa listy. Jeden, pełen grózb, do jakiegoś Mikołaja, długi - serdeczny, czuły, zaadresowany był do Marii Siergiejewny Bałabanowej, mieszkającej w Nagorju. Pieniądze też były dla niej.

Lusia przesiadła w ubikacji prawie do wieczora, usiłując zagłuszyć buntujące się sumienie. Potem przypomniała sobie, jaką piękną kurtkę z norek miała samobójczyni, i uspokoiła się: to na pewno nie jest jej ostatnia krwawica.

Utwierdziwszy się w tym, podała kopertę i list do Bałabanowej na strzępy i wrzuciła je do szamba. Pieniądze schowała pod ubranie, a torebkę z drugim listem oddała później mnie.

- Dlaczego? - zdziwiłam się. - Czemu jej pani nie wyrzuciła?

Westchnęła ciężko.

- Pomyślałam sobie tak - a nuż przyjdzie ktoś z rodziny, mąż albo matka i powiedzą, że miała torebkę, zaczęła jej szukać i od razu pomyślą, że to ja zabrałam! Lepiej będzie, jak powiem, że znalazłam, i oddam pani.

No, czyż nie idiotka?

- Lusi, a gdyby zapytali o pieniądze?

- Wyparłabym się - oświadczyła. - Przecież pani zaniósła torebkę na milicję i to pani by się tłumaczyła!

Zdębiałam na taką bezczelność.

- I co, myślałaś, że nie powiem, od kogo dostałam torebkę?

Lusia, która już się całkiem pozbierała, ruszyła do ataku.

- A ja bym powiedziała, że pani kłamie, sama się na pieniądze połakomiła, wiadomo, bogaci są pazerni!

- To dlaczego zostawiłaś list do Mikołaja?

- Samobójcy zawsze piszą listy. Poza tym, może nikt nie wiedział o pieniądzach, przeczytają liścik i się uspokoją, glinom niewiele trzeba...

Patrzyłam w milczeniu na jej pospolitą twarz z czerwonym nosem.

Wstrząsająca mieszanka - chłopski spryt, całkowity brak zasad i jaskiniowa głupota.

Postanowiła wszystkich przechytrzyć i prawie jej się udało! Śledczemu Mikołajowi Wasiljewiczowi do głowy nie przyszło, żeby zapytać, dlaczego list jest bez adresu.

Uznali, że Szabanowa była wariatką, i na tym poprzestali.

- Ile tam było pieniędzy?

- Wyleciało mi z pamięci - oświadczyła bezczelnie.

- Niech będzie, a pamiętasz adres Mikołaja?

Pokręciła przecząco głową.

- Lusi - rzuciłam ostrzegawczo - jeśli będziesz kłamać, pójde na milicję.

Ale ona już się uspokoiła, uznawszy, że nie stanowię dla niej zagrożenia. Na jej policzki wrócił zdrowy rumieniec, usta nabrały koloru, oczy pojaśniały.

- I co z tego? - prychnęła. - Niech se pani idzie, gdzie chce!

- Nie pójde do komendy dzielnicowej - „pocieszyłam” ją. - Ale do kontroli skarbowej, wtedy inaczej zaśpiewasz. Jeśli kupiłaś mieszkanie za uczciwie zarobione pieniądze, to musisz zapłacić podatek. A jeśli nie zarobiłaś, to skąd masz?

Lusia znów zaczęła blednąć. W obawie, że za chwilę znowu wpadnie w histerię, szybko dorzuciłam.

- Powiem ci tylko, że zapomnę o tych całych pieniądzach, jeśli zrobisz wysiłek i przypomnisz sobie adres.

Lusia pociągnęła nosem i wykrztusiła:

- Miasto nazywa się Nagorje, nazwisko tej kobiety - Bałabanowa, ale ulicy nie pamiętam.

- Ja potrzebuję adresu mężczyzny, Mikołaja.

- Nie było go tam - odpowiedziała niewątpliwie szczerze. - Obydwa listy i pieniądze były w większej kopercie. Był tam jeszcze testament z pieczętkami.

- Jaki testament?

- No, że cały swój majątek i pieniądze zostawiam Bałabanowej...

- Gdzie on jest?

Lusia się zmieszala.

- Wyrzuciłam.

- I niczego więcej w kopercie nie było? Pieniądze, testament i dwa listy?

- Jeszcze kartka: „Babciu, jeśli Kolka przyjdzie po Wierę, oddaj mu list, a jeżeli nie zjawi się w ciągu roku, podrzyj go!”.

W tym momencie szczęknął zamek i do mieszkania weszło dwoje dzieci - chłopiec i dziewczynka. Obydwoje mieli wypchane tornistry. Dziewczynka w wieku Maszy, ale niższa o głowę, znacznie szczuplejsza, z rzadkimi włosami i z kiepskimi zębami. Chłopiec miał dość niskie czoło, wąskie niczym szparki oczy i dziwnie pyzate policzki. Jeszcze nie down, ale coś w tym rodzaju.

Na widok obcej osoby dzieci nieśmiało przystanąły przy drzwiach.

- Dzień dobry - wyszeptała dziewczynka.

- Dzień dobry, ciociu - dorzucił chłopiec.

- Idźcie umyć ręce - poleciała matka - zaraz będzie obiad.

Dzieci zniknęły błyskawicznie. Lusia popatrzyła na mnie ze smutkiem. W mojej duszy zmagaly się sprzeczne uczucia, zgoda, jest złodziejka, bezwstydnie przywłaszczyła sobie cudze pieniądze. Ale z drugiej strony te nieszczęsne, wyraźnie chore dzieci...

Spojrzałam na jej popękane, czerwone ręce. Ciężka praca zamieniła te dłonie w łopaty, powykęcane stawy dobitnie świadczyły o artretyzmie.

W tej chwili do kuchni wpadł promień światła, zaigrał na tanich filiżankach z plastiku i emaliowanym czajniku. Westchnęłam. Jak mam postąpić? Zameldować o kradzieży na milicji? Skutek wiadomy - Lusia w więzieniu, dzieci w internacie, albo, co znacznie gorsze, oddane pod opiekę babki i ojca, alkoholików... Wieroczki jeszcze nie znalazłam...

Lusia widać wyczuła, jakie wątpliwości mną targają, bo powiedziała cicho:

- Chce pani, to będę przyjeżdżała do pani sprzątać, tak, bez pieniędzy.

Poczułam się dosyć paskudnie. Do kuchni weszły dzieci. Dziewczynka niosła małego szczeniaczka, mógł mieć najwyżej półtora miesiąca. Szczeniaczek ziewał szeroko, ukazując drobne mleczne ząbki, i cicho piszczął.

- A to co znowu? - zdziwiła się Lusia, na chwilę zapominając o mnie.

- No - odezwała się cicho dziewczynka - siedział w wąwozie, pewnie wyrzucili, weźmy go, bo zdechnie, jest taki malutki.

- Proszę - dodał synek.

- Tam do licha, niech zostanie, gdzie troje, tam i czwarty się wyżywi. Trzeba go tylko umyć, żeby pchły wytępić. Macie tu, nalejcie mu mleka.

W mojej duszy pękła jakaś naciągnięta do ostateczności struna.

- No dobrze, Lusiu, muszę jechać. Cieszę się, że zaczyna pani nowe życie.

Z oczu kobiety znowu popłynęły łzy, ale teraz nie wpadła w histerię, tylko odpowiedziała spokojnie:

- Niech pani Bóg wynagrodzi za dobroć, więcej już nigdy w życiu...

Kiwnęłam głową i wyszłam. Tchu mi brakowało, gdy drapałam się z powrotem po stromych żelaznych schodach. Kiedy wreszcie znalazłam się na ulicy, popatrzyłam w dół, na zaśmiecony wąwóz, gdzie stał dom numer osiemnaście.

Wszędzie można być szczęśliwym, nawet w takim miejscu... Ciekawe, jak ja bym postąpiła na jej miejscu?

Czy odniosłabym pieniądze na milicję? Jeszcze chwilę stałam zamyślona, po czym wsiadłam do samochodu. Gdyby ktokolwiek zadał mi takie pytanie, z pewnością bym się oburzyła i odpowiedziała: „Naturalnie”. Ale sama przed sobą skłonna jestem przyznać, że nie.

## Rozdział 23

W domu najpierw poszłam do pokoju Aliski. Choć była już czwarta po południu, Aliska leżała w łóżku, nakryta kołdrą po czubek głowy.

- Źle się czujesz? - zapytałam od progu.

Cisza.

- Alisa!

Brak odpowiedzi. Podeszłam do łóżka i pociągnęłam za brzeg pledu. Na poduszce zobaczyłam pomarszczony pyszczek Freddy'ego, pokryty krostkami. Biedna małpka oddychała ze świstem, była wyraźnie bardzo chora.

Pobiegłam najpierw do telefonu, a potem do pokoju Maszki po poradnik *Choroby infekcyjne*. Niewiele w nim było o małpach, zdecydowanie więcej o kotach, psach i papugach.

Weterynarz, którego wezwałam, podrapał się po głowie.

- No cóż, pierwszy raz spotykam się z czymś takim.

- Leczył pan już małpy?

Lekarz się obraził.

- Skoro nie ma pani do mnie zaufania, to po co mnie tu wezwano...

- Ależ nie, nie, tak zapytałam. Mieliśmy w domu ospę wietrzną.

- To nie bardzo wygląda na ospę wietrzną.

- A jeśli?

Weterynarz szcęknął gniewnie torbą lekarską i zaczął wypisywać recepty.

- Wygląda po prostu na to, że ją przekarmiono. Co ona je?

- Wszystko. Ostatni raz widziałam, jak wsuwała paszteciki z mięsem.

- No to czego pani chce? - burknął, podając mi recepty. - Małpa to wprawdzie istota człekokształtna, ale przecież nie człowiek! Nawet dla ludzi paszteciki z mięsem to nie najzdrowsza potrawa. Proszę jej to podawać przez tydzień, i żadnych kotletów, klusek, pasztecików, wyłącznie zdrowa żywność, kasza na wodzie, bez soli i cukru, warzywa, najlepiej surowe, owoce...

Ciekawe, dlaczego wszystko, co jest smaczne, szkodzi, a zdrowe nie daje się przełknąć? Zajęta tą myślą, ruszyłam w obchód aptek. W jednej był potrzebny specyfik, ale w innej dawce, w drugiej w ogóle go nie było, a w trzeciej owszem, był, lecz nie w tabletkach, tylko w roztworze. Zmęczona uganianiem się po aptekach,



kupiłam ampułki. W końcu, co za różnica!

W domu wylałam zawartość ampułki na łyżkę, usiadłam na łóżku i zaczęłam szczebiotać tak jak Aliska:

- Freddińko, otwórz pyszczek.

Ale paskudnik jeszcze mocniej zacisnął zęby.

- Zobacz, Freddiczko, mucha!

Małpka ożywiła się, otworzyła pysk i zaczęła uważnie wodzić oczami za bzyzącym punkcikiem.

Wykazałam się refleksem i wylałam bezbarwny płyn na różowy język. Małpa zamarła, a potem wydała z siebie przeraźliwy wrzask: tak wrzeszczy słynny Mick Jagger na zakończenie swojego koncertu. Długie, dzikie u-u-u-u, które ma jeszcze bardziej podkreślić publiczność.

Nie zdążyłam się przestraszyć, gdy leżący do tej pory plackiem Freddy wyrwał w stronę okna, wyskoczył na taras, przewrócił dwa plecione krzesła i wypadł do ogrodu.

„Niezwykle skuteczne lekarstwo - pomyślałam, patrząc, jak małpka harcuje po ledwo zieleniejącym klombie. - Dopiero umierał, a teraz, proszę, poweselał, bawi się!”

- Boże - zawołała Aliska, która nagle wyrosła jak spod ziemi - co ci jest? Coś ty zjadł? Ratunku!

Ten krzyk zwabił Manię. We dwie jakoś poskromiły szalejącą małpę. Podeszłam do nich niepewnie i popatrzyłam na pysk swojego pacjenta. Nie, chyba zbyt pochopnie uznałam, że lekarstwo pomogło. Z pyska Freddy'ego zwisały płatki piany, oczy miał czerwone, ciekło mu z nosa, a krosty stały się jeszcze wyraźniejsze.

- Mój słodki, kochany - zawodziła Aliska, gładząc „syneczka” po zmierzwionym łepku - powiedz mamusi, coś ty zjadł, głuptasie!

Małpka sapnęła z urazą i wyciągnąwszy włochatą łapę zahuczała w moją stronę.

- U-u-u-u!

Mania pobiegła do pokoju i wróciła z ampułką.

- Musik - zapytała - dlaczego kupiłaś ampułki, skoro lekarz zapisał tabletki?

- Co za różnica? - Wzruszyłam ramionami. - Tabletek nie było, więc uznałam, że lepsze takie lekarstwo niż żadne. Czyżby lekarz przepisał truciznę?

- Nie, skąd - uśmiechnęła się Mania. - Lekarstwo jest dobre, ale błagam, poliz

brzeg ampułki.

Posłuchałam. Usta natychmiast wypełniły mi się śliną, potworna gorycz wycisnęła łzy z oczu.

- A widzisz - odezwała się z zadowoleniem Marusia, patrząc, jak zieję z wywieszonym językiem. - Ledwo spróbowałaś, a taki efekt! Wyobraź sobie męczarnie Freddy'ego, przecież on dostał całą łyżkę!

- Jak można produkować takie świństwo? - wybełkotałam z trudem.

- To są zastrzyki - wyjaśniła Masza. - A tabletki są w specjalnej słodkiej polewie. Na przyszłość nigdy nie kupuj ampułek, jeśli lekarz przepisze lek do użytku wewnętrznego.

- Chodź, koteczku, mama da ci ciasteczko - zaszcebiotała Aliska, obejmując małą.

Freddy potulnie pozwolił się poprowadzić. Ruszyłam za nimi. Nieszczęsny, wyobrażam sobie, jak się przestraszył i nacierpiał.

W nocy znowu nie mogłam spać. Pękła ostatnia cieniutka niteczka, która mogła doprowadzić do rozwiązania zagadki. Wygląda na to, że poniosłam totalną porażkę, zupełnie nie wiem, gdzie szukać Wieroczki.

Odruchowo wzięłam z szafki czekoladkę, nadgryzłam i w tej samej chwili piekielny ból przeszył mi podniebienie. Resztę nocy spędziłam na płukaniu ust wszelkimi dostępnymi środkami, ale o czwartej rano zrozumiałam, że jeśli natychmiast nie pojedę do dentysty, to się wykończę. W pamięci pojawił się adres - Krasnosielska.

W wielkiej poczekalni pod drzwiami gabinetów siedzieli w ponurym milczeniu towarzysze niedoli. Ustawiczny wizg bormaszyny działał wszystkim na nerwy. Podobno baron Montignot oczekujący w wozie na swoją kolej do gilotyny, rzucił się do kata, odtrącając tych, którzy znajdowali się przed nim w złowieszczej kolejce.

„Puśćcie mnie - krzyczał - wolę śmierć niż to czekanie”.

Teraz świetnie rozumiałam francuskiego arystokratę: byle szybciej do gabinetu! Wreszcie drzwi się otworzyły i młoda pielęgniarka powiedziała:

- Następny.

Na miękkich nogach podeszłam do fotela, ulokowałam się na skórzanych poduszkach, otworzyłam usta i zamknęłam oczy. Niech się dzieje, co chce, nie mam wyboru.

- Co za spotkanie! - usłyszałam.

Uchyliłam powieki i zobaczyłam Lianę Sundukian.

- Co się stało? - Uśmiechnęła się, obejrzała moje zęby i powiedziała uspokajająco: - Nie będzie bolało. Leno, przygotuj, co trzeba, to moja znajoma.

Mniej więcej pół godziny później siedziałyśmy na zapleczu przy kawie. A ściślej, to Liana rozkoszowała się aromatycznym napojem, bo ja napawałam się szczęściem: Liana miała cudowne ręce, w ogóle nie czułam bólu.

- Niech pani nigdy nie przyjeżdża tu w nocy - poradziła Sundukian. - Lepiej jakoś wytrzymać do rana i iść na wizytę do swojego stomatologa. Tutaj u nas osoby z ulicy nie zawsze są fachowo leczone!

Dobrze jej mówić: jakoś wytrzymać! Pomyślałam o Freddym i westchnęłam. Trudno zrozumieć czyjś ból, gdy się go samemu nie doznało. Myślę, że każdy lekarz choć raz powinien się znaleźć na miejscu pacjenta. Chirurg - na stole operacyjnym, onkolog - przejść chemioterapię. Może wtedy będzie w nich więcej współczucia dla chorych.

Moja dobra koleżanka Oksana, świetny chirurg i doświadczony lekarz, trafiła do szpitala. Oburzyło ją tam zachowanie pielęgniarek. Dziewczyny wpadały do sali, wsadzały pacjentom pod pachę mokre termometry i rzucały tabletki wprost im szafkę...

Po wyjściu ze szpitala Ksiuta natychmiast zmieniła obyczaje na swoim oddziale - kazała pielęgniarce wycierać termometry, a tabletki rozkładać do specjalnych plastikowych pojemniczków. Zdumiał je ten kaprys, ale polecenie wykonały.

- A co u Niny? - zapytałam. - Pozbierała się już po swoim „pogrzebie”?

Liana westchnęła.

- Ta nasza Ninel jest dziwna, buja w obłokach, jak to poetka. Choć czasami zrobi nagle coś takiego, że szczęka opada.

- Na przykład?

- W minioną sobotę wyszłam na dworzec po koleżankę. Pociąg przyjeżdża o szóstej rano, marzłam na peronie, a tu nagle widzę - Ninelka. O mało nie zemdlałam. Przecież ona nigdy nie wstaje przed dwunastą. A jak wyglądała - spódnica do ziemi, na głowie haftowana krymka. Była z mężczyzną. Nie wytrzymałam i zawołałam: „Ninusza, przedstaw mi kawalera”. Burknęła niechętnie: „To Sierioża, a to moja siostra”. A facet na to: „Świetnie, razem pojedziemy na modlitwę, tak?”. Nina go

trąciła i zamilkł. Wyobraża pani sobie - Ninel uczestniczy w modlitwach!

We mnie jakby piorun strzelił. Rozwiązanie zagadki miałam tuż przed nosem. Ninel była pacjentką Ludmiły, potem się zaprzyjaźniły... Na pewno należy do sekty. Osobowościowo doskonale do tego pasuje. Natura romantyczna, bez unormowanego życia rodzinnego, w dodatku właścicielka dwóch mieszkań...

- Liano, gdzie można znaleźć wiersze Ninel?

- Po co one pani - roześmiała się - to nie wiersze, tylko chłam.

- Nie szkodzi. Gdzie?

- Ostatni raz drukowano je w piśmie „Orbita”.

Z trudem dotrwałam do jedenastej i pomknęłam do siedziby redakcji. Powinno tam być archiwum.

Redaktor naczelny, okazały mężczyzna około pięćdziesiątki, a sądząc po ubiorze i wymanikiurowanych dłoniach, playboy i bon vivant, obrócił w rękach mój francuski paszport i nieomal zacwierkał:

- Cóż przywiodło w nasze skromne progi tak piękną damę?

- No cóż, nudne obowiązki służbowe - dopasowałam się do jego tonu i zaczęłam zmyślać jak najęta.

Pracuję w paryskim w wydawnictwie „Pinguin”. Chcemy wydać zbiór współczesnej poezji rosyjskiej, najchętniej kobiecej, czy więc mogłabym...

- Naturalnie, naturalnie - przerwał i zawołał: - Kseniu Iwanowno, proszę zaprowadzić gościa do biblioteki.

Mniej więcej po godzinie miałam w rękach kserokopię. Podjechałam do McDonalda, kupiłam big maca, kawę, ciastko i zagłębiłam się w lekturze.

Latarnie sączą światło,  
A ciebie tu zabrakło,  
Pociągi odpłynęły daleko,  
Pomknęły we mgły mleko,  
Lecz latarnie światło sączą swe,  
A przy mnie nie ma cię...

I tym podobne bzdury. Nie jestem, rzecz prosta, znawczynią poezji, ale takie częstochofskie rymy przypominają mi gazetki ściennie. Jednakże redakcja była najwidoczniej innego zdania, wybór bowiem poprzedzał artykuł, w którym Ninel

określono jako „utalentowaną poetkę z wyraźnie zarysowaną osobowością”.

Wyciągnęłam telefon i wprosiłam się z wizytą do „utalentowanej poetki”.

Nie wiem, jak tam u Ninel z iskrą bożą, ale gospodarstwo domowe z pewnością nie było jej hobby. W małym przedpokoju walały się buty, kaptcie i kłębki kurzu.

Niewielka kuchnia, do której mnie zaprowadziła, wyglądała podobnie: burobrudne firanki, poplamiona płyta kuchenki, lepka cerata i góra brudnych filiżanek.

- Napije się pani kawy?- zapytała uprzejmie.

Zawahałam się na chwilę, patrząc na upaprany czajnik. Może lepiej nie ryzykować, ale jednak wyrwało mi się:

- Dziękuję, z przyjemnością.

Ninel naląła napój do niezbyt czystej filiżanki i zapytała:

- Co panią do mnie sprowadza? Mam wrażenie, że już się gdzieś spotkałyśmy, ale nie pamiętam gdzie. Jestem krótkowidzem i zupełnie nie mam pamięci wzrokowej. Zdarza się, że spotkam kogoś, wiem, że skądś się znamy, ale ani w ząb nie wiem, kto to jest.

Przelknęłam łyk kawy i zdumiałam się - świetna, taką mogę nawet wypić z niedomytej filiżanki. Ale ani mi w głowie przypominać Ninel o naszym pierwszym spotkaniu, i to na jej własnej „stypie”, akurat jej kiepska pamięć wzrokowa jest mi bardzo na rękę.

Rozkoszując się kawą, wyjęłam z torebki kartki i z zachwyconą miną zaczęłam terkotać:

- Mam taki pospolity wygląd, że wszyscy wciąż mnie z kimś mylą.

Przepraszam, ale piszę wiersze i nie mam się kogo poradzić... ostatnio wpadło mi w ręce pismo z wyborem pani wierszy i zapragnęłam z panią porozmawiać, ale najpierw poproszę o autograf...

Ninel rozpromieniła się i zaczęła starannie podpisywać podsunięte jej kartki.

- Przyniosła pani swoje wierszyki? - zapytała, zakończywszy procedurę. -

Mogę spojrzeć?

Podaliśmy jej zeszyt.

- Zobaczmy - zamruczała i zaczęła deklamować z uczuciem: -

Pod mostem Mirabeau

Sekwana płynie cicho  
Unosi miłość naszą.  
Dzień się dopalił, czas dokonał  
Ja jestem nadal, a dzień minął.

Recytacja zajęła jej piętnaście minut. Następnie wzięła ołówek i zaczęła mi wyjaśniać moje potknięcia.

Patrząc, jak łatwo poprawia utwór znakomitego francuskiego poety Apollinaire'a w moim wolnym przekładzie, mocno się zdumiałam. Ale gdyby się dowiedziała, czyj to wiersz, z pewnością przewróciłaby oczami i zapiała z zachwytu: „Fascynujące!”.

A tak usłyszałam: obraz niezbyt wyrazisty, metafory mało oryginalne, kulawy styl, brak uczucia.

Słuchając tej druzgoczącej recenzji, przypominałam sobie nasze rodzinne psikusy.

W końcu lat osiemdziesiątych pewien znajomy przywiózł nam z Londynu litrową butelkę wódki „Smirnoff”. Zaproszeni goście pili „ognistą wodę”, zachwycając się jeden przez drugiego.

- Tak, u nas takiej nie ma, pijemy jakieś świństwa!

Ładną, w tamtych czasach niespotykaną butelkę zachowaliśmy i przelaliśmy do niej najzwyklejszą „Stoliczną”. Przy następnej okazji przyjaciele znów się zachwycali.

- Co za wódka, czysta jak łąza, słodka, nie to, co nasza „Stoliczna”.

Odtąd, aż do początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy to obfitość trunków zalała sklepy, ja i Natasza zawsze podawaliśmy na stół „firmowy” trunek. „Efekt butelki” sprawdził się też w innych przypadkach. Szampon „Malec” przelany do pojemnika po niemieckim szamponie wychwalany był za wspaniałą pianę, perfumy „Konwalia” we flakoniku po „Diorissimo” miały niezwykle subtelny zapach, kawa rozpuszczalna wyprodukowana w Leningradzie, po przesypaniu do puszki z napisem „Nescafe”, nabierała niepowtarzalnego smaku. A po radzieckiej aspirynie, zapakowanej do plastikowej buteleczki z napisem „Made in USA” ból głowy przechodził wszystkim bez wyjątku.

Starłszy na proch giganta poezji francuskiej, Ninel westchnęła ukontentowana i zapytała:

- I co, ciężko pani na duszy?

- Jakim cudem się pani domyśliła? - odrzekłam obłudnie.

Sundukian poszperała w wielkiej torbie, bardziej przypominającej walizkę, i wyjęła paskudne papierosy mentolowe, pstryknęła tanią zapalniczką. Płomyk nie pokazał się, więc wyjęłam swoją od Cartiera.

- Dziękuję - uśmiechnęła się i rzuciwszy okiem na złotą zapalniczkę, mruknęła: - Droga zabawka, ja takich unikam, bo wciąż wszystko gubię - rękawiczki, papierosy, zegarki... Więc kupuję tandetę.

Wsunęłam zapalniczkę do kieszeni i powiedziałam z westchnieniem:

- Bogactwo jest, ale szczęścia brak!

- Czemu? - zainteresowała się szczerze.

- Ach, moja droga, pani będzie trudno to zrozumieć, w dodatku jestem samotna i nie przywykłam do zwierzania się ze swoich problemów. Choć, proszę mi wierzyć, czasami tak bym chciała z kimś porozmawiać!

- Pani wiersze już mi sporo powiedziały - zapewniła mnie z przejęciem. - Myślę, że jesteśmy bratnimi duszami, samotne, niezrozumiane, subtelne...

Miętosząc skraj ceraty, zaczęłam się uskarżać.

Mieszkam w wielkim podmiejskim domu, otoczona służbą i zwierzętami. Ale przecież żaden pies nie zastąpi dziecka, którego Bóg mi nie zesłał. Owszem, byłam mężatką kilka razy, ostatni raz wyszłam za starego i bogatego Francuza. Spadło na mnie bajeczne bogactwo. Przyjemnie jeździć szykownym volvo, a nie zapchanym metrem, jeść frykasy i nie wstawać przed siódmą, żeby zdążyć do pracy. Ale szybko dotarło do mnie, że szczęścia i miłości nie da się kupić. Zaczęły się kłopoty ze zdrowiem. Migreny, wrzód żołądka, bóle serca... Postanowiłam wydać na własny koszt tomik wierszy, wydawnictwa odmawiały mi publikacji. Jak widać, bogaci też płaczą. Zupełnie nie wiem, co z sobą począć! Przez kilka miesięcy sumiennie, regularnie chodziłam do cerkwi, ale głęboko się rozczarowałam. Wszystko ta wygląda nazbyt teatralnie, pop wiecznie się spieszy, nie ma czasu, żeby człowieka wysłuchać, jego żona ma muchy w nosie... Czekają tylko na obfite datki. Mówiąc krótko, pozbyłam się iluzji, jestem sama jak palec, płaczę w poduszkę, choć przy ludziach robię dobrą minę do złej gry...

- Kochana - wyszeptała Nina - kochana, nawet pani nie wie, jak świetnie to rozumiem. Bogactwa wprawdzie nie mam, ale wszystko inne...

Wbiła we mnie spojrzenie czarnych, przepastnych oczu. Znowu uderzyło mnie

zdumiewające podobieństwo do zmarłej Ludmiły Szabanowej. Taka sama smagła cera, kruczoczarne wspaniałe włosy, delikatny nos o nerwowych nozdrzach.

- Niekiedy przychodzą mi do głowy głupie myśli - naciskałam mocniej na pedał. - Kupić w aptece tabletki na sen i wreszcie z tym skończyć. Szkoda tylko, że wszystkie te miliony przypadną państwu, bo nie mam żadnej rodziny ani przyjaciółek...

Ninel się zachnęła:

- To straszny grzech! Proszę nawet nie myśleć o samobójstwie. Nasze myśli się materializują, należy myśleć wyłącznie pozytywnie!

- Próbuję, ale nie najlepiej mi to idzie. - Pociągnęłam nosem, następnie oparłam głowę na stole i zaczęłam trząść ramionami, udając płacz i skrajną rozpacz.

Sundukian pogłaskała mnie po włosach.

- No, no, z każdej, nawet najbardziej złożonej sytuacji jest jakieś wyjście!

- Nie - szepnęłam z bólem - nie z każdej...

- Ja też tak myślałam - westchnęła Nina - zanim spotkałam Ojca i Nauczyciela.

- Kogo?

- Człowieka, który odmienił całe moje życie, prawdziwego przyjaciela. Teraz żyję w Rodzinie i moje serce pławi się w promieniach zbawiennej miłości.

- Kochana moja, proszę mi opowiedzieć. Może i ja...

- Oczywiście - rzekła Nina energicznie. - Proszę posłuchać.

Ninoczka od dzieciństwa uważała, że różni się od rówieśników. Ojciec - inżynier, mama - ekonomistka, ciotka - matematyk, wujek - fizyk... Cioteczna siostra Liana była świetną uczennicą... Skąd więc w takiej rodzinie mogła się trafić dziewczynka o poetyckiej duszy? A jednak! Nina myślała wyłącznie o pisaniu wierszy. W głowie kłębiły się rymy i strofki.

Jako tako skończyła szkołę i zaczęła pisać wiersze. Potem zginęli rodzice, umarła babcia. Z krewnych pozostała jedynie Liana, absolutnie przyziemna istota. Jest dentystką, świetnie zarabia, istota całkowicie bez polotu, obchodzą ją wyłącznie dobra doczesne. O czym można z taką porozmawiać? O cenie kurzych udek? O nowo kupionym telewizorze? Ninel jest ponad to wszystko. Na szczęście ukochana babcia zostawiła jej duże mieszkanie. Nina je wynajmuje i z tego żyje. Gdyby nie to, musiałyby szukać pracy, siedzieć obok nieuków, którzy nigdy nie czytali Briusowa i Balmonta, wypełniać polecenia brzuchatego szefa, niemającego pojęcia o wierszach



Pasternaka...

Za mąż nie wyszła. Ależ nie, nie była starą panną, trafiali się kawalerowie, z niektórymi nawet mieszkała. Ale już po tygodniu życia „rodzinnego” mężczyźni odsłaniali swe prymitywne natury. Domagali się ciepłych posiłków, czystych koszul i umytych podłóg. Romantyzm się ulatniał, głośna lektura wierszy zaczynała ich wściekać... „Małżeństwo” się rozpadało, nim oficjalnie zaistniało. Wreszcie Ninel uznała raz na zawsze, że wszyscy mężczyźni to zwierzęta, i postanowiła, że będzie sama, choć od czasu do czasu nawiązywała niezobowiązujące znajomości, ale wyłącznie dla seksu. Bóg obdarzył ją gorącym temperamentem, to zapewne dziedzictwo ognistych ormiańskich przodków.

Życie Niny zmieniło się radykalnie, gdy poznała Ludmiłę Szabanową. Początkowo po prostu leczyła u niej zęby, potem raz, drugi napomknęła o swoim ciężkim losie... Zaprzyjaźniły się. Razem chodziły do teatru, na wieczory poetyckie w Domu Literatów.

Kiedyś, gdy Ninel znów uskarżała się na los, Ludmiła zaproponowała, żeby wybrała się z nią do jej krewnych.

- Poznasz mojego brata i jego rodzinę, na pewno ci się spodobają.

Ninel przystała z ochotą i w piątek wyruszyły kolejką elektryczną pod Moskwę.

Więś spodobała się Ninie, jeszcze większe wrażenie zrobił na niej Nikołaj albo, jak go tam wszyscy nazywali, Ojciec i Nauczyciel. Wzięła udział w modlitwach, wypila „napój wiary” i dostała audiencji u Ojca i Nauczyciela.

Do Moskwy wróciła ogłuszona nowymi uczuciami i emocjami. Całą duszą rwała się do dużej sali modlitw, gdzie, płacząc razem z pozostałymi członkami sekty, Ninel doznawała znacznie głębszych uniesień niż te, jakich kobieta może zaznać w łóżku.

Po kilku miesiącach przyjęła chrzest i stała się jedną z „pątników”. Teraz żyje od modlitwy do modlitwy i wyczekuje spotkań z uwielbianym Ojcem i z Rodziną.

- Wszyscy jesteśmy jednym organizmem - mówiła z zapalem. - Wiązą nas nierozzerwalne nici. Już nie jestem samotna w obojętnym świecie, a moje wiersze są czytane na naszych zebraniach. Co więcej, przyjąwszy prawdziwą wiarę, poczułam niezwykle przyływy sił twórczych, piszę więcej i lepiej. Zauważyli to nawet inni, niech pani spojrzy.

Z dumą położyła na stole jakiś papier. Umowa wydawnicza. Jakieś „Koro”

zamierzało wydać tomik *Za błękitną mgłą*, autorstwa Sundukian.

- Ach, Boże - westchnęłam. - Kochana, niech mnie pani pozna z Ojcem, ja też chcę odzyskać sens życia.

- Nic prostszego - ucieszyła się. - Chce pani pojutrze wybrać się tam ze mną?

Energicznie kiwnęłam głową. Mowa, marzę o tym.

## Rozdział 24

Do domu wróciłam cała w skowronkach. Po drodze kupiłam dwadzieścia ciastek i mnóstwo cukierków. Dzisiaj sobie użyjemy, moje śledztwo wreszcie ruszyło z martwego punktu, wkrótce zobaczę Wieroczkę i wtedy pomyślę, jak ją wykraść. Moi domownicy są bardzo mili, serdeczni, uprzejmi, Aliska też nie jest taką znów grubianką, niech sobie używa tego swojego języka, jeśli jej to potrzebne. A Fila chyba rzeczywiście jest niezłym lekarzem. Krople na migrenę, które mi dał, działały cudownie, ból mijał natychmiast. Czasem wystarczało, że powąchałam słoiczek i czułam się lepiej. Freddy też jest na swój sposób sympatyczny...

Przepełniona radością, otworzyłam drzwi do salonu i zobaczyłam na kanapie Aliskę, czytającą gazetę. Olga siedziała przed telewizorem. Obawiam się, zapadnie na narcyzm, bo znów gapi się na nagrany na kasecie „Świat sportu”.

- Podoba ci się? - zapytałam.

Spojrzała na mnie i mruknęła niechętnie:

- Okropne. Cienie pod oczami, nos jak u Pinokia, siano na głowie, patrzeć nie można...

- Myślę, że jesteś zbyt krytyczna wobec siebie - roześmiała się Aliska, nie podnosząc oczu znad gazety. - Na ekranie wyglądasz świetnie, o wiele lepiej niż w rzeczywistości!

- Chcesz powiedzieć, że wyglądam jeszcze gorzej niż tu? - Olga wskazała na wideo.

- Jasne, w rzeczywistości wyglądasz jak strzyga, nie ma na czym oka zawiesić, a w świetle reflektorów zamieniasz się w piękność. Szczerze mówiąc, na ogół bywa odwrotnie. Pojawia się taka, śliczna jak malowanie, po prostu Marilyn Monroe, a gdy popatrzy się z widowni na scenę - zwykła kuchta.

Kicia aż się zakrztusiła z wściekłości.

- Nie jestem żadna kuchta!

- Nie - potwierdziła spokojnie Aliska, opuszczając gazetę. - Bardziej przypominasz pomywaczkę!

Ale ja już nie słuchałam tego przekomarzania. Mój wzrok padł na twarz Aliski. Co się stało z jej wspaniale zadbaną, wręcz porcelanową cerą? Policzki, czoło, podbródek i nawet szyję pokrywały paskudne czerwone krostki.

- Alisa! - wyrwało mi się.

- Co? - zapytała z całkowitym spokojem.

W tym momencie do pokoju wpadł Freddy. Jego mordka mieniła się wszystkimi odcieniami zieleni, tak wysmarowali biedną małą.

- Kociaczkę mój kochany - zakwiliła Aliska. - Chodź tu, pocałuj mamusię.

Mała posłusznie skierowała się w jej stronę.

- Alisa! - wrzasnęła Kicia. - Alisa!

- Wiem, już od dwudziestu pięciu lat jestem Alisa!

Puściłam mimo uszu bezczelnie zaniżony wiek i zaciekawiłam się:

- Co ci jest?

- Nic - wzruszyła ramionami - a co ma być? Co się tak na mnie gapicie, jakby mi na głowie grzyby wyrosły?

- Kiedy ostatnio się przeglądałaś? - zapytałyśmy chórem ja i Kicia.

Aliska ziewnęła rozleniwiona.

- Chryste, w tym domu nie można mieć chwili spokoju. Ledwo usiadłam, żeby odsapnąć i poczytać gazetę, zaraz napadły na mnie jak harpie...

Olga podsunęła jej pod nos puderniczkę. Aliska zerknęła w nią od niechcenia i wrzasnęła:

- Boże! Co wyście ze mną zrobiły?

- Nic ci nie zrobiłyśmy - ofuknęła ją Kicia, nerwowo wyłączając telewizor.

- Okropne, potworne - wrzeszczała eksmadame Polańska, dotykając krostek drążącymi palcami.

- Całuj się, całuj z tą swoją małą - prychnęła Olga, zmierzając do drzwi. - W każdym razie ja nie zejdem na dół, póki się nie wyleczysz. Tylko tego mi brakuje, żeby złapać to paskudztwo, już sama nie wiem, czy to ospa wietrzna, czy alergia...

- Alergia nie jest zaraźliwa - oświadczyła Mania, która właśnie weszła do pokoju.

- To twoja wina - wydarła się Olga na szwagierkę. - Zachciało ci się ospy wietrznej. A o nas nie pomyślałaś? Ciekawe, jak ja wystąpię z taką gębą?

- Koszmar! Potworność! - wściekała się Aliska, rozpinając bluzkę.

Okazało się, że piersi i plecy również są obsypane krostkami.

- Myślisz tylko o sobie, egoistko! - warknęła Mania na Kicię. - Ty masz zamiast serca telewizor!

- A ty masz zamiast głowy puszkę konserw - odcięła się Olga.

- Wezwijcie natychmiast lekarza, umieram... karetkę, nosze, do szpitala, ale już! - Aliska tupąła ze złością. - Jutro tańczę *Jeziorko!* Wyobrażacie sobie łąbędzia całego w pryszczach?

- Stoisz tak daleko, że nie będzie widać twarzy - dogryzła jej Olga. - A ja przez dwadzieścia minut na pierwszym planie przekazuję informacje na cały kraj i bliską zagranicę.

- Och, och, myślałby kto, gwiazda eteru, dupa na cienkich nóżkach - wrzasnęła Aliska. - Gównu robisz, czytasz z kartki, a ja tworzę obraz!

- Dość tego - nie wytrzymałam. - Jak wam nie wstyd! Olga, ty nie masz śladu wyprysków, a u Alisy to zapewne alergja! Nikt nie jest winien. Ospa wietrzna to choroba wieku dziecięcego, wątpię, czy któraś z was ją złapała, na pewno przechodziłyście ją w dzieciństwie!

- A dlaczego Arkaszka się zaraził? - wtrąciła swoje trzy grosze Mania.

Wzruszyłam ramionami.

- Bo on akurat nie zachorował w dzieciństwie.

- To wszystko przez ciebie - warknęła znowu Kicia pod adresem Maszy.

- Posłuchajcie - spróbowałam wyciszyć emocje. - Naprawdę wierzycie w te jakieś tam gusła?

- No pewnie! - zawołała Kicia.

- Naturalnie - przytaknęła Mania, sięgając po ciastka. - Każdy pomyślał, czego pragnie, a Fila zapewnił, że to się spełni.

- Fila! - prychnęła Aliska. - Nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny.

Wymknęłam się z salonu. Niech się same dogadają, bo jak można poważnie traktować osoby, które szczerze wierzą w czary, magię i szamanów!

W nocy znów nie mogłam spać. Dawno już pogodzone panienki poszły do łóżek. Psy pokładły się na kanapach, słodko pochrapujący Hootch leżał na grzbiecie, wystawiając kragły, grubiutki brzuszek.

W kuchni ciemno, u Irki w pokoju paliła się lampka nocna. Wszyscy już odpoczywają, tylko ja tłukę się po pokoju, usiłując poskromić rozbuchane myśli.

Pojutrze zobaczę wreszcie Nikołaja. Facet najwyraźniej obdarzony jest wspaniałymi, jak to się teraz określa, ekstrasensorycznymi zdolnościami, a może nawet potrafi hipnotyzować. Z pewnością zechce to wypróbować i na mnie.

Jak należy się bronić przed takim człowiekiem? Nic kompletnie nie wiem o transie hipnotycznym.

Papieros się dopalił, uchyliłam okno, wyrzuciłam niedopałek i podjęłam decyzję. Jutro pojedę na uniwersytet, na wydział psychologii. Pracuje tam niejaki Mielniczenko, podobno gwiazda w dziedzinie medycyny niekonwencjonalnej.

...Wydział psychologii mieści się na tyłach hotelu „Inturist”. Żółty budynek stoi w taki sposób, że okna sal wykładowych wychodzą na zaplecze i głodni studenci widzą, jak w ogromnych kuchniach zręczni kucharze i podkuchenni szykują mięsiwa, warzywa, owoce, przygotowując dla zagranicznych gości smaczne i kaloryczne potrawy. Mnie by w takiej sytuacji nauka z trudem wchodziła do głowy.

Profesora znalazłam na pierwszym piętrze. Zatrzymałam dziewczynę w rozciągniętym niemal do kolan swetrze i zapytałam zdecydowanym tonem:

- Gdzie jest gabinet profesora Mielniczenki?

Dziewczyna prychnęła.

- U nas profesorowie nie mają gabinetów. Andriej Nikołajewicz jest tam.

Idąc wzrokiem za jej poplamionym atramentem palcem, zobaczyłam grupę młodych ludzi w dzinsach. Na pierwszy rzut oka trudno się zorientować, kto tu jest studentem, a kto profesorem.

- Andrieju Nikołajewiczu! - zawołała dziewczyna. - Ktoś do pana.

Szczupły chłopak w czerwonej koszuli i lewisach odwrócił się i spytał:

- Pani do mnie?

Na chwilę odebrało mi mowę. Twarz Mielniczenki wyglądała jak oblicze Chrystusa. Podłużna, z wąskim nosem. Kasztanowe włosy. Obrazu dopełniała starannie przycięta broda. Któryś z ewangelistów pisał, że Mesjasz był niebieskooki. Natomiast profesor patrzył na świat czarnymi, cygańskimi oczami.

- Czy pani do mnie? - powtórzył uprzejmie, podchodząc bliżej.

Z bliska nie wyglądał już tak młodo. W rzeczywistości był już dobrze po czterdziestce, bliżej pięćdziesiątki.

- Czym mogę służyć?

- Gazeta „Świat Nowinek” - przedstawiłam się.

- Zamieniam się w słuch. - Uśmiechnął się z rezygnacją.

- Gdzie możemy porozmawiać?

Zaczął się rozglądać.

- Wszędzie jest pełno ludzi, w salach są zajęcia, zaraz, przejdźmy tutaj.

Weszliśmy do jakiejś niepozornej klitki z obdrapanymi meblami. Żółte, dość sfatygowane stoły, krzesła nie od pary i kilka nędznych szaf z zepsutymi drzwiami.

Zrobiło mi się przykro. Na uniwersytecie paryskim, sławnej Sorbonie, wszystko wygląda inaczej, tam nie wstyd przyjmować gości. Choć studenci tu i tam są tacy sami - w swetrach i dżinsach, a i profesorowie nie noszą garniturów. Nie z biedy, luminarze francuskich uniwersytetów uważają po prostu demonstrowanie burżuazyjnych zwyczajów za przejaw złego gustu. Marynarka, biała koszula i krawat to przywilej urzędników, lekarzy i adwokatów.

- Naszych czytelników - zaczęłam zmyślać - bardzo interesuje zagadnienie hipnozy.

Mielniczenko sposepniał.

- „Świat Nowinek” to pismo popularne, wątpię, czy jego prenumeratorzy rozumieją niuanse...

- To proszę bardziej przystępnie...

Andriej Nikołajewicz rozłożył ręce.

- To może lepiej niech pani pyta.

- Czytelniczka Niewzorowa jest ciekawa, czy można człowieka zahipnotyzować bez jego wiedzy.

Mielniczenko spojrział na mnie swoimi niesamowitymi oczami. Miało się wrażenie, że profesor nie ma źrenic albo raczej że tęczęwki są tej samej barwy co źrenice, przez co oczy wydawały się przepastne. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam sens powiedzenia „utonąć w czyichś oczach”. Istotnie, zupełnie jakbym się pogrążyła w ich lśniącej głębi, znikająca... Potrząsnęłam głową, usiłując wyzbyć się tego złudzenia i postanowiłam, że będę patrzeć wyłącznie na nos profesora albo na czoło, wszędzie, byle nie w oczy...

Andriej Nikołajewicz wyjął z kieszeni papierosy „LM” i zapytał:

- Czy pani wie cokolwiek o transie?

Pokręciłam przecząco głową. Psycholog zaciągnął się i zaczął mówić donośnym głosem. Już dawno zauważyłam, że prawdziwi pedagodzy, odpowiadając na pytania, mówią inaczej niż zwykle.

- Pod koniec lat pięćdziesiątych w Niemczech zaczęły się powtarzać napady na banki. Bandyci działali według klasycznego schematu: czarne maski na twarzach, broń i wrzaski: „Nie ruszać się!”. Ich łupem stały się niebagatelne sumy. Policja stawała na głowie, ale nie zdołała namierzyć bandziorów. Informatorzy też rozkładali ręce. Wśród zawodowych przestępców nikt o nich nie wiedział.

Pomógł przypadek. Podczas kolejnego napadu kasjer zdołał nacisnąć pod

stołem guzik alarmu. Momentalnie pojawiła się brygada policji. Policjantów zdziwiło, a właściwie wprawilo w osłupienie zachowanie bandytów. Na widok uzbrojonych funkcjonariuszy nie zaczęli do nich strzelać, lecz usiłowali popełnić samobójstwo, cała szóstka.

Dwóch udało uratować. Ciała pozostałych pokazano w telewizji. I tu śledczych czekała kolejna konsternacja. Wszyscy oni byli przyzwoitymi członkami społeczeństwa, porządnymi obywatelami ze stabilnym dochodem, mocną pozycją i szczęśliwymi rodzinami. Właściciel sklepu z materiałami budowlanymi, znany, świetnie prosperujący lekarz, modny dziennikarz i właściciel korporacji taksówkowej... Co ich sprowadziło na drogę przestępstwa?

Jeszcze bardziej zagmatwały wszystko zeznania bandytów, którzy przeżyli. Hans Schröder i Max Frisch po odzyskaniu przytomności absolutnie niczego nie pamiętali. Hans, właściciel galerii obrazów, i Max, nauczyciel angielskiego, utrzymywali, że się w ogóle nie znają i nigdy nie uczestniczyli w żadnym napadzie. Po prostu nagle zasnęli w pracy, a ocknęli się w szpitalu pod kroplówkami. Przesłuchanie przy użyciu wykrywacza kłamstw potwierdziło, że nie kłamią. Doprawdy, ciężki orzech do zgryzienia dla śledczych!

Policjanci wykonali gigantyczną robotę, przesłuchali dziesiątki ludzi, ale nie udało odkryć żadnych powiązań między przestępcami. Wyglądało na to, że ci ludzie istotnie nigdy się nie spotkali.

Ale to przecież niemożliwe! Jedyne, czego się dowiedzieli, to że Hans, Max i pozostali czasami wpadali w jakieś dziwne otępienie, jakby spali z otwartymi oczami.

Lekarz pewnego razu śmiertelnie wystraszył pacjenta, gdy opuścił nagle gabinet z oczami w słup, zapomniawszy o bożym świecie.

Dziennikarz zasnął kiedyś na kolegium redakcyjnym i zaczął śpiewać sprośne piosenki, szef korporacji znalazł się, nie wiedząc jakim sposobem, w innym mieście...

Podobnie zdumiewające zachowanie zaobserwowano i u pozostałych. Najbardziej przypominało to lunatyzm.

Ale w bandę lunatyków napadających na banki niemiecka policja kryminalna nie mogła uwierzyć.

W końcu jeden ze śledczych wpadł na pomysł, by zbadać ich przeszłość. I co się okazało - wszyscy byli więźniami obozu śmierci Dachau. Co więcej, w różnym czasie stali się obiektami zainteresowania doktora Rauschenbacha.

Powszechnie wiadomo, że niemieccy lekarze prowadzili w obozach



koncentracyjnych doświadczenia medyczne. Tam wypróbowywali nowe lekarstwa, rozpracowywali metodykę ryzykownych operacji, sprawdzali wpływ różnorodnych preparatów chemicznych i trucizn na żywe organizmy. Uczni na całym świecie prowadzą tego typu badania, jako obiekty wykorzystując myszy, szczury, psy i małpy. Hitlerowscy specjaliści przeprowadzali je na ludziach.

Nieszczęśnikom amputowano kończyny bez narkozy, aplikowano szalone dawki hormonów. Nawiasem mówiąc, kobietom na całym świecie, zażywającym tabletki antykoncepcyjne, nawet do głowy nie przyjdzie, że niemieccy ginekolodzy wypróbowywali je na Polkach w Auschwitz.

Ale doktor Rauschenbach nie znął się nad swoimi „podopiecznymi” fizycznie. Wręcz przeciwnie, więźniowie mieszkali w doskonałych warunkach, byli należycie karmieni... Fritz Rauschenbach badał możliwości hipnozy - jak z ludzi zrobić zombi. Wprowadzał do mózgu pacjentów nakaz, że na określony sygnał mają włożyć maski, wziąć pistolety.

- W jaki sposób przekazywał im sygnał? - nie wytrzymałam.

Andriej Nikołajewicz wzruszył ramionami,

- Mogło to być cokolwiek. Telefon i zdanie, choćby takie: „Pozdrowienia od Katrin”. Informacja absolutnie neutralna dla niewtajemniczonych, dla adresata stawała się impulsem do działania.

- Słyszałam, że człowieka nie można zmusić, by w transie dokonał tego, do czego nie jest zdolny, na przykład zabójstwa.

Profesor skinął głową.

- Zgadza się. Przypuśćmy, że w czasie seansu nakaże pani choremu, by pchnął kogoś nożem. Zapewne odrzuci nóż. Albo spróbuje pani go nakłonić, by zjadł ropuchę - pewnie wzdrygnie się ze wstrętem...

- A widzi pan, to znaczy, że nie można dokonać przestępstwa, będąc w transie!

Profesor się uśmiechnął.

- Proszę sobie wyobrazić, że jest pani matką, która widzi, jak bandzior gwałci jej córkę. Powstrzymać go można jedynie, strzelając do niego. Co by pani zrobiła?

- Złapałabym pistolet i w łeb.

- Otóż to. A teraz niech się pani postawi na miejscu śmiertelnie chorego człowieka. Lekarstwa ani operacja nie pomogły, czekają go długie cierpienia i śmierć. Ale oto nagle pojawia się specjalista, który obiecuje całkowite wyleczenie. Trzeba

tylko zjeść ropuchę. I co wtedy?

- Myślę, że to nie jest gorsze niż urynoterapia, jasne, żebym połknęła, w całości.

- Czy teraz rozumie pani, w jaki sposób prawdziwy profesjonalista może zmusić pacjenta do wszelkich czynów?

- Naprawdę do wszelkich?

- Właściwie tak.

- Nie chce mi się w to wierzyć.

Andriej Nikołajewicz znów wyjął papierosy.

- Ech, ci dziennikarze! Zawsze niedowiarki. Zresztą, niebawem się pani przekona, że mam rację.

- Czy każdego można zahipnotyzować?

- Teoretycznie istnieją jednostki niepodatne, ale ja takich nie spotkałem.

Należy tylko pamiętać, że osoby, które do mnie przychodzą na seans, wiedzą, że wprowadzę je w trans, toteż oczekują takiego stanu. Gdy przeprowadzam seanse na ogólnych pokazach, w obecności mnóstwa ludzi, oddziałują oni na siebie nawzajem. Tłum z zasady jest histeryczny. Ktoś zawoła: „Pożar!”, i wszyscy gnają przed siebie. Prowadzi się nawet specjalne badania nad zachowaniem tłumu...

- To znaczy, że nie sposób przeciwstawić się sugestii?

- Ależ skąd! Znane są konkretne dane różnych wywiadów świata. Na przesłuchaniach z zastosowaniem hipnozy niektórzy zdołali się oprzeć. Są nawet specjalne metody, które pomagają „nie popłynąć”.

- Jakie?

Andriej Nikołajewicz się uśmiechnął:

- Miła pani, na to zagadnienie przeznaczona jest cała seria wykładów, a pani chce się wszystkiego dowiedzieć w ciągu piętnastu minut.

- Niech pan powie choć cokolwiek.

- To zależy, w jaki sposób wprowadza się człowieka w trans. Nie należy patrzeć na miarowo kołyszące się, błyszczące, połyskujące przedmioty, nie koncentrować się na słowach, wymawianych przez hipnotyzera, powtarzać sobie w tym czasie tabliczkę mnożenia albo odmieniać czasowniki, najlepiej w języku obcym, ale to dość prymitywne metody. Na omówienie bardziej wyrafinowanych nie mam teraz czasu. Aha, jeśli zostaną zaaplikowane środki farmakologiczne, to te metody nie będą skuteczne, choć zdarzają się osoby, które potrafią się oprzeć działaniu leków.

Przede wszystkim człowiek musi znaleźć w sobie motywację, by się oprzeć.

- Co ma pan na myśli?

- Przypuśćmy, że ukryła pani gdzieś swoje dziecko, a wrogowie usiłują je odnaleźć i zabić. Jasna sprawa, że będzie się pani trzymała z całych sił.

Znów sięgnął po papierosa.

- Kto najłatwiej poddaje się hipnozie?

Mielniczenko obrócił papierosa w palcach i wsunął go z powrotem do paczki.

- Nie ma wyraźnych kryteriów. Dzieci, starszankowie, z wykształceniem podstawowym, uczeni - zahipnotyzować można każdego, rzecz w tym, po co i kto stosuje hipnozę.

- A osoby wierzące?

- Te z pewnością należą do „grupy ryzyka”. Niech się pani zastanowi, czym jest nabożeństwo w kościele? To swoisty psychoterapeutyczny seans z elementami transu. Smętny, na jednej nucie śpiew, zapach kadzideł, migoczące płomyki świec. Liczne sekty, pleniące się ostatnio, aktywnie wykorzystują hipnozę.

- Żeby zostać hipnotyzerem, trzeba mieć zapewne szczególny talent?

- Skądże, na dobrą sprawę można tego nauczyć każdego, robimy to z powodzeniem u nas na wydziale z przyszłymi psychologami.

- Słyszałam, że kobiety nie mają takich predyspozycji, aha, i że podobno zależą one od koloru oczu.

- Bzdura - prychnął profesor. - To nie ma nic do rzeczy... wystarczą same chęci. Niech pani zwróci uwagę na ogłoszenia w gazetach, typu „nauczmy hipnozy w ciągu trzech tygodni, wydajemy świadectwa”. To jawne oszustwo. W tak krótkim czasie nie można się niczego nauczyć. A tacy, pożałuj Boże, „uzdrowiciele” wyłącznie szkodzą. Proszę ostrzegać ludzi, by nie zwracali się do szarlatanów, ignorantów, nieuków. Jedynie kompetentny specjalista zdoła pomóc, ale wykształcenie takiego profesjonalisty trwa latami, wymaga ciągłego wysiłku, regularnej pracy...

- Czy zdarzają się ludzie z wrodzonymi zdolnościami hipnotycznymi?

- Niezmiernie rzadko, podobno tego typu dar miał Messing. Ja spotkałem w swoim życiu tylko jedną taką osobę...

Mielniczenko przerwał i zapatrzył się w okno.

- Gdzie? - spróbowałam go ponaglić.

- W niesławnym obozie w Pot'mie.

- Pan siedział, za co? - wyrwało mi się.

- Za propagandę antykomunistyczną i czytanie zakazanych książek. Któryś z przyjaciół doniósł do KGB, że mam w domu Solżenicyna i inne książki w rodzaju *Czerwonej mgły* i *Rosji we mgle*. Skazano mnie na pięć lat. Szczęśliwie potrafiłem się przystosować, przeprowadzałem aborcje żonom i kochankom miejscowych szefów.

- Zna się pan na ginekologii?

- Skądże, wywoływałem miesiączkę w czasie seansu.

- Aborcja w wyniku rozmowy?!

- Co się pani tak dziwi? - rzekł bagatelizująco. - Stara sprawdzona metoda, prosta i niezawodna, gwarantuje niemal stuprocentowe powodzenie. Ale do rzeczy. W obozie poznałem niezwykłego starca, sekciarza. Wsadzili go „za wiarę”. Absolutny fanatyk z płonącymi oczami i żelaznymi zasadami. Bali się go i strażnicy, i więźniowie. To był właśnie ktoś, kto przyszedł na świat z niezwykłym darem. Zaprzyjaźniliśmy się trochę i Iwan, uśmiechając się, zdradził mi, że widzi ludzi na wylot, czyta im w myślach, wyczuwa cudze choroby. Potrafił wyleczyć zęby, zlikwidować ból kręgosłupa, atak serca, katar, kolkę nerkową... I sam nie rozumiał, jak to się dzieje. Mruczał jakieś zaklęcia, modlitwy, i ludzie wpadali w trans. Znakomity, choć niespełniony specjalista, a przy tym maniak religijny. Nieustannie usiłował nawrócić wszystkich na swoją wiarę. Pewnego razu powstrzymał wzrokiem rozjuszonego rottweilera, który rzucił się na klawisza. Iwan utrzymywał, że jego dziad i ojciec także mieli podobne zdolności, a on sam ma wnuka, który potrafi robić z ludźmi, co zechce. Jestem pewien, że gdyby inkwizycja w swoim czasie nie spaliła na stosach prawie wszystkich kobiet w Europie, które miały zdolności paranormalne, mielibyśmy teraz pokolenie ludzi-telepatów.

- Przepraszam - zapytałam cicho - może pamięta pan nazwisko tego więziennego geniusza?

- Jasne, że pamiętam. Szabanow, Iwan Szabanow.

## Rozdział 25

W domu zastałam w jadalni jedynie Filę. Delektował się wspaniale pachnącym napojem, ale nie była to kawa.

- To kakao - wyjaśnił szaman. - Niezwykle pożyteczny napój, radzę pić trzy razy dziennie dla podtrzymania aktywności życiowej.

- Widział pan Alisę? - zapytałam, siadając obok niego.

Fila uśmiechnął się pod nosem.

- To nic szczególnego, zwykły urok. Od dawna jej powtarzam: nie lataj w brylantach, ubieraj się skromniej, nie kłuj ludzi w oczy swoim bogactwem. No i ma za swoje. Ktoś jej pozazdrościł i twarz cała w pryszczach.

„Ciekawe, kto pozazdrościł Freddy’emu” - pomyślałam, dotykając ledwie ciepłego czajniczka.

- On się po prostu obzał cukierków - wyjaśnił Fila. - Ukradł całe opakowanie i zjadł.

Spojrzałam na niego. Nie po raz pierwszy odpowiedział na niezadane pytanie. Telepatia czy co?

- Freddy będzie musiał jeszcze pozostać na diecie - ciągnął szaman - natomiast Aliska...

- Plotkujecie o mnie - usłyszałam za plecami.

Odwrociłam się. Na progu stała roześmiana Aliska. W uszach miała wielkie kolczyki z perłami. Po pryszczach nie było śladu.

- Wspaniale - wybełkotałam.

- To drobiazg - uśmiechnął się Fila. - Urok odczyliłem jajkiem.

- Jajkiem?

- Irka! - wrzasnęła Aliska. - No nie, zabiję tego pokurcza, znów zamiast wrzątku dała diabli wiedzą co!

Tylko westchnęłam, patrząc, jak beszta biedną gospozię. Wpadka z pryszczami nie miała, niestety, wpływu na jej charakter.

Umówiłam się z Niną na ósmą rano, dlatego poszłam do swojego pokoju, ledwie zabrzmiał sygnał programu „Wriemia”. Ale jeszcze o północy czytałam, bo sen, jak to mi się ostatnio zdarzało, wciąż nie przychodził.

Około pół do pierwszej rozległo się pukanie do drzwi. Zdziwiłam się, ale

zawołałam:

- Proszę, nie śpię.

Drzwi uchyliły się i do pokoju wsunął się bezszelestnie Fila. W lewej ręce trzymał srebrny łańcuszek z wisiorkiem o dziwnym kształcie.

- Proszę to włożyć.

- Co to?

- Talizman, który ma strzec przed przykrościami i przedwczesną śmiercią.

- Ale ja nie mam żadnych przykrości.

- Będą - rzucił krótko Fila i rozwinął łańcuszek.

Światło lampki odbiło się w różowym półprzeźroczystym kamieniu i po sypialni zapląsały „zajączki”. Jak zaczarowana wodziłam za nimi wzrokiem.

Fila ukrył talizman w dłoni i usiadł w fotelu.

- Dobry duch Dumo powiedział mi o pani wyprawie, ostrzegł, że naraża się pani na niebezpieczeństwo. Stąd ten talizman.

Zrobiłam wysiłek, aby zachować powagę. Rany, ale heca! W środku nocy pakuje się do sypialni mój szurnięty gość i opowiada o jakichś złych duchach!

- Daszeńko, proszę to włożyć - powiedział Fila zadziwiająco miękko.

Z westchnieniem nadstawiłam głowę. Łańcuszek otoczył moją szyję.

Różowawy kamyczek okazał się bardzo miły w dotyku. Miało się ochotę nieustannie dotykać szlifowanych boków. Uśmiechnęłam się mimo woli.

- Trafiłem - rozanielił się Fila. - Wahałem się, z czego zrobić talizman, i wybrałem perski sztych.

- Co? - Kompletnie zgłupiałam.

- Prawdziwy amulet powinien wzbudzać we właścicielu radosne emocje, chęć dotykania go, ale nie każdy kamień pasuje do każdego.

Jego głos szemrał i szemrał, zaczynałam zasypiać. Powieki mi opadły, głowa opadła na poduszki.

Rano musiałam go przeprosić. Gdy o siódmej weszłam do jadalni, Fila już zajadał z apetytem grzanki.

- Przepraszam, zachowałam się wczoraj nieprzyzwoicie, zasypiając w trakcie rozmowy.

- Nie ma za co. Tylko proszę schować amulet pod sweter, powinien dotykać skóry. Im mniej obcych spojrzeń na niego padnie, tym lepiej. Trzeba jeszcze...

Przestałam go słuchać. Po dziurki w nosie miałam czarodziejów,

hipnotyzerów, szamanów. To wszystko było bez sensu. Nabijanie w butelkę. Duchy Dumo, Mumo, Zumo, cudowne różdżki i kamienie, mikstury spełniające życzenia, czapki niewidki i latające dywany. Czyżby Fila naprawdę sądził, że ja wierzę w podobne bzdury?

- Dasza, czy wszystko jasne? - przerwał moje rozmyślenia głos Fili.

- Tak, dziękuję - udałam zainteresowanie.

- Chce pani kawy? - Do pokoju weszła Irka z parującym dzbankiem.

Nie zdążyłam odpowiedzieć. Dziwna siła wypchnęła mnie na środek pokoju, ręce same wsparły się o boki, prawa noga zgięła się w kolanie, a z ust popłynęły idiotyczne słowa:

- Ku-ku-hau-hau-miau-miau!

Dziennikarze niewierzący w siłę hipnozy często wpadają w tarapaty! Ku-ku, hau-hau, miau-miau!

- Dario Iwanowno - osłupiała Irka cofała się w stronę drzwi - co się pani stało?

- Nic - warknęłam, opuszczając nogę. - Nie widzisz, że się gimnastykuję?

Irka niemal rzuciła dzbanek na stół i uciekła. Wściekła wbiłam wzrok w pustą filiżankę. Na dnie zamajaczyła twarz Mielniczenki z „przepastnymi” oczami.

Profesor zaczął mówić powoli:

„Och, ci dziennikarze. Zawsze niedowiarki. Niebawem się pani przekona, że mam rację. Chce pani kawy?”

Przechyliłam z rozmachem dzbanek i chrupnęłam kawę do filiżanki.

Uśmiechnięta twarz hipnotyзера zniknęła. Co on takiego ze mną zrobił? Przecież niczego nie zauważyłam! Nic nie rozumiem. Czy teraz już za każdym razem, gdy ktoś zaproponuje mi kawę, będę kukać i szczekać, stojąc na jednej nodze?

- Niestety czyha na tego, kto sam lezie w ogień - zamruczał Fila. - Są sprawy, którymi nie należy się interesować, lepiej pozostawić je profesjonalistom. Bogu, co boskie, a cesarzowi, co cesarskie!...

Usiłowałam zachować spokój, opróżniłam filiżankę kilkoma łykami, nie czując żadnego smaku, i z lękiem zajrzałam do środka. Ale twarz Mielniczenki zniknęła.

- Proszę się zatrzymać, póki nie jest za późno - nie rezygnował Fila. - Widzę, że to się źle skończy, widzę wszędzie krew... cały dom we krwi.

Żegnana tą radosną przestrogą, wyskoczyłam z domu i pobiegłam do

samochodu. Jeszcze trochę, a ogłoszę wszem i wobec, że kontaktuję się z kosmitami, a moją babcią była królowa Wiktoria. Bo jak można zachować zdrowe zmysły w naszym domu!

Nina stała na chodniku obok kiosku z papierosami. Zatrzymałam się.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Nie spóźniła się pani - uspokoiła mnie Nina, wsiadając do samochodu. - Po prostu lubię przychodzić wcześniej, nie cierpię się spóźniać.

Wrzuciłam jedynekę i volvo płynnie ruszyło.

- To dokąd jedziemy?

- Zna pani szosę Noworyską?

- Naturalnie.

- Wobec tego prosto do obwodnicy, tam powiem, co dalej.

Wyciągnęła z torebki paczkę papierosów, zapaliła. Natychmiast zaczęłam kasłać.

- Nauczyciel pozwala palić?

- Nie - uśmiechnęła się Ninel - ani pić alkoholu, ale nie potrafię rzucić palenia.

Papierosy, rzecz jasna, schowam w samochodzie.

Uśmiechnęłam się. Na studiach był w mojej grupie chłopak z Syrii, ortodoksyjny muzułmanin Chafiz. Wielki smakosz, przy średnim wzroście ważył prawie sto pięćdziesiąt kilogramów. Najtrudniejszy do zniesienia był dla niego ramadan. Przez cały miesiąc wierzący Arabowie nie mogą jeść od wschodu słońca do pierwszej gwiazdy. Post przypada zazwyczaj w miesiącach jesiennych - październik, listopad, rzadko we wrześniu. Jego początek, tak jak u nas Wielkanoc, każdego roku przypada w innym terminie. W Damaszku październik i listopad to miesiące ciepłe, słoneczne, termometr wskazuje zazwyczaj dwadzieścia pięć stopni i w ciągu dnia nieszczerze chce się jeść. Natomiast w Moskwie jest to późna jesień, zgniła, mokra, czasami pada wczesny śnieg. Przy takiej pogodzie nieustannie chce się jeść, organizm żąda paliwa. Chafiz męczył się jak potępieniec, dokuczało mu zimno i doskwierał głód. Pewnego razu zobaczyłam, jak łapczywie przetyka parówki i jajecznicę w naszej stołówce.

- Aha - rzekłam złośliwie, podkradłszy się cicho do jego stolika. - A co z ramadanem? Oj, nie trafisz ty po śmierci do muzułmańskiego raju, nie dostaniesz daktyli, fig i hurys, będziesz lizał gorące patelnie.

Chafiz spojrzał na mnie wielkimi ciemnymi oczami i poprosił:



- Odejdź, Dario.

W tym czasie wszyscy byliśmy absolutnymi bezbożnikami i pobożność Chafiza wywoływała w nas jedynie chęć nabijania się z niego.

- No wiesz - przysiadłam się do kulawego stolika - rąbiesz tu parówki, a w nich przecież sama wieprzowina.

- W tym wytworze sztuki masarskiej przeważa papier toaletowy - westchnął dobrodusznie. - A co do mąk piekielnych, nie masz racji, po śmierci z całą pewnością ulecę do rajskiej przystani.

- Allah ci nie wybaczy, że żresz parówki w ramadanie.

- On nie widzi - odpowiedział z całkowitym spokojem.

Zgłupiałam.

- Jak to?

- Normalnie. Zobacz, jak siedzę - plecami na wschód, Allah nie dojrzy, co tu robię.

Na tego typu argument nie znalazłam odpowiedzi.

Najwyraźniej i Nina rozumuje podobnie. Zerknęłam na nią kątem oka. Pozwala sobie na palenie, ale ubrała się jak mniszka. Długa do kostek ciemna spódnica, bluzka szczelnie zapięta pod samą szyję, pantofle bez obcasów, wspaniałe czarne włosy ukryte pod dziwaczną czapeczką, bardzo przypominającą krymkę. Tyle że zazwyczaj nosi się ją na czubku głowy, a ona naciągnęła czapeczkę aż na uszy. Zauważyłam też, że nie ma śladu makijażu ani żadnej biżuterii. Może ja także powinnam zrezygnować dzisiaj ze spodni, szmaragdowych wisiorków w uszach i dużego pierścionka na palcu wskazującym? Choć niby dlaczego? Żadnych obietnic nie składałam, niczego nie przysięgałam. Owszem, unikam wchodzenia do cerkwi w dżinsach i z gołą głową, ile przecież teraz jadę do oszusta, więc mogę sobie darować rozterki.

Opony gładko sunęły po asfalcie. Rozmawiałyśmy o poezji symbolistów, następnie Ninel zaczęła recytować swój poemat. Jej monotonna deklamacja nieomal mnie uspiła. Jak na mnie, to wstałam potwornie wcześniej. Zazwyczaj w takiej sytuacji podkreścam radio, ale dzisiaj było to niemożliwe. Kiwałam więc głową w rytm recytacji.

Po dwóch godzinach zapytałam jednak:

- Daleko jeszcze?

- Następny zakręt na prawo.

Volvo posłusznie skrzyło i zaczęło się kolebać na wybojach i wykrotach.  
„Chyba będę musiała wymienić amortyzatory” - pomyślałam.

Po jakiejś półgodzinie Nina poleciała:

- Stój.

Nacisnęłam hamulec i zaciągając ręczny, zapytałam:

- A gdzie wioska?

Samochód stał na skraju lasu, tuż za przednią szybą widać było wielkie rozłożyste drzewa.

- Dalej trzeba na piechotę, nie ma jak podjechać.

- A gdzie mam zostawić volvo?

- Tutaj - powiedziała Nina spokojnie. - Tu nikogo nie ma, żadnych wiosek, dacz, do stacji prawie trzydzieści kilometrów.

Na wszelki wypadek włączyłam alarm i ruszyliśmy pieszo przez ugór. W Moskwie już dawno stajał śnieg, pojawiła się pierwsza trawa, gdzieś zaczęły kwitnąć kwiaty, ale tu były jeszcze zaspy.

Zapadając się prawie po kolana, brnęliśmy między świerkami. Zmęczyłam się, przemokłam i strasznie chciało mi się pić. Wreszcie po piętnastu minutach Nina wdrapała się na wzgórek i wskazała ręką w dół.

- Zobacz, to tam.

Dyszząc, stanęłam obok niej i zamarłam z otwartymi ustami.

To, co zobaczyłam, mogło służyć za plan zdjęciowy do filmu *Wieś rosyjska w XVIII wieku*. Wysoki płot z ledwo okorowanych pni, groźnie zaostrzonych u góry, niemal całkowicie skrywał wioskę. Widać było jedynie dachy kilku domów i jakąś dziwną budowlę, wyglądającą z daleka jak wieża strażnicza.

Dotarliśmy do masywnej bramy. Nina ujęła młotek wiszący na sznurku i dwa razy mocno zastukała.

- Kto tam? - usłyszałyśmy natychmiast.

- W imię Boga naszego idę przez życie cnoty drogą.

- Witaj, droga siostró - rozległo się zza muru i uchylila się wąska furtka.

Weszłam do środka. Przy bramie stał krzepki mężczyzna. Długa koszula, przepasana sznurkiem, sięgała mu niemal do kolan, szerokie spodnie opadały na bosa brudne stopy. Krzaczasta broda i bujne wąsy czyniły z niego starca.

- Niech cię Bóg ma w swojej opiece, bracie Teofanie - niemal zaśpiewała Nina, kłaniając się w pas. - Och, jak dobrze jest w domu, nie to co w tej przeklętej

Moskwie...

- Życzę zdrowia, siostró - odparł Teofan, również się kłaniając. - Nie mogę pojąć, jak wy tam żyjecie w tym przybytku diabła. Twoja pokuta, twój krzyż. A u nas wielka radość.

- Co takiego? - ożywiła się Nina.

- Wczoraj skończyliśmy budowę sali modlitewnej, ostatni gwoździł wbili. Ojciec całą noc nie spał, sam nosił meble. Nakrzyczeliśmy na niego, ale gdzie tam, nie posłuchał!

- Brawo - pochwaliła Nina. - Bracie, poznaj naszego gościa, na imię ma Daria.

- Ładne imię - uśmiechnął się Teofan, odsłaniając równe, mocne zęby. Teraz nie miałam wątpliwości, że to mężczyzna około trzydziestki. - Idźcie do izby, odpocznijcie, pewno nóg nie czujecie - dodał troskliwie.

Ruszyliśmy dość wąską ulicą.

- Te dwie chaty są męskie, następne kobiece, a przy studni, widzisz, czerwony dach?

Kiwnęłam głową.

- Tam są dzieci, choć teraz ledwie kilkoro. Po lewej sala modlitwy i dom Ojca. Ale tam na razie nie powinnaś chodzić.

- To co, mam stać na środku ulicy?

- Ależ skąd, pójdziemy do chaty kobiet.

Szybkim krokiem ruszyła do dużej chaty i pchnęła drzwi. W mrocznej sionce panował niezwykły porządek. Pod ścianami znajdowały się półki, nad nimi wbite gwoździe. Nina szybko zdjęła pantofle i postawiła je na półce. Wieszając na gwoździu kurtkę, powiedziała:

- Zdejmuj buty, w izbie chodzi się boso, a niektórzy chodzą bez butów nawet po dworze.

Zdjęłam kozaczki i poczułam przez cienkie pończochy lodowate zimno. Nina odchyliła kotarę z workowego płótna zasłaniającego wejście i znalazłyśmy się w dużym, niemal pięćdziesięciometrowym pomieszczeniu.

Przez środek sali ciągnął się bardzo długi stół z desek, a po jego bokach stały proste ławy. Między oknami ustawiono prycze, pokryte kolorowymi szmatami.

Przy stole szyła coś kobieta w nieokreślonym wieku.

- Obmywałaś się? - zapytała.

- Nie. - Nina pokręciła przecząco głową. - Właśnie przyjechałam, nie ma mnie

kto polać.

- A ja to co? - uśmiechnęła się kobieta. - Zdejmij ubranie i idziemy.

Nina podeszła do pryczy i błyskawicznie rozebrała się do naga.

- A ty na co czekasz? - skarciła mnie babina.

- Ona jest tu pierwszy raz, Katiu.

- Rozbieraj się szybko, siostrzyczko. - Katia się uśmiechnęła. - Zaraz

przybędzie ci sił, werwy i zdrowia.

Ogłupiała, zrzuciłam ubranie i natychmiast dostałam gęsiej skórki.

- Nie przejmuj się - dodawała mi odwagi Katia. - Zaraz się rozgrzejesz, będzie ci gorąco.

Wyszliśmy na zewnątrz i zastygliśmy przy drzwiach jak dwa posągi.

- Która pierwsza? - zapytała Katia.

- Oczywiście Dasza - odrzekła Nina.

- Dobra, zamknij oczy.

Potulnie opuściłam powieki i chwilę później omal nie straciłam przytomności.

Na głowę chlusnęła mi fala lodowatej wody. Otworzyłam oczy. Wyraźnie zadowolona Katia uśmiechała się, kołysząc pustym wiadrem.

- Wrzeszcz, wrzeszcz, to diabeł z ciebie wychodzi. No co, już ciepło?

Co najdziwniejsze, tak właśnie było. Choć po ciele wciąż spływały strużki wody, zrobiło mi się gorąco.

- A mówiłam - dodała z zadowoleniem, chlustając na głowę Niny wodą z drugiego wiadra - że oblewanie to najlepsze lekarstwo na wszelkie troski. No, zmykajcie do izby i ubierzcie się.

Nina szybko wciągnęła spódnice i podała mi krymkę.

- Włóż do modlitwy.

- Po co?

Wzruszyła ramionami.

- Nauczyciel każe, zresztą jeśli nie ma się nic na głowie podczas czuwania, to boli potem w skroniach.

Nie miałam wyjścia, włożyłam czapeczkę.

- Szybciej, szybciej - poganiała Katia. - Nie guzdrajcie się, zaraz się zacznie. -

I wyszła.

- Zawsze bierzecie taki prysznic? - zapytałam.

- Mhm - mruknęła Nina, upychając starannie pukle pięknych włosów pod

czapeczką. - Dwa razy dziennie, bez wyjątku, rano i wieczorem. Podtrzymuje aktywność życiową.

- A zimą?

- No pewnie.

- Na dworze?

- A co w tym strasznego?

- I nikt nie choruje, nawet dzieci?

- Nie - odrzekła spokojnie poetka. - Żadnych przeziębień, żadnego kataru.

Przed kaplicą stał cichy tłum. Przy wejściu stał na stołku duży emaliowany rondel. Kobiety i mężczyźni w jednakowych czapeczkach kolejno podchodzili w milczeniu do „czary”. Młoda kobieta czerpała drewnianą łyżką kisielowaty, ostro pachnący płyn i podawała każdemu, mówiąc: „Przyjmij napój wiary i oczyść duszę”.

Napoiwszy Ninę, dziewczyna popatrzyła na mnie wielkimi, przejrzyście niebieskimi oczami i cicho zapytała:

- Kto to?

- To gość - odrzekła Nina i weszła do kaplicy. Byłam ostatnia w kolejce, wszyscy weszli już do środka, w sali panował monotony szmer. Dziewczyna obrzuciła mnie wzrokiem i zapytała szeptem:

- Widziała pani Ojca?

Pokręciłam przecząco głową.

- Jest pani zamożna?

- Co?

- Mieszkanie, samochód, dacza i żadnej rodziny?

- Właśnie - potwierdziłam, zdumiona, że wypytuje mnie o sytuację materialną.

Dziewczyna pogmerała łyżką w saganie i nagle zaczęła szeptać z przejęciem:

- Zatkaj uszy, przymknij oczy, nie słuchaj i nie patrz na kulę. A później uciekaj stąd, póki czas!

- Długo jeszcze, Swieta? - zniecierpliwiła się starsza kobieta, wyglądając zza drzwi.

- Już, Mario Iwanowno, tylko napoję gościa.

Dziewczyna wyciągnęła w moją stronę pustą łyżkę. Udałam, że rozkoszuję się poczęstunkiem. Maria Iwanowna zniknęła.

- Znajdę cię w nocy - szepnęła Swieta. - Przyjdę około trzeciej.

Kompletnie oszołomiona, weszłam za próg i znalazłam się prawie w egipskich

ciemnościach. Ale po kilku minutach oczy przywykły mi do mroku.

Wielkie pomieszczenie bez okien, duchota, drewniane ławki.

W głębi sali stół, na nim jakieś dziwaczne przedmioty. Panuje milczenie.

Wszyscy są dziwnie jednakowi: kobiety w długich spódnicach, mężczyźni w zgrzebnych koszulach, większość bosy. Przy drzwiach przycupnęła grupka chudych dzieci, ale Wieroczki wśród nich najwyraźniej nie ma, najmłodsze ma jakieś siedem lat. Jedna z dziewczynek zanosi się kaszlem, nawet w półmroku widać, jak gorączkowo błyszczą jej oczy.

- Dlaczego przyprowadziliście chore dziecko? - zapytałam Ninę. - Powinno leżeć w łóżku.

- To głupstwo - prychnęła Nina - zaraz ją zimną wodą poleją i jutro będzie po gorączce.

- Wodą? Dziecko z temperaturą i takim kaszlem lodową wodą?

- Naturalnie - potwierdziła spokojnie. - Zawsze tak robimy, nie chodzimy do lekarzy, zresztą skąd ich tu wziąć, skoro do najbliższej miejscowości jest trzydzieści kilometrów przez las.

- A jeśli zdarzy się zapalenie wyrostka? Co wtedy? Umierać?

- Bóg dał życie, Bóg wziął - westchnęła. - Grzech występować przeciwko Jego woli i leczyć się też grzech. Jeśli Bóg postanowił, że twoja droga dobiegła końca, należy przyjąć to z pokorą i nie próbować przedłużyć swoich dni wbrew Jego woli. A teraz lepiej patrz, zaczyna się.

## Rozdział 26

W rogu otworzyły się małe, ledwie widoczne drzwiczki i do stołu podszedł rosły mężczyzna. Pod prostą płócienną koszulą grały mięśnie. Czarne włosy zaczesane do tyłu odsłaniały wysokie wypukłe czoło. Cienki nos zakrzywiał się drapieźnie nad ustami. Zarysu warg nie było widać, bo wąsy i starannie przycięta ciemna broda zakrywały tę część twarzy. Duże czarne oczy wbiły się w tłum niczym rozżarzone gwoździe.

- Błogosławię was, ukochane dzieci - odezwał się zaskakująco ciepłym głosem.

- Niech Bóg cię ma w swojej opiece, Ojczy i Nauczycielu - odpowiedział chór głosów.

Raptem zrobiło mi się gorąco, poczułam mrowienie w nogach.

Nina nakryła ręką swoją dłoń i szepnęła:

- Czujesz, jak spływa na nas łaska?

Przestraszona, zaczęłam poruszać palcami nóg. Tak, nie patrzę na jego twarz, a w myślach zaczęłam powtarzać czasowniki, ale nie francuski, bo te za dobrze umiem, lepiej nieregularne niemieckie. A więc, *lesen, las, gelesen...*

Tymczasem mężczyzna machnął ręką i na stole roziskrzyła się kryształowa kula. W niemal całkowitych ciemnościach jaskrawe, oślepiające, migoczące miarowo światło przyciągało uwagę, i wbrew swojej woli zapatrzyłam się w nie szeroko otwartymi oczami. Najwyraźniej to samo zrobili wszyscy zebrani, bo w sali zapadła absolutna, dzwoniąca w uszach cisza.

- Wnieśmy nasze modlitwy do Boga - odezwał się śpiewnie, na jednej nucie „święty ojciec” - a wypowiedzmy je w jedynym godziwym języku - umo, noru san, komu len oron...

- Oron - tym samym tonem odpowiedzieli zebrani - oron, moli голу nan...

- A-a-a-a! - zaśpiewały jęklonie kobiety - a-a-a-a!

W powietrzu rozszedł się słodkawy dziwny zapach. Zrobiło się jeszcze bardziej duszno i gorąco. Po plecach spływały mi strużki potu, w skroniach łomotał ból, jaskrawe światło raziło oczy.

- O-o-o - zadudnili mężczyźni.

Wyciągnęłam z kieszeni agrafkę i zaczęłam się kłuć w nogę. Byle tylko nie

stracić przytomności. Ból otrzeźwił mnie trochę, dzięki czemu kątem oka mogłam obserwować sytuację.

A w sali działy się rzeczy zdumiewające. Niemal wszyscy zebrani poderwali się z ławek i pościągali z siebie bluzki i koszule. Zaraz potem zrobili to samo ze spodniami i koszulami. Nadzy kołysali się na boki, trzęsąc głowami. Ich oczy przypominały guziki: okrągłe i tępe. Dzieci na klęczkach wyły w kącie. Kilka osób leżało na wznak, równomiernie uderzając o podłogę rękami i nogami, niektórzy rwali sobie włosy z głowy.

By nie zwracać na siebie uwagi, ja również przycupnęłam na podłodze. W tej samej chwili na środek wyskoczyła naga kobieta i zaczęła się miotać, wrzeszcząc:

- Przybył, zawitał Duch Boży, pójdźcie i weźcie!

Kilku gołych mężczyzn rzuciło się ku niej. Inni chwycili swoje sąsiadki.

Struchlała, wcisnęłam się pod ławkę i patrzyłam na orgię. Mężczyzn w sali było mniej niż kobiet, więc te, które nie znalazły pary, wyły niczym syreny strażackie. Miałam wrażenie, że wszyscy popadli w amok. Powietrze przesycone było cierpkim odorem potu. Uspokojona, że nikt nie zamierza mnie gwałcić, wyczołgałam się spod ławy. „Świętego ojca” nie było w izbie. Na podłodze wiły się ciała, niektórzy ulokowali się na ławkach. Dzieci kotłowały się przy drzwiach, wyrывая sobie całe pęki włosów. Od zaduchu i słodkawego, mdlącego zapachu dostałam zawrotów głowy. Ściany naparły na mnie, podłoga zafalowała. Układając się pod krzesłem, zdążyłam pomyśleć: „Pośpię z godzinę, strasznie jestem zmęczona”.

Gdzieś w oddali rozległ się gwizd parowozu. Uniosłam powieki, wbiłam wzrok w sufit. Z pewnością nie jestem w domu. Ze środka białego kwadratu nagiego, bez sztukaterii, zwiisał nie przejrzystobłękitny wenecki żyrandol, ale goła żarówka. Ostre, niczym nieosłonięte światło raziło mnie w oczy; kichnęłam.

- Obudziłaś się, kochaneczko? - usłyszałam łagodny głos.

Obróciłam głowę i zobaczyłam przy stole Katię, rozkładającą jakieś korzenie.

- Co mi się stało? - zapytałam, usiłując wstać.

Ciało mnie nie słuchało, nogi i ręce były jak z gumy, w ustach miałam paskudny smak. Wszystko to razem przypominało kaca.

Katia podeszła w milczeniu do półki, odchyliła zasłonkę, wyjęła butelkę z etykietą „Stoliczna”, wlała do szklanki trochę bezbarwnego płynu i podała mi:

- Pij.

- Co pani? - Aż się wstrząsnęłam. - Nie znoszę alkoholu.



- To nie wódka, pij, poczujesz się lepiej.

Potulnie przełknęłam płyn. Po kilku sekundach w głowie mi pojaśniało, ciało stało się bardziej posłuszne.

- Pewnie Swieta dała ci pełną łyżkę napoju - sarknęła. - Ojciec tyle razy powtarzał: nowym dawać odrobinę, a ta nie może zapamiętać.

Usiadłam i obmacałam nogi - niby są na miejscu, a jakby ich nie było.

- Nie bój się - uśmiechnęła się Katia - zaraz znów będziesz chodzić.

W izbie było chłodno i poczułam lekkie, orzeźwiające dreszcze. Dobrze, że Swieta podała mi pustą łyżkę, ale ja ją oblizawałam i tych kilka kropli wystarczyło, żebym straciła świadomość. Strach pomyśleć, co by się ze mną działo, gdybym wypła całą porcję.

- Gdzie Nina?

- U Ojca na błogosławieństwie, a ja cię pilnuję, żebyś się nie przestraszyła, kiedy się ockniesz. Jak wstaniesz, to zaprowadzę cię na kolację.

Poruszyłam nogami, do których wracało czucie, i zapytałam:

- Co robicie na modlitwach?

Katierina nie była zaskoczona pytaniem.

- Modlimy się. Śpiewamy psalmy, doznajemy łaski, niektórzy mają wizje.

- Ile trwa msza?

Katia westchnęła.

- Jak kiedy - czasem dwie godziny, czasem trzy.

- To męczące.

- Skądże. Czas mija nie wiedzieć kiedy. A po modlitwie jest tak lekko, duszę przepelnia szczęście, chce się śpiewać. Poczekaj, i ty tego doświadczysz, choć na przykład ja doznałam łaski już za pierwszym razem.

- Modlicie się codziennie?

- No pewnie, a raz w tygodniu zbieramy się wszyscy na wielki obrzęd. Tak jak dzisiaj, to prawdziwe święto.

- Wszyscy, czyli kto?

Katierina znów się uśmiechnęła.

- W wiosce mieszkają wyłącznie ludzie najszczęśliwsi, najbardziej oświeceni, którzy zostawili za sobą swoje poprzednie życie. Nic tam nie pozostawiliśmy. Wszystko mamy tutaj! Ale są też nieszczęśnicy, którzy muszą mieszkać w mieście, oni dołączają do obdarzonych łaską tylko raz w tygodniu. Bardzo mi ich żal, ale cóż,

każdy dźwiga własny krzyż.

- A gdybym chciała, mogłabym zamieszkać w wiosce?

- Nauczyciel decyduje, komu jaki los przypadnie. Jest naszym Ojcem, a my jego dziećmi - powiedziała Katia z przejęciem - całe szczęście pochodzi od niego. Sama powiedz. Ja na przykład przez całe życie opiekowałam się sparaliżowaną mamą i pracowałam w sklepie z pieczywem. A gdy mamusia umarła, prawie żyć mi się odechciało. Mieszkanie miałyśmy duże, trzy pokoje, chodziłam po nich i w kółko płakałam: „Dobry Boże, zabierz mnie, sierotę, nikomu już niepotrzebną!”.

- A rodzina?

Katia pokręciła głową.

- Czasu nie miałam, żeby biegać na tańce, mama chorowała, a gdy umarła, ja już w lata poszłam, trzydzieści osiem mi stuknęło. Tak więc, moja droga, jestem dziewczicą, z mężczyzną nigdy nie byłam. I Bóg mi to teraz wynagrodził, mieszkam w Rodzinie, tutaj umrę.

- A mieszkanie?

- Nie wolno nam mieć dóbr materialnych. - Katia zatoczyła wokoło ręką. - Wszystko tu jest wspólne: odzież, naczynia. Zresztą, cóż po rzeczach? Nadzy się rodzimy i nadzy odchodzimy z tego świata. Jeśli czujesz się lepiej, chodźmy na kolację.

Posłusznie podreptałam za nią na drugi koniec wioski. Weszłyśmy do podobnej chaty: duża izba z długim stołem, na ławkach człowiek przy człowieku. Korpulentna kobieta podała mi miskę i kubek. Przycupnęłam przy rogu stołu i zajrzałam do miski. Mniej więcej trzy łyżki rozgotowanego grochu bez omasty i jakaś bura ciecz, pachnąca lekarstwem. Nie, wolę być głodna niż spróbować tego specyfiku, pewnie i do niego dodają jakiś narkotyk.

Szalejący niedawno na golasa sekciarze teraz nabożnie spożywali wieczerzę. To przecież niemożliwe, żeby nikt nie pamiętało orgii!

Ale twarze jedzących były spokojne, kobiety jak przedtem w bluzkach pod szyję i w długich spódnicach, mężczyźni rozmawiali cicho, dzieci nie było.

U szczytu stołu siedział Nikołaj. Ja znalazłam się przy drugim końcu i ukradkiem zaczęłam się przyglądać „świętemu ojcu”. Ładna, szczerza, szlachetna twarz. Wysokie, uduchowione czoło, duże błyszczące oczy. Wąska dłoń z długimi szczupłymi palcami z wdziękiem trzymała drewnianą łyżkę. Nie było w nim niczego złowróżbnego, żadnej przebiegłości czy zdeprawowania.

Obecni zaczęli po cichutku opuszczać salę. Nim wyszli, podchodzili do oszusta, który kazał się nazywać Nauczycielem, i przyklękali przed nim. Nikołaj kładł im na głowach bladą rękę i serdecznie, wręcz czule mówił do każdego po imieniu:

- Błogosławię cię na dobry sen, siostrze Jeleno.

Albo:

- Odpoczywaj po trudzie, bracie Władimirze.

Po jego prawej ręce siedziała Nina. Na mój widok szepnęła mu coś do ucha. „Ojciec” podniósł na mnie przepaściste, czarne jak węgiel oczy i powiedział natchnionym głosem:

- Dario, podejdź.

Wbrew sobie uśmiechnęłam się i podeszłam do Nikołaja. Ujął moją rękę i rzekł śpiewnie:

- Chcę cię poznać, moja córko.

Stojąc w nim twarzą w twarz, zrozumiałam, co czuje królik na widok paszczy boa dusiciela.

Z ręki drania płynęło ciepło, które zaczęło mnie przenikać. Trzymając moją dłoń, Nikołaj poprowadził mnie do sąsiedniego, tonącego w półmroku pomieszczenia, pchnął i rzekł ostro:

- Siadaj!

Klapnęłam potulnie i nieoczekiwanie znalazłam się w głębokim miękkim fotelu. Oparłam się o wygodne poduszki, poczułam dziwny, słodkawy zapach. Ogarnął mnie absolutny spokój. Najpierw ręce, a potem całe ciało przeniknęło miłe ciepło. Dawno nie czułam się równie błogo, wciąż się gdzieś spieszę, za czymś gonię, o coś zabiegam, a tak przyjemnie jest po prostu odpocząć, wyspać się, wyciszyć...

- Jak się nazywasz? - usłyszałam donośny głos.

Przed oczami natychmiast stanął mi dyrektor podstawówki, do której chodziłam. Groźny, surowy, ale sprawiedliwy Siemion Pietrowicz. Zamieniwszy się natychmiast w małą, wystraszoną pierwszoklasistkę, wyszeptałam:

- Dasza Wasiljewa.

- Gdzie mieszkasz?

- Osiedle Łożkino, własny dom.

- Kto z tobą mieszka?

Już zamierzałam wyliczyć wszystkich licznych domowników, gdy nagle w piersiach poczułam pieczenie, zupełnie jakby jakaś niewidzialna ręka przyłożyła mi

do mostka rozpalony węgielek. Oszołomienie znikło, włączył się rozum. Chryste, on usiłuje mnie zahipnotyzować!

Czując się tak, jakby rozżarzony pręt dźgał mnie w serce, odpowiedziałam:

- Sama, samiutka w całym domu.

Przepytywanie trwało długo. Mikołaja interesowało wszystko, szczególnie warunki materialne. Wypytał mnie szczegółowo o konto w banku, biżuterię, książeczki oszczędnościowe. Kilka razy zapadałam się jakby w ciepłe błoto, ale w lewej piersi natychmiast czułam pieczenie i rozum znów zaczynał pracować.

Wreszcie „seans” dobiegł końca. Mikołaj, uśmiechając się dobrotliwie, polecił:

- Wstawaj, Dasza. Kiedy podejdziesz do drzwi, zapomnisz o wszystkim, pozostanie jedynie uczucie radości, szczęścia. Zapamiętaj je i wiedz, że beze mnie już nigdy nie doświadczysz niczego podobnego.

Dziwna siła skierowała mnie ku drzwiom. Ledwie ciągnąc za sobą nogi, dotarłam do progu, pchnęłam drzwi i w tej samej chwili poraził mnie prąd. Ktoś doprowadził elektryczność do klamki. Oderwałam rękę i zdrętwiałam. Ból rozlewał się po całym ciele.

- Cóż to, idź, idź, moja droga - przynaglił mnie „nauczyciel”.

Chwiejnie wyszłam do ogólnej izby i wpadłam na Ninę.

- Jak się czujesz? - zapytała troskliwie. - O czym rozmawiałaś z Ojcem?

Spojrzałam na jej pogodną, serdeczną twarz, spokojne oczy i zaczęłam łączyć jak najęta:

- Nie uwierzysz, ale nie pamiętam niczego, poza ogromną radością, niemal szczęściem!

- No widzisz - ucieszyła się Nina - doznałaś łaski. Od teraz będzie już tak zawsze, ilekroć spotkasz się z Ojcem.

Przez cały czas, kiedy, drżąc z zimna, wracałyśmy do chaty, Nina nie przestawała wyśpiewywać hymnów na cześć Mikołaja.

W pomieszczeniu, które już poznałam, było prawie ciemno. Słysząc było miarowy oddech głęboko uspiomych ludzi. Nina pchnęła mnie w stronę wolnej pryczy i powiedziała szeptem:

- Kładź się.

Przysiadłam na deskach i zaczęłam się rozbierać. Nina ruszyła do drzwi.

- Ej, a ty dokąd? - zawołałam szeptem.

- Śpię w innej chacie, tu nie ma miejsca - odszepnęła i wyszła.

Zdjęłam ubranie i spostrzegłszy na ścianie kilka gwoździ, powiesiłam na nich spodnie, bluzkę i kurtkę. Pod cieniątką szmatką, która służyła za prześcieradło, nie było żadnego materaca. Za poduszkę miałam powłoczkę wypełnioną najwyraźniej zeszlóroczną słomą, kołdrę stanowiła płachta szorstkiego, sztywnego brezentu.

Po kilku minutach zaczęłam się trząść z zimna i czym prędzej się ubrałam. Nie sposób spać w takich warunkach, ale innym najwyraźniej to nie przeszkadzało. Światło księżycy, sączące się przez okno, oświetlało śpiących w różnych pozach. Niektóre kobiety nawet zrzuciły z siebie „kołdry”.

Przedpotopowy zegar ścienny kołysał miarowo wahadłem, wskazówki spokojnie odmierzają minuty. Około pół do trzeciej cichutko uchyliły się drzwi. Na progu pojawiła się ciemna postać. Chwilę stała bez ruchu, następnie podeszła do mnie i wyszeptała:

- Chodź na podwórze.

Zsunęłam się z pryczy.

Na ulicy było nieludzko zimno.

Z wysokiego bezkresnego nieba patrzył księżyc w pełni w otocze roziskrzonych, niemal teatralnych gwiazd.

Postać odwróciła się i zobaczyłam twarz Swiety. Dziewczyna przytknęła palec do ust i kiwnęła na mnie. W zupełnej ciszy obeszlęliśmy chatę i dotarliśmy do stojącego tuż pod płotem domku.

- Wejdz.

W środku było bardzo ciepło. Swieta pstryknęła wyłącznikiem. Mimo woli aż krzyknęłam.

Znajdowałam się w niedużym przytulnym pokoju, wygodnie umeblowanym. Miękką kanapą i dwa fotele, przykryte pięknymi narzutami, luksusowy dywan, telewizor i aparatura muzyczna. Na okrągłym stole dostrzegłam elektryczny czajnik Tefal i metalową puszkę Nescafe.

- Masz ochotę?- zapytała Swieta.

Nie pijam kawy rozpuszczalnej, ale teraz było mi wszystko jedno, byle tylko się rozgrzać.

- Kto mieszka w takich zbytkach? - wyrwało mi się.

Dziewczyna uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Bogurodzica.

- Kto?

- Ja - wyjaśniła - a tam sam Ojciec.

Wstała i pchnęła drzwi do sąsiedniego pokoju. Cofnęłam się odruchowo.

- Nie bój się, Nikolaј wyjechał, wróci pojutrze.

Obrzuciłam wzrokiem pokój. No, nie powiem! Wielkie łóżko, zarzucone poduszkami w jedwabnych powłoczkach, ogromny telewizor Sony. Eleganckie szafy i wszędzie niezwykle miękkie skóry niedźwiedzia, barana i jakiegoś nieznanego mi cętkowanego zwierzęcia. Na nocnym stoliku w kryształowej karafce jakiś oleisty ciemnobrązowy płyn. Najwyraźniej pierwszorzędny koniak.

Swieta zamknęła drzwi i zaczęła przygotowywać kawę, z lodówki wyjęła pieczonego kurczaka, ser, masło. Natychmiast wbiłam zęby w pachnące białe mięso, byłam potwornie głodna.

- Na kolacji nie wypiałś tego świństwa?

Pokręciłam głową.

- Mądra dziewczynka - pochwaliła mnie. - Pakują do niego narkotyki.

- A napój wiary?

- Też halucynogeny, ale nie wiem, co w nim jest, bo on sam go przyrządza, nie wtajemnicza mnie.

- Powiedz mi - zapytałam zdziwiona - dlaczego postanowiłaś otworzyć mi oczy?

- Dlatego że chcę stąd uciec, a sama nie zdołam, nie wystarczy mi sił, żeby lecieć trzydzieści kilometrów po bezdrożach do stacji. A ty masz samochód.

- Skąd to wiesz?

Swieta się uśmiechnęła.

- Ninka z Nikolaјem przez cały dzień deliberowali, jak będzie lepiej: zostawić cię tu od razu czy wypuścić. Stało na tym, że trzeba cię w wiosce przytrzymać, żeby im pieniądze koło nosa nie przeszły. Tak że gdybym cię nie uprzedziła, leżałabyś teraz w chacie otumaniona. Rano znowu przynoszą „herbatkę”, ale wtedy już nie bardzo kojarzysz. Wieczorny napój natychmiast usypia, natomiast poranny jedynie pozbawia woli, człowiek porusza się jak automat.

- Nina była tu wczoraj? - zdziwiłam się.

- Jest prawą ręką Nikolaја, powierniczką i przyjaciółką, choć kompletnie nie rozumiem, co ich łączy. Czasami w nocy słyszę, jak coś tam szepczą. I nocuje tutaj, tam są jeszcze trzy sypialnie, salon i gabinet. W modlitwach nie uczestniczy. Jak

tylko wszyscy zwałą się na podłogę, ona zmyka za drzwi.

- A jak ty się tu znalazłaś?

- Z głupoty. - Swieta westchnęła ciężko. - Byłam młoda, głupia, rodzice wcześniej mnie odumarli, wychowywała mnie babcia.

- A jak przejrzałaś na oczy?

- Po prostu miałam fart. „Pątnicy” to głównie ludzie koło czterdziestki, w średnim wieku, młodych właściwie nie ma, no, może tylko Teofan przy bramie i Lena Ożogowa. Ale ona jest nienormalna, w dodatku brzydka, takich Nikołaj nie potrzebuje.

- Opowiedz wszystko po kolei.

Swieta spojrzała na duży zegar.

- Mamy jeszcze trochę czasu. Tamci będą spali do siódmej. Dobrze, słuchaj.

## Rozdział 27

Przez kilka lat Swieta była robotnicą, pracowała na Ojca w mieście, oddawała mu zarobki, potem znalazła się w wiosce. Jakiś rok później Ojciec i Nauczyciel wezwał ją nieoczekiwanie do siebie. Takiego honoru nikt z członków sekty nigdy nie dostępował. Nikołaj, objąwszy ją za ramiona, powiedział coś, co ją kompletnie oszołomiło: Bóg wybrał sobie Świętę spośród setek tysięcy kobiet, by powierzyć jej specjalną misję. Otóż ma urodzić Nikołajowi syna, następcę i kontynuatora rodu.

Niezbyt przytomna, odurzona dziewczyna naturalnie przystała na to radośnie.

Nikołaj natychmiast zakazał dawać jej wszelkie preparaty, przerwał obmywanie lodowatą wodą, kazał dobrze się odżywiać, długo spać, nie przemęczać się. W pokojach sprzątała nienormalna Zinaida, wyśpiewująca przez całe dni pobożne pieśni. Przez pół roku Nikołaj nawet nie zbliżył się do Swiety. „Proces poczęcia infanta” zaczął się trzy miesiące temu.

Nikołaj jednakże nie przewidział jednego. Szczerze wierząca w „sprawę pątników” Swietłana po odstawieniu lekarstw i hipnozy przejrzała na oczy i z przerażeniem uświadomiła sobie cały koszmar swojej sytuacji.

Swieta była mądra, dobrze wiedziała, że wystarczy, by Nikołaj się domyślił, co się z nią dzieje, a natychmiast się z nią rozprawi. Dlatego z wielkim samozaparciem odgrywała rolę fanatyczki, choć w jej duszy tłukło się jedno pragnienie - uciec stąd. Ale jak?

I oto teraz liczy na to, że ja wywiozę ją do Moskwy. Chwila jest sprzyjająca - Nikołaj z Niną wyjechali, niedaleko stąd mam samochód.

Ale ja się nie wrywałam z pomocą.

- Ciekawe, dlaczego Nikołaj wybrał akurat ciebie, a w dodatku wtajemniczył cię we wszystko?

Swietłana spojrzała mi prosto w oczy.

- Sądzę, że z powodu wieku. Pozostałe baby są już za stare na rodzenie, do tego chore, tu nawet po orgiach żadna nie zachodzi w ciążę. Masz pojęcie, oni sobie nie wyobrażają, co tu wyrabiają, są przekonani, że się modlą! A że mnie wtajemniczył? Przecież nie ma sposobu, by się stąd wyrwać. Nie zdołam nawet wyjść za płot, stróż mnie nie wypuści.

- To jaki masz pomysł na ucieczkę?



Swieta parsknęła śmiechem.

- Nikołaj jest cwany, ale ja też sroce spod ogona nie wypadłam. Wiesz, co on robi? Mówi: „Usuwać się do celi na tydzień, będę pościł i się modlił”. I ja początkowo wierzyłam. No bo rzeczywiście - znika w piwnicy, a po siedmiu dniach z niej wychodzi. Gdy jego nie ma, rządzi Andriej, paskudny typ. Później się domyśliłam - stamtąd jest tajne wyjście na zewnątrz. Podprowadziłam klucz i pod nieobecność Nikołaja poszłam sprawdzić. I rzeczywiście. No więc jeśli chcesz żyć, uciekajmy, i to szybko. Nie będą nas szukać aż do jego powrotu.

- Dokąd chcesz iść?

- Mam babcię w Nagorju, nikt o niej nie wie, ukryje mnie.

Rozdziawiłam usta.

- To ty jesteś Swietłana Bałabanowa, wnuczka Marii Siergiejewny? Jak to możliwe? Ludmiła powiedziała, że cię pochowano, babci pokazała twoje zdjęcie w trumnie! Skąd miała zdjęcie z twojego pogrzebu?

- Boże! - Swieta aż się za głowę złapała. - Jaka podła! Ona jedna wiedziała o babci. Tutaj wszyscy przechodzą taki obrzęd. Kładą się do trumny, i odprawia się nad nią modły, że niby w ten sposób człowiek żegna się z doczesnym światem. Okropne przeżycie. Potem wypalają znak pod pachą i koniec, nie ma już odwrotu.

Wzdrygnęłam się.

- Pewnie bolało?

Swieta westchnęła:

- Nie, nic się nie czuje. Nikołaj jest mistrzem w sporządzaniu wszelkich mikstur. Podali mi coś na spodeczku i niczego nie pamiętałam, jakbym naprawdę umarła. A z Szabanową razem studiowałam, to ona mnie przyprowadziła do sekty, pogańskie nasienie. Gdzieś się zapodziała, nie pojawia się, ale wcześniej wciąż z Nikołajem i Ninką się prowadziła.

- Ludmiła nie żyje, popełniła samobójstwo!

- Chryste! - przeraziła się. - Uciekajmy stąd jak najszybciej.

- Poczekaj - powstrzymałam ją. - Tak naprawdę to chcę odszukać małą dziewczynkę, dwuletnią, Wieroczkę. Tu gdzieś ją ukryto.

- Wiem, to siostrzenica Nadki, jest tu, niedawno przywiózł ją Nikołaj, podobno na prośbę Nadki. A o co chodzi?

- Chodźmy do dzieci.

Wyszliśmy na dwór i w parę chwil dotarliśmy do izby dziecinnej. Taki sam

stół, ławki i prycze. Tyle że na twardych deskach leżały dzieci, okropnie chude, po prostu szkielety obciążnięte skórą. Żadne z nich nawet nie drgnęło, gdy wyciągnęłam spod brudnej szmaty śpiącą Wieroczkę.

Główka dziewczynki chwiała się na cienkiej szyjce, bezsilne rączki zwisały i kołysały się w takt moich kroków. Wróciłyśmy do ciepłej wygodnej chaty Nikołaja i zaczęłam oglądać dziewczynkę. Buzia mała jak piąstka. Pod zamkniętymi oczami sine, prawie czarne cienie, ostro zarysowane kości policzkowe, potargane rzadkie włosy, bosa nóżki pokryte warstwą brudu, rączki, cienkie jak gałązki, posiniaczone.

- Co to, bito ją?

- A kto ich tam wie - odpowiedziała obojętnie Swieta. - Dorosli na pewno nie, a dzieciaki możliwe. Ja tam nie chodzę. Po co ci dziewczynka?

- Potem ci wyjaśnię - burknęłam, ściągając ze stołu duży obrus. - Gdzie to tajemne wyjście?

Swieta ruszyła w głąb chaty, a ja za nią, trzymając w objęciach opatuloną w obrus Wieroczkę. Dziecko było lekkie jak piórko. Nasz mops Hootch jest od niej znacznie cięższy. Niepokoił mnie też dziwny, jakiś nienaturalny sen dziewczynki. Wyjęłyśmy ją z łóżka, wyniosłyśmy na dwór, znów wnieśliśmy do ciepłego pokoju, ruszałyśmy, owijałyśmy...

Każdy inny dzieciak już by się rozdarł na całą okolice, ale Wiera spała, a ściślej trwała w odrętwieniu. Małe czołko było spocone, nóżki kołysały się bezwładnie.

Minęłyśmy kilka pokojów i znalazłyśmy się w dużej kuchni. Swieta otworzyła komórkę, odchyliła linoleum. Pod nim był właz. Dziewczyna z wyraźnym trudem podniosła ciężką klapę. W środku automatycznie zapaliło się światło i spostrzegłam żelazne schody.

- Idź za mną - powiedziała Swieta i zniknęła w otworze.

Ruszyłam za nią, przyciskając do siebie Wieroczkę.

Od schodów wiódł długi korytarz. Swieta zamknęła klapę, ale światło nadal się paliło. Ktoś włożył kupę pieniędzy w wybudowanie tego tunelu. Gliniana podłoga była doskonale ubita, ściany otynkowane.

Na końcu tunelu były następne schody. Dziewczyna wspięła się po nich zwinnie i otworzyła klapę. W tej samej chwili zgasło światło, ale przez okrągły otwór sączyły się słabe smugi wiosennego słońca, bo tymczasem zrobił się ranek.

Swieta zamknęła właz. Był zrecznie zamaskowany stosem chrustu. Trąciłam

nogą patyki, ani jeden się nie osunął. No proszę, wyraźnie przyklejone.

- Gdzie jest samochód?

Zaniepokoiłam się. Właśnie, gdzie?

- Nie wiem, szliśmy dość długo przez las...

- Pewnie wdrapałyście się po tym zboczu. - Swieta wskazała pagórek, z którego wczoraj patrzyłyśmy z Niną na wioskę.

- Zgadza się.

- Idziemy tam, tu są zaledwie dwie drogi.

- Skąd wiesz?

Swieta się roześmiała.

- Nieraz tu byłam. „Ojciec” się zmywał, a ja myk do lasu, chciałam uciekać, ale bez samochodu ani rusz. Dlatego zwróciłam się do ciebie. Jestem w ciąży, trzeci miesiąc. Chcę zrobić skrobankę, bo się boję, że urodzę potwora. Pałętałam się po skraju lasu w nadziei, że ktoś będzie przejeżdżał. Tu na wiele kilometrów nie ma żadnych mieszkańców, wyłącznie opuszczone wioski. Musiałabym iść z tydzień, a popatrz, jakie mam nogi.

I uniosła spódnice. Cofnęłam się mimowolnie, bo całe jej łydki pokrywały ropiejące wrzody.

- Co to?

Swieta wzruszyła ramionami.

- Licho wie. Najpierw to było małe, potem wdała się iniekcja, zaczęło ropieć. To dość skomplikowana sprawa - wiem coś o tym jako były medyk. Co prawda, skończyłam stomatologię, ale pamiętam co nieco z medycyny ogólnej.

Nagle zza płotu dobiegł miarowy dźwięk dzwonu. Tak mnie zaskoczył, że omal nie upuściłam dziecka.

- Nie bój się, dzwonią na pobudkę. Czas do pracy.

- Nie zorientują się, że nas nie ma?

- Nie, zresztą kto? Nikołaj i Nina wyjechali, a pozostałym jest wszystko jedno, pewno nawet cię nie zauważyli. Mają teraz huk roboty, wydoić bydło, nakarmić świnię, wypuścić kury, przygotować rozsądę. Prowadzą tu gospodarstwo ekologiczne.

Ruszyłyśmy szybko w stronę lasu i po paru chwilach znalazłyśmy się między stuletnimi drzewami. Nagle poraziła mnie myśl: a co będzie, jeśli Nikołaj i Nina, uznawszy, że leżą otumaniona w chacie, zabrali volvo? Dobrana parka myśli wyłącznie o pieniądzach, a taki samochód kosztuje ładnych kilka tysięcy dolarów!

Ale najwyraźniej „święty ojciec” nie pomyślał o wozie, bo wierny rumak spokojnie nudził się na polanie. Położyłam małą na tylnym siedzeniu i włączyłam silnik.

Po drodze opowiedziałam Swiecie wszystko, co wiedziałam o Ludmile. Dziewczyną wstrząsnęła jej śmierć.

- Mówisz, że była siostrą Nikołaja? Nigdy bym nie uwierzyła, choć widziałam, że ich wzajemne stosunki są trochę dziwne. Szczerze mówiąc, sądziłam, że kiedyś była jego kochanką, choć...

- Co?

- Nikołaj, gdy ulokował mnie u siebie, wytłumaczył wiernym, że jestem jego pomocnicą, rozdziela „napój wiary”, przygotowuję salę modlitw. Wszyscy wierzą, że on jest cnotliwy, nikt niczego nie podejrzewa. Przede mną pomocnicą była Tania Awierkijewa. Mieszkała z nim prawie rok, a potem wyjechała do Palestyny.

- Dokąd? Do Palestyny?

- Mhm. Tak nam powiedział. Tania doznała „wtajemniczenia” i oddelegował ją do innej wioski „pątników”, za granicę. Niebawem wszyscy się tam przeniosą, a na razie jedynie wybrani. Ale ja myślę, że on ją zabił.

- Dlaczego?

- Posłuchaj. - Swieta z widoczną przyjemnością wyprostowała nogi. - Pewnego razu utracił czujność i się rozgadał. Bardzo chce mieć syna, córki się nie liczą, musi być chłopiec. Podobno jego dziad miał też taki dar jak on. Wściekle psy wzrokiem powstrzymywał, robił ze wszystkimi, co chciał. Ojciec nie został obdarowany takimi zdolnościami, ale Nikołajowi dostało się aż w nadmiarze... Ale, mówił, musi mieć następcę, by gałąź nie uschła. W ich rodzinie zawsze było dużo dziewczynek, on był jedynym chłopcem. Ożenić się nie może, bo normalna baba zaraz zaczęłaby wypytywać, co i jak, skąd ma pieniądze, gdzie pracuje. Wioski też na długo nie zostawi, najwyżej na tydzień, bo „pątników” należy na seansach „doładowywać”, na samych narkotykach daleko się nie ujedzie. Wiesz, co się ze mną działo, gdy skończyły się seanse i przestałam przyjmować „napój wiary”? Na szczęście Nikołaj ma jakieś antidotum, w ciągu dziesięciu dni postawił mnie na nogi. Otóż wyszukuje wśród „pątników” młode kobiety. Ale to nie o baby mu chodzi. Pieprzy je, jakby odwalał robotę. Pewnie Tania urodziła dziewczynkę i zakopał obie gdzieś w lesie... Mnie też czekał taki los! Wiesz, jak się przeraziłam, gdy się przekonałam, że jestem w ciąży? To znaczy, że mam dziewięć miesięcy życia, no,

powiedzmy, że urodzę chłopca, wtedy może ze dwa lata. Wykarmię i po mnie - za dużo wiem.

- Ale dlaczego musi mieć koniecznie syna?

- Nie wiem. Mówi, że to niezbędne. A ty po co to wszystko robisz?

...Okolo dziewiątej rano dotarliśmy do Nagorja. Maria Siergiejewna na widok Swiety i Wieroczki omal nie zemdlala, ale ofuknelam ja surowo:

- Niech pani szybko pakuje to, co najpotrzebniejsze, dokumenty, pieniadze i odjezdziemy.

- Dokad? - zapytaly chorem.

- Do mnie, do Łozkina, tam Nikolaj was nie dosiegnie. Po pierwsze, nie zna adresu, a po drugie, teren jest świetnie strzezony.

- Jakze to? - wybelkotala Maria Siergiejewna. - A co na to powiedza u pani w domu?

- Nic - odrzeklam, popychajac je w strone drzwi. - Nikt nic nie powie, przyzwyczaili sie.

W drodze do Łozkina opracowalismy chytry plan. Maria Siergiejewna jest daleka krewna mojej pierwszej, niezylajacej juz tesciowej Eleonory Jakowlewny. Swieta jest jej wnuczka, a Wieroczka - prawnuczka.

Staruszka, dowiedziawszy sie, ze dziewczynka tak naprawde nie jest jej rodzina, powiedziala zdecydowanie:

- Nie chce nic wiedziec, kocham mala calym sercem i wychowam jak swoja. Zreszta dostalam na to spore pieniadze.

„Moglo ich byc znacznie wiecej” - pomyslam, przypominajac sobie dronniczke Lusię.

- Mam w Wermie przyzwoite mieszkanie - powiedzialam, zerkajac w lusterko.  
- To Syberia, leci sie tam ponad cztery godziny. Jest tam moja dobra znajoma, wlasciwie krewna. Posiedzicie kilka dni u mnie i w droge. Stomatologow wszedzie potrzebuja, absolwentow uczelni moskiewskich ceni sie wysoko. Urzadzicie sie, zadowolicie, dom w Nagorju sprzedam, przyśle wam pieniadze, a mieszkanie przepiszę na Swietę.

Milzaly obie, wreszcie Swieta odezwała sie cicho:

- Chyba nie mam juz kwalifikacji, od dawna nie praktykowalam.

- Głupstwo - uspokoilam ja - najwazniejsze to zaczac, szybko sobie

przypomnisz.

Do Łożkina dotarliśmy około dwunastej. Kicia i Arkady nie okazali żadnej radości, ale też się nie zdziwili. Do czeredy gości i krewnych przywykli od dawna.

Gdy przybyły się rozpakowały, wróciłam do bramy i surowo przykazałam ochronie, by nie wpuszczali na teren żadnych obcych. Zwłaszcza młodych ludzi obojga płci, czarnowłosych i czarnookich.

Kiwnęli potakująco, więc uspokojona wróciłam do domu. W Łożkinie pracują jako ochroniarze młodzi weterani z Czeczenii. Wyglądają jak bestie, ale są absolutnie pewni. Z tych, co najpierw będą strzelać, a dopiero potem zapytają o imię i nazwisko. Poza tym Snap i Bundy to wielkie, silne psy. Nie każdy lubi, gdy pędzi wprost na niego pitbull. Przecież psina nie ma napisane na łbie, że pędzi, bo chce się połazić.

W domu też jest pełno ludzi, służba, wreszcie Freddy. Nie, tu jest absolutnie bezpiecznie. Przecież ani Nina, ani Nikołaj nie znają adresu, owszem, mogą zdobyć go w Centralnym Biurze Adresowym, ale to wymaga czasu. A Maria Siergiejewna, Swieta i Wieroczka pojutrze wyjadą do Wiermu.

- Daszo - odezwała się Maria Siergiejewna, stając na progu mojej sypialni - nie wiem, co o tym myśleć. Wieroczka cały czas śpi. Oddycha wprawdzie równo, ale nie reaguje, potrząsałam nią, a ona nic... Może wezwać lekarza?

W pokoju gościnnym była już Kicia i niania Serafima Iwanowna. Wieroczka, chudziutka, z nienaturalnie podwiniętą prawą rączką, leżała na dużym łóżku. Wyglądała, jakby po prostu spała.

- Uważam, że nie ma się co niepokoić - orzekła autorytatywnie Serafima Iwanowna. - Dziewczynka jest malutka, zmęczyła się podróżą. Zdarza się, że dzieci śpią tak głęboko.

Świetlana z powątpiewaniem pokręciła głową.

- Wszyscy jedli kolację o siódmej, a ją nakarmiono wcześniej, myślę, że około pół do siódmej. Pewnie zaraz potem zasnęła, a teraz jest już druga po południu. To prawie piętnaście godzin! Chociaż nie wiem, może ona zawsze tak długo sypia!

Kicia zerknęła niepewnie na dziewczynkę. Serafima Iwanowna krzyknęła:

- Natychmiast wzywajcie lekarza, taki głęboki długi sen może świadczyć o porażeniu mózgu. Czy ona się przewracała?

Maria Siergiejewna popatrzyła bezradnie na wnuczkę. Swietlana wzruszyła ramionami.

- Nie wiem!

- Świetna z pani matka - prychnęła Kicia.

- Ja nie... - zaczęła Swieta, ale szturchnęłam ją, więc umilkła.

Olga wzięła telefon i wezwała pogotowie.

Maria Siergiejewna ostrożnie wyprostowała rączkę dziewczynki i nakryła małą pledem.

Lekarz przyjechał szybko. Wymachując metalową walizeczką, wszedł do holu, rozejrzał się i nie wiadomo czemu skrzywił. Następnie wycedził:

- Gdzie chora?

Zaprowadziłyśmy go z Kicią do Wieroczki. Lekarz wszedł do pokoju i burknął:

- Niech wszyscy wyjdą oprócz matki.

- Ale... - zaczęła Kicia.

- Proszę wyjść - powtórzył ostro.

Wyszłyśmy na korytarz. Maria Siergiejewna nagle zadygotała.

- Zabierz ją do salonu i daj herbaty z koniakiem - powiedziała do Kici.

Staruszka ruszyła potulnie za Kicią. W tej samej chwili uchylły się drzwi i lekarz zapytał:

- Macie młotek?

Zdziwiona, zbiegłam do komórki i przyniosłam młotek. Chwilę później eskulap znów wyjrzał:

- A teraz obcegi i pilnik, a jeszcze lepiej szydło.

- Co pan robi temu nieszczęsnemu dziecku? - wrzasnęłam i wpadłam do pokoju.

- Nic - odpowiedział spokojnie. - Zaciął mi się zamek w walizce, nie mogę otworzyć.

Wreszcie jakoś się z tym uporał i zaczął odłamywać czubki ampułek. Igła zagłębiła się w chudziutką pupkę, aż się mimo woli wstrząsnęłam, natomiast Wieroczka ani drgnęła.

- Ciekawe, ciekawe - mruzczał pediatra, szukając pulsu na małej, cieniutkiej rączce - wygląda na zdrową, a nie reaguje. Wypisz, wymaluj śpiąca królewna.

I znów zaczął pstrykać palcem w jakąś ampułkę.

- Chwileczkę - powstrzymałam go - chyba wiem, co się z nią dzieje.

Pomóc mógł tutaj tylko profesor Mielniczenko. Tak jak stałam, w brudnych dżinsach i wymiętej bluzce, pognałam na wydział psychologii.

Andriej Nikołajewicz miał wykład i zmuszona byłam przesiadzieć półtorej godziny na parapecie w korytarzu. Dopiero o pół do szóstej był wolny, ale muszę przyznać, że natychmiast zgodził się jechać, nie zapytawszy nawet o honorarium, a może po prostu myślał, że ja wiem, ile bierze za wizytę.

Po drodze wprowadziłam go z grubsza w całą historię. Uniósł w zdumieniu brwi, ale słuchał bardzo uważnie, nie przerywał i nie wydziwiał.

Godziny szczytu to nie najlepsza pora na jazdę przez centrum miasta. Wszędzie były obrzydliwe korki, moskwianie spieszyli się do domów. Do Łożkina dotarliśmy dopiero około ósmej.

Maria Siergiejewna wybiegła nam na spotkanie. Wieroczka nadal spała. Oddychała równo, bez wysiłku, ale nadal była nieprzytomna.

Mielniczenko obejrzał ją i powiedział:

- Czeka mnie ciężka praca. Muszę najpierw zapalić i przygotować się do seansu.

Przygotowania zajęły mu pół godziny. O pół do dziesiątej wyprosił wszystkich za drzwi i przystąpił do „odczarowywania”.

Wszyscy domownicy zebrali się w salonie. Aliska burknęła, gryząc słodką bułeczkę:

- Co za szczęście, że nie mam dzieci, z nimi tylko utrapienie.

- Bzdura! - zachnęła się Masza. - Dzieci to kwiaty życia!

- Na grobie własnych rodziców - odparowała Aliska. - Pasożyty.

- Co za egoizm! - Maszka ani myślała się poddać. - Każda kobieta powinna doświadczyć radości macierzyństwa, a tych, które są tego pozbawione, jest mi serdecznie żal.

Byłam tak zmęczona, że wyciągnęłam się na kanapie, obojętna na ich kłótnię. Zza kanapy wyszedł Freddy i przycupnął obok mnie. Małpka pachniała czymś, co wydało mi się znajome.

Aliska spostrzegła, że obwąchuje małpkę, i parsknęła śmiechem:

- Wylał na siebie cały flakonik Coco Chanel.

- Skąd go wziął?

- Wpakował się do twojej łazienki - oświadczyła radośnie.

Tylko westchnęłam. Ale w porównaniu z tym, co się ostatnio dzieje, utrata flakonu ulubionych perfum to zupełne głupstwo. Ale tak czy owak, kiedyż wreszcie Aliska i jej małpa wyniosą się od nas? Mam ich po dziurki w nosie! Fila też mi



obrzydł.

- Gdzie twój czarownik? - spytałam ospale, czując, że ostatecznie opuszczają mnie siły.

- I czego się czepiasz? - najeżyła się Alisa. - Będzie dziś późno.

„Czyżby zrobił sobie fajrant?” - pomyślałam, już zasypiając.

- Dasza - rozległo się tuż nad moim uchem. - Dasza.

Usiadłam odruchowo i spojrzałam wprost w twarz Mielniczenki. W pokoju paliła się tylko lampa stojąca, ale nawet w jej słabym świetle widać było, jaki profesor jest zmęczony.

- Która godzina? - zapytałam, jeszcze nie do końca obudzona.

- Trzecia rano albo w nocy, zależy co pani woli - odpowiedział z uśmiechem.

- Co z dzieckiem?

- Śpi.

- Czy naprawdę nie można jej obudzić?! - zawołałam z rozczarowaniem.

- Nie, nie - uspokoił mnie. - Źle mnie pani zrozumiała. Wieroczka się obudziła, zjadła kolację i teraz odpoczywa, wyprowadziłem ją z transu. Mam prośbę, może mógłbym się tu gdzieś zdrzemnąć, do domu mam daleko.

- Przykro mi, że nie mogę zaproponować panu oddzielnego pokoju, ale ta kanapa w salonie jest bardzo wygodna, zaraz pościelę.

- Dziękuję, nie potrzebuję żadnej pościeli - mruknął Mielniczenko i padł na kanapę. - Wystarczy jakiś pled. Przepraszam za kłopot.

Słaniając się na nogach, poszłam na górę. W tym domu gość mniej, gość więcej, to już naprawdę bez znaczenia.

W sypialni mogłam wreszcie ściągnąć obrzydliwe dzinsy i brudną bluzkę. Zaraz się porządnie umyję, bo wyglądam jak śmieciarz. Dowcipni Francuzi nazywają osoby bez stałego miejsca zamieszkania krótko i dosadnie - człowiek-ser. Jeśli się pamięta, jaki aromat nie do usunięcia roztacza roquefort, camembert i brie, to wzniosłe porównanie staje się absolutnie zrozumiałe. No, do roquefortu mi jeszcze daleko, ale stadium camemberta już zaliczyłam.

Pochyliłam się, by się umyć, wiszący na łańcuszku „czarodziejski” wisiorek brzęknął o umywalkę. Masz ci los, zupełnie o tym zapomniałam! Jak Fila go nazwał? Roro, momo, dodo...

Wisiorek przeszkadzał mi w myciu, więc go zdjęłam. Jeszcze wczoraj był w ładnym różowym kolorze, aż miało się ochotę go pogłodzić. Teraz trzymałam w ręku

czarny, dość paskudny kamień ze stopionymi krawędziami.

Zdumiona obracałam go w palcach. Spalił się? Rzuciłam kamień do kosza i skierowałam światło na pierś. Zgadza się. Iam, gdzie talizman dotykał skóry, widniał wyraźny ślad po oparzeniu. Zupełnie jakby ktoś przyłożył mi poniżej obojczyków palącego się papierosa. I nagle przypomniało mi się nieprzyjemne uczucie pieczenia, które zaczęło się wtedy, gdy Nikolaïj wypytywał mnie o domowników. Otrzeźwiło mnie i uchroniło przed poddaniem się woli tego drania. A dziwne uderzenie prądu, gdy opuszczałam jego pokój! Nikolaïj mówił:

- Kiedy podejdziesz do drzwi, zapomnisz o wszystkim, pozostanie jedynie uczucie radości i szczęścia. Zapamiętaj je i wiedz, że beze mnie już nigdy nie doświadczysz czegoś podobnego.

Po tych słowach podeszłam do drzwi i omal nie upadłam z bólu. Ale przecież niczego nie zapomniałam i żadnego szczęścia nie odczułam. Przeciwnie, świetnie pamiętam, jak łajdak wypytywał mnie o konta, domy i samochody...

Nagle zadzwonił telefon. Zdumiona, kto może dzwonić o tej porze, odezwałam się:

- Halo.

Odpowiedziała mi cisza.

- Proszę się odezwać, nie słyszę!

Cisza, a potem sygnał. Pewnie ktoś się pomylił i nie chciał przeproszać.

Wyjęłam z kosza to, co zostało z talizmanu. Trudno uwierzyć, ale wygląda na to, że kamień w niezrozumiały sposób rozgrzał się i parząc mi skórę, uratował mnie przed poważnymi kłopotami. Gdyby nie on, spałabym teraz na pryczy i domownicy nigdy by się nie dowiedzieli, gdzie podziła się ich matka.

Położyłam talizman na stole, wpełzłam pod puchową kołdrę i z rozkoszą wyciągnęłam nogi. Co za historia! Dobrze, że wyszłam z tego cało. A kamień? Nie, to przypadek: podobno się zdarza, że przedmioty same się zapalają. Pewnie tak właśnie było. Bo jeśli miałabym uwierzyć w czary i rolę talizmanu w ostatnich wydarzeniach, to musiałabym też uwierzyć w działanie śmierdzącej jamby.

## Rozdział 28

Usiłowałam zasnąć, ale bolały mnie zmęczone nogi i łamało w krzyżu. Przewracałam się z boku na bok w daremnych próbach przywołania snu, wreszcie włożyłam kapcie i poczłapałam do kuchni. Jest tam apteczka, wezmę radedorm albo przynajmniej walerianę. W domu panowała cisza. Psy spały głęboko, jedynie wierny Hootchuś, kolebiąc się na krzywych łapkach, towarzyszył mi do kuchni.

W korytarzu na parterze było ciemno. Zazwyczaj między kuchnią i pokojem Katieriny pali się słaba czterdziestowatowa żarówka. Świeci się od czasu, gdy jeden z gości, przemykając po ciemku na „wyżerkę”, pomylił drzwi, wszedł do Kati i śmiertelnie ją przeraził.

Szłam, trzymając się ściany. Ciemno, choć oko wykol. I nagle rozległ się pełen urazy skowyt Hootcha. Moje palce natrafiły na włącznik i w korytarzu zrobiło się jasno.

Na wprost mnie, dosłownie na wyciągnięcie ręki, stała Nina Sundukian. Przy jej nogach zanosił się płaczem nieszczęsny psiak. Widocznie w ciemności nadepnęła mu na łapkę.

- Co pani tu robi? - zapytałam, nie wiedzieć czemu szeptem, i przyjrzałam się jej.

Ubrana była dość dziwacznie - czarne spodnie, sweter i jakieś cudackie trykotowe adidas. Przyjrzałam się i zrozumiałam, że na buty wciągnęła wełniane skarpety.

- Co pani tu robi? - powtórzyłam, cofając się.

- Ciszej, ciszej - zamruczała, wyciągając ręce - spokojnie, chciałam się dowiedzieć, dlaczego pani opuściła wioskę, niepokoiłam się, czy nie stało się coś złego!

- O czwartej rano?

- Przejdźmy do pokoju - powiedziała poetka.

- Chwileczkę - wybuchnęłam. - Co się tu, u licha, dzieje? Proszę natychmiast opuścić mój dom! I niech pani powie swojemu draniowi i oszustowi Nikolaėjowi, że nie zamierzam uczestniczyć w orgiach i seansach hipnotycznych! Niech ogłupia innych, nie mnie. A teraz niech się pani wynosi!

- I po co to wszystko, Daszo - rozległ się głęboki, obezwładniający głos.

Z głębokich ciemności korytarza w nikły krąg światła wkroczył Nikołał. Na rękę trzymał Wieroczkę. Dziewczynka spała, odrzucona do tyłu główka kołysała się na cieniutkiej szyjce.

Na chwilę zdrętwiałam. Szabanow rzucił mi szybkie spojrzenie i zapytał:

- Czuje pani, jak dzisiaj gorąco?

Natychmiast poczułam, jak po całym moim ciele rozpływa się żar. Świadoma, że za chwilę zapadnę w sen, wrzasnęłam co sił w płucach:

- Ratunku! Na pomoc! Pomocy, złodzieje!

Przez twarz Niny przemknął lekki niepokój, ale zaraz powiedziała:

- Ona blefuje, Kola, mieszka sama!

- Wiem - prychnął Nikołał i zapytał przymilnie: - Nogi się uginają?

I tak się stało, usiadłam na podłodze, siły opuszczały mnie w błyskawicznym tempie. Reszką tchu zapiszczałam:

- Pomocy, mordują!

Rozległ się tupot i szczekanie, w stronę kuchni biegły Snap i Bundy. Na widok psów Nikołał wypuścił Wierę. Dziewczynka upadła na dywan i leżała, sennie posapując. „Ojciec” wyciągnął ręce i nakazał ostro:

- Stać!

Psy jakby natknęły się na niewidoczną przeszkodę. Chwilę w osłupieniu kiwały głowami, wreszcie przysiadły na tylnych łapach i zaskowyczały żałośnie.

- Stać! - powtórzył Nikołał. - Zostać na miejscu!

Ale na schodach słyhać już było zaniepokojone głosy. Na parter zbiegali domownicy w różnym stopniu roznegliżowania.

Kicia w czarnej koronkowej koszulce, Kiesza, który wczoraj wrócił ze szpitala, w szlafroku. Aliska w eleganckim negliżu i Maniunia w ciepłej flanelowej piżamce.

W oczach Nikołaja na mgnienie pojawiła się konsternacja.

- Co tu się dzieje? - warknął Kiesza. - Dlaczego nie dajesz nam spać? Gdzie złodzieje?

Miałam wrażenie, że język przylepił mi się do podniebienia, ręce zwisały bezsilnie.

- Mamo! - ofuknął mnie syn i w tym momencie spostrzegł Ninę i Nikołaja.

Ręka Arkadego natychmiast sięgnęła w lewo, gdzie na ścianie wisi mały telefon. Ale Nikołał już ochłonał i odezwał się uprzejmie:

- Proszę się nie denerwować. Jesteśmy ze stacji sanitarno-epidemiologicznej, przyjechaliśmy wytepić szczury.

- Szczury? - zajazgotała Aliska. - A może krokodyle? Nie ma tu żadnych gryzoni i nigdy nie było! Kieszka! Dzwonź piorunem na milicję!

- Oto one, całe stado - Nikołaj wskazał palcem na podłogę.

Przez chwilę wszyscy patrzyli tępo, wreszcie Kicia wrzasnęła dziko i rzuciła się do drzwi. Za nią z piskiem popędziła Mania, Kiesza i Aliska ruszyli za nimi, podskakując i wierzgając, jakby naprawdę u nóg zawisły im paskudne ogoniaste stworzenia.

Ja nadal siedziałam na podłodze, kompletnie otumaniona.

- A wy na dwór - rozkazał Nikołaj psom.

Snap i Bundy wyszły potulnie na zewnątrz.

- Ej, ej, nieładnie tak kłamać, tych, którzy mnie oszukują, potem boli głowa - zwrócił się do mnie.

Natychmiast zaczęło mi walić w skroniach, przed oczami zapląsały czarne plamki.

- Nino - polecił „nauczyciel”, podnosząc mnie z podłogi - bierz dziewczynkę i szybko do samochodu.

Nina pochyliła się nad Wieroczka, ale nagle zaczęła się gwałtownie otrzępywać, powtarzając:

- Precz, precz, precz.

- Nino - ofuknął ją surowo „ojciec” - tu niczego nie ma!

- A ja myślę, że jest! - rozległ się gromki głos. - Uciekaj czym prędzej, bo cię pogryzą!

Nina wrzasnęła i rzuciła się do drzwi.

- Szabanow, popatrz tutaj - ciągnął ten sam głos.

Z salonu wyszedł na korytarz Mielniczenko. Nikołaj drgnął i wlepił oczy w profesora. W absolutnej ciszy obaj mierzyli się spojrzeniem - w taki sam sposób dwa wielkie psy ustalają, kto w stadzie jest przywódcą.

Po czole Mielniczenki zaczął spływać pot. Głowa bolała mnie teraz piekielnie, w uszach dudniło, przed oczami wirowały czarne punkciki.

Nagle profesor zachwiał się lekko.

- Aha! - wykrzyknął ochryple Nikołaj.

Andriej Nikołajewicz uniósł ku czołu drżącą rękę. I wtedy ze swojego pokoju,

niczym duch ojca Hamleta, wysunął się Fila. W rękach trzymał dziwny błyszczący krążek na łańcuszku.

- Duchu Mumo - zawołał. - Niech osłabnie zła siła!

Mielniczenko opuścił rękę i znowu wbił wzrok w Nikołaja. Fila kołysał dyskiem. Szabanow napiął się cały, szaman i profesor oblali się potem. Siedziałam na podłodze, prawie ślepa z bólu.

Nagle w korytarzu pojawiła się mucha. Bzycząc paskudnie, usiadła na głowie Nikołaja, ale ten niczego nie zauważył. Chwilę później rozległ się głuchy stuk, Szabanow jak podcięty rąbnął na podłogę. Nad nimi, sapiąc radośnie, stał Freddy ze zwiniętym w trąbkę tygodnikiem „TV-park” w prawej ręce.

Fila zatrzymał wahadełko. Mielniczenko bezsilnie oparł się o ścianę.

- Trzeba przyznać - zamruczał, ciężko dysząc - że gdyby opatrność nie zesłała nam małpy, moglibyśmy przegrać.

- Nigdy w życiu - oznajmił twardo Fila. - On już zaczął słabnąć. Ale mimo wszystko, Freddy, hultaju, chodź, niech cię ucałuję.

To były ostatnie słowa, jakie usłyszałam. Nieznośny ból ogarnął całe moje ciało i straciłam przytomność.

- Dasza - dotarło do mnie - otwórz oczka.

Usiadłam na kanapie i rozejrzałam się po pokoju. W dużym salonie zebrali się wszyscy domownicy, tym razem już w szlafrokach.

- Boli panią głowa? - zapytał profesor.

Ostrożnie wsłuchiłam się w swoje wnętrze.

- Nie.

- I bardzo dobrze - ucieszył się.

Na fotelu, wysuniętym na środek pokoju, w dziwnej pozie z rękami do góry, siedział Nikołaj. Twarz miał spokojną. Przestraszyłam się.

- Zwiążcie go!

- Nie ma potrzeby, jest w głębokim transie.

- Trzyma go duch Ko - oznajmił Fila. - Nie puści, póki mu nie powiem!

Z piersi wyrwało mi się ciężkie westchnienie.

- Dlaczego tak dziwnie siedzi z rękami do góry?

- On ich nie czuje - odrzekł profesor. - Jest mu wygodnie, przyjemnie i ciepło.

A teraz go zapytamy, po co się tu włamał. Powiedz, jak...

- Chwileczkę - zawołałam - a Nina?

- Śpi - rzekł Fila. - A ja panią ostrzegałem przed niebezpieczeństwem i kazałem nosić rorę.

- Kamień szerniał i sparzył mi skórę!  
Szaman wytrzeszczył oczy.

- Czyli niebezpieczeństwo było tak wielkie, że on się sam zniszczył, by panią ratować.

- Nic nie rozumiem - włączył się do rozmowy Kiesza.

- Co tu rozumieć? - prychnęła Kicia. - Dasza znów wplątała się w jakieś śledztwo, a efekt jest zawsze ten sam!

- To ty ich znasz? - wściekła się Aliska. - Znasz tych bydłaków? A ja omal nie skonałam, nie masz pojęcia, ile tu było sznurów!

- Tak ci się tylko wydawało - uspokoiłam ją.

- To było okropne - westchnęła Maszka. - Całe stado, biegały, kręciły się, łapały za nogi...

- Wobec tego - oświadczyła Aliska kamiennym głosem - natychmiast nam wszystko opowiesz, a potem przepytamy tych łobuzów. Pod hipnozą wyśpiewają całą prawdę.

- Trzeba ich przekazać w ręce milicji - zdecydował Kiesza. - Nam nie wolno stosować podobnych procedur. To wbrew prawu.

- A oni mają prawo włóczyć się nocą po domu i straszyć ludzi gryzoniami? - zapieniła się Alisa. - Już lepiej siedź cicho, znalazł się pieprzony adwokat!

- Racja - pisnęła Mania. - Musimy ich przesłuchać!

- Dobrze - zakończył dyskusję Fila. - Ale najpierw niech Dasza opowie całą prawdę. Tylko pamiętaj, że natychmiast wyczuje, jeśli skłamiesz.

- Otóż to, niech ci nie przyjdzie do głowy kłamać - zawołali wszyscy chórem. Maria Siergiejewna i Swieta przysunęły się do siebie. Irka i Katierina, bojąc się Aliski, nieśmiało przycupnęły przy drzwiach. Dobrze, że przynajmniej Serafima Iwanowna nie zeszła na dół, ale ona troszczy się wyłącznie o bliźnięta, wszystko inne ma w nosie.

Prowadzona niecierpliwymi spojrzeniami domowników, podeszłam do kredensu i wyjęłam papierosy.

- Posłuchaj... - zaczęła Kicia.

- Niech pali - zezwolił Kiesza. - No już, matka, opowiadaj.

Opowiedziałam im wszystko. Gdy skończyłam, nadeszła pora na spowiedź

Nikołaja. Mielniczenko znowu podniósł mu rękę do góry i zapytał:

- Twoje nazwisko?

- Szabanow - padła obojętna odpowiedź.

Wszyscy zamienili się w słuch.



## Rozdział 29

I dziad, i pradziad Nikołaja posiadali szczególny dar - mogli manipulować innymi ludźmi, tłumić ich wolę. Szabanowowie słynęli również jako znachorzy, potrafili leczyć różne choroby. Ten niezwykły talent przechodził w rodzinie wyłącznie po linii męskiej. Dziewczynki niczym się nie wyróżniały. Chłopcy rodzili się tylko synom, liczne córki natomiast rodziły wyłącznie dziewczynki. Co dziwne, prapradziad, pradziad, dziadek i ojciec Szabanowowie mieli tylko po jednym potomku. Ale czasami genetyka miewała awarie. Ojciec Nikołaja był człowiekiem całkowicie normalnym, za to Kola został obdarzony wielkim talentem.

Ale wszelkie zdolności można wykorzystać zarówno w dobrych, jak i złych celach, zależy to tylko od człowieka. Prapradziadek Jemieljan był staroobrzędowcem, pradziad Michaił został prawosławnym duchownym. I Jemieljan, i Michaił żyli świątobliwie, parafianie uważali ich za świętych. No bo czy mogło być inaczej, jeśli i jeden, i drugi uzdrawiali cierpiących? Dziad Iwan wstąpił do sekty, swoje życie zaczynał jako zwykły kościelny, a potem jego fanatyzm religijny sięgnął apogeum, i mając trzydzieści lat, Iwan stworzył własną „wiarę”.

Swoją trzódkę trzymał twardą ręką, krok w prawo lub w lewo uważał za dezercję. Ale był człowiekiem wierzącym, z tych, którzy życząc bliźniemu dobra, zapędzają go na modlitwy szturchańcami.

Nikołaj okazał się zupełnie inny. Gdy miał trzy lata, dziadek odebrał go Raisie i zaczął wychowywać na własną modłę. Mając siedem lat, dzieciak już co nieco umiał i bezwstydnie z tej wiedzy korzystał. Na przykład zmuszał dziewczynki, żeby podbierały cukier w kuchni i mu przynosiły. Złodziejki łapano i sprawiano im lanie, ale dziadek tylko się uśmiechał, gdy „przestępczynie” mówiły, że Nikołaj je omamił.

Mając dwanaście lat, Nikołaj był już w pełni świadomy, z jaką łatwością może manipulować ludźmi. Dziadek stopniowo przekazywał mu całą swoją wiedzę, wręczył stare księgi, które przechowywano w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Często wyjeżdżali za miasto, do malutkiej wioski. Po dużej wsi, w której kiedyś służył Michaił, nie zostało prawie nic, zachował się jedynie dom popa. Całymi dniami starzec ciągał chłopca po lesie, uczył, gdzie rosną jakie zioła, do czego są przydatne.

Bóg obdarzył Nikołaja nie tylko szczególnymi predyspozycjami, ale i otwartym umysłem.

Chłopiec świetnie się uczył i już od drugiej klasy umiał sprawić, żeby nauczyciel nie wzywał go do tablicy.

Ale dzieciństwa Koli nie można było nazwać szczęśliwym. Ojciec, całkowicie zdominowany przez dziadka, bał się okazać synowi choćby ślad uczucia, a matka w skrytości nienawidziła chłopca. Mowy nie było o żadnych pocałunkach, kołysankach do snu, wesołych urodzinach. Dni biegły jednakowo - wczesne wstawanie, mycie lodowatą wodą, szkoła, potem zajęcia z Iwanem.

Odżywiali się jednostajnie, kasza na wodzie i chleb, ubierali się jak żebracy, spali niewiele, na twardych łóżkach, nie mieli radia, telewizora...

Wszystko ukierunkowane było na to, by z ludzi zrobić ascetów, obojętnych na ziemskie dobra. Ale dziwnym sposobem takie życie sprzyjało wykrystalizowaniu się u Nikołaja zupełnie innych cech. Chłopiec chodził do zwykłej szkoły i z zazdrością patrzył na nowiutkie tornistry kolegów. On miał torbę, którą uszyła mu Raisa z worka. Na dużej przerwie dzieci, przepychając się, biegły do stołówki. Kola pozostawał w klasie, dziadek nie pozwalał jeść parówek, a po kryjomu nie dałoby się tego zrobić.

W soboty Iwan kazał chłopcu klękać i przepalając go wzrokiem, nakazywał:  
- Kajaj się!

Potem było lanie, tak na wszelki wypadek, żeby się bał. A mimo to chłopak uwielbiał dziadka i nienawidził wszystkich krewnych. Owszem, czasami w nocy przychodziła dziecku do głowy myśl, jak to będzie dobrze, gdy dziadek umrze. Wtedy Nikołaj przejmie sektę w swoje ręce i zacznie żyć tak, jak mu się będzie podobało. Członkowie sekty będą pracować, a on będzie trwonił pieniądze.

Bardzo łatwo otrząsnął się z wszelkich religijnych zauroczeń.

A potem nastąpiła gwałtowna zmiana. Śmierć ojca, rozbicie sekty, pobyt w domu dziecka.

Dom dziecka nie wystraszył Nikołaja. Jego współmieszkańcem był cichy Żora Roszczyn. Kola eksperymentował na nim, sprawdzał, jak dalece może sobie podporządkować innych. Okazało się, że całkowicie.

Żora potulnie odrabiał za niego lekcje, słał łóżka, oddawał słodycze. Dla draki Kolka zmusił go do zabicia chomików, kota i biednego kundla. Ale po tej historii coś w Żorze pękło i Kolka musiał odpowiedzieć za swoje czyny.

W sądzie zachował się spokojnie, bo wiedział, że z całą salą na razie sobie nie poradzi. Czas, kiedy będzie manipulował tłumem ludzi, jeszcze nie nadszedł.

Uśmiechał się tylko, słuchając, jak ławnicy - lekarka i wojskowy - za wszelką cenę chcą go wpackować za kratki na dziesięć lat. Miał dziwne wewnętrzne przekonanie, że surowa sędzina jest po jego stronie.

I tak się stało. Dostał najniższy wymiar kary. W kolonii dla nieletnich Mikołaj sobie nie krzywdował. Miejscowy lekarz, przejęty głębokim podziwem dla zdolności chłopaka, który potrafił uciszyć wszelki ból wzrokiem, wziął go do pomocy w przychodni. Co więcej, podrzucał mu różne podręczniki medyczne. Mikołaj starannie przestudiował książki i za poręką dobrego doktora zdał eksternistycznie egzaminy na akademię medyczną.

- Po odsiadce idź na studia - namawiał go jego mentor.

Ale Szabanow zdecydował inaczej; po co mu studia? Już jako mały chłopiec postanowił, że powoła własną sektę i zmusi ludzi, by dla niego pracowali.

Po wyjściu na wolność przede wszystkim zaczął poszukiwać krewnych. Dziadek zmarł w obozie w trakcie odbywania wyroku, matka wyrzekła się syna, pozostały siostry. Ludmiłę odnalazł od razu, natomiast Taniuszki szukał dość długo. Dziewczynkę oddano na wychowanie innej rodzinie, mała zupełnie nie pamiętała swoich prawdziwych rodziców.

Mikołaj był mściwy, ale mimo wszystko w jego duszy zachowały się ślady jakichś zasad. Po wyjściu na wolność opętany był myślą, że musi się zemścić na wszystkich, którzy pchnęli go za kraty, ale też uznał, że powinien odwdziaczyć się tym, którzy mu pomogli. Tyle że tych drugich było niewielu, a ściślej - jedynie sędzina Anna Pierfiljewna.

Jej adres zdobył bez najmniejszych trudności. Pojechał do kancelarii sądu, gdzie podano mu wszelkie informacje, a na dodatek nazwiska i adresy ławników - generała Ryklina i lekarki Kalerii Lwowny. I bynajmniej się nie zdziwił, że urzędniczka tak skwapliwie złamała dla niego przepisy. W tym czasie już znakomicie potrafił podporządkować innych swojej woli. A najlepiej nadawała się do tego jego rodzona siostra Miła.

Mikołaj przyszedł do jej akademika, gdy była już na piątym roku. Od dawna wiedział, gdzie mieszka i studiuje, ale kontakt z nią aż do tej chwili nie był mu potrzebny. Był zajęty czym innym - w opuszczonej wiosce, gdzie niegdyś była parafia jego pradziada, zaczął organizować „przybytek pątników”.

Gdy zaczął głosić nauki, nie mógł wyjść ze zdziwienia, jak głupi i naiwni potrafią być ludzie. Dziesiątki pospieszyły za „ojcem” i „nauczycielem”. Machina

ruszyła. „Pątnicy” oddawali Mikołajowi cały swój majątek i przenosili się do wioski. Inni pracowali w swoich zawodach, przynosząc sekcje stały dochód.

Mikołaj miał określony cel - zebrać jak najwięcej pieniędzy i uciec za granicę. Na początek wystarczy mu milion dolarów, a wśród cudzoziemców jest mnóstwo historyków, nawiedzonych i po prostu ludzi nieszczęśliwych.

Całkiem przypadkowo dowiedział się też, że w jednej grupie z Ludmiłą studiuje córka generała Ryklina - Tamara. Pełen podziwu dla kaprysów losu, zaczął się zastanawiać, jak wykorzystać ten fakt. Tamara skończyła studia, zakochała się, wyszła za mąż, zaszła w ciążę. I wtedy Mikołaj wpadł na pomysł, jak najboleśniej zranić generała.

Nakazał Ludmile, żeby uwiodła Leonida, co ta spełniła bez szemrania, bo wtedy była już w pełni podporządkowana bratu.

Który młody mężczyzna się oprze, gdy ładna kobieta rzuca mu się w ramiona? Leonid nie był wyjątkiem, może myślał, że sprawa skończy się na małym, niewinnym romansie. Ale wszystko potoczyło się inaczej.

W dzień jego śmierci u drzwi rozległ się dzwonek. Lonia popatrzył w wizjerek, uznał, że przyszła Ludmiła, i otworzył. Ale na progu nikogo nie było. Zdziwiony rozejrzał się, spojrzął na schody - gość jakby się rozpląnął w powietrzu. Zamknął drzwi, poszedł do kuchni, nastawił czajnik, wrócił do pokoju i osłupiał. W fotelu siedziała Ludmiła, ubrana na biało, z woalką na twarzy.

- Oszalałaś? - zapytał, nie rozumiejąc, w jaki sposób tu weszła. A Ludmiła w milczeniu podeszła do okna, otworzyła je.

- Idź - powiedziała - tam jest dobrze.

Lonia pomyślał z lekka wystraszony, że Ludmiła zwariowała. Wtedy znowu rozległ się dzwonek. Na progu stał nieznajomy mężczyzna.

- Przepraszam - mruknął niewyraźnie - czy może jest u pana Luda? Ona jest trochę pomyłona. Jestem jej bratem.

Leonid ucieszył się i wpuścił Szabanowa. A jemu wystarczyło dziesięć minut, by zmusić Lonię najpierw do napisania przedśmiertnego listu, a potem do wyskoczenia przez okno. Biedak wskoczył na parapet, czując za plecami ścianę ognia. Szabanow zasugerował mu, że w mieszkaniu szaleje pożar, a pod oknami stoją strażacy z naciągniętą płachtą.

Dalej wszystko potoczyło się tak, jak przypuszczał Mikołaj. Egzaltowana, sentymentalna Tamara najpierw zachorowała. A wywabienie jej z domu do

mieszkania byłego męża nie było już żadną sztuką. Ludmiła zadzwoniła do niej i powiedziała, że ma długi, dwudziestostronicowy list pożegnalny od Loni, adresowany do żony.

- Przyjedź sama, bo jak zobaczę, że jesteś z rodzicami albo koleżanką, spalę list.

Tamara przyjechała razem z matką, ale wysłała ją do sklepu po bułki. Wtedy pojawili się Ludmiła i Nikołaj. Nie musieli się zbytnio wysilać, wystarczyło kilka słów i Tamara, wyciągnąwszy ręce, poszybowała za ukochanym mężem. Na jej twarzy zastygł uśmiech, w ostatnich sekundach życia była szczęśliwa. Nikołaj kazał jej się wychylić z okna i pomachać do powracającego z pracy męża.

- Wychył się bardziej - namawiał nieszczęsną kobietę - bo on cię nie widzi.

Podstęp się udał, nikt ani przez chwilę nie podejrzewał przestępstwa. I milicja, i rodzice, i przyjaciele uważali, że to samobójstwo. Tego, że matka z tego powodu straci rozum, przestępcy nie przewidzieli.

Nikołaj nie mógł się powstrzymać i wsunął do skrzynki pocztowej Ryklinów wredny anonim z wyciętych z gazety liter: „Żyj i cierp”.

Następna była Kaleria Lwowna. W tym wypadku bardzo pomógł im zawód Ludmiły, która zatrudnia się w klinice, kierowanej przez Kalerię Lwownę, i uwodzi Kostię.

Gdy Miła bawi się chłopakiem jak kot myszką, w kolejce czeka już Gieorgij Roszczyn. Nikołaj zamierza się nim zająć po śmierci Kosti. Ale sytuacja się komplikuje, bo Gieorgij składa dokumenty w ambasadzie Izraela, zamierza wyemigrować razem z żoną, Lila jest Żydówką.

W tym samym czasie okazuje się też, że Ludmiła jest w ciąży. Sama nie wie, kto jest ojcem dziecka - Gieorgij czy Konstantin.

Brat zamierzał wysłać siostrę na zabieg, ale wtedy Kostia zaproponował Ludmile, że... odkupi od niej dziecko. Nikołaj natychmiast postanowił przejąć te pieniądze i nakazał Ludmile, by powiedziała o ciąży również Roszczynowi.

Mężczyźni zaczynają zaopatrywać przyszłą matkę w pieniądze, żywność, wszelkie potrzebne rzeczy. Miła doi ich tak przez dziewięć miesięcy, w końcu następuje rozwiązanie, rodzi się Wieroczka.

Luda w klinice podaje nazwisko jednej z członkiń sekty. Szabanow chce, żeby poszkodowani, jeśli zwrócą się do milicji, wyszli na idiotów, gdy zaczną bredzić o niemowlęciu. Z tego też powodu każe siostrze ukrywać ciążę.

W umówionym dniu najpierw oszukują Kalerię Lwową i Kostię, a potem Gieorgija i Lilę. I chyba nie warto nawet wspominać, że żadnej petardy nie było, a rolę recepcjonisty w motelu odegrał Nikołaj?

Nakazuje siostrze jechać do domu. Niemowlę jest mu na razie potrzebne, bo Wieroczka jest nicią, która pociągnie Kostię i Żorę na tamten świat.

Z Konstantinem postanowili rozprawić się od razu. Późnym wieczorem, gdy w pokoju Kalerii Lwowny gaśnie światło, Miła dzwoni do byłego kochanka. Wie, że Kostik ma komórkę na stoliku nocnym. Szlochając, bełkoce, że chce oddać dziewczynkę, ale tylko jemu do rąk własnych, żeby nie wciągać w to Kalerii Lwowny. Pod drzwiami stoi już jej brat z dzieckiem, Kostia musi jedynie otworzyć drzwi, cichutko, by nikt nie usłyszał.

Konstantin otwiera drzwi, do przedpokoju wchodzi Nikołaj, trzymając śpiące spokojnie dziecko. Co dalej, już wiadomo. Jedyne, czego żałował Szabanow, to że Kaleria Lwowna dostała udaru mózgu. Bydlak ubolewał, że kobieta nie wie, co się z nią dzieje, i nie cierpi.

Podobno każdy zbrodniarz ma jakąś cechę charakterystyczną. Każdą kolejną zbrodnię popełnia w taki sam sposób. Jeden dusi, drugi strzela, jeszcze inny truje... Nikołaj podprowadzał wszystkich do otwartego okna. Gdyby Lonia, Kostia i Żora się znali, gdyby mieli ze sobą cokolwiek wspólnego, może milicja nabrałaby podejrzeń. Ale nic z tego! Zgłoszenia krewnych trafiały do różnych komend, wszystkie przypadki świadczyły o samobójstwie. Nikt nie miał wątpliwości, że nieszczęśnicy sami wyskoczyli przez okno. Nie stwierdzono najmniejszych śladów przemocy czy oporu. Co więcej, ostatnie metry do okna wszyscy pokonywali biegiem, jakby się bardzo spieszyli na tamten świat.

Zemściwszy się na ostatnim „wrogu”, Nikołaj kazał Ludmile odwieźć dziecko do sekty.

Szabanow był wręcz patologicznie pazerny. Postawiwszy sobie za cel zdobycie miliona dolarów, wyciskał z „pątników” ostatnie soki. Ludmiła była świetnym stomatologiem, miała mnóstwo pacjentów i niemowlę mogło jej przeszkadzać w zarabianiu pieniędzy.

I wtedy zdarzyła się rzecz absolutnie nie do przewidzenia. Luda, podporządkowana bratu bez reszty, nieoczekiwanie zaczęła się buntować. Cięża to wielki stres dla kobiety, a poród rozbudza u większości nieznanie im wcześniej uczucia. Ludmiła postanowiła za wszelką cenę uratować Wieroczkę. Świetnie

wiedziała, że w wiosce nikt się nią nie zaopiekuje i dziewczynka umrze. Zwłaszcza że mała nie została zarejestrowana w urzędzie stanu cywilnego, a tym samym jakby jej wcale nie było.

Jeszcze w szpitalu Luda obmyśliła plan uratowania Wieroczki. Miała różne pomysły: zatrudnić nianię i oddać jej dziecko, uciec z małą do innego miasta, wyrzec się jej i oddać do domu dziecka. Ale żaden nie wydawał się jej dostatecznie pewny. Wreszcie wymyśliła. Koleżanek nie miała, bo od kilku lat obracała się wyłącznie wśród członków sekty. Ale do „pątników” należała Swieta Bałabanowa, była studentka medycyny. W dawnych czasach dziewczyny łączyło coś na kształt przyjaźni. Luda wiedziała, że w Nagorju mieszka babcia Swietłany, dla wnuczki gotowa na wszystko. A Swieta przeniosła się do wioski, została „wyświęcona” na mniszkę i za ogrodzenie wioski już nigdy nie wyjdzie.

W niedzielę Miła jak zawsze przyjechała na modlitwy. Cały jej wysiłek ukierunkowany był na to, by nie zdradzić swoich planów. Nie piła „napoju wiary” i tylko udawała otumanienie. Pomogła jej absolutna pewność siebie „ojca”, który tak bardzo uwierzył w swoją całkowitą i bezgraniczną władzę nad „pątnikami”, że myśl o tym, iż może zostać oszukany, nigdy nie powstała mu w głowie. Nie spodobało mu się tylko, że siostra przyjechała bez dziecka. Ale Miła usprawiedliwiła się bardzo przekonująco: niemowlę ciągnane po nocach z domu do domu przeziębilo się i musiała je zostawić z wynajętą opiekunką. Nikołaj tym razem darował nieposłuszeństwo, ale nakazał bezwzględnie, by przywiozła dziecko za tydzień.

Miła wróciła do domu. Przepelniała ją radość, bo zdobyła dowód, który przekona Marię Bałabanowa, że powinna zająć się dzieckiem.

Szabanow w czasie obrzędu „wyświęcania” zawsze fotografował „pątników” w trumnie. Zdjęcia wręczał potem zainteresowanym, którzy mieli obowiązek oglądać je kilka razy w miesiącu. Widok samych siebie w trumnie działał na jego wiernych bardzo przynębiająco. Ukradzenie takiego zdjęcia Swiecie nie było żadną sztuką.

Miła odwozi Wieroczkę do Marii Siergiejewny, kategorycznie zabrania staruszce wpuszczać obcych, zakłada żelazne drzwi, domofon, kraty. Nikołaja informuje, że Wieroczka umarła na zapalenie płuc. Ten zrobił jej przesłuchanie, torturował, ale o dziwo, kobieta, by ocalić swoje dziecko, zdolna jest oprzeć się nawet hipnozie. Powtarzała jedynie tępo: „Wieroczka umarła, ciało zakopano na wysypisku śmieci”.

Nad śmiercią dziecka Nikołaj bynajmniej nie bolał. Niemowlę odegrało swoją

rolę, dalej byłoby tylko balastem. Nie było mu żal ani dziecka, ani siostry.

Ludmiła miała obowiązek werbowania nowych członków, przede wszystkim mężczyzn. I robiła to posłusznie, ale teraz często oszukiwała brata, chowając pieniądze dla siebie. Dwa razy miała romans z dobrze sytuowanymi cudzoziemcami, ale „nauczycielowi” o tym nie wspominała. Pierwszy podarował jej drogi naszyjnik, drugi - jednopokojowe mieszkanie. Oto skąd pochodziły pieniądze, które później ukradła dróżniczka Lusja.

Nikołaj nigdy nie odwiedzał siostry, jedynie od czasu do czasu dzwonił do niej. Dlatego Miła bez obawy trzymała przy łóżku zdjęcie córeczki. I przez to zdjęcie zginęła.

Nikołaj wprawdzie uwierzył w śmierć Wieroczki, ale z czasem zaczął powątpiewać w szczerłość siostry. Wtedy nasłał na nią Tatianę, najmłodsze dziecko Raisy.

Taneczka miała około roku, gdy aresztowano Raisę. Dziewczynka trafiła do sierocińca, ale nie tego, gdzie ulokowano Ludmiłę. Matka zrzekła się praw rodzicielskich dosłownie następnego dnia po aresztowaniu, więc Taniuszkę oddano na wychowanie dobrze sytuowanemu, bezdzielnemu małżeństwu.

Tania wyrosła na osobę cichą, spokojną, milczącą, ale twardą, egoistyczną, samolubną i niezwykle mściwą. Bardzo różniła się od Ludmiły. Dziewczeta w rodzinie Szabanowów nie odznaczały się żadnymi szczególnymi zdolnościami, ale Tatiana pewne zdolności jednak miała, na przykład nie mając najmniejszej ochoty na zdobycie jakiegokolwiek zawodu, sprytnie wyciągała pieniądze od innych, udając wciąż chorą i nieszczęśliwą.

Tania stała się prawdziwą pomocnicą Mikołaja, jego prawą ręką. Nie zmuszał nawet siostry, by uczestniczyła w modlitwach, bo nie miał wątpliwości, że Taniusza nigdy go nie odstąpi. Dziewczyna, umiejętnie udając współczucie i serdeczność, wprowadziła do sekty mnóstwo ludzi, wyszukując zwłaszcza samotnych, zamożnych, trochę pomylnych. Świetnie wiedziała, kim jest dla niej Miła, ale w swoim skrajnym egoizmie ani trochę nie przejmowała się jej losem. Natomiast Ludmiła nie miała pojęcia o łączącym je pokrewieństwie.

Tę oto miłą Tanieczkę Nikołaj napuścił na Ludmiłę. Tania na prawo i lewo opowiadała o wspaniałej dentystce, a Miła istotnie miała złote ręce. Stopniowo Tatiana wkrada się w łaski Ludmiły, rodzi się między nimi nawet coś na kształt przyjaźni. Najpierw chodzą do teatru, aż kiedyś Miła zaprasza koleżankę do siebie,



zapomniawszy, że na nocnym stoliku stoi zdjęcie Wieroczki. Wprawdzie już w chwilę później zreflektowała się i schowała zdjęcie, ale za późno. Przebiegła Taniusza wszystko widzi. Nikołaj dostaje szału - został oszukany, on! W takiej sytuacji „ojciec” znalazł się po raz pierwszy i gniew jego jest straszny. Winną nieposłuszeństwa należy ukarać. Ale przedtem ona musi przeprowadzić pewną delikatną operację - musi doprowadzić do samobójstwa bogatego, samotnego faceta, Siergieja Siomina.

Scenariusz był już sprawdzony - najpierw burzliwy romans, potem należy faceta poślubić, a następnie wykończyć go nerwowo.

Siomin był niezwykle bogatym biznesmenem, po jego śmierci cały majątek przypadnie wdowie. Wciągnięcie takiego biznesmena do sekty jest wykluczone, zbyt wiele języków rozprawałoby na temat jego zniknięcia, a Nikołaj dbał oto, żeby jego „wędrowcy” znikali jak kamień w wodzie.

Ale Ludmiła nie zamierzała dłużej uczestniczyć w przestępstwach. Jej dusza protestowała przeciwko kolejnemu zabójstwu. Zrozpaczona, próbuje uciec, kryje się w Domu Pracy Twórczej w nadziei, że nikt jej tam nie odnajdzie. Kilka dni spędza w całkowitej samotności. Jej wola jest ostatecznie złamana, życie to łańcuch zbrodni. Miła widzi tylko jeden sposób na uwolnienie się od tego koszmaru - samobójstwo.

Ostatniego ranka pisze listy i wkłada je do torebki razem z pieniędzmi. Najwyraźniej kompletnie zatraciła poczucie rzeczywistości, bo nie miała cienia wątpliwości, że ten, kto znajdzie kopertę, natychmiast pojedzie do Nagorja i odda ją Marii Siergiejewnie. Biedaczce nie przyszło do głowy, że pieniądze mogą po prostu zostać skradzione, a listy wyrzucone. Pakuje torbę, wychodzi z pokoju i tu dosięga ją ostateczny cios. Na progu, uśmiechając się paskudnie, stoi Nikołaj.

Braciszek wciąga ją do samochodu. Luda się nie sprzeciwia i samochód odjeżdża. Mniej więcej kilometr dalej Kola zatrzymuje się i zaczyna bić siostrę, która jednak broni się zaciekle. W pewnej chwili udaje jej się wyskoczyć z samochodu i pędzi w stronę torów.

To akurat jest po myśli Nikołaja, więc tylko przesyła jej w myśli rozkaz, aby natychmiast popełniła samobójstwo. Pokrywa się to z pragnieniem nieszczęsnej kobiety.

Nikołaj wyrzuca do rowu torbę podróżną Ludy i odjeżdża, słysząc ostrzegawczy gwizd parowozu. Sprawa załatwiona, nieposłuszeństwo zostanie ukarane, a Siominem zajmie się Tatiana. Ona też to potrafi, mężczyźni na nią lecą.

Teraz Nikołał rusza do Nagorja. Adres znalazła Tania w mieszkaniu siostry, które przeszukała, gdy Ludmiła przebywała w Domu Pracy Twórczej.

Nie chodzi mu bynajmniej o dziewczynkę, ale nie zamierza oddać państwu mieszkania Ludmiły, taki apartament jest wart duże pieniądze. Nikołał i Tania nie wiedzą, że Wieroczka została zarejestrowana jako krewna Bałabanowej. Sądzą, że bez trudu załatwią prawa opiekuńcze do dziecka, wystarczy po prostu wykazać się pokrewieństwem z Ludmiłą.

Zabierają Wierę do sekty, zamierzają odczekać miesiąc, a potem załatwić sprawę formalnie. Mają już obmyśloną historię: Miła była złą matką, to Nikołał sam wychowywał siostrzenicę.

Ale realizacja tego planu napotyka przeszkodę. Przeszukując mieszkanie Bałabanowej, „nauczyciel” odnajduje wystawioną w Nagorju metrykę Wieroczki. Rozumie, że będzie musiał w jakiś sposób zdobyć dla dziewczynki nowe dokumenty.

A tymczasem wszystko toczy się jak dotąd, do sekty wstępują nowi członkowie, wśród nich pojawia się Dasza.

Na tym płynne opowiadanie Nikołała się urwało.

Patrzyliśmy na niego niemal w osłupieniu. O wszystkich zbrodniach i draństwach opowiadał z absolutnym spokojem, tonem takim, jakim spiker przekazuje prognozę pogody.

- Koszmar - jęknęła Kicia. - Czy on powtórzy to samo na śledztwie, gdy będzie w normalnym stanie?

Mielniczenko się zamyślił.

- Nie sądzę.

- A czy można go przesłuchiwać, kiedy jest w transie? - zapytałam.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem, czy jest to zgodne z prawem.

Spojrzeliliśmy na Kieszę. Nasz adwokat niepewnie wzruszył ramionami.

- Ja się z czymś takim jeszcze nie spotkałem, trzeba by przejrzeć kodeks.

- Na wszelki wypadek nagrałem to - rzekł Fila, wskazując dyktafon.

Spojrzałam na niego z szacunkiem. Szaman jest najwyraźniej nie w ciemnie bity i w sprawach poważnych woli jednak liczyć na technikę, nie na czary.

- Co teraz zrobimy? - pisnęła Aliska.

- Wezwiemy milicję - odpowiedział spokojnie Kiesza.

- Z jakiego powodu?

- Powód akurat mamy dobry - uśmiechnął się Mielniczenko. - Dwie osoby

wtargnęły do strzeżonego domu, najwyraźniej w celach przestępczych. Opowiemy też o sekcje.

- Akurat nam uwierzą - prychnęła Kicia. - Już widzę ich miny - hipnoza, sekta, krwawa zemsta... Uznają nas za wariatów i skierują na przymusowe leczenie...

- Puścimy im nagranie - wtrącił przytomnie Fila.

- Mogę przy nich powtórzyć przesłuchanie - dodał Andriej Nikołajewicz. - Przecież ich nie wypuścimy. Trzeba też pomyśleć o członkach sekty. Co się z nimi stanie? Nie, takie sprawy muszą rozstrzygać kompetentne organy.

- Chwileczkę - powiedziałam z namysłem - jest jeszcze jedna rzecz do wyjaśnienia, mianowicie - gdzie jest Tania? Z tego, co powiedział Nikołaj, wynika, że ona jest równie niebezpieczna jak on.

Andriej Nikołajewicz popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Naprawdę pani nie zgadła?

- Nie - odpowiedzieli wszyscy chórem.

Jedynie Fila zaczął:

- A ja się domyśliłem. Tania to...

- Ninel Waganowna Sundukian - dokończył spokojnie profesor.

Omam nie usiadłam na podłodze. Nic z tego nie rozumiem. To dlaczego powiedziała mi wtedy, że załatwiła dla Ludmiły skierowanie do Domu Pracy Twórczej?

- Człowiek robi różne głupstwa - wyjaśnił mi Mielniczenko. - Pewnie myślała, że pani powie na milicji to, co wie, i sprawę szybką zamkną i odeślą do archiwum. Bała się, by nie zaczęto zbyt dążyć tożsamości ofiary i nie natknięto się przy tej okazji na ślad sekty. Sądziła, że mniej niebezpieczne będzie powiedzenie prawdy, zwłaszcza Daszy. Bardzo przepraszam, ale wasza mama w całej tej historii wygląda zdecydowanie niepoważnie...

- Jak wariatka - przytaknęła Kicia.

Nie zareagowałam. Czy naprawdę robię takie wrażenie?

## Epilog

Minęło kilka miesięcy. Przekazaliśmy przestępców w ręce stróżów prawa. Kicia miała rację, nie od razu nam uwierzono, zwłaszcza że i Nikołaj, i Nina absolutnie nie przyznawali się do winy. Szabanow użył swoich sztuczek, by wyrzucić wpływ na śledczych, i udało mu się. Milicjant wypuścił go, zażądawszy jedynie pisemnego oświadczenia, że podejrzany nigdzie nie wyjedzie. Później nieszczęsny kapitan przyznał się, że załatwiał to wszystko jakby we śnie i że jak automat sam wyprowadził drania na ulicę. Dopiero wtedy zaczęto brać poważnie to, co powiedzieliśmy, i zaproszono do współpracy profesora Mielniczenkę i Filę, choć jego brygada śledcza dość szybko spławiła; był zbyt nietypowy jak na ich potrzeby.

Nina pozostała w rękach wymiaru sprawiedliwości. Zrozumiawszy, że zostanie kozłem ofiarnym, postanowiła się pokajać i całą winę zwalić na brata.

Sundukianowie adoptowali ją, ponieważ Wagan nie mógł mieć dzieci. Nikt z ich rodziny nie wiedział, że to nie ich rodzona córka, i tylko dziwili się, że dziewczynka nie przypomina żadnego z członków rodziny. Oczy otworzył Ninie dopiero Nikołaj.

Biedna Ludmiła, zaszywając się z poręki Ninel w Domu Pracy Twórczej, nawet nie podejrzewała, że przyjmuje pomoc od rodzonej siostry. Zresztą, trudno to nazwać pomocą, bo Nikołaj oczywiście natychmiast się o tym dowiedział.

Odnaleziono wioskę „pątników”. Świeta wskazała milicji miejsce. Członków sekty umieszczono w różnych szpitalach i teraz stosowne władze mają duży kłopot, co później z nimi zrobić. Większość przekazanych mu mieszkań Nikołaj sprzedał, mieszkają w nich ludzie, którzy uczciwie je kupili.

Wieroczkę pozostawiono Marii Siergiejewnie, po prostu przymknięto oczy na te fragmenty zeznań Świety, w których mówi, że nie jest matką biedactwa.

Wszystkie trzy wyjechały do Wiermu. Ich dom w Nagorju sprzedałam, a Kicia zawiozła im pieniądze i wróciła w jak najlepszym humorze. Świeta zatrudniła się w przychodni. Maria Siergiejewna zajmuje się dziewczynką. Wiera wyzdrowiała i nie pamięta niczego ze swojej przeszłości.

Pewnego wieczoru w maju odpoczywaliśmy na werandzie. Aliska dostała wreszcie to, czego chciała - trzypokojowe mieszkanie w Kryłackim. Spakowała już rzeczy, rano miał przyjechać furgon.

- Serce się ściska na myśl, że mamy was tu samych zostawić - westchnął Fila.  
- Pilnujcie mamy, żeby znów nie wplątała się w jakąś awanturę.

- Otóż to - prychnęła Kicia. - Miała szczęście, że trafiła na Swiętę, boby teraz jej kości leżały gdzieś pod sosną. Dostaję trzęsionki, gdy przypominam sobie, co ten potwór opowiadał.

Poczułam mrówki na plecach. Nina nie zamierzała niczego ukrywać i opowiedziała o planach Nikołaja: najpierw miałam przepisać na drania cały swój majątek, a potem zniknąć bez śladu w wiosce. Sądziła, że nie mam żadnych krewnych. Udało mi się nie wspomnieć o dzieciach, ale adres wypaplałam, sama nie wiem kiedy. Gdy Nikołaj odkrył naszą ucieczkę, natychmiast się domyślił, gdzie ma nas szukać. Zabrał Ninę i przyjechał nocą prosto do Łóżkina. Najpierw chcieli odnieść Wierę do samochodu, a potem zająć się mną. Nie czekali do rana w obawie, że zwrócę się do milicji.

- Jakie to szczęście, że profesor został u nas na noc - powtarzała co rusz Kicia.

- I Fila - dorzucała Mania.

Fila rzekł z uśmiechem:

- Chwała też Freddy'emu. Wybrał najlepszy moment, żeby zdzielić Nikołaja w łeb, ponieważ ten, po pierwsze, nie spodziewał się ataku, a po drugie, całą swoją wolę skierował na nas i lekkie trzepnięcie wystarczyło, by stracił przytomność. Stres był zbyt wielki. Chwała Bogu, że już po wszystkim.

Zesztywniałam. No, niezupełnie. Nina jest w areszcie, lecz Nikołaja nadal nie odnaleziono. Jakby się zapadł pod ziemię. Szukają go, ale jak na razie bez rezultatu. Na wszelki wypadek nie wpuszczamy do domu żadnych obcych.

Żegnając się z nami, Fila powiedział ciepło:

- Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi.

Freddy zahukał z zadowoleniem, ale szaman nie dał sobie przerwać.

- Przygotowałem dla was prezent.

Na stole pojawiła się miska z paskudnie pachnącą żółtą breją.

- Pomyślcie jakieś życzenie - polecił Fila, zanurzając w misce drewnianą łyżkę.

Kicia rzuciła się pierwsza. Jasne, pragnie jeszcze większej popularności. Następnie łyżkę oblizała Mania, mam nadzieję, że tym razem obejdzie się bez choroby. A po niej, ku mojemu zaskoczeniu, podszedł Kiesza. Ciekawe, czego on

pragnie? No, Aliska to wiadomo. Nie dalej jak wczoraj bredziła coś o brylantowym diademie.

Zgarnawszy resztki paskudztwa, Fila popatrzył w moją stronę.

- Ty, oczywiście, nie?

Przez głowę przemknęły mi ostatnie wydarzenia: ospa wietrzna Maszy, zadziwiająca kariera Kici w telewizji, stopiony, poczerniały talizman na łańcuszku... A, co mi szkodzi - niech Nikołaj, gdziekolwiek jest, skręci sobie kark!

- No i co? - uśmiechnął się przebiegle Fila. - Zobaczysz, to się spełni, jak nic skręci sobie kark...

Kolejny raz zdumiona jego umiejętnością czytania w myślach, powiedziałam zdecydowanie:

- Dobrze, dobrze, dawaj tu to paskudztwo!